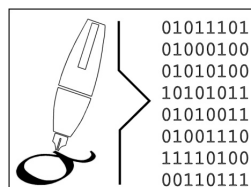


BRIAN LUMLEY

Nekroskop I

(Przełożył : Tomasz Malec)



Tytuł oryginału:

Necroscope I

Data wydania polskiego: 1991 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1986 r.

PROLOG

Hotel ten cieszył się dużą popularnością — był bardzo okazały, z reprezentacyjną fasadą i pełnym przepychu wnętrzem. Znajdował się niedaleko Whitehall. Górne piętro budynku zajmowało towarzystwo międzynarodowych przedsiębiorców — tyle mógł powiedzieć sam dyrektor hotelu. Mieszkańcy tego piętra posiadali osobną windę i schody odseparowane od reszty kompleksu. Mieli nawet własną drogę ewakuacyjną. Właściwie byli całkowicie niezależni. Patrząc z zewnątrz, niewielu mogłoby się domyślić, że budynek hotelowy jest miejscem tajemniczych badań przeprowadzanych przez mieszkańców ostatniego piętra.

„Międzynarodowi przedsiębiorcy”? Można było ich za takich uważać... Nazwa ukrywała stworzoną przez Rząd organizację, która ciągle tkwiła w stadium rozwoju. Przeznaczano na nią nikłe fundusze, które pokrywały jedynie koszty utrzymania administracji. Lecz nawet dla tych niewielkich sum nie było usprawiedliwienia, gdyż korzyści z działalności organizacji były kwestią odległej, niepewnej przyszłości. Należało więc unikać rozgłosu — podatnicy nie lubią zbędnych wydatków. Każde potknięcie mogło oznaczać likwidację lub co najmniej zawieszenie działalności.

Trzy dni temu wydarzyło się coś, co mogło zachwiać lub nawet zniszczyć tajemniczą strukturę.

W drodze do swojego domu zmarł na atak serca szef wydziału. Chorował od dłuższego czasu, wypadek więc nie wydawał się początkowo sam w sobie dziwny. Potem jednak stało się coś, co rzuciło nowe światło na to nieszczęśliwe zdarzenie. Coś, czym Alec Kyle nie chciał teraz zaprzętać sobie głowy.

Owego poniedziałkowego poranka Kyle, następcą szefa, musiał oszacować straty i przemyśleć możliwości ratowania organizacji. Jeżeli tylko nie było już za późno. Założenia projektu od początku były chwiejne, teraz, bez fachowego kierownictwa wszystko mogło się rozsypać.

Rozmyślając o tym, Kyle z mokrego chodnika wszedł przez szklane drzwi wa-

hadłowe do małego hallu. Strząsnął z płaszcza wilgotny śnieg i opuścił kołnierz.

On sam nie wątpił ani trochę w zasadność projektu, wręcz przeciwnie. Kyle uważał, że Wydział jest bardzo ważny, nie wiedział jednak jak bronić go przed sceptycyzmem tych na górze. Stary Gormley potrafił przeciwstawić mu się, a to dzięki przyjaciom na wysokich stanowiskach i swej renomie dobrego fachowca.

Tak więc o czwartej po południu Kyle miał zostać wezwany, by bronić swojej pozycji, by udowodniać zasługi sekcji i rację jej istnienia. Niestety organizacja nie przedstawiła dotąd zadowolających raportów ze swojej działalności.

Po pięciu latach bezowocnej pracy Wydział zamierzano zlikwidować. Właściwie nieważne były argumenty, które chciał przedłożyć Kyle. Mogli go zakrzyczeć, a stary Gormley potrafił krzyczeć głośniejsze niż wszyscy oni razem wzięci. Miał autorytet i poparcie, a on — Alec Kyle — kim był?

Próbował wyobrazić sobie scenę popołudniowego przesłuchania:

— Tak, panie Ministrze. Nazywam się Alec Kyle. Czym się zajmuję w Wydziale? No... poza funkcją zastępcy Sir Keenana byłem, to znaczy jestem... ee, jak to powiedzieć... prognostykiem. Przepraszam? Ee... to znaczy, że przewidyuję przyszłość, sir. No nie, przyznaję, że nie potrafię podać, kto wygra jutro w Goodwood o trzeciej trzydzieści.

Sto lat temu nikt nie wierzył w hipnozę, nawet piętnaście lat temu wyśmiewano akupunkturę. Jak mógł się ludzić, że przekona ich o ważności Wydziału i jego pracy? Z drugiej strony, Kyle podświadomie czuł, że nie wszystko stracone. Dlatego też przyszedł tutaj — żeby przejrzeć materiały Keenana Gormley'a, przygotować coś w rodzaju raportu o wydziale. Zamierzał walczyć o jego przetrwanie.

Ostatniej nocy przyśniło mu się, że rozwiązanie leży właśnie tutaj, w tym budynku, wśród papierów pozostawionych przez Gormleya. „Przyśniło się” nie jest chyba najlepszym określeniem. Objawienia Kyle'a przychodziły zawsze podczas mglistych chwil między snem a przebudzeniem, tuż przed odzyskaniem świadomości. Przywoływał je zazwyczaj dzwonek budzika, ale również dobrze mógł to być pierwszy promień światła słonecznego, wpadającego przez okno sypialni. Tak też stało się tego poranka. Rozproszone światło szarego świtu wpadło do pokoju, zapowiadając nowy dzień.

I wtedy pojawiła się wizja. „Przebłysk”, „przywidzenie”, „halucynacja”...? Kyle wiedział już, że będzie to trwało tylko chwilę, więc skupił się maksymalnie. Wszystko, co kiedykolwiek widział w taki sposób, okazywało się potem niezwykle ważne.

Tym razem zobaczył siebie samego siedzącego za biurkiem Keenana Gormleya. Przeglądał papiery. Prawa górna szuflada była otwarta. Na biurku leżały wy-

jęte z niej dokumenty i akta. Masywny sejf Gormleya stał nietknięty przy ścianie gabinetu. Klucze schowane były w dolnej szufladzie. Każdy z nich otwierał osobną skrytkę w sejfie. Kyle znał kombinację szyfrów, ale nie o tym teraz myślał. To, czego szukał, znajdowało się w rozrzuconych na biurku dokumentach.

Kyle widział, jak pochyła się nad pewną teczką. Była to żółta aktówka, co znaczyło, że dotyczy któregoś z członków organizacji. Kogoś z „listy”. Ktoś taki był cały czas obserwowany przez Gormleya. Obraz przysunął się jak w filmowym zbliżeniu. Najważniejszy kadr — nazwisko na okładce teczeki: Harry Keogh.

I to było wszystko. Od tej chwili Kyle zaczął się budzić. Trudno mu było zgadnąć, co to wszystko miało znaczyć — już dawno przestał próbować zgłębiać znaczenie swoich „przebłysków”. W każdym razie, jeśli cokolwiek dzisiaj go tutaj przyniosło, był to ten krótki, niewytłumaczalny „sen” przed przebudzeniem.

Było jeszcze wcześniej rano. Kyle przedarł się przez zatłoczone ulice Londynu w kilka minut. Za godzinę wszędzie dookoła zapanuje zgiełk, ale tutaj było jeszcze cicho. Pozostali pracownicy administracji (troje wraz z maszynistką) mieli wolne z powodu śmierci szefa. Biura były zupełnie puste.

Kyle nacisnął przycisk windy i wszedł do środka. Wyciągnął swój identyfikator i wsunął go w otwór kontrolny. Winda drgnęła, ale nie ruszyła z miejsca. Kyle ze zdziwieniem spojrzął na kartę i cicho zaklął. Jej ważność wygasła wczoraj. Na szczęście wraz z innymi drobiazgami miał ze sobą kartę Gormleya. Tym razem winda ruszyła w górę. Użył ponownie identyfikatora, aby dostać się do głównych pomieszczeń. W środku panowała głucha cisza. Gabinet Gormleya sprawiał trochę dziwne wrażenie. Światło po przejściu przez ciemnozielone szyby i lekko podniesione żaluzje, tworzyło na ścianie pokoju poziome smugi. To niesamowite oświetlenie potęgowało uczucie obcości, jakiego po raz pierwszy doznał Kyle, mimo iż często odwiedzał to pomieszczenie.

Stał na progu i długo wpatrywał się przed siebie, zanim wszedł. Zamknął za sobą drzwi i wkroczył na środek gabinetu. Czujniki już go zidentyfikowały, zarówno na zewnątrz jak i tutaj. Na ekranie monitora pojawił się napis:

SIR KEENAN GORMLEY JEST NIEOBECNY. ZNAJDUJESZ SIĘ W REJONIE STRZEŻONYM. PROSZĘ SIĘ ZIDENTYFIKOWAĆ NORMALNYM GŁOSEM. W PRZYPADKU POZOSTANIA TUTAJ LUB NIEROZPOZNANIA ZOSTANIE WYDANE DZIESIĘCIOSEKUNDOWE OSTRZEŻENIE. DRZWI I OKNA ZAMKNAJĄ SIĘ AUTOMATYCZNIE. POWTARZAM: ZNAJDUJESZ SIĘ W REJONIE STRZEŻONYM...

Czuł wzbierającą nienawiść wobec zimnej, bezmyślnej maszyny. Trochę z przekory milczał i czekał. W chwilę potem ukazała się kolejna informacja:

ROZPOCZYNA SIĘ DZIESIĘCIOSEKUNDOWE OSTRZEŻENIE...

DZIESIĘĆ....DZIEWIĘĆ....OSIEM....SIEDEM....

— Alec Kyle — powiedział niechętnie. Nie chciał zostać zamknięty. Maszyna rozpoznała głos, przestała odliczać, rozpoczęła od nowa:

DZIEŃ DOBRY, PANIE KYLE...

SIR KEENAN GORMLEY JEST NIEOBECNY...

— Wiem — powiedział Kyle. — Zmarł.

Podszedł do klawiatury i wyłączył system bezpieczeństwa. Maszyna odpowiedziała:

PROSZĘ NASTAWIĆ PRZED WYJŚCIEM — i zamilkła.

Kyle usiadł za biurkiem. „Co za świat!” — pomyślał. „Cholernie pocieszna ekipa! Roboty i romantycy. Supernauka i sprawy nadprzyrodzone. Telemetria i telepatia. Komputerowe wzory prawdopodobieństwa i jasnowidztwo. Wynalazki i duchy!”

Sięgnął do kieszeni po papierosy i zapalniczkę, położył je w wolnym kącie biurka. Utworzyły wzór, identyczny jak w porannym przebłyску z przyszłości. Nieźle, zaczynamy.

Spróbował otworzyć szufladę biurka. Była zamknięta. Wyjął notes Gormleya z zewnętrznej kieszeni płaszcza, sprawdził kod. SEZAMIE OTWÓRZ SIĘ — odczytał.

Nie mogąc opanować śmiechu, Kyle wystukał szyfr na klawiaturze i spróbował raz jeszcze. Prawa górna szuflada otworzyła się leciutko. Wewnątrz znalazł papiery, dokumenty, akta...

„Teraz dopiero zacznie się zabawa” — pomyślał.

Wyjął całą zawartość, umieścił na biurku przed sobą i zaczął przeglądać dokumenty, odkładając je po kolei do szuflady. Był pewien, że przeczcucie go nie zawiodło. W końcu dotarł do żółtej teczki. Na okładce widniał napis: Harry Keogh.

Harry Keogh. Skądś znał to nazwisko... Już raz pojawiło się wcześniej, podczas gry słownych skojarzeń, którą zwykł się zabawiać z Keenanem Gormleyem. Teczki jednak nie widział nigdy w życiu — w każdym razie nie w życiu na jawie. Wpastrywał się w nią dokładnie, tak jak we śnie.

We śnie odsunął ją od siebie. Teraz też tak zrobił. Poczł się trochę nieswojo — nie wiedział, dlaczego tak się zachowuje. Człł jednocześnie, że jego ciało przenika obca energia.

Jeszcze przed chwilą w gabinecie było przyjemnie ciepło. A teraz, w ciągu kilku sekund temperatura gwałtownie spadała.

— Jezu Chryste! — szepnął. Teczka wysunęła się z jego zdrętwiałych palców i z hałasem spadła na biurko. Kyle drgnął, uniósł głowę i zamarł. Naprzeciwko niego, w połowie drogi między drzwiami a biurkiem, ktoś stał.

W pierwszej chwili Kyle pomyślał, że widzi siebie samego — jak w porannym półśnie. Po chwili przekonał się jednak, że ma do czynienia z kimś obcym. Z nadprzyrodzonym zjawiskiem! Zresztą nie mogło być inaczej. Czujniki, które nieustannie kontrolowały gabinet i całe biuro, nic nie wykryły. Gdyby pojawił się ktośkolwiek, natychmiast włączyłby się alarm. Tylko Kyle postrzegał zjawę.

Wyglądała ona na mężczyznę czy raczej chłopca i była naga. Stała naprzeciwko niego i patrzyła mu prosto w oczy. Stopy nie dotykały dywanu, a smugi zielonego światła z okien przeszywały jej ciało.

Kyle czuł, że jest obserwowany. W głębi umysłu zapytał siebie: „Przyjacieli czy...?”

Przesunął fotel do przodu i we wnętrzu szuflady dostrzegł automatycznego browninga, kaliber 9 mm. Wiedział, że Gormley nosił broń, tej jednak nie znał. Zastanawiał się, czy pistolet był naładowany i nawet jeśli tak, to czy użycie go ma jakikolwiek sens?

— Nie — powiedziała nagle zjawa powoli, prawie niezauważalnie kręcąc głową. Zdziwienie Kyle’a rosło.

— Boże! — szepnął. Ponownie odrzuciło go od biurka. — Ty czytasz w moich myślach!

— Każdy z nas ma swój talent, Alec.

Zastanawiał się, czy wystarczy tylko myśleć, aby porozumieć się ze zjawą.

— Lepiej mów — odpowiedziało widmo. — Tak będzie lepiej.

Kyle przełknął ślinę, usiłując coś powiedzieć.

— Ale kim... czym ty, u diabła, jesteś? — zapytał w końcu.

— To nieważne, kim jestem. Wystarczy to, kim byłem i kim będę. Teraz posłuchaj, mam ci wiele do powiedzenia, wszystko będzie ważne. To trochę potrwa, może kilka godzin. Potrzebujesz czegoś, zanim zaczniemy?

Kyle wpatrywał się w zjawę, która nieporuszenie trwała w swoim miejscu. Istniała i chciała z nim rozmawiać. Dlaczego z nim i dlaczego teraz?

— Czy czegoś potrzebuję? — powtórzył pytanie do siebie.

— Chciałeś zapalić papierosa — przypomniało widmo. — Może chciałbyś też zdjąć płaszcz i przynieść sobie kawy. Jeśli chcesz to zrobić, możemy zacząć za chwilę.

Orzewanie znowu zaczęło działać. Kyle wstał, zdjął płaszcz i powiesił go na oparciu fotela.

— Kawa? — powiedział. — Tak, zaraz wracam. — Wyszedł zza biurka i przeszedł obok swego gościa. Zjawa obróciła się patrząc, jak wychodzi z pokoju. Wyglądała niczym cień unoszącej się w powietrzu istoty, bezcielesna jak obłok lub kłąb dymu. Na pewno była w niej jakaś moc. Kyle włożył dwie pięciopensówki do

automatu stojącego w głównym biurze. Zanim kubek się napełnił, skorzystał z toalety i zabrał go w drodze powrotnej. Widmo czekało. Kyle okrążył je ostrożnie i ponownie zasiadł za biurkiem.

Zapalił papierosa i przyjrzał się gościowi dokładniej. Chciał utrwalić sobie ten obraz w pamięci.

Widmo musiało mieć niecałe metr osiemdziesiąt wzrostu. Gdyby ciało było rzeczywiste, mogłoby ważyć około siedemdziesięciu kilogramów. Kyle nie miał pewności co do karnacji skóry. Włosy, a raczej brudne kudły, miały barwę piasku. Drobne nieregularne kropki wysoko na policzkach i czole były przypuszczalnie piegami. Całość przypominała człowieka w wieku około dwudziestu pięciu lat.

Interesujące były oczy. Miały zadziwiająco błękitną barwę i swoim spojrzeniem przeszywały Kyle'a na wylot. Było w nich coś zagadkowego i przejmującego. Mądrość stuleci? Wiedza całych epok skryta pod jasnoblękitnymi tęczęwkami?

Poza tym wyglądał całkowicie zwyczajnie. Gdyby nie oczy, nigdy nie obejrzałyby się za kimś takim na ulicy. Był po prostu młodym mężczyzną... lub młodym duchem. A może bardzo starym duchem?

— Nie — odparła zjawa. — Nie jestem żadnym duchem. Przynajmniej nie w klasycznym tego słowa znaczeniu. Skoro już się poznaliśmy, czy możemy zacząć?

— Zaczynać? Oczywiście. — Kyle omal się nie roześmiał. Z trudem się powstrzymał.

— Na pewno jesteś gotów?

— Tak, tak. Zaczynamy natychmiast. Czy mogę to nagrać? Dla potomności lub coś w tym rodzaju, rozumiesz? Tu mam magnetofon...

— Maszyna mnie nie usłyszy — odpowiedziała zjawa. — Przepraszam, ale mówię tylko do ciebie, wyłącznie do ciebie. Myślałem, że to rozumiesz? Ale... jeśli chcesz, to rób notatki.

— Notatki? Dobrze. — Kyle zaczął grzebać w szufladach biurka, znalazł kartki i ołówki. — W porządku, jestem gotów.

— Historia, którą ci opowiem nie jest zwyczajna. Nie powinieneś się jednak zbyt zdziwić, skoro pracujesz w takiej organizacji. Jeśli nie uwierzysz... Będziesz musiał potem niezłe popracować. Wtedy dopiero wyjdzie na jaw prawda, którą ci opowiem. Nie jesteś pewien przyszłości Wydziału? Nie martw się tym teraz. Twoja praca nie pójdzie na marne. Gormley był szefem, a teraz ty zostaniesz szefem... na pewien czas. Poradzisz sobie, zapewniam cię. Tak naprawdę, śmierć Gormleya niczego nie zmieniła na gorsze. Jest nawet lepiej. Opozycja? Została rozbita i jest na najlepszej drodze do upadku. Może już nigdy się nie podniosą.

Zjawa mówiła, a oczy Kyle'a otwierały się coraz szerzej. On wszystko wiedział

o Wydziale. Wiedział o Gormleyu, o Opozycji. Słowo Opozycja oznacza w terminologii Wydziału jego rosyjski odpowiednik. Co to ma znaczyć, że zostali rozbici? Kyle nic o tym nie wiedział! Skąd to... ta istota ma takie informacje? Ile naprawdę wie?

— Wiem więcej, niż możesz sobie wyobrazić — odpowiedziała zjawa lekko się uśmiechając. — A tego, czego nie wiem, mogę się szybko dowiedzieć.

— Posłuchaj — powiedział Kyle, usprawiedliwiając się. — Wcale nie wątpię w to co mówisz, tak jak nie wątpię w swój rozum, ale próbuję wszystko poskładać i...

— Rozumiem — przerwało widmo. — Poskładasz to sobie, kiedy już zaczniemy. Jeżeli potrafisz. W mojej historii, którą zaraz opowiem, czas będzie zagmatwany — musisz się do tego przyzwyczaić. Postaram się jednak zachować chronologię wydarzeń. Najważniejsza jest informacja. I jej konsekwencje.

— Chyba nie bardzo rozumiem...

— Wiem, wiem. Lepiej usiądź i słuchaj, wtedy może zrozumiesz.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Moskwa, Maj 1971.

W głuszy gęsto zalesionego terenu, blisko miasta, gdzie szosa sierpuchowska przecinała przełęcz między niskimi wzgórzami, w kierunku Podolska, stał ogromny dom podobny trochę do twierdzy, pozbawionej już dawnej świetności, a zbudowanej w nieokreślonym stylu. Kilka skrzydeł budowli wzniesiono z nowej cegły na starych kamiennych fundamentach. Resztę zbudowano z tanich żużlowych bloków, pomalowano z grubsza na zielono-szary kolor, jakby dla ukrycia niedopasowanej konstrukcji. Zwisające przypory i parapety sprawiały przygnębiające wrażenie. Zwężające się ku górze baszty chyliły się wyraźnie ku ziemi, ale ich kopuły wciąż jeszcze górowały nad okolicznymi drzewami.

Układ budynków wokół domu mógł sugerować, że jest to gospodarstwo rolne. Jednak nigdzie nie było widać żadnych zwierząt hodowlanych czy maszyn rolniczych. Wysoko wznosił się ogradzający całość mur, który z racji swojej masywnej struktury i wzmocnionych wsporników mógł być pozostałością czasów feudalnych, choć widniały na nim ślady niedawnych prac renowacyjnych. Ciężkie, szare bloki betonu zastąpiły kruszące się kamienie i starą cegłę.

Całość była obrazem pełnym grozy. Znak przy krzyżówce, gdzie w las odbijała brukowana droga, oznajmiał, że cały teren jest „Własnością Państwa” chronioną przez uzbrojone patrole. Tablica ostrzegała wszystkich przekraczających tę granicę przed surową karą. Zmotoryzowani nie mieli prawa zatrzymywać się tu z jakiegokolwiek powodu. Wkraczanie do lasu było surowo zabronione, nie mówiąc już o polowaniach.

Okolica wydawała się opuszczona i odizolowana od świata. Wraz z nadejściem zmroku mgła pokrywała wszystko mleczną powłoką, i choć światła zaczynały migotać zza zasłon okien na parterze, poprzednie złe wrażenie nie zniknęło. Blokujące przejazd czarne, ogromne limuzyny na leśnych drogach, wydawały się rów-

niez porzucone, gdyby nie pomarańczowe ogniki papierosów i dym unoszący się nad tymi świecącymi punktami. Ludzi trudno było rozpoznać. Stali w zaciemnionych miejscach, ich szare płaszcze przypominały mundury, a twarze ukrywali pod opuszczonymi na oczy kapeluszami.

Na dziedzińcu głównego budynku stał ambulans, którego tylne drzwi były szeroko otwarte. Personel w bieli na coś czekał. Szofer siedział za kierownicą. Obok, w przypominającym stodołę otwartym budynku widać było kontury helikoptera. Gdyby podejść bliżej, można by zauważyć na nim insygnia Rady Najwyższej. Kwadratowe okna z niewielkimi szybami złowrogo migotały w ciemności.

Na jednej z wież, opierającej się na niskim, okalającym murze, stał mężczyzna z wojskową lornetką i obserwował teren, w szczególności zaś odkrytą przestrzeń między murem a pobliską kępą drzew. Zza pleców wystawała mu lufa specjalnej wersji karabinu Kałasznikowa.

Wewnątrz głównego budynku nowoczesne, dźwiękoszczelne ściany dzieliły dawny, ogromny hall na kilka sporej wielkości pokoi rozmieszczonych wzdłuż centralnego korytarza oświetlonego szeregiem jarzeniówek. Każdy pokój miał solidne zamknięcie, a drzwi z dodatkową zasłoną od wewnątrz zaopatrzone były w małe wizjery. Powyżej zamontowano czerwone lampki, z napisami: „Nie wchodzić. Nie przeszkadzać.” Jedno z tych światełek w połowie lewej strony korytarza właśnie się paliło. O ścianę opierał się wysoki żołnierz KGB z pistoletem maszynowym. Czujny, w każdej chwili gotów do akcji, czekał na najdrobniejsze uchYLENIE drzwi lub nagłe zgaśnięcie czerwonego światła. Żaden z ludzi w środku nie był jego zwierzchnikiem, ale żołnierz wiedział, że jeden z nich jest tak potężny jak cała wierchuszka KGB. Był to jeden z najbardziej wpływowych ludzi w Rosji.

Pokój był w rzeczywistości podzielony na dwa pomieszczenia. W mniejszym trzech mężczyzn siedziało w fotelach pałac papierosy i patrząc na ścianę działową, której duża, centralna część od sufitu do podłogi była ekranem. Na małym stoliku na kółkach, w zasięgu ich rąk stała popielniczka, kieliszki i butelka wyśmienitej śliwowicy. Milczeli, słyhać było tylko stłumione oddechy i szmer klimatyzacji.

Mężczyzna pośrodku wyglądał na sześćdziesiąt kilka lat. Ci po prawej i lewej stronie byli dużo młodszy. Obaj byli podwładnymi starszego i rywalizowali między sobą. Mężczyzna w środku wiedział o tym oczywiście — sam wyreżyserował ten układ. Nazywał to „przetrwaniem najbardziej dopasowanego”. Tylko jeden z nich miał zająć w przyszłości jego miejsce. Drugi zostałby wtedy usunięty. Każde wydarzenie, każda chwila była czasem ich próby.

Starszy mężczyzna sączył wolno alkohol i od czasu do czasu zaciągał się papierosem. Z siwizną na skroniach kontrastowało pasmo kruczo czarnych włosów na czubku głowy i nad czołem. Mężczyzna po lewej podał mu usłużnie popielniczkę.

kę. Połowa gorącego popiołu trafiła do niej, reszta spadła na podłogę. Po chwili wełniany dywan zaczął się tlić, uniósł się kłęb kwaskowatego dymu. Ci po bokach umyślnie zignorowali zdarzenie. Wiedzieli, jak bardzo starszy nienawidził nerwowych i drobiazgowych ludzi. W końcu także szef poczuł zapach dymu i spojrzał spod czarnych, krzaczastych brwi w dół, na podłogę. Przycisnął butem tłące się miejsce na dywanie, dławiąc płomień.

Na ekranie pojawił się obraz. Siedzący ujrzeni mężczyznę przygotowującego się do zadania. W jego postępowaniu nie było nic skomplikowanego. Rozebrał się do naga i mył się dokładnie, wręcz drobiazgowo. Mydlił i szorował każdy kawałek swojego ciała. Ogolił się, a potem usunął całe owłosienie, pozostawiając tylko krótko przycięte włosy na głowie. Oddał kał przed i po kąpieli. Za drugim razem również zadbał o czystość, podmył się gorącą wodą i wytarł ręcznikiem do sucha. Potem, nadal zupełnie nagi, odpoczywał.

Jego sposób odpoczywania mógłby wydawać się makabryczny dla niewtajemniczonych, ale to była również część przygotowań. Usiadł obok drugiego człowieka, który leżał w pokoju na lekko pochylonym wózku z aluminiowym szerokim blatem. Położył głowę na złożonych na brzuchu rękach leżącego. Zamknął oczy i zasnął. Nie wyglądało to na nic erotycznego, nic z homoseksualnych praktyk. Mężczyzna na stole był również nagi, lecz dziwnie pomarszczony i prawie łysy z wyjątkiem siwych włosów na skroniach. Jego blada, nalana twarz, ściśnięte usta i gęste, schodzące się ukośnie brwi wyglądały okrutnie.

Wszyscy trzej mężczyźni po drugiej stronie ekranu w milczeniu obserwowali tę scenę, korzystając z rodzaju klinicznej izolacji. Wiedzieli, że ten artysta nie jest świadomy ich bliskiej obecności. Po prostu „zapomniał” o ich istnieniu. Jego praca była tak pochłaniająca i tak ważna, że nie zwracał uwagi na świat zewnętrzny.

Nagle rozbudził się, uniósł głowę, zamrugnął oczami i powoli wstał.

Trzej obserwatorzy pochylił się do przodu w fotelach. Bezwiednie wstrzymałi oddechy i skupili całą uwagę na nagim mężczyźnie, jakby bali się w coś przeskodzić, mimo tego, że pokój był zupełnie odizolowany i dźwiękoszczelny.

Nagi mężczyzna skierował się ku niższej części wózka z ciałem, gdzie zimne, białe stopy wystawały trochę, układając się na kształt litery V. Przystawił do nich miskę. Przyciągnął bliżej drugi wózek i otworzył leżącą na nim teczkę. Wewnątrz znajdowały się skalpele, nożyce, piły — cały zestaw chirurgicznych narzędzi.

Mężczyzna siedzący pośrodku zaśmiał się złowieszczo. Jego podwładni z napięciem oczekiwali na rozpoczęcie tej dziwacznej sekcji zwłok. Ich szef ledwo mógł opanować złośliwe rozbawienie. Był ciekawy, jak zareagują. Sam widział już wcześniej coś podobnego i liczył, że teraz zabieg ten posłuży mu za pewnego rodzaju test.

Nagi mężczyzna uniósł długi, pokryty chromem pręt, z jednej strony ostry jak igła, z drugiej zakończony drewnianą rączką. Pochylił się nad ciałem i przyłożył ostry koniec do nabrzmiałego brzucha, w zagłębieniu pępka. Nacisnął z całej siły. Ostrze zagłębiło się w trupa. Wydęte wewnątrz wypuściło gazy zbierane od czterech dni, kiedy to nastąpiła śmierć. Z sykiem wyleciały w górę, w kierunku twarzy nagiego mężczyzny.

— Dźwięk! — warknął środkowy obserwator. Podwładni poderwali się natychmiast z foteli. — Chcę posłuchać.

Mężczyzna po prawej stronie głośno przełknął ślinę i podszedł do głośnika. Nacisnął przycisk oznaczony napisem „odbiór”. Jeszcze przez chwilę panowała cisza, a potem usłyszeli ostry, zanikający świst. Brzuch trupa opadł powoli, tworząc pofałdowane zwały tłuszczu. Gdy gazy się ulatniały, nagi mężczyzna, zamiast się cofnąć, pochylił twarz i wdychał je głęboko.

Ze wzrokiem utkwionym w ekran, poruszając się niezgrabnie, mężczyzna z prawej wrócił do swojego fotela i opadł na niego ciężko.

Obaj siedzieli teraz poddenerwowani, z wypiekami na twarzy. Zaciskali ręce na drewnianych oparciach. Zapomniany papieros wpadł do popielniczki, roztaczając kłęby gryzącego dymu. Tylko zwierzchnik był nieporuszony, jednakowo ciekaw wyrazu twarzy swoich podwładnych, jak i dziwaczego rytuału za ekranem.

Nagi mężczyzna wyprostował się i stał tak nad bezwładnym ciałem. Jedna ręka spoczywała na udzie zmarłego, druga na piersi. Dłonie przylegały płasko. Jego ciało wyraźnie się zmieniło. Normalna, zdrowa świeżość dopiero co wyszorowanego ciała zniknęła całkowicie. Skóra stała się matowa — podobna do koloru zwłok, których dotykał. Był blady jak sama śmierć. Wstrzymał oddech, jakby delectował się trupim smakiem. Policzki z wolna się zapadały. Wtem...

Odjął ręce od trupa, równocześnie wypuszczając z ust śmierzący gaz, i zatchył się do tyłu. Wydawało się, że upadnie, ale po chwili ponownie ruszył do wózka. Jeszcze raz, ostrożnie skierował dłonie w kierunku ciała. Dotknął zwłok. Jego palce drżały, gdy delikatnie przesuwiał je od stóp do głowy trupa. Nadal nie było w tym żadnej perwersji.

— Czy on jest nekrofilem? Co to jest, towarzyszu generale? — zapytał jeden z mężczyzn, najwyraźniej nie mogąc opanować emocji.

— Siedź cicho i ucz się! — ryknął generał. — Chyba wiesz, gdzie jesteś?! Tutaj nic nie powinno cię dziwić. Wkrótce się dowiesz, kim on jest. Tyle niech ci wystarczy, że jest tylko trzech takich ludzi w całym ZSRR. Jeden to Mongoł z Ałtaju, szczepowy szaman, dogorywający na syfilis i bezużyteczny dla nas. Drugi to kompletny szaleniec, już skierowany na nacięcie płata mózgowego. Po tym i tak będzie... poza naszym zasięgiem. Zostaje tylko ten, a ma tę sztukę we krwi. Niełatwo

się tego nauczyć, jest jedyny w swoim rodzaju. Więc teraz zamknij się! Oglądasz wyjątkowy talent.

Za szybą „wyjątkowy talent” nagle się ożywił. Jakby poruszony sznurkami przez szalonego, niewidzialnego mistrza marionetek, wykonywał chaotyczne, spazmatyczne wręcz ruchy. Prawe ramię uderzyło w torbę z instrumentami i omal nie strąciło jej ze stołu. Dłoń wykrzywiona skurczem w rząd szarych szponów, zaczęła poruszać się jak ręka dyrygenta podczas pełnego ekspresji koncertu. Zamiast batusy trzymała błyszczący, zakrzywiony skalpel.

Wszyscy trzej widzowie wysunęli się do przodu z wytrzeszczonymi oczyma i szeroko rozdziawionymi ustami. Twarze dwóch młodszych mimowolnie wyrażały odrazę. Oblicze generała było spokojniejsze, malowało się na nim wyczekiwanie.

Z precyzją, która zaprzeczała pozornie szalonym i przypadkowym ruchom, ramię nagiego mężczyzny opadło w dół i rozciąło zwłoki jednym ruchem wzdłuż klatki piersiowej aż po szywnę, szare owłosienie łonowe. Nogi i drugie ramię poruszały się nerwowo, kurczyły się jak u dogorywającego zwierzęcia. Dwa dodatkowe, i absolutnie dokładne cięcia nastąpiły tak szybko, jakby były kontynuacją pierwszego ruchu. Mężczyzna naciął na brzuchu trupa rzymską jedynekę.

W następnej chwili odrzucił na oślep narzędzie i zagłębił ręce po nadgarstki w środkowym cięciu. Rozchylił na boki płaty skóry. Zimne, widoczne teraz wnętrzności nie wydzielały gazów, nie było też krwi, ale gdy wyciągnął dłonie na zewnątrz, błyszczały ciemną, lepką czerwienią.

Wykonanie tych czynności wymagało nadludzkiej siły. Wszystkie tkanki trzymające się ochronnych, zewnętrznych ścian żołądka musiały być rozerwane jednym cięciem. Kiedy się to udało, mężczyzna wydał groźny pomruk, wyraźnie słyszalny w głośniku. Napięty grymas karykaturalnie wykrzywił twarz.

Mężczyzna wyjął trzewia ze zwłok i uspokoił się jakby. Bardziej szary niż przedtem, wyprostował się i zakołysał na piętach. Zakrwawione ręce opadły wzdłuż tułowia. Pochylił się do przodu raz jeszcze, spojrział w dół i rozpoczął powolny, dokładny przegląd wnętrzności trupa.

W drugim pokoju, mężczyzna po lewej wczepiony w poręcz fotela, bez przerwy przełykał ślinę. Twarz błyszczała mu od potu. Ten po prawej trząsł się cały — teraz blady jak płótno. Sapał ciężko pomagając sercu, które waliło w piersiach. Pomiedzy nimi, były generał armii Georgij Borowic, obecnie szef ściśle tajnej Agencji Rozwoju Paranormalnego wywiadu, przechylił się do przodu, wyraźnie pochłonięty obserwacją. Jego nalana twarz była przepełniona mieszaniną grozy i fascynacji, śledził każdy szczegół przedstawienia. Zupełnie ignorował siedzących przy nim podwładnych. Mimochodem zastanawiał się, który z nich pierwszy zwymio-

tuje.

Na podłodze pod stołem stał metalowy kosz wypełniony zgniecionymi kawałkami papieru i wygaszonymi niedopałkami. Nie odrywając wzroku od ekranu, Borowic sięgnął w dół po kosz i postawił go przed sobą na środku stołu. Pomyślał perfidnie rozbawiony: „Niech o niego walczą. Któryś z nich nie wytrzyma, wymioty bez wątplenia wywołają tę samą reakcję u drugiego.”

— Towarzyszu generale, sądzę, że nie... — wysapał jeden z obserwujących.

— Cicho! — Borowic kopnął go w kostkę. — Patrz, jeśli możesz. A jeśli nie, to nie przeszkadzaj!

Nagi mężczyzna był pochylony. Tylko centymetry dzieliły jego twarz od wewnętrznych organów. Spoglądał na prawo i lewo, jakby czegoś szukał. Rozszerzone nozdrza węszyły podejrzliwie. Brwi, dotychczas gładkie, niesamowicie się nastroszyły. Zachowywał się jak wielki ogar pochłonięty tropieniem ofiary.

— Wiem — chytry grymas przebiegł przez jego wargi. W oczach pojawił się błysk objawienia, był bliski odkrycia tajemnicy. — Tak. Coś tu jest, coś się ukrywa w środku!

Odrzucił w tył głowę i zaśmiał się, głośno i krótko. Na chwilę jeszcze skoncentrował uwagę i jakaś potworna energia przeszła jego umysł — radość w jednej chwili zmieniła się w gniew.

Dyszał jak bestia, na jego twarzy odbijały się nieludzkie emocje. Chwytał jakieś ostre narzędzie i zachłannie zaczął wycinać różne organy. Wraz z upływem czasu praca stawała się coraz bardziej ohydna i przerażająca. Wnętrznosci leżały — to w częściach, to w całości — rozrzucone dookoła. Zwisiały groteskowo na krańcach metalowego stołu niczym łachmany, strzępy starych ubrań. Ciągłe nie było mu dość. Poszukiwania pochłaniały go całkowicie.

Wydał nagle krótki krzyk, który w głośniku w drugim pomieszczeniu zabrzmiał niczym niesamowity pisk kredy na tablicy. Triumfujący grymas pojawił się na jego twarzy. Zaczął odcinać zwisające kawałki ciała i miotać nimi dookoła. Przykładał je do własnego ciała. Trzymał przy uchu i „wsluchiwał się”. Rozrzucał trzewia na wszystkie strony, ciskał za siebie, do zlewu. Krew poplamiła całe pomieszczenie. Wtem krzyk pełen bólu dobiegł z głośnika.

— Nie tutaj! Nie tutaj!

W sąsiednim pokoju, nerwowe wzdychanie mężczyzny z prawej przeszło w dławienie. Nagle chwycił kosz ze stołu, wyprostował się, zatoczył w róg pokoju.

— Mój Boże! Mój Boże! — powtarzał bez końca, za każdym razem głośniej. — Straszne! Straszne! On jest chory. To maniak!

— On jest wspaniały — warknął Borowic. — Widzisz? Widzisz? Za chwilę poznamy tajemnicę.

Za ekranem nagi mężczyzna chwycił chirurgiczną piłę. Ramię i narzędzia były jedną plamą czerwieni, szarości i srebra. Ciało w górę od mostka. Pot mieszał się z krwią na skórze. Spływał obficie, gdy pochylił się nad klatką piersiową trupa. Piła złamała się, więc odrzucił ją. Krzyczał jak zwierzę. Gwałtownym ruchem uniosł głowę i rozejrzał się po pokoju. Przez chwilę oczy spoczęły na metalowym krześle. Wpadł na nowy pomysł, pochwycił krzesło, użył dwóch nóg jako dźwigni, zagłębił je w świeżo wyciętym kanale.

Łamał kości i rozrywał mięśnie. Lewa strona klatki piersiowej uniosła się w górnej części tułowia niczym zapadnia. Ręce wdarty się do wewnątrz i po chwili szaleńczej szarpaniny wyjęty zdobycz na powierzchnię, unosząc ją ku górze.

Trzymając serce w wyciągniętych dłoniach, nagi człowiek pijanym krokiem zatoczył się po pokoju. Przytulił je mocno, podniósł do oczu, do ust. Przycisnął do piersi, pieścił, łkał jak niemowlę. Szlochał z ulgi, łzy spływały po szarych policzkach. W jednej chwili opadł z sił.

Jego nogi zaczęły drżeć. Nie wypuszczając serca z rąk, zgiął się i upadł na podłogę. Zwinął się na kształt płodu. Serce trupa zniknęło, przykryte jego ciałem. Leżał bez ruchu.

— Zrobione — powiedział Borowic.

Wstał, podszedł do głośnika, nacisnął przycisk oznaczony napisem: „Interkom”. Zanim przemówił, rzucił wzrokiem na podwładnych. Jeden siedział z opuszczoną głową i koszem między nogami. Jego rywal zgiął się w pół z rękoma na udach. Wydychał przy skłonie, wdychał prostując się. Twarze obu były zalane potem.

— Ha! — mruknął Borowic. — Borys! Borysie Dragosani! Słyszysz mnie? W porządku? — powiedział do głośnika.

W drugim pokoju mężczyzna na podłodze drgnął, wyciągnął się, uniosł głowę. Rozejrzał się dookoła, wzdrygnął się. Szybko powstał. Wydawał się teraz bardziej ludzki, już nie tak opętany. Bose stopy ślizgały się po pokrytej wydzielinami podłodze. Zatoczył się lekko, ale szybko odzyskał równowagę. Spozrzegł serce ściśnięte w swoich dłoniach. Wzdrygnął się raz jeszcze i odrzucił organ. Wytarł ręce o uda.

Wyglądał jakby dopiero co wyrwany został z koszmaru... ale nie wolno mu było obudzić się do końca, za szybko dojść do siebie. Borowic musiał się czegoś dowiedzieć. Teraz, kiedy jeszcze wszystko pamięta.

— Dragosani — odezwał się ponownie, tym razem miękkiem głosem — słyszysz mnie?

Dwaj podwładni doszli już do siebie i zbliżyli się do szefa. Nagi mężczyzna rozejrzał się. Dopiero teraz zobaczył ekran, który z jego strony był tylko matowym oknem złożonym z wielu małych, ołowianych szybek. Spojrzał na nich wprost,

lecz w sposób, w jaki patrzą niewidomi.

— Tak, słyszę was, towarzyszu generale. Mieliście rację. Planował zamach na was — odpowiedział.

— Ha! Dobrze. — Borowic uderzył potężną pięścią w otwartą lewą dłoń. — Ilu z nim było?

Dragosani wyglądał na wyczerpanego. Szarość zanikała. Ręce i dolne partie ciała ożywiały się, nabierając bardziej ludzkiej barwy. Był tylko człowiekiem, znajdował się na skraju zapaści. Nie trzeba było wcale wysiłku, by przesunąć metalowe krzesło, ale wydawało się, że pochłonie to ostatnie resztki jego energii. Z łokciami na kolanach, z głową w dłoniach, patrzył na podłogę między stopami.

— No? — powiedział Borowic do głośnika.

— Jeszcze jeden — odparł Dragosani nie unosząc wzroku. — Ktoś blisko was. Nie mogłem odczytać jego nazwiska.

Borowic był rozczarowany.

— To wszystko?

— Tak, towarzyszu generale. — Dragosani uniósł głowę, spojrzął na ekran. Z niebieskich, Wodnistych oczu przebijała niema prośba. — Grigorij proszę, nie pytaj — dodał z zażyłością, która zdumiała podwładnych.

Borowic milczał.

— Grigorij — odezwał się ponownie Dragosani. — Obiecałeś mi...

— Wiele rzeczy — odciął pospiesznie Borowic. — Będziesz je miał. Wiele. Za każdą drobnostkę odpłacę się tysiącrotnie. Każdą, najmniejszą twoją przysługę ZSRR wynagrodzi hojnie. Zgłębiłeś nowy kosmos, Borysie Dragosani. Wiem, że twoja odwaga jest większa niż bohaterstwo kosmonautów. Tam, gdzie oni docierają, nie ma potworów. Granica, którą przekraczasz ty, to granica życia i śmierci. Znam się na tym.

Dragosani wyprostował się, zadrżał. Szarość ponownie okryła jego nagie ciało. Nadal nie mógł zobaczyć Borowica.

— Teraz rozumiesz? — powiedział generał.

Nagi mężczyzna westchnął, zwiesił głowę.

— Co chciałbyś wiedzieć? — zapytał.

Borowic oblizał wargi, przysunął się do ekranu.

— Dwie sprawy. Nazwisko tego, który spiskował z tą wybebeszoną świnią, i dowód, który mógłbym przedstawić Prezydium. Nie tylko ja jestem zagrożony. Ty też. Cały wydział! Pamiętaj, Borysie Dragosani, są tacy w KGB, którzy wypatroszyliby nas, gdyby tylko znali sposób!

Borys nic nie powiedział, tylko wrócił do wózka z resztkami zwłok. Na jego twarzy malowała się żądza bezczeszczenia. Oddychał głęboko, napełniał płuca

i wypuszczał wolno powietrze. Za każdym razem jego pierś nabrzmiwała coraz bardziej. Skóra zupełnie poszarzała. Po kilku minutach skierował wzrok na narzędzia chirurgiczne.

Teraz nawet Borowic był poruszony, wstrząśnięty. Usiadł w centralnym fotelu, napiął mięśnie.

— Wy dwaj — huknął na swoich podwładnych. — Wszystko w porządku? Ty, Michaił, masz jeszcze czym rzygać? Jeśli tak, to zostań z boku. A ty, Andriej? Skończyłeś już z tymi skłonami?

Mężczyzna po prawej otworzył usta, lecz nic nie odpowiedział. Utkwił wzrok w ekranie. Drugi z podwładnych wyprostował się resztkami sił.

— Spróbuję obejrzeć chociaż początek. Postaram się nie wymiotować. A gdy to wszystko się skończy, byłbym wdzięczny za wyjaśnienie. Możecie mówić, co chcecie o tym tam, towarzyszu generale. Ja osobiście kazałbym mu milczeć,

— Dostaniesz wyjaśnienie w swoim czasie — rzucił Borowic. — Na razie zgadzam się z tobą. — Przyznał nieoczekiwanie. — Też nie chciałem się zrzygać.

Dragosani chwycił w jedną dłoń wklęsłe srebrne dłuto, w drugą mały młotek z miedzianym trzonkiem. Przyłożył dłuto na środku czoła trupa, uderzył silnie młotkiem. Ostrze zagłębiło się, młotek odskoczył. Trochę płynu mózgowego tryśnięło w powietrze. Michaił nie wytrzymał. Przełknął ślinę, wycofał się w róg pokoju, stał tam drżąc. Andriej siedział na swoim miejscu, ale Borowic kątem oka zauważył, że ściska i rozpręża pięści na poręczach fotela.

Dragosani odszedł od ciała, przykucnął, wpatrywał się w dłuto sterczące z przedziurawionej czaszki. Kiwał wolno głową. Powstał, podszedł do stołu z instrumentami. Upuścił młotek na lepką posadzkę. Pochwycił cienką stalową słomkę i wsunął ją szybko w wybity otwór. Stalowa rurka zapadła się wolno do środka po sam ustnik.

— Ustnik! — wykrzyknął Andriej. — To potworne. Ustnik!

Borowic zamknął oczy. Był twardy, ale na to nie mógł patrzeć. Widział to już kiedyś, znał to zbyt dobrze.

Minęły pełne napięcia chwile. Michaił ciągle drżał odwrócony plecami do ekranu. Generał z zaciśniętymi oczyma trzymał się fotela. Nagle...

Krzyk, który dobiegł z głośnika, mógł przerazić najodważniejszego. Krzyk pełen grozy i szału. Wrzask zranionego drapieżnika, mściwej, złej bestii.

Na ten ryk Borowic otworzył oczy, uniósł brwi — wyglądał jak śmieszna, przestraszona sowa. Palce zacisnął na poręczach, wydał cichy, chrapliwy jęk. Opadł całym ciałem na oparcie. Fotel pękł pod jego ciężarem. Borowic upadł na ziemię. Nagle ekran zmienił się w deszcz szkła i powyginanych pasków ołowianej blachy. Pośrodku sterczała noga metalowego krzesła, które w szale rzucił nagi mężczyzna.

— Świnia! — Krzyk Dragosaniego doszedł zarówno z głośnika jak i ze zdemolowanego ekranu. — Ty świnio! Otrułeś go. Coś zabiło jego mózg, a teraz, bydlaku, teraz ja skosztowałem tej samej trucizny!

Oszalały, przepelniony nienawiścią Dragosani stanął w ramie ekranu, wśród wyszczerbionych szklanych odłamków. Wtem coś błysnęło w jego ręce...

— Nie! — zawył Borowic. Ściany małego pokoju odbiły przerażony głos. — Nie, Borys! Mylisz się. Nie jesteś otruty, człowieku!

— Kłamca! Czytałem w jego martwym mózgu. Czułem ból jego konania. A teraz to samo jest we mnie!

Dragosani zbliżał się wolno do Borowica, który usiłował powstać. Nie zdążył, Dragosani powalił go, uniósł srebrny sierpowaty przedmiot w zaciśniętej dłoni...

Michaił doskoczył, sięgnął ręką do wnętrza płaszcza, złapał napastnika za nadgarstek. Uderzył pałką dokładnie tak, żeby ogłuszyć. Stał wypadła z porażonych palców Dragosaniego, runął twarzą przed Borowicem, który właśnie zdołał się otrząsnąć. Michaił pomógł wstać generałowi, który zaczął przeklinać, kopać leżącego na ziemi Borysa. Będąc już na nogach, odsunął szorstko pomocnika. Zobaczył pałkę w jego ręce i zrozumiał co się stało. Wpadł w szal.

— Co? — wysapał. — Uderzyłeś go? Użyłeś tego? Głupiec!

— Ale towarzyszu generale, on...

Borowic przerwał warknięciem. Odepchnął Michaiła, aż ten się zatoczył.

— Dureń! Idiota! Módl się, żeby nic mu się nie stało. Powiedziałem przecież, że jest wyjątkowy! — Przyklęknął, obrócił ogłuszonego Dragosaniego na plecy. Twarz nagiego mężczyzny nabierała kolorów. Olbrzymi guz rósł na potylicy, powieki drgały nieustannie.

— Światła! — ryknął stary generał. — Wszystkie! Nie stój tak... — przerwał i rozejrzał się po pokoju. Michaił stał przy wyłącznikach, Andrieja nie było.

— Tchórzliwy pies! — warknął pogardliwie.

— Może poszedł po pomoc — rzucił Michaił. — Towarzyszu generale, gdybym nie uderzył Dragosaniego, to on...

— Wiem, wiem — odparł niechętnie Borowic. Zapomnij już o tym. Pomóż mi przenieść go na fotel.

Dragosani jeszcze jakiś czas był nieprzytomny, ale wreszcie mruknął głośno i otworzył oczy, patrząc tępo w twarz Borowica.

— Tyyy! — syknął, bezskutecznie próbując się wyprostować.

— Spokojnie! — powiedział Borowic. — Nie bądź głupcem. Nie jesteś otruty. Człowieku, sądzisz, że pozbyłbym się mojego najcenniejszego nabytku.

— Ale on został otruty — upierał się chrapliwie Dragosani. — Cztery dni temu. Wypaliło mu mózg! Umarł w agonii. Myślał, że głowa mu się topi. A teraz to samo

jest we mnie. Szybciej, na pewno jestem otruty! — Próbował unieść się z miejsca. Borowic przytrzymał go i wyszczerzył zęby.

— Tak. On tak umarł, ale ty, Borys, nie umrzesz. To była specjalna trucizna, bułgarski napar. Znika po kilku godzinach bez śladu. Jest niewykrywalny jak lodowy sztylet, uderza i topnieje.

Michaił gapił się z otwartymi ustami i osłupiałym wyrazem twarzy.

— Skąd on wie, że otruliśmy zastępcę szefa? — zapytał.

— Cicho! — zgasił go Borowic. — Ten twój długi język jeszcze kiedyś zadusi ciebie samego, Gierkow.

— Ale...

— Człowieku, ślepy jesteś? Nic nie pojmujesz?

Michaił wzdrygnął się i zamilkł. To było stanowczo za dużo dla niego. Widział wiele dziwnych rzeczy, odkąd trzy lata temu przyszedł do Wydziału. Słyszał o rzeczach, w które wcześniej by nie uwierzył. To jednak przechodziło wszystko, czego do tej pory doświadczył, było nie do pojęcia.

Generał obrócił się do Dragosaniego, klepnął po ramieniu. Nagi mężczyzna teraz był błądy.

— Pomyśl! To bardzo ważne.

— Jego nazwisko? — Borys podniósł wymęczony wzrok.

— Powiedziałaś, że jest blisko mnie. Ten, który planował zamach wraz z zatrutym psem. Kto to jest? Kto?

Dragosani schylił głowę i zmrużył oczy.

— Blisko ciebie. Tak! Nazywa się... Ustinow!

— Cooo? — Wyprostował się Borowic.

— Ustinow? — wyszeptał Michaił Gierkow. — Andriej Ustinow? Czy to możliwe?

— Jak najbardziej — odezwał się znajomy głos z progu pokoju. Ustinow miał twardy, bezlitosny wyraz twarzy. W rękach trzymał pistolet maszynowy. Lufa wycelowana była w trzech mężczyzn. — Jak najbardziej możliwe.

— Ale dlaczego? — jęknął w panice Borowiec.

— Czy to nie oczywiste, „towarzyszu generale”? — powiedział z przekąsem. — Nie sądzicie, że każdy, kto byłby przy was tak długo, chciałby was widzieć martwym? Przez tyle długich lat, Grigorij, znosiłem twoje napady złości i szału, wszystkie twoje śmieszne intrygi, znęcanie się. Tak, służyłem ci lojalnie — do dziś. Nigdy mnie nie lubiłeś, nigdy nie dopuszczałeś do ważnych zadań. Zawsze byłem dla ciebie zerem, pogardzanym podwładnym. Ale ja nigdy nie byłem twoim sługusem. Nigdy! Powinienem może ustąpić temu parweniuszowi? — skinął szyderczo w stronę Gierkowa.

Twarz Borowica wyrażała zdumienie.

— Byłeś tym, którego chciałem wybrać — rzucił. — Co za głupiec ze mnie!

Dragosani zacharczał, uniósł rękę, po czym opadł na kolana, uderzając głową w pokrytą odpryskami szkła podłogę. Generał uklęknął przy nim.

— Nie ruszaj się! — ryknął Ustinow. — Nic mu nie pomożesz. Jest martwy, wszyscy jesteście martwi!

— Nigdy ci się nie uda — powiedział Borowic, krew odpłynęła mu z twarzy, głos zadrżał.

— Uda się z pewnością — zadrwił Ustinow. — W tej całej jatce? Wśród tych okropności? Opowiem zgrabną historyjkę, zapewniam cię. O tobie, o twoich koszmarnych szaleństwach i o maniakach, którzy pracują dla ciebie. Kto mi zaprzeczy? — Podszedł bliżej i odbezpieczył broń. Cofnął zamek, broń wydała chropowaty szcęk. Dragosani leżący u stóp Ustinowa, wcale nie był nieprzytomny, jedynie udawał zapaść. Teraz jego palce zacisnęły się na rączce małego, ostrego jak brzytwy chirurgicznego noża. Ustinow podszedł dalej o krok, szczerząc zęby w zło-wieszczym uśmiechu. Wymierzył prosto w twarz Borowica. Stary odsunął się, usta miał poplamione krwią. Ustinow przytrzymał mocniej automat i nacisnął spust.

Pierwsza seria trafiła Borowica w ramię, zakreśliła nim i powaliła na podłogę. Trafiła również w Gierkowa, który uderzył w ścianę, przybity siłą strzału. Po chwili zrobił krok naprzód, wypluł strumień krwi i padł twarzą na ziemię.

Borowic czołgał się po podłodze. Dotarł do ściany, skulił się. Nie mogąc uciekać już dalej, czekał na koniec. Ustinow celował w brzuch. Zbliżył palec do spustu. Nagle Dragosani rzucił się do przodu, tnąc nożem ścięgna udowe Ustinowa tuż za lewym kolanem. Zdrajca wrzasnął, Borowic także, druga seria przeszła ścianę ponad jego głową. Chwytając płaszcz Ustinowa, Dragosani podciągnął się, zaciął na ślepo drugi raz. Ostrze przecięło koszulę i ciało. Bezwładne ręce wypuściły automat. Ostatnim wysiłkiem Andriej wpadł w drzwi i wybiegł na korytarz, depcząc po ciele żołnierza KGB, którego zwłoki leżały z rozwaloną czaszką.

Przeklinając i dysząc z bólu, biegł przez korytarz. Zostawiał ślady krwi. Był już blisko drzwi prowadzących na dziedziniec, gdy nagle usłyszał z tyłu jakiś hałas. Odwrócił się, wyciągając z kieszeni granat odłamkowy i wrywając zawleczkę. Kątem oka dojrzał, że Dragosani wychodzi na korytarz, potyka się o powalone zwłoki. Rzucił granat. Usłyszał jeszcze stuk upadającego granatu, syk łapiącego oddech człowieka. Otworzył masywne drzwi, wypadł na dziedziniec, zatrzasnął je mocno za sobą.

Ustinow wpadł w mrok, liczył w myślach sekundy. Dobiegł do dwóch ludzi w bieli przy drzwiach karetki.

— Pomocy! — zawył. — Jestem ciężko ranny! Jeden z czwórki specjalnych

agentów oszalał. Zabił Borowica, Gierkowa i żołnierza KGB.

Stłumiona detonacja potwierdziła jego słowa. Stalowe drzwi zadrżały, jakby jakiś olbrzym uderzył w gong wielkim młotem. Wygięły się wyłamując zawiasy i wpadły do wewnątrz. Dym, płomień, ostry swąd materiału wybuchowego wypełniały powietrze.

— Szybko! — wrzasnął Ustinow ignorując pytania sanitariuszy i krzyki zbliżających się strażników.

— Kierowca! Szybko! Wywieź nas stąd! To wszystko zaraz wybuchnie!

Te słowa przyspieszyły akcję wydostania się z tarapatów, przynajmniej na jakiś czas. Najgorsze, że nie był pewien, czy wszyscy tam są martwi. Jeśli tak, to miał mnóstwo czasu na ułożenie wyjaśnień. Jeśli nie, to był skończony.

Wskoczył do karetki. Sanitariusze natychmiast zaczęli zdejmować z niego wierzchnie odzienie. Ambulans wydostał się z dziedzińca, przejechał pod kamiennym łukiem, zmierzając w kierunku zewnętrznych murów.

— Jedź! — ryknął Ustinow. — Wywieź nas stąd! — Kierowca pochylił się nad kierownicą i dodał gazu.

W tyle, na placu żołnierze ochrony i pilot śmigłowca biegali chaotycznie, kaszląc w kłębach duszącego dymu, który wydobywał się zza rozbitych drzwi. Z gęstych oparów wyłoniła się koszmarna postać Dragosaniego. Naga szarość ciała, upstrzona czernią sadzy i brązowymi plamami zaschłej krwi. Prowadził wyjącego z bólu Grigorija Borowica.

— Co? — krzyczał Generał. Pluć i kaszłał. — Co? Gdzie jest ten zdradziecki pies Ustinow? Pozwoliliście mu uciec? Gdzie ambulans? Co wy tu robicie? Cholerni głupcy!

— Towarzysz Ustinow jest ranny. Odjechał ambulansem — odpowiedział jeden z żołnierzy.

— Towarzysz! Towarzysz! — ryknął Borowic. — Żaden towarzysz! Ranny, ty dupku! Ma być martwy!

— Wy tam, widzicie ambulans? — krzyknął w kierunku wieży.

— Tak, towarzyszu generale. Zbliża się do zewnętrznych murów.

— Zatrzymać! — wrzasnął, łapiąc się za poszarpane ramię.

— Ale...

— Rozwał go, do diabła! — Generał szalał.

Strzelec na wieży zamontował błyskawicznie noktowizor na lufie kałasznikowa, założył magazynek smugowych i wybuchowych pocisków. Przyklęknął, namierzył pojazd w siatce celownika. Celował w kabinę i silnik. Ambulans zwolnił, zbliżał się do łuku przy zewnętrznym murze. Strzelec wiedział, że pojazd daleko nie zajędzie. Oparł broń między ramieniem i parapetem, nacisnął spust. Strumień ognia trafił

obok pojazdu, szybko przewinał się i dosięgnął celu.

Silnik samochodu wybuchnął białym płomieniem, bryzgając płonącym paliwem. Zepchnięty z drogi, przewrócony na bok, pojazd zarył w ziemi. Człowiek w bieli wyczołgiwał się spod wraku. Ręce i nogi płonęły. Drugi wyskoczył z tylnych drzwi w rozpiętej, opadającej koszuli i ciemnym płaszczu. Kulił się bezradnie wśród płomieni.

Nie widząc z dziedzińca, co się dzieje, Borowic krzyknął głośno w kierunku wieży.

— Zatrzymałeś?

— Tak, towarzyszu generale. Dwóch jeszcze żyje. Jeden z obsługi, drugi to...

— Wiem, kim jest ten drugi! — wrzasnął. — To zdrajca! Zdradził mnie, Wydział i Związek Radziecki. Zabij go!

Strzelec przełknął ślinę, wycelował i wypalił. Pociski dosięgły Ustinowa i rozerwały go płonącym fosforem.

Żołnierz na wieży pierwszy raz zabił człowieka. Odłożył karabin, oparł się ciężko o balustradę.

— Rozkaz wykonany — jego głos był nienaturalnie cichy i spokojny.

— Bardzo dobrze! — odkrzyknął Borowic. — Zostań tam jeszcze. Obserwuj. — Jęknął, złapał się za ramię. Krew sączyła się przez materiał płaszcza.

— Towarzyszu generale, krwawicie! — zawołał jeden z agentów ochrony.

— I co z tego, że krwawię, głupcze! To może poczekać. Teraz zawołaj tu wszystkich, chcę coś powiedzieć. Nic nie może się wydostać przez te mury. Ilu mamy tutaj tych drani z KGB?

— Dwóch — odpowiedział ten sam żołnierz.

— Jeden nie żyje — warknął niedbale Borowic.

— Więc został jeden. Jest na zewnątrz, w lesie. Reszta to ludzie z naszego Wydziału.

— Dobrze! Czy ten w lesie ma radio?

— Nie, towarzyszu generale.

— To nawet lepiej. Nieźle. Sprowadź go i zamknij na razie. Na moją odpowiedzialność.

— Tak jest.

— I niech nikt się nie przejmuje i nie myśli za dużo. — kontynuował Borowic. — Wszystko jest na moich barkach, które są szerokie — jak wiecie. Niczego nie staram się ukryć, wszystko w swoim czasie. Teraz jest szansa pozbyć się KGB raz na zawsze.

— Ty... — zwrócił się do pilota. — Chcę lekarza. Z naszego Wydziału. Sprowadź go natychmiast!

— Tak jest, towarzyszu generale. Natychmiast. — Pilot podbiegł do maszyny, żołnierze ochrony rozbiegli się do samochodów, które były zaparkowane na zewnątrz dziedzińca. Borowic obserwował krzątanicę swoich ludzi. Spokojniejszy oparł się na ramieniu Dragosaniego.

— Borys, nadajesz się jeszcze do czegokolwiek?

— Trzymam się — odpowiedział — zdążyłem ukryć się w przedpokoju, zanim granat rozerwał się.

Borowic roześmiał się ironicznie mimo palącego bólu w ramieniu.

— Dobrze. Wracaj tam! Jeśli coś się pali, ugaś. Potem przyjdź do mnie do sali wykładowej. No? Na co czekasz?

Przez zniszczone drzwi Dragosani wszedł do środka.

— I towarzyszu, znajdźcie sobie ubranie. Nie wypada, żeby Borys Dragosani, Nadworny Nekromanta Kremla biegał w stroju adamowym. Wykonałeś swoje zadanie na dziś — krzyknął z dziedzińca generał.

Tydzień później, na specjalnym przesłuchaniu przy drzwiach zamkniętych, Grigorij Borowic bronił swojego postępowania w czasie wydarzeń na Zamku Bronnicy. Przesłuchanie służyło dwóm celom: po pierwsze — generał musiał dostać formalne pozwolenie na „zaprowadzenie porządku” w eksperymentalnym wydziale. A po drugie, postanowił wykorzystać wypadek dla uzyskania całkowitej niezależności od reszty tajnych służb ZSRR, w szczególności KGB. Krótko mówiąc — przesłuchanie miało doprowadzić do pełnej autonomii Wydziału.

Grono sędziów składało się z pięciu osób: Gieorgija Kriszicza z KC, Olega Bielokhojży i Karła Żdanowa — wiceministrów, Jurija Andropowa — szefa Komisji Gosudarstwiennoj Biezopasnosti. Ostatni, piąty sędzia był osobistym przedstawicielem Leonida Breżniewa. Przywódca Partii miał ostatnie słowo. Jego „beziemienny”, ale najważniejszy tutaj człowiek, musiał zostać przede wszystkim przekonany przez Borowica. Mimo swej „anonimowości” miał on najwięcej do powiedzenia.

Przesłuchanie odbywało się w dużym pokoju na drugim piętrze budynku przy Prospekcie Kutuzowa, co było ułatwieniem dla Andropowa i człowieka Breżniewa, gdyż obaj mieli biura w tym bloku.

Przesłuchanie nie trwało długo, zebrani znali się dokładnie i nie musieli sobie wyjaśniać reguł ani celu gry. Wszyscy wiedzieli, że z każdym eksperymentalnym projektem wiąże się element ryzyka. Dało to Andropowowi okazję do uwagi, że skoro zakłada się ryzyko, to można je uprzedzić. Borowic uśmiechnął się, skinął z teatralnym szacunkiem głowę. W duchu obiecał sobie, że pewnego dnia ten łajdak zapłaci za tę chłodną, szyderczą insynuację, a także za całą swoją przewrotność i niepohamowaną ambicję.

Borowic relacjonował zwięźle, bez niepotrzebnego gadulstwa i pustosłowia. Opowiedział, że jeden z jego podwładnych, Andriej Ustinow, załamał się nerwowo z powodu stresów w pracy. Zwariował. Zabił żołnierza KGB, Grateżkowa. Usiłował wysadzić zamek w powietrze, ale został zatrzymany. Niestety w czasie akcji dwóch mężczyzn straciło życie, trzeci został ranny. Żaden z zabitych nie był znaczącym obywatelem. Państwo wypłaciło już odszkodowania ich rodzinom.

Po tym zajściu, do czasu ustalenia faktów, konieczne było przetrzymanie drugiego agenta KGB w zamkowych piwnicach. Za wyjątkiem pilota śmigłowca Borowic nie pozwolił nikomu opuścić zamku, aż do wyjaśnienia sytuacji. Zatrzymano by i pilota, gdyby nie pilna potrzeba interwencji lekarza. Zamknięcie w piwnicy agenta KGB służyło jedynie jego własnemu bezpieczeństwu. Oczywiście, jeden agent to była spora strata.

Całe przesłuchanie nie było niczym więcej jak wielokrotnym powtarzaniem tych samych wyjaśnień, jednej wersji wydarzeń. Żadnej wzmianki o sekcji zwłok, o późniejszym patroszeniu i nekromantycznym badaniu pewnego oficera MVD. Gdyby Andropow o tym wiedział, mógłby być z tego bardzo niezadowolony. Ale nic nie wiedział. Dopiero co, osiem dni temu składał wieniec na grobie tego oficera. Tymczasem ciało leżało w bezimiennym miejscu, gdzieś na terenie Zamku Bronnicy.

Sceptyczny minister Żdanow poczynił kilka niepochlebnych i zbyt dociekliwych uwag na temat działalności Wydziału. Zaskoczony Borowic nie mógł opanować zdenerwowania. Na ratunek przyszedł mu człowiek Breżniewa, który poprosił o głos i w paru zdaniach zlekceważył wątpliwości poprzednika. Jaki może być pożytek z tajnego wydziału, jeśli mamy teraz wyjawiać jego tajemnicę? Breżniew sprzeciwiał się każdej bezpośredniej ingerencji w działalność Wydziału ESP¹. Borowic był starym żołnierzem, kombatantem. Działał w Partii całe życie. To mówiło samo za siebie.

Andropowowi wyraźnie nie podobała się ta argumentacja. Bardzo zależało mu na śledztwie i przejęciu Wydziału przez KGB, a tymczasem został „przekonany” na siłę, że powinien tego zaniechać. Zebranie dobiegło końca, sędziowie opuścili salę. Szef KGB nie chciał rezygnować bez walki i poprosił Borowica, by został jeszcze i porozmawiał z nim przez chwilę.

— Grigorij — powiedział patrząc mu przenikliwie w oczy, kiedy zostali sami — oczywiście zdajesz sobie sprawę, że nic, podkreślam — nic nie może być dla mnie tajemnicą. To, czego nie wiem, czy to, czego się nie dowiedziałem, to dla mnie jedno i to samo. Prędzej czy później dowiem się o wszystkim. Pamiętaj o tym.

¹ ESP - (ang. extra sensory perception) - pozazmysłowe postrzeganie.

— Wszechwiedza! — Borowic zaśmiał się rozdrażniony. — Ciężar ponad ludzkie siły, towarzyszu. Współczuję wam.

Jurij Andropow uśmiechnął się chłodno.

— Wszyscy musimy dbać o przyszłość, szczególnie ty powinieneś o tym pamiętać. Nie jesteś już młody. Jeśli twój Wydział się rozpadnie, co wtedy? Wytrzymasz przedwczesne odejście, utratę wszystkich przywilejów? Pomyśl....

— Wystarczy — odparował ostro Borowic. — Dzięki mojej pracy znam przyszłość. Przynajmniej tę możliwą do przewidzenia. Twoją również.

Andropow zdziwił się.

— Awans do Biura Politycznego w ciągu dwóch lat — powiedział z kamienną twarzą — a za osiem, dziewięć lat — przywództwo Partii.

— Naprawdę? — Andropow zaśmiał się drwiąco, ale z pewnym zaciekawieniem.

— Tak. Naprawdę — ciągnął Borowic. — I powiem ci bez obawy, że nie doniesiesz o tym Leonidowi.

— Czyżby? — odpowiedział. — A niby dlaczego nie?

— Można to nazwać zasadą Heroda. Jesteś najbardziej inteligentną osobą, jaką znam, i rozumiesz, co mam na myśli. Herod, jak wiesz, wolał zostać ludobójcą, niż znosić zagrożenie ze strony uzurpatora, nawet gdyby było nim dziecko. Jurij, nie jesteś naiwny, a Leonid to nie jest jakiś tam Herod. Tak więc nie wierzę, że doniesiesz mu o tym, co ci powiedziałem.

Andropow zamyślił się i wzruszył ramionami.

— Może nie powiem. — Uśmiech zniknął z jego twarzy.

Borowic rzucił przez ramię:

— Może ja powiem...

— Co?

— Obaj mamy przyszłość przed sobą. Po za tym uważam się za sprytniejszego od tych trzech głupkowatych „mędrków”...

Lisi uśmiech powrócił na jego twarz, gdy przypomniał sobie jeszcze jeden szczegół z przyszłości Andropowa. Wkrótce po awansie na Pierwszego Sekretarza zachoruje i niebawem umrze. W ciągu dwóch, najwyżej trzech lat. Borowic mógł mieć nadzieję, a nadziei można pomóc...

Pomyślał, że mógłby zacząć własne przygotowania. Może powinien porozmawiać z zaprzyjaźnionym chemikiem z Bułgarii? Na przykład powolna trucizna... niewykrywalna... bezbolesna... powodująca stopniowy zanik funkcji życiowych organizmu.

W następną środę wieczorem Borys Dragosani pojechał swoim rozklekotanym

gruchotem dwadzieścia kilometrów za miasto, do ogromnej, lecz surowej z wyglądu dachy Grigorija Borowica. Dom był pięknie położony na wzgórzu, z widokiem na płynącą leniwie rzekę Moskwę. Mimo wielu zabezpieczeń i wyeliminowania możliwości podsłuchu rozmowę z Dragosanem generał wolał przeprowadzić w czasie spaceru. Preferował otwartą przestrzeń nad zawsze wątpliwą prywatność czterech ścian — nawet dokładnie sprawdzonych. KGB docierało wszędzie, więc i tutaj, do Żukowki. Wielu starszych oficerów, między innymi kilku generałów, miało w okolicy swoje wille, nie mówiąc o całym zastępie emerytowanych, wyróżnionych przez państwo byłych tajnych agentów. Żaden z nich nie był przyjacielem Borowica.

— Przynajmniej w Wydziale pozbyliśmy się tych drani — z satysfakcją mruknął Borowic. Skierowali się w dół, wzdłuż rzeki. Prowadził Dragosaniego na miejsce, gdzie można było przysiąc na płaskich kamieniach. Obserwowali zachód słońca, który przemienił rzekę w ciemne, zielone lustro.

Razem tworzyli dziwną parę. Borowic — krępy, burkliwy, stary żołnierz. Typowy Rosjanin. Dragosani — młody, przystojny o delikatnych rysach twarzy i szczupłych dłoniach pianisty.

Mimo wzajemnego respektu nie mieli ze sobą wiele wspólnego. Borowic podziwiał jego talent. Nie miał wątpliwości, że człowiek ten przyczyni się do powstania rosyjskiej potęgi. Nie zwykłego supermocarstwa, ale państwa, które odeprze każdego najeźdźcę. Niezniszczalnego przez żaden system, żadną broń, niewyciężonego w zaborczym pochodzie. Dragosani mógł przyspieszyć ten proces, jeśli spełni się oczekiwania Borowica wobec Wydziału. To był wywiad odmienny od tajnej policji Andropowa, o zupełnie innych metodach działania.

Nikt w KGB nie wiedział, jak tajemniczą osobą był Dragosani. Borowic sam „odkrył” go jako nekromantę i sprowadził do siebie. Ale jego podopieczny także miał swoje cele i ambicje. Zatrzymał je dla siebie, zamknął w swoim strasznym umyśle. Z pewnością nie pokrywały się one z wizją Borowica, wizją światowej dominacji ZSRR i wszechwładnego imperium Rosji, której synowie nigdy nie mieli być zniewoleni przez żaden naród.

Dragosani nie uważał siebie za prawdziwego Rosjanina. Cenił starego generała, ale nie za jego bohaterskie wyczyny, czy za łatwość, z jaką powalał każdego przeciwnika. Szanował swojego szefa tylko za to, że zrobił karierę, zdobył niezachwianą pozycję i władzę.

Borowic, urodzony i wychowany w Moskwie, został sierotą w wieku lat czterech. Zarabiał na życie, rąbiąc drzewo. Po ukończeniu szesnastego roku życia zaczął się do wojska.

Nazwisko Dragosaniego pochodziło od nazwy miejsca jego urodzenia, miasta

nad rzeką Oltul, która spływa z Karpat Południowych w kierunku Dunaju i granicy z Bułgarią. Kraj jego w dawnych czasach zwano Wołoszczyzną, której historia była krwawa i tragiczna.

Wołosz sprzedawana, anektowana, grabiona i gwałcona zawsze powstawała z upadku. Odradzała się jak feniks z popiołów. Siła ludzi tkwiła w ziemi, a siła ziemi była w jej ludziach. To był kraj, za który walczyli, który sam walczył dzięki swojemu położeniu. Teren otoczony górami i trzęsawiskami, z Morzem Czarnym na wschodzie, z bagnami na zachodzie, Dunajem na południu, niedostępny, bezpieczny jak forteca.

Dragosani był dumny ze swojego dziedzictwa, uważał się za ostatniego pozostałego przy życiu Wołocha. Potem dopiero był Rumunem, ale na pewno nie Rosjaninem.

Pod jednym względem można było ich porównać — obaj byli sierotami. Borowic jednak miał swoich rodziców, znał ich, pamiętał, mimo iż wcześniej zmarli. Dragosani był podrzutkiem, znalezionym w progu chaty w rumuńskiej wiosce, jednodniowym noworodkiem. Wychowywał się w domu zamożnego chłopa, potem kształcił się u ziemskiego właściciela.

— Borys! — powiedział Borowic, wrywając swego protegowanego z zadumy. — Co o tym myślisz?

— O czym?

— Hej! — Warknął stary generał. — Słuchaj, może to miejsce rozluźnia, może jestem nudziarzem, ale nie zasypiaj przy mnie. Co myślisz o Wydziale, teraz, gdy jestem wolny od KGB.

— Wolny, naprawdę?

— Dokładnie. — Borowic zatarł ręce z zadowolenia. — Można powiedzieć: przeprowadziliśmy czystkę. Musieliśmy ich z początku tolerować. Andropow lubi wtykać we wszystko swój nos. Ale więcej już nie będzie tego robił. Wszystko poszło nadspodziewanie gładko.

— Jak to zrobiłeś? — Dragosani wyczuł, że Borowic chce się pochwalić.

— Powiedziałem to i owo. Ryzykowałem moim stanowiskiem, moim Wydziałem. Wiedziałem jednak, że nie mogę przegrać.

— Więc nie ryzykowałeś. Co dokładnie zrobiłeś?

Borowic chrząknął.

— Borys, wiesz, że nie lubię się tłumaczyć, ale tym razem powiem ci. Widziałem się z Breżniewem przed przesłuchaniem, powiedziałem mu, jak potoczą się sprawy.

— Ha! — Parsknął Dragosani. — Ty? Ty powiedziałeś Leonidowi Breżniewowi, przywódcy Partii, jak potoczą się sprawy? Jakie sprawy?

Generał zaśmiał się.

— Powiedziałem mu o sprawach, które dopiero nastąpią. O tym, że rozgrywki z Neronem go wzmocnią, powinien się przygotować na jego upadek za jakieś trzy lata, gdy świat się dowie, że jest łapówkarzem. Powiedziałem, że będzie miał przewagę nad nowicjuszem w Białym Domu. Doradziłem mu także przygotować się na przyjęcie twardzieli w Ameryce. Wkrótce potem podpisze układ zezwalający na fotografowanie baz wojskowych na terenie USA i naszym. Jest szansa dogonić Amerykę w kosmosie. Nadchodzi odprężenie, rozumiesz? On tego chce, chce też, by za daleko nie poszli, więc obiecałem mu wspólne przedsięwzięcie w kosmosie, które nastąpi w 1975 r. Co do Żydów i dysydentów, którzy wiecznie przysparzają kłopotów, obiecałem, że pozbędzie się większości z nich w ciągu następnych trzech, czterech lat. Borys, nie bądź tak zszokowany czy zdegustowany. Nie jesteśmy barbarzyńcami, mój młody przyjacielu. Nie mówię o zsyłkach na Syberię czy szpitalach psychiatrycznych, ale o emigracji, eksmisji, mówiąc wprost — wykopaniu ich lub pozwoleniu, by zabrali stąd na zawsze swoje tyłki. Powiedziałem to wszystko i jeszcze kilka innych rzeczy. A on w zamian pozwolił kontynuować naszą pracę i pozbyć się KGB. Co mogli robić ci głupkowaci szpicle? Węszyli dla swojego szefa. Ale dlaczego szpiegowali mnie, tak lojalnego wobec Partii? Jak miałem utrzymać tajność, absolutnie konieczną w organizacji takiej jak nasza, kiedy ludzie z innej sekcji zaglądali mi przez ramię? Potem donosili przełożonym o wszystkim, co robię. W ten sposób można zniszczyć wszystko. A wtedy nasi zagraniczni przeciwnicy posuną się do przodu. Wiedz, Borys, że Amerykanie, Anglicy, Francuzi, Chińczycy mają tu swoje ESP-ery. „Daj mi cztery lata, Leonid” — powiedziałem do Breżniewa — „cztery lata bez tych psów Andropowa, a ja przekażę ci agencję wywiadu, której siła będzie niewyobrażalna!”

— Nieźle. — Dragosani był wyraźnie pod wrażeniem Borowica. — A jego odpowiedź?

— Powiedział: „Grigorij, stary przyjacielu, stary żołnierzu, stary towarzyszu... dobrze, dostaniesz swoje cztery lata. A ja poczekam i zobaczę, czy spełnią się obietnice. Dam pieniądze dla Wydziału. Rozbijajcie się wołgami i pijcie wódkę. Ja będę obserwował. Wszystko, co mi powiedziałaś, musi się spełnić. Gdy tak się stanie, będę ci wdzięczny, jeśli nie — wyrwę ci jaja!”

— Więc postawiłeś wszystko na przepowiednię Władika. Jesteś pewien, że ten twój prorok jest nieomylny?

— O, tak! — odpalił Borowic. — Jest prawie tak dobry w przepowiadaniu przyszłości, jak ty w wywąchiwaniu sekretów z truposzy.

— To dlaczego nie przewidział wydarzeń na zamku? Z pewnością potrafi wy-czuć katastrofę takich rozmiarów.

— On to przewidział — odparł generał. — W określony sposób. Dwa tygodnie temu powiedział, że stracę dwóch najwyższych po mnie w Wydziale. I stało się. Powiedział też, że mianuję nowych. Tym razem zwykłych szeregowych, tak się wyraził.

Dragosani nie potrafił ukryć zainteresowania.

— Masz kogoś na myśli? — chrząknął.

— Ciebie. I może Igora Władika.

— Nie chcę rywala — odparł natychmiast, marszcząc brwi.

— Konkurencja nie wchodzi w grę. Macie odmienne talenty. On nie zna się na nekromancji, ty nie potrafisz odgadywać przyszłości. Jedynie wtedy, gdy będzie was dwóch, można liczyć na sukces. Każdemu może się coś przytrafić.

— Mieliśmy dwóch poprzedników — warknął Dragosani — Jakie posiadali zdolności. Czy również mieli siebie uzupełniać?

Borowic westchnął.

— Na samym początku, gdy zakładałem Wydział, brakowało mi ludzi. Pierwszy oddział ESP-erowców nie był poddany próbie. Ci z prawdziwym talentem, jak Władik i ty, jesteście zbyt cenni, aby krępować was administracyjną robotą. Ustinow, który był u nas od początku jako oficer polityczny, a później Gierkow, pasowali na takie stanowiska. Obaj byli energiczni i błyskotliwi. Dzisiaj trudno jest znaleźć takich ludzi w Rosji. To nie znaczy, że potrafili znaleźć się tylko w polityce. Miałem nadzieję, że chociaż jeden z nich zaangażuje się w Wydział, tak jak ja. Potem pojawiła się zazdrość, wzajemna zawiść. Zostali rywalami. To normalne. Zdecydowałem się nie interweniować. Naturalna selekcja — można tak powiedzieć. Ale ty i Władik jesteście zupełnie odmienni. Nie pozwolę na konkurencję między wami. Możesz się nie obawiać.

— Niemniej jednak — naciskał Dragosani — gdy odejdiesz, jeden z nas będzie musiał objąć rządy.

— Nie zamierzam nigdzie odchodzić — odparował Borowic. — Przynajmniej na razie. A potem — co będzie, to będzie!

Zamilkł i zamyślił się, obserwując powolny bieg rzeki.

— Dlaczego Ustinow obrócił się przeciwko tobie? — zapytał w końcu nekromanta. — Dlaczego nie pozbył się Gierkova? To byłoby z pewnością prostsze, mniej ryzykowne.

— Były dwa powody, dla których nie mógł po prostu pozbyć się rywala — powiedział Borowic. — Po pierwsze: został przekupiony przez mojego starego konkurenta. Tego, którego „sprawdziłeś”. Podejrzywałem od dawna, że knuje coś przeciwko mnie. Zawsze nienawidziłem tego kata z MVD. Konfrontacja była nieuchronna. Albo on, albo ja. Poleciłem Władikowi, by go obserwował, wyczytał

jego los. W jego najbliższej przyszłości dojrzał śmierć i zdradę... Zdrada przeciwko mnie, śmierć moja lub jego. Szkoda, że Igor nie jest bardziej dokładny. Niemniej — była to jego śmierć. Po drugie: zabicie Gierkowa i tak nie rozwiązałoby problemu. Jak wyrwanie chwastu, który i tak odrośnie. Przecież mianowałbym kogoś na puste miejsce, kogoś z talentem ESP tym razem. Co by wtedy począł biedny Ustinow? To był jego wieczny problem — ambicja! Ale jak widzisz przeżyłem. Władik przepowiedział, co ta stara, w dupę kopana bolszewicka świnia szykuje na mnie. Dopadłem go, zanim on dostał mnie. Użyłem ciebie, byś przejrzał jego flaki i zobaczył, kto jeszcze jest w to wmieszany. Niestety, to był Andriej Ustinow. Myślałem, że może Andropow i jego ludzie z KGB kryją się za tym. Lubią mnie tak, jak ja ich. — Borowic uśmiechnął się z przekąsem — Ale oni trzymali się na uboczu. Jakiż okrutny i małostkowy jest świat wokół nas, prawda, Borys? Minęły dopiero dwa lata od dnia, kiedy strzelano do samego Leonida Breżniewa u bram Kremla!

Dragosani zamyślił się głęboko.

— Powiedz mi — wyrzucił z siebie w końcu. — Gdy to wszystko się skończyło, ta noc na zamku, dlaczego zapytałeś, czy mogę sprawdzić ciało Ustinowa? Pewnie myślałeś, że był związany z KGB podobnie jak twój emerytowany, stary „przyjaciel” z MVD?

— Coś w tym rodzaju — wzruszył ramionami Borowic. — Ale to już nieważne. Gdyby zaprzędali się KGB, to moje przesłuchanie wyglądałoby inaczej. Nasz przyjaciel, Jurij Andropow nie poczyniłby sobie tak swobodnie. Został zgnojony, bo Leonid uznał, że pora skrócić jego smycz.

— Co znaczy, że teraz naprawdę jest żądny twojej krwi.

— Nie, nie sądzę. Mam spokój przynajmniej na cztery lata. Gdy okaże się, że miałem rację, to znaczy, gdy wypełni się przepowiednia Władika, dowód przydatności Wydziału będzie niezaprzeczalny. Wtedy tym bardziej nic nie zrobi, tak więc przy odrobinie szczęścia pozbędziemy się tej bandy na dobre.

— Hmm, miejmy nadzieję. Okaże się wtedy, że jesteście czujni, generale. Ja już o tym wiem. Powiedzcie mi teraz, jakie są inne powody mojego wezwania?

— Tak, mam coś więcej do powiedzenia, coś z innej beczki. Ale o tym po obiedzie. Natasza poda świeżą rybę z rzeki. Pstrąg, pod ścisłą ochroną, przez to bardziej smaczny. Jeszcze coś — rzucił przez ramię. — Radzę ci pozbyć się tego grata. Spraw sobie porządny samochód, lecz nic lepszego od mojego wozu. Wypróbuj go na wakacjach.

— Na wakacjach?

— A tak, czy nie mówiłem? Dostajesz trzy tygodnie na koszt państwa. Umacniam zamek, wstrzymuję pracę Wydziału.

— Co robisz? Powiedziałeś, że...

— Umacniam zamek. — Borowic był bardzo konkretny. — Nowe stanowiska karabinów maszynowych, płot pod napięciem. Mają to w Bajkonurze w Kazachstanie, gdzie startują rakiety, a czyż nasza praca nie jest równie ważna? Projekt został zatwierdzony. Zaczynamy w piątek. Jesteśmy szefami sami dla siebie... Wszyscy dostaną przepustki. Bez nich nie wydostaniesz się na zewnątrz. Ale to później. Teraz jest dużo pracy, którą będę nadzorował. Chcę rozbudować siedzibę, poszerzyć, przekopać, znaleźć więcej przestrzeni na komory eksperymentalne. Mam na to wszystko cztery lata. Pierwszy etap zajmie dobry miesiąc, więc...

— Więc przez ten czas mam wakacje?

— Właśnie. Ty i jeszcze jeden, może dwóch. Dla ciebie to nagroda. Dobrze się spisałeś tamtej nocy. Poza moją raną na ramieniu wszystko się udało. No i oczywiście poza stratą biednego Gierkowa. Przykro mi, że musiałeś przez to przejść.

— Może już nie będziemy o tym rozmawiać — Dragosani poczuł, że ta nagła troska o jego samopoczucie jest podejrzana.

— W porządku, nie będziemy o tym mówić — odwrócił się i dodał z potwornym uśmiechem. — Swoją drogą, ryba lepiej smakuje...!

— Sadystyczny stary przyk! — zawołał nekromanta.

Borowic zaśmiał się głośno.

— To mi się w tobie podoba, Borys. Jesteś taki jak ja, zupełny brak szacunku dla przełożonych. Gdzie spędzisz wakacje?

— W domu — odpowiedział bez wahania.

— W Rumunii?

— Oczywiście. W Dragasani, tam się urodziłem. Znam te strony, kocham tamtych ludzi, jeśli w ogóle mogę kochać. Dragasani to teraz spore miasto, ale znajdę jakieś przytulne miejsce, gdzieś na wzgórzach.

— Tam musi być przyjemnie — pokiwał głową Borowic. — Masz tam kobietę?

— Nie.

— To co w takim razie?

Dragosani chrząknął, wzruszył ramionami.

— Coś mnie tam ciągnie — wycedził.

ROZDZIAŁ DRUGI

Harry Keogh czuł, jak wpadające przez okno promienie słońca dotykają jego twarzy. Siedział w starej szkolnej ławce. Jakaś osa latała wokół kałamarzy, liniałów, ołówków rozrzuconych na parapecie okna. Wszystko to docierało tylko na skraj jego świadomości i stanowiło dalekie, nieruchome tło. Był gdzieś daleko, serce waliło mu w piersi, szybko i głośno. Podmuchy wiatru z otwartego okna chłodziły jego twarz. Harry potrzebował powietrza jak tonący człowiek.

Słońce nie mogło go ogrzać, walczył pod lodem. Bzyczenie osy gubiło się całkowicie w plusku wody, wśród pęcherzyków powietrza, unoszących się z nozdrzy i bezgłośnie rozwartych ust. Poniżej — ciemność i zimny muł, powyżej...

Gruba skorupa lodu, przerębel, przez którą wpadł. Nie wiedział gdzie jest? Walczył z prądem rzeki! Chwycił za krawędź. Krawędź lodu była ostra jak szkło. Ręce zesłane z nieba opuściły się w wodę, wolno jak na zwolnionym filmie. Straszne, potworne, ospałe, silne ręce. Pierścień na palcu prawej ręki. Kocie oko w grubym złocie. Sygnet.

W górze ujrzał twarz zamazaną przez zalewającą oczy wodę i widoczny przez lód, ośnieżony kontur postaci klęczącej u krawędzi. Twarz wykrzywiła się. Grymas drżących, galaretowatych warg. To nie był uśmiech!

Przyłgnął do lodu, zapomniał o rękach, okrutnych rękach. Ale ręce zaczęły go wpychać, odrzucać, mordować.

Nie mógł zwalczyć lodu, rzeki, tych rąk. Czerń dookoła... w płucach, w głowie, w oczach. Spadł złoty sygnet. Obracał się wolno w mroku. Krew zabarwiła wodę purpurą. Nieskończona czerń konania. Szkarłat krwi z okrutnych rąk.

Już nie miał woli walki, tonął... Prąd miotał go po dnie.

— Harry? Harry Keogh? Chłopcze! Gdzie ty w ogóle jesteś?

Harry poczuł łokieć kumpla, Jimmy'ego Collinsa. Gwałtownie złapał powietrze. Usłyszał zgrzytliwy głos nauczyciela matematyki. Szum wodnej kipieli zaniakał. Zniknęło uczucie tonięcia, zimno i ta bezlitosna tortura brutalnych rąk. Kosz-

mar odpłynął.

Harry nagle uświadomił sobie, że wiele par oczu spogląda na niego. Ujrzał purpurową, zdenerwowaną twarz Hannanta. Patrzył na niego nieprzytomnym wzrokiem. „O czym była ta lekcja?” — zastanawiał się. Rzucił okiem na tablicę. „Tak, wzory, powierzchnie, średnice.”

Harry rozejrzał się po klasie. Obok niego Jimmy Collins chichotał cicho.

Harry opanował się.

— No? — naciskał Hannant.

— Proszę pana! — zapytał Harry. — Czy mógłby pan powtórzyć pytanie?

Hannant westchnął, zamknął oczy, oparł swoje wielkie dłonie na biurku. Policzyl do dziesięciu tak głośno, że usłyszała go klasa.

— Pytanie brzmiało: „Gdzie ty w ogóle jesteś?”

— Ja, proszę pana?

— Na Boga! Tak. Ty!

— Tutaj, proszę pana. — Harry nieudolnie grał niewinnego. Liczył, że uda się z tego wybrnąć. — ... bo ta osa, proszę pana i...

— To było moje drugie pytanie — uciął Hannant. — A moje pierwsze pytanie brzmiało: „Jaka jest zależność między średnicą koła a pi? Średnica? Koło?”

Klasa zaczęła się niecierpliwić, ktoś chrapnął głośno. Prawdopodobnie ten osiłek, Stanley Green, ten zadziorny, wielkogłowy kujon!

— Trzy razy! — Jimmy Collins wyszeptał kątem ust.

„Trzy razy? Co to miało znaczyć?” — gorączkowo myślał Keogh.

— No więc? — Hannant wiedział, że złapał ucznia na niewadze.

— Eee, trzy razy! — wypalił Harry mając nadzieję, że Jimmy nie zrobił mu kawału.

Nauczyciel matematyki wciągnął powietrze, wyprostował się i zmarszczył brwi.

— Nie, ale dobrze, że próbujesz. Nie trzy razy, ale trzy przecinek jeden, cztery, jeden, pięć razy. Ale razy co?

— Średnica — wyszeptał Jimmy — równa jest obwodowi.

— Średnica równa jest obwodowi — powtórzył Harry.

George Hannant spojrział ciężkim wzrokiem na Harry'ego.

Trzynastoletni chłopiec o jasnych włosach. Piegowaty, w pogniecionej, brudnej koszuli i szkolnym krawacie. Okulary zsunęły się i zatrzymały na koniuszku nosa, za nimi błyszczały niebieskie, rozmarzone oczy. Hannant przypuszczał, że Harry ma całkiem niezłą głowę, coś kryło się za tą nawiedzoną twarzą. Gdyby tak potrafił go rozgryźć. Miał nadzieję, że może da się odciągnąć chłopca od marzeń. Rozbudzić go, spowodować, by zainteresował się światem rzeczywistym, zamiast tym,

w którym tak często wędruje.

— Harry Keogh, nie jestem pewien, czy to była twoja własna odpowiedź. Collins siedzi zbyt blisko, a ty według mnie nie uważasz na lekcji. Na końcu książki znajdziesz dziesięć pytań. Trzy dotyczą powierzchni kół i cylindrów. Jutro rano na moim biurku chcę mieć odpowiedzi, jasne?

Harry zwiesił głowę i zagryzł wargi.

— Tak, proszę pana.

— Spójrz na mnie, chłopcze! Spójrz na mnie!

Keogh podniósł wzrok. Teraz wyglądał rzeczywiście żałośnie. Ale nie można było się już wycofać.

— Harry — westchnął Hannant. — Coś z tobą nie tak. Rozmawiałem z innymi nauczycielami. To nie tylko matematyka. Jeśli się nie przebudzisz, synu, to opuścisz szkołę bez świadectwa. Może myślisz, że masz jeszcze trochę czasu, kilka lat... Nie ty musisz ruszyć od zaraz. Zadanie domowe to nie jest kara, to sposób, w jaki próbuję ci pomóc.

Spojrzał na koniec klasy, gdzie Stanley Green ciągle chichotał.

— A co do ciebie, Green, dostajesz karę nieznośny chłopcze! Zrobisz pozostałe siedem zadań!

Klasa starała się ukryć zadowolenie. Chłopcy woleli nie cieszyć się otwarcie, bo Stanley z pewnością odpłaciłby z nawiązką. Hannant zauważył to. Nie dbał, czy uważają go za drania, a jeśli nawet tak — to już lepiej być draniem z poczuciem sprawiedliwości.

— Ale proszę pana...

— Cicho! — uciął ostro Hannant. — Siadaj!

Chłopiec usiadł z głośnym westchnieniem oburzenia.

— W porządku, co dalej robimy? — Spojrzał na popołudniowy plan lekcji. — Zbieranie kamieni na plaży. Dobrze, odrobina świeżego powietrza ożywi nas. Zaczynajcie się pakować, ale bez bałaganu! Potem możecie iść.

Chłopcy nie słyszeli ostatnich słów — zmienili się w tupiącą mnóstwem nóg o podłogę, walącą ołówkami w błaty rozwydrzoną horde.

— Czekajcie! Rzeczy możecie zostawić tutaj. Dyżurny weźmie klucz i otworzy, jak już przyniesiecie kamienie z plaży. Kto jest dyżurnym w tym tygodniu?

— Ja proszę pana! — Jimmy Collins wyciągnął rękę. — zdobyłem zwycięskiego gola w meczu z Blackhills, proszę pana — powiedział z dumą.

Hannant uśmiechnął się do siebie. Jamieson, dyrektor szkoły, miał bzika na punkcie futbolu i całego sportu.

Chłopcy zebrali się przy drzwiach w oczekiwaniu na nauczyciela.

— No? — zapytał Hannant.

— Czekam na pana — powiedział Collins. — Chcę zamknąć.

— Już? A okna zostawisz zamknięte?

Collins wrócił do klasy. Hannant ponownie uśmiechnął się, spakował swoją teczkę i poprawił krawat. Wyszedł przed chłopcem. Collins przekręcił klucz w zamku i ruszył biegiem, ostrożnie mijając nauczyciela. Podążył za grupą oddalających się kolegów.

„Matematyka?” — pomyślał Hannant, obserwując jak chłopcy znikają w głębi przestronnego korytarza. Zakurzone, słoneczne smugi przedzierały się przez okna. „Po co im, do diabła, matematyka? Telewizja i nowe komiksy Marvela! A ja chcę ich zaciekawić liczbami. Boże! Jeszcze rok, a zaczną się interesować krągłymi wypukłościami u dziewcząt. Może już zaczęli? Matematyka? Beznadziejne!” Zażałował się smutno.

Szkoła dla chłopców w Harden była położona na północno-zachodnim wybrzeżu Anglii. Kształtowała umysły synów górników. Trzeba przyznać, że na niewiele się to zdawało. Większość chłopców zaczynała potem pracę w kopalniach, idąc w ślady ojców i starszych braci. Ale kilku, niewielki procent, przechodziło egzaminy do technicznych i akademickich college'ów w sąsiednich miastach.

Pierwotnie były to budynki Biur Rady Węgla. Szkoła została odnowiona przed około trzydziestu laty, gdy ludność miasteczka zwiększyła się dzięki ogromnemu zapotrzebowaniu na węgiel. Otaczał ją niski mur, a od morza dzielił jedynie kilometr drogi. Jeszcze bliżej na północ znajdowały się kopalnie. Stara czerwona cegła, kwadratowe okna sprawiały surowe wrażenie. Dookoła ogródki, starannie utrzymane na potrzeby lekcji biologii. Za to personel nie odzwierciedlał powagi budynku. Była to jednak grupa rzetelnych nauczycieli. Dyrektor szkoły, Howard Jamieson, zagorzały tradycjonalista pilnował starego porządku.

Wtorkowe wycieczki w poszukiwaniu kamieni służyły trzem celom: po pierwsze, dzieciaki zażywały świeżego powietrza, a nauczyciele lubiący wędrówki mieli szansę podziwiania przyrody. Po drugie, za darmo pozyskiwano materiał na szkolny mur, który stopniowo zastępował stary płot. Po trzecie, raz na miesiąc trzy czwarte personelu mogło się „urwać” z zajęć zostawiając obowiązki zapalonym wędrowcom. Harry nie przepadał specjalnie za wyprawami na plażę, ale były one lepsze niż monotonne, gorące popołudnia w dusznej klasie.

— Słuchaj — powiedział Jimmy Collins do Harry'ego — powinieneś naprawdę uważać na starego Hannanta. Nie myślę o tych „świadectwach”. To i tak zależy od ciebie. Chodzi mi o lekcje. Stary George nie jest zły, a mógłby się zeźlić, jeśli stwierdzi, że nic sobie z niego nie robisz.

Harry wzruszył ramionami.

— Zamyśliłem się. To taka zabawa. Zrozum, gdy zaczynam marzyć, to nie mogę

przestać. Tylko krzyk Hannanta i twoje szturchanie wyciągnęły mnie z tego.

— Zauważyłem to. Wiele razy. Twoja twarz się wtedy zmieniała. — Przez chwilę patrzył poważnie, po czym zaśmiał się i przyjacielsko klepnął Harry'ego po ramieniu. Nie martw się, twoja twarz jest zawsze zabawna!

— O co ci chodzi? Ja? Zabawny? Jak to wygląda, gdy jestem zabawny?

— Siedzisz z wytrzeszczonymi gałami. Jakbyś się bał. Ale nie zawsze. Czasami wyglądasz jak we śnie. Tak jak powiedział stary George — jakby cię w ogóle nie było. Czy masz przyjaciół?

— Mam ciebie — słabo odpowiedział Harry. Domyślał się, że Jimmy próbuje wyjaśnić jego zachowanie. Ale on nie był kujonem. Gdyby był dobry w nauce, to by go w jakiś sposób tłumaczyło. Był zdolny, ale miał problemy z koncentracją. Jego myśli nie należały do niego — skomplikowane marzenia, fantazje, fantasmagorie. Jaźń wymyślała historie — czy chciał tego czy nie. Historie zadziwiająco dokładne, szczegółowe. Jakby odtwarzane z pamięci innych ludzi. Ludzi, których nie było.

— Tak, jestem twoim przyjacielem — Jimmy przerwał rozmyślenia Harry'ego.
— A kto jeszcze?

Harry drgnął, głos jego przybrał obronny ton.

— Jest jeszcze Brenda — powiedział. — Czy wszyscy muszą mieć wielu przyjaciół? Ja nie. Jeśli ktoś ma przyjaciół to ma. Jeśli nie — to nie.

Jimmy zignorował wzmiankę o Brendzie Cowell, wielkiej sympatii Harry'ego. Mieszkali na tej samej ulicy. Jimmy interesował się sportem. Dziewczyny nie obchodziły go.

— No dobra — powiedział Jimmy. — Udało ci się. Starczy. Sam nie wiem, dlaczego cię lubię — zażartował.

— Bo nie wchodzimy sobie w drogę — odpowiedział mądrze Harry. — Nie znam się na sporcie, a ty lubisz o tym opowiadać. Wiesz, że nie będę się sprzeczał. I tak z nami jest.

— Nie chciałbyś mieć więcej przyjaciół?

Harry westchnął.

— Posłuchaj, wygląda na to, że mam przyjaciół w głowie.

— Przyjaciele w wyobraźni! — burknął Jimmy, trochę lekceważąco.

— Nie, to nie jest tak. Oni są... Jestem ich jedynym przyjacielem.

— No nieźle! — parsknął Jimmy. — W porządku, jesteś odlotowy.

Znajdowali się na skraju wydmy, gdzie ujście strumienia przecinało klify. Na pomoc i południe wznosiły się skały, głównie z piaskowca. Zerwany most wisiał smętnie nad strumieniem. Ścieżka przecinała podmokły teren i biegła ku piaszczystej plaży.

— Stać! — krzyknął donośnie Lane. Miał na sobie spodnie od dresu i jasną podkoszulkę. — Biegiem za most! Wokół jeziora i na plażę! Znajdźcie kamienie i przynieście do mnie albo lepiej — pannie Gower. Ona was oceni. Macie pół godziny, więc kto szybko znajdzie kamień, może się popluskać. Oczywiście — jeśli zabrał strój. Żadnych kąpiele na golasa! Pamiętajcie, na plaży są ludzie. I nie wypływajcie poza boje! Wiecie, jaki tu jest prąd, chłopaki.

To prawda, prąd był zdradziecki, szczególnie przy odpływie. Wielu ludzi tonęło tu co roku, nawet dobrzy pływacy.

Panna Gower, nauczycielka religii i geografii, znajdowała się gdzieś w połowie kolumny. Usłyszała wskazówki Lane'a. Skrzywiła się lekko. Wiedziała dobrze, dlaczego ona ma oceniać kamienie. „Sierżant” Lane i Dorothy Hartley chcieli mieć trochę swobody, aby „pobaraszkować” wśród skał.

— W porządku, chłopcy. Pośpieszcie się! Pamiętajcie, zabierzcie też trochę małży do naszego gabinetu. Najlepiej całe i zamknięte, jeśli takie znajdziecie. Ale proszę o żywe! Nie będziemy zbierać gnijących mięczaków.

Stanley Green marzył o zemście, pamiętał wezwanie panny Gower: „żadnych martwych mięczaków”. A on chciał widzieć tego okularnika Keogha martwym. No, nie chciał go zabić, ale z pewnością poturbować. To przez niego musiał wieczorem męczyć się z zadaniami. „Głupi palant! Siedzi jak umarłak, śpi z otwartymi oczyma!” — pomyślał.

— Ręce z kieszeni, Stanley — śliczna panna Hartley odezwała się z tyłu. — Dlaczego się tak garbisz? Coś cię martwi?

— Nie, proszę pani — wymamrotał Green z opuszczoną głową.

— Rozchmurz się — powiedziała figlarnie. — Jesteś jeszcze młody. Jak będziesz się złościć na cały świat, szybko się zestarzejesz! „Jak ta sfrustrowana kurwa, Gertruda Gower...!” — dodała w myślach.

Harry Keogh w poprzedni wtorek był świadkiem pewnego zdarzenia na plaży. Miał nadzieję, że się to powtórzy i dzisiaj. Oddał znaleziony kamień pannie Gower, sprawdził, czy nikt na niego nie patrzy i ruszył przez wydmy. Okrążył błotniste jezioro i sto metrów dalej zobaczył świeże ślady stóp na piasku. Ślady kobiety i mężczyzny.

Dzisiaj dla spokoju „zapomniał” zabrać slipy. W ten sposób uwolnił się od Jimmiego, który pobiegł się kąpać wraz z resztą chłopców. Harry chciał jednego — wskazówek. Siedząc obok Brendy w kinie, ścisnął jej kolano, przytulał, chwycił za ramię tak, że przez płaszcz i sweter dotykał dłońmi jej małych piersi. Wszystko to było podniecające, ale zbyt niewinne i niewystarczające w porównaniu z igraszkami „Sierżanta” Lane'a i panny Hartley.

Zszedł z wydmy i odszukał ich wzrokiem. Siedzieli na piaskowej górze okolo-

nej wysoką trawą, w tym samym miejscu, w którym widział ich w zeszłym tygodniu. Harry szybko się wycofał i wybrał miejsce na wierzchołku wydmy. W ostatni wtorek panna Hartley igrała z „tym czymś” Lane’a. Dla Harry’ego rozmiary jego członka były oszałamiające. Ona miała uniesiony sweter. „Sierżant” jedną rękę włożył jej pod spódnicę, drugą ścisnął piersi. Gdy było po wszystkim wyjęła chusteczkę i delikatnie starła spermę z jego brzucha i piersi. Poprawiła ubranie. Potem pocałowała go w koniuszek... pocałowała go dokładnie tam. On leżał jak martwy. Harry wyobrażał sobie, że robi to samo z Brendą.

Tym razem było inaczej. I właśnie to Harry chciał zobaczyć.

„Sierżant” położył się na jej brzuchu, miał opuszczone spodnie. Krótka biała spódniczka tenisowa panny Hartley okręciła się wokół talii. On próbował ściągnąć jej majtki, a jego członek wydał mu się jeszcze większy niż wtedy — nabrzmiały i sterczący.

Zza wydmy, daleko na plaży, dochodziły do Harry’ego krzyki i śmiechy bawiących się wśród fal chłopców. Słońce paliło jego szyję i uszy. Leżał bez ruchu, z twarzą wspartą na dłoniach. Wzrok przykuł do kochanków pogrążonych w erotycznej zabawie.

Z początku wyglądało na to, że ona walczy z Lane’em. Odpychała go rękoma, ale jednocześnie rozpięła bluzkę. Nagie piersi ukazały się w promieniach słońca, ich sterczące koniuszki były niewiarygodnie różowe. Harry dostrzegł, że ona drży. Krew zaczęła szybciej pulsować w jego żyłach. Panna Hartley była jak zahipnotyzowana penisem „Sierżanta”. Uniosła się lekko, ugięła kolana i rozłożyła nogi.

Chłopiec patrzył oszołomiony. Niewiarygodnie wielki penis nauczyciela gimnastyki zniknął i pojawiał się co chwilę. Jędrne pośladki poruszały się rytmicznie. Harry jęknął cichutko, poczuł rosnące podniecenie, przewrócił się na bok, by ulżyć naprężeniu. Nagle, zauważył jak Stanley Green zmierza przez wydmy z dzikim wyrazem twarzy. Jego małe, świńskie oczka były pełne jadu.

Idąc za kochankami, Harry znalazł małże. Obie skorupy były nietknięte i całe. Zsunął się z wydmy, trzymając ostrożnie skorupki w dłoni. Zdawał sobie sprawę, że musi być zarumieniony. Odwrócił twarz. Udał, że nie widzi Greena, jednak nie mógł uniknąć spotkania.

— Jak tam, okularniku? To fajnie, że jesteś tutaj, zamiast wygłupiać się ze swoim koleżką, wielką gwiazdą futbolu. Co tu wyrabiasz? Znalazłeś muszelkę dla panny Gower?

— Co ci do tego? — wymamrotał Harry próbując go wyminąć.

Green przybliżył się, wyrwał muszlę z jego dłoni. Była jasno oliwkowa, krucha jak wafelek. Stanley zacisnął pięść, muszelka rozpadła się na kawałki.

— Masz! — powiedział głosem pełnym złośliwego zadowolenia. — Naskarżysz

na mnie teraz, co?

— Nie — odparł szeptem Harry, ciągle próbując się wymknąć. Przed oczyma miał ciągle pośladki „Sierzanta” poruszające się w górę i w dół. — Nie lubię skarżyć i nie lubię się nad nikim znęcać.

— Znęcać? Ty? — Green był wyraźnie rozbawiony. — Nie zmusiłbyś nawet żaby do pierdnięcia. Dobry jesteś tylko w zasypianiu na lekcjach i zgrywaniu głupka. A mnie wpakowałeś w kłopoty.

— Sam się w nie wpakowałeś — zaprzeczył. — Przez ten chichot.

— Chichot? — Stanley złapał go na koszulę i przyciągnął do siebie. — To tylko dziewczyny chichoczą, okularniku. Uważasz mnie za dziewczynę?

Harry wyrwał się i zacisnął pięści.

— Odwal się!

— Niegrzeczny jesteś — powiedział wolno Green. Wzruszył ramionami, jakby chciał odejść, a gdy Harry opuścił ręce odwrócił się i zadał mu cios prosto w twarz. Keogh stracił równowagę, potknął się i upadł. Green zamierzył się po raz drugi, gdy ze szczytu wydmy zbiegł „Sierżant”, naciągając pośpiesznie koszulkę.

— Co się tutaj dzieje, do diabła? — wrzasnął. Złapał oszołomionego chłopca za ramię, zakręcił nim i kopnął z całej siły w tyłek. Green zawył i upadł twarzą na piasek, obok leżącego kolegi.

— Stare numery, co Stanley? — krzyknął Lane. — Kogo wybrałeś na ofiarę tym razem? Chuderlaka Harry’ego Keogha? Na Boga, niedługo będziesz dusił niemowlęta!

Green powstał na nogi, pluł piaskiem. Nauczyciel pchnął go w pierś.

— Widzisz, to nie jest przyjemne, jak ma się do czynienia ze starszymi i silniejszymi. Tak się czuł twój kolega, prawda?

— Sam się obronię — krzyknął Keogh, trzymając się za usta.

— Powiem tacie — powiedział żalonym głosem Stanley i nieomal się rozplakał.

— Co? — zaśmiał się Lane. — Powiesz tacie? Temu tłustemu pijaczkowi, co siłuje się na rękę w knajpie? Jak będziesz skarżył, to zapytaj, kto mu wczoraj o mały nie złamał ręki!

Stanley zaklął pod nosem i rzucił się do ucieczki.

— Wszystko w porządku? — Lane pomógł podnieść się Harry’emu.

— Tak proszę pana.

— Synu, nie zaczepiaj Greena — powiedział nauczyciel. — To drań, i jest dużo silniejszy od ciebie. Duży Stanley szybko nie zapomina. Uważaj na niego!

— Tak, proszę pana.

— No dobra. Uciekaj. — Lane skierował się w stronę wydmy, gdzie właśnie uka-

zała się panna Hartley.

Harry odwrócił się i pobiegł do chłopców zbierających kamienie wokół panny Gower.

* * *

Drugi tydzień sierpnia, wtorkowy wieczór. Gorąco i duszno. „To niesamowite” — pomyślał Hannant, wycierając czoło chusteczką — „jak wieczorem może być ciepło.” W ciągu dnia wiała słaba bryza, teraz panowała cisza. Żar całego dnia wypływał ze wszystkich stron. Hannant jeszcze raz przetarł czoło i szyję. Łyknął chłodnej lemoniady.

Mieszkał niedaleko szkoły, ale nie od strony kopalni. Tam, wśród ponurych szybów, było dla niego zbyt strasznie i ponuro. Dziś wieczorem musiał przejrzeć kilka książek, zaplanować lekcje na następny dzień. Nie miał na to ochoty, właściwie, na nic nie miał ochoty. Mógł pójść się gdzieś napić, ale knajpy były jak zwykle pełne górników w brudnych koszulach i czapkach, huczące od ich gardłowych, szorstkich głosów.

Dom Hannanta, jednorodzinny bungalow, znajdował się na terenie małej posiadłości. Rozległy cmentarz z kapliczką odgradzał go od szkoły. Starannie utrzymane groby otaczał wysoki mur. Nauczyciel zwykle przechodził tędy rano i wieczorem, w drodze do szkoły. Wokół dużego, wspaniałego kasztanowca znajdowały się przytulne ławeczki. Mógł tam pójść popracować. Czasami chodzący o lasce staruszek, emerytowany górnik siadał tam, żuł tytoń albo palił fajkę. Miejsce było ustronne. Daleko od centrum miasteczka, od knajp, od kina, od głównej drogi.

Hannant wziął prysznic, wolno wytarł się do sucha. Włożył na siebie luźne, flanelowe spodnie i koszulę bez kołnierzyka. Zabrał teczkę i z ulgą wyszedł z domu. Przemierzył teren posiadłości, skierował się na cmentarz. Wiewiórki skakały po konarach drzew, strącając pojedyncze liście. Promienie słońca spływały po zboczach wzgórz na zachodzie. Mosiężna tarcza, zawieszona nieruchomo, spieszyła się, żeby zmienić dzień w noc. Cudowny — mimo gorąca — wieczór. Hannant pomyślał smutno, że właśnie marnuje czas. Zastanawiał się, czy to, co robi, ma jakikolwiek sens.

Pomyślał o Harrym. Bardzo chciał znaleźć sposób, by ożywić tego chłopaka, póki jeszcze nie jest za późno. Czuł, że musi nad nim popracować. Tak jak ogrodnik pracuje nad egzotyczną rośliną w oczekiwaniu na pierwsze kwiaty.

Nagle spostrzegł znajomą postać, siedzącą na starej grobowej płycie, w cieniu drzewa, plecami opartą o pień. „Tak, to Keogh” — pomyślał. Promienie słońca odbijające się od okularów przedarły się przez listowie, zdradziły jego obecność. Ssał końcówkę ołówka, książka leżała otwarta na kolanach. Był zatopiony w myślach,

głowę odchylił do tyłu.

Hannantowi zrobiło się przykro... poczuł się winny. „Do diabła, nie! Keogh za bardzo pograża się w marzeniach. Pewnego dnia odejdzie i nie będzie potrafił wrócić!” — myślał z przerażeniem.

Przemknął między grobami, wzdłuż przypadkowych ścieżek do miejsca, gdzie siedział chłopiec.

— Keogh! Jak leci? — powiedział Hannant, sadowiac się na nagrobku. Ten zakątek cmentarza nie był obcy nauczycielowi matematyki. Spacerował tu wiele, wiele razy.

Harry wyjął ołówek z ust i uśmiechnął się.

— Cześć! Eee... przepraszam!

— Pytałem — Hannant mówił powoli — jak leci?

— W porządku, proszę pana.

— Nie mów „proszę pana”. To nam nie pomoże. Zostaw to na lekcje. — A co z zadaniami? O tym myślałem, zadając ci pytanie.

— Zadanie domowe? Zrobione!

— Co? Tutaj?

— Tutaj jest spokój — powiedział Harry.

— Mógłbyś mi pokazać?

— Proszę. — Podał zeszyt. Hannant spojrział i był podwójnie zdziwiony. Zadanie zostało wykonane bez zarzutu. Dwie odpowiedzi, obie poprawne.

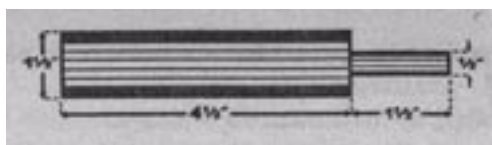
— A gdzie trzecie zadanie?

— O towotnicy? Tam, gdzie... — zaczął.

— Bez numerów Keogh. Tylko trzy zadania z dziesięciu nadawały się. Reszta dotyczyła brył, a nie kół i cylindrów. Czy się mylę?

Uczeń opuścił głowę, zagryzł wargi i podał podręcznik. Hannant przejrzał kilka stron.

— Towotnica — powiedział. — Tak, to zadanie. — Przytknął wskazujący palec do strony, wskazał na rysunek:



Podano wewnętrzne wymiary. Mniejsza i większa tuleja były cylindrami pełnymi smaru: Przez większą przepchano tłok. Pytanie brzmiało: „Jak długa będzie struga smaru uchodząca z małej tulei?”

Harry przyjrzał się bliżej.

— Myślałem, że się nie nadaje.

Nauczyciel zezłościł się.

— Dlaczego nie powiesz od razu, że to dla ciebie za trudne? — starał się nie krzyczeć. — Miałem ciężki dzień i z początku mogłeś mnie nabrać. Dlaczego nie przyznasz się, że po prostu nie potrafisz?

Chłopiec zbladł, kropelki potu pojawiły się na jego twarzy.

— Potrafię — odpowiedział szybko. — Głupi by potrafił. Myślałem, że się nie nadaje, to wszystko.

Hannant nie wierzył własnym uszom, może źle zrozumiał odpowiedź chłopca.

— A wzory?

— Niepotrzebne — odparł Harry.

— Co ty gadasz, Harry! Pi razy promień do kwadratu razy długość równa się objętości. To wszystko, co trzeba wiedzieć. Spójrz! — I szybko zapisał w zeszycie:

Objętość dużej tulei:

$$3,14159 \times 0,75 \times 0,75 \times 4,5 / 3,14159 \times 0,25 \times 0,25$$

Objętość małej tulei:

$$3,14159 \times 0,25 \times 0,25 \times 1,5 / 3,14159 \times 0,25 \times 0,25$$

Oddał Harry'emu ołówek.

— Masz! Teraz większość można zredukować. Dzielnik to oczywiście powierzchnia przekroju strugi smaru.

— Strata czasu — powiedział Harry w dziwny sposób.

Głos Keogha brzmiał nieokreśloną i niezwykłą powagą. Przez chwilę Hannant był nawet onieśmielony. „Jaka siła drzemie w tym chłopcu, pod jego czaszką? Co oznacza to niesamowite spojrzenie?” — zastanawiał się.

— Wyjaśnij, co masz na myśli — zażądał.

Harry rzucił okiem na diagram, pominął rozwiązanie nauczyciela.

— Odpowiedź wynosi: 42 cm.

Książka stanowiła dla Hannanta nowość, nie miał jeszcze czasu, by dokładnie ją przejrzeć. Patrzył na Harry'ego, czując podskórnie, że dzieciak ma rację.

— Zakradłeś się z Collinsem do klasy po wyprawie na plażę — oskarżał go. — Kazałem zamknąć okna. Otworzyłeś moje biurko i znalazłeś książkę z odpowiedziami. Tak?

— Pan się myli — uciął Harry tym samym beznamiętnym tonem. Wskazał palcem na rysunek. — Proszę spojrzeć, pierwsze dwa zadania wymagały wzoru. Trzecie — nie. Gdy dana jest średnica z czterema cyframi po przecinku i jest pytanie o powierzchnię, potrzebny jest wzór. Gdy dana jest powierzchnia z dokładnością do czterech miejsc po przecinku i nieznaną jest promień, to wymaga tego samego, tylko przekształconego wzoru.

— Średnica dużej tulei jest trzy razy większa niż średnica mniejszej. Powierzchnia przekroju jest zatem dziewięć razy większa. Długość jest trzy razy większa. Dziewięć razy trzy — dwadzieścia siedem. W dużej tulei mieści się zawartość dwudziestu siedmiu małych tulei. Razem dwadzieścia osiem. Długość małej tulei wynosi 1,5 cm. Dwadzieścia osiem razy jeden i pół daje czterdzieści dwa centymetry, proszę pana.

Hannant wpatrywał się w beznamiętną, prawie nieobecną twarz chłopca. Raz jeszcze spojrzął na rysunek w książce. Zakręciło mu się w głowie. Gdyby odrzucił wzór, byłby w stanie to wyliczyć po chwili namysłu. Ale reakcja Harry'ego była momentalna.

Nauczyciel zdał sobie sprawę, że gdyby tak nie zagrał, prawdopodobnie straciłby tego chłopca na zawsze, co oznaczałoby dużą przegraną. Harry miał umysł. Umysł, o wielkich, nieznanym jeszcze możliwościach. Kryjąc zmieszanie, Hannant zmusił się do uśmiechu.

— Doskonale! Nie badam twojego ilorazu inteligencji. Chciałem wiedzieć, czy znasz wzory. Ale zaintrygowałeś mnie. Skoro jesteś tak bystry, to dlaczego twoje prace domowe są tak kiepskie?

Harry wstał, ruchy miał sztywne, automatyczne.

— Mogę już odejść, proszę pana?

— Twój czas wolny należy do ciebie. Ale kiedy masz parę wolnych chwil — możesz powkuwać wzory.

Harry odszedł z sztywno wyprostowanymi plecami. Po kilku krokach obrócił się i spojrzął na nauczyciela. Promień słońca przedostał się przez gałęzie, odbił się od okularów i zmienił jego oczy w migocące gwiazdy.

— Wzory? — powiedział tym dziwnym głosem. — Mógłbym podać wzory, o których ci się nie śniło.

Zimno uderzyło w plecy Hannanta. Wiedział na pewno, że Keogh nie chełpił się.

Nauczyciel w pierwszym odruchu chciał zawołać chłopca, pobiec za nim. Nogi jednak miał przykute do ziemi, opuściły go wszystkie siły. Przegrał. Drżąc usiadł na płycie. Oparł się ciężko o nagrobek. Nagle zerwał się i odskoczył od grobu. Keogh zniknął już za kamiennymi tablicami.

Wieczór był ciepły, a Hannant czuł przeszywające zimno. W powietrzu, w sercu — mrozący chłód. I teraz w nagłym przebłysku pamięci — zdał sobie dokładnie sprawę, kiedy to usłyszał głos podobny do głosu Harry'ego. Tak poważny, tak precyzyjny, tak logiczny. Trzydzieści lat temu, gdy był sam chłopcem. Mężczyzna o tym głosie był jego bohaterem, jego bogiem.

Schylił się po książkę swojego ucznia, włożył ją do teczki. Powoli zbliżył się do

jednego z grobów. Wycięty w kamieniu, częściowo pokryty mchem napis był prosty w swej treści, Hannant znał go na pamięć.

JAMES GORDON HANNANT

URODZIŁ SIĘ 13 VI 1875

ZMARŁ 11 IX 1944

Nauczyciel w szkole dla chłopców w Harden przez 30 lat.

Dyrektor przez lat dziesięć.

Teraz zlicza Zastępy Niebieskie.

Epitafium to było rodzajem żartu. Ojciec, podobnie jak syn, uczył matematyki. Był jednak o wiele lepszy niż on będzie kiedykolwiek.

ROZDZIAŁ TRZECI

Następnego dnia rano, przed lekcją matematyki George Hannant przemyślał pewne sprawy. Wszystkie dzieciaki zawzięcie pracowały, w klasie słychać było ciche skrobanie piór i szelest kartek. Hannant był zadowolony, że znalazł wytłumaczenie spotkania poprzedniego wieczoru. Keogh należał do tego szczególnego rodzaju ludzi, którzy od razu docierają do sedna sprawy, bardziej myślał niż działał. A jego myśli były w zupełnej sprzeczności z powszechnie przyjętymi teoriami.

Chciał zainteresować chłopca przedmiotem jeszcze głębiej. Efekty bez wątpienia byłyby nadzwyczajne. Pewnie robiłby błędy przy prostym dodawaniu i odejmowaniu, dwa plus dwa wynosiłoby czasami pięć, ale rozwiązania niewidoczne dla innych, dla niego były oczywiste. Hannant zauważył podobieństwo między chłopcem a swoim ojcem. James Gordon również posiadał ten intuicyjny dar — był naturalnym matematykiem. On także nie miał czasu na wzory.

Nauczyciel bardzo pragnął rozniecić iskrę w umyśle Keogha. Z przyjemnością patrzył, jak chłopiec ciężko pracuje, bo rzeczywiście pracował ciężko przez pierwszy kwadrans lekcji. A potem, oczywiście rozmarzył się...

Podszedł do niego od tyłu — chłopiec miał gotowe wszystkie odpowiedzi! Były poprawne, ale nigdzie nie było widać obliczeń. Wkrótce mieli przejść do podstaw trygonometrii. Zastanawiał się czy Keogh sobie z tym poradzi. Koła nie miały przed nim tajemnic. Ale jak będzie z trójkątami?

Ciągle coś nie dawało spokoju George'owi Hannantowi. Zostawił chłopców na pięć minut samych, ostrzegając uprzednio przed niedozwolonym zachowaniem. Poszedł do gabinetu dyrektora szkoły.

— Harry Keogh? — Jamieson był wyraźnie zaskoczony. — Jakie miał wyniki egzaminów do college'u? Wyjął cienką teczkę z jednej z szuflad biurka, przejrzał zawartość pobieżnie, uniósł wzrok. — Obawiam się, że Keogh nie podchodził do egzaminu — powiedział. — Zmógł go katar sienny. Katar sienny, tak, miał zwolnienie na dwa dni. Ale dlaczego pytasz, George? Myślisz, że miałby szansę?

— Myślę, że nawet duże — odparł szczerze Hannant.

Jamieson był zdziwiony.

— Trochę późno, by się teraz o to martwić. Nie wiedziałem, że tak go cenisz. Poczekaj! — Wyjął z szaty inną, grubsza teczkę. — Zeszłoroczne sprawozdania — powiedział, przeglądając papiery. — Tak myślałem. Zgodnie z tym raportem, żaden z twych kolegów nie dawał mu cienia szansy. Ty, przecież zresztą też, czy nie tak?

— Tak — Hannant poczerwieniał. — Ale to było w zeszłym roku. Poza tym egzaminy do college'u mają na celu raczej sprawdzenie poziomu ogólnej inteligencji niż ilości nabytej wiedzy. Jeśli zbadasz jego zdolności, mocno się zdziwisz. Samorodny talent matematyczny, czysty instynkt, czysta intuicja.

Jamieson przytaknął.

— Coś w tym musi być, gdy nauczyciel zaczyna interesować się chłopcem z Harden — powiedział. — Nie chcę nikomu ubliżyć, tym bardziej dzieciakom, ale oni są tu cholernie upośledzeni. Wiesz ilu z naszych chłopaków przeszło egzaminy? Trzech. Trzech z całej grupy, która liczyła chyba sześćdziesiąt pięć osób...

— Czterech, gdy wliczyć Harry'ego.

— Tak? — Jamieson nie wydawał się być specjalnie zainteresowany. — W porządku — powiedział. — Załóżmy, że masz rację co do matematyki. Oczywiście zgadzam się także, że egzaminy mierzą przede wszystkim inteligencję. Ale co z innymi przedmiotami? Według sprawozdań z wyników nauki, Keogh to słabeusz, prawie zawsze na końcu klasy.

— Przykro mi, że zabieram ci czas. Swoją drogą nic nie można powiedzieć, skoro nie przystąpił do egzaminu. Myślę po prostu, że to wstyd. Uważam, że ten chłopak ma duże możliwości.

— Coś ci powiem — powiedział Jamieson, obchodząc biurko. — Przyślij go do mnie po południu. Pogadam z nim, zobaczę, co o tym myśleć. Nie, poczekaj... może dam radę zrobić coś bardziej konkretnego. Intuicyjny matematyk, powiadasz? Bardzo dobrze...

Wrócił do biurka, szybko napisał coś na kartce papieru.

— Daj mu to — powiedział. — Zobaczymy, co wymyśli. Niech się tym zajmie w przerwie na lunch. Jeśli znajdzie odpowiedź, przyślij go do mnie.

Hannant wziął kartkę i wyszedł na korytarz. Spojrzał na zadanie. Pokręcił głową z rozczarowaniem. Zgiął kartkę wpół i schował do kieszeni. Wyjął raz jeszcze, rozprostował i przyjrzał się dokładniej. „Może jednak Keogh sobie poradzi. Jeśli trochę pomyśli, trochę popróbuje. Gdyby rozwiązał to zadanie, znaczyłoby, że jest geniuszem! I będzie to poparte niezbitym dowodem” — pomyślał z nadzieją.

Dokładnie o pierwszej po południu Hannant zapukał do drzwi gabinetu Jamiesona. Wszedł, gdy tylko usłyszał pozwolenie. Dyrektor był już po lunchu, siedział w fotelu przy oknie i palił fajkę. Nauczyciel przeszedł przez środek gabinetu, wyciągnął kartkę i wręczył dyrektorowi.

— Zrobiłem jak chciałeś — powiedział zdyszany z nutką tryumfu w głosie.
— Oto rozwiązanie mojego ucznia.

Dyrektor szybko przejrzał zadanie.

Magiczny kwadrat:

Podzielono kwadrat na szesnaście mniejszych, równych kwadratów. Każdemu przypisano liczby od 1 do 16. Ułóż liczby tak, by suma każdego rzędu i każdej kolumny oraz przekątnych dawała tę samą liczbę.

Poniżej, napisana była ołówkiem odpowiedź, łącznie ze złym początkiem, wstępną próbą:

1	2	3	4
5	6	7	8
9	10	11	12
13			

16	2	3	13
5	11	10	8
9	7	6	12
4	14	15	1

Jamieson przyjrzał się, otworzył usta, ale nic nie powiedział. Hannant widział jak szybko sprawdza kolumny, rzędy, przekątne. — To jest... bardzo dobre — wykrztusił w końcu.

— Tak — zgodził się Hannant. — To jest doskonałe.

— Doskonałe? Wszystkie kwadraty magiczne są doskonałe. To ich urok, cała ich magia! — Szef spojrzał w górę.

— Owszem — przytaknął Hannant — ale są doskonałe i doskonalsze. Chciałeś, żeby suma liczb w poszczególnych rzędach, kolumnach, przekątnych dawała ten sam wynik. — Masz to i coś więcej. Liczby w rogach dają ten sam wynik, cztery kwadraciki w środku też, środkowe liczby na przeciwnych krawędziach, a gdy przyjrzesz się bliżej, znajdziesz więcej. To jest niezwykle rozwiązanie.

Jamieson ponownie zajrzał do kartki, zmarszczył brwi i po chwili uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Gdzie jest teraz Keogh?

— Za drzwiami. Myślałem, że zechcesz go zobaczyć. Jamieson westchnął, opadł na fotel.

— W porządku, George. Niech wejdzie ten twój cudak. Harry wszedł, nerwowo przestępował z nogi na nogę przed biurkiem dyrektora.

— Keogh — Jamieson starał się przybrać przyjacielski ton. — Pan Hannant mówi, że nieźle orientujesz się w liczbach. — Na przykład ten kwadrat magiczny. Bawię się tym, czysto dla rozrywki, od czasu szkoły, gdy byłem taki jak ty. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek znalazł lepsze rozwiązanie. Całkiem nieźle! Ktoś ci pomagał?

Uczeń spojrzał prosto w oczy dyrektora. Wyglądał na przestraszonego.

— Nie proszę pana. Nikt.

— Rozumiem. A gdzie praca na brudno? Sądzę, że nie zgaduje się tego ot tak, po prostu. Mam rację?

— Nie, proszę pana — odparł Harry. — Praca na brudno jest tam. Przekreślona.

Dyrektor spojrzał na kartkę, podrapał się po swojej łysej głowie. Spojrzał na Hannanta, potem na Keogha.

— Ale tutaj liczby są zwyczajnie ułożone po kolei. Nie rozumiem jak...

— Proszę pana — przerwał Harry. — Uważam, że to logiczny początek. Doszedłem do tego momentu i wiedziałem już, co muszę zrobić.

Dyrektor i nauczyciel wymienili spojrzenia.

— Dalej, Harry — ponaglił Jamieson.

— Proszę zobaczyć, proszę pana. Jeśli rozpisać liczby tak jak ja to zrobiłem, to rosną na prawą stronę i do dołu. Pomyślałem: „Jak przerzucić połowę z nich z prawej na lewą stronę, a drugą połowę z góry do dołu? I jak to zrobić jednocześnie?”

— To jest... logiczne — dyrektor jeszcze raz podrapał się po głowie. — Więc, co zrobiłeś?

— Przepraszam?

— Zapytałem: „Co zro-bi-łeś, chłopcze?” — Jamieson nienawidził powtarzać. Uczniowie powinni byli wsłuchiwać się w każde jego słowo.

Harry nagle zbladł. Powiedział coś, ale nikt go nie dosłyszał. Zakaszłał, jego głos opadł o oktawę, przemówił w końcu. To nie był głos małego chłopaka.

— Ma pan to przed sobą — powiedział. — Nie widzi pan?

W oczach Jamiesona dostrzegł nagle zły błysk.

— Odwróciłem przekątne — to wszystko. Każdy inny sposób to gra przypadków, metoda prób i błędów, szukanie po omacku.

Dyrektor powstał gwałtownie, wskazał drżącym palcem na drzwi.

— Hannant, pro-szę za-brać stąd te-go chło-pca! I niech pan tu wróci!

Nauczyciel chwycił Keogha za rękę i pociągnął na korytarz. Czuł, że Keogh słabnie, chwieje się na nogach. Postawił go przy ścianie.

— Czekaj tu! — syknął.

Dyrektor wycierał pot z czoła ogromną szkolną bibułą. Patrzył uparcie na roz-

wiązanie Keogha i mruczał do siebie.

— Odwrócił przekątne, hmm...

Hannant zamknął za sobą drzwi, Jamieson uniósł wzrok, był wyraźnie osłabiony.

— Ten cholerny upał — powiedział, wskazując na krzesło.

— Tak, to okropne! W szkole jest jak w piecu. To niekorzystnie wpływa na dzieci.

Jamieson zrozumiał aluzję.

— Tak, ale to nie jest usprawiedliwieniem dla zuchwałości czy arogancji

— On nie był zuchwały — powiedział. — Myślę, że po prostu stwierdził fakt. Zupełnie tak samo jak wczoraj, kiedy to spotkałem go przypadkowo. Nie unosi się, dopóki nie przyprze się go do muru. Ten chłopiec jest genialny, a udaje, że tak nie jest. Robi co może, żeby to ukryć.

— Ale dlaczego? Przecież to nie jest normalne. Większość chłopców w jego wieku lubi się popisywać. Może jest nieśmiały?

— Nie wiem — odpowiedział Hannant.

Jamieson zastanawiał się, czy rzeczywiście chłopiec jest tak zdolny i czy ma wielkie intuicyjne skłonności matematyczne. Oparł się w fotelu.

— Dobrze. Postanowione. Keogh opuścił egzaminy, bo był chory. Porozmawiam z Jackiem Harmonem z college'u. Zobaczymy, może da się przygotować dla niego osobny egzamin. Nic nie obiecuję, ale...

— Lepsze to niż nic. Dziękuję, Howard.

— Dobrze, dobrze. Dam ci znać jak coś załatwię.

Hannant wyszedł na korytarz, gdzie czekał Keogh.

Przez następne dwa dni próbował bezskutecznie zapomnieć o Harrym. W środku nocy, w domu, podczas długich jesiennych spacerów pojawiała się młoda, dziwnie dojrzała twarz chłopca. Była wszechobecna. W piątkową noc, o trzeciej nad ranem nauczyciel przebudził się. Wszystkie okna w domu były szeroko otwarte, zapraszały każdy znikomy podmuch wiatru. Hannant krążył po pokojach w piżamie. Obudził się mając przed oczyma Harry'ego.

We śnie widział, jak zmierza on przez szkolne podwórze w kierunku tylnej bramy, idzie pod kamiennym łukiem, wchodzi w duszne aleje cmentarza.

I nagle, chociaż nadal było parno, Hannant poczuł chłód. To uczucie nie było mu obce: ten sam, mający swe źródła w podświadomości, dreszcz ostrzegający, że coś poza ludzkimi wyobrażeniami, coś niesamowitego siedziało w Harrym. George modlił się, aby chłopiec przeszedł każde egzaminy, jakie zgotuje dla niego Jack Harmon, dyrektor college'u w Hartlepool. Chciał, żeby chłopcu powiodło się jak

najlepiej.

Tak bardzo pragnął, żeby Keogh zniknął ze szkoły, opuścił środowisko tych zwyczajnych, normalnych chłopaków z Harden.

Czuł, że coś jest nie tak z Harrym Keoghem, coś czego on nie może objąć rozumem, coś co szukało sobie ujścia na zewnątrz i w każdej chwili mogło eksplodować z niewyobrażalną energią.

Postanowił zbadać pochodzenie Keogha, odkryć, co tylko się da z przeszłości chłopca. Chwilami myślał, że może wszystko jest w porządku i cała sprawa jest po prostu płodem jego przewrażliwionej wyobraźni. Ostatnio źle sypiał. Dobijała go nużąca i monotonna praca w szkole. Nie mógł pojąć, dlaczego jakiś uparty wewnętrzny głos powtarzał mu, że Keogh jest odmienny. Czasami chłopiec wpatrywał się w niego oczyma, które przypominały spojrzenie jego zmarłego, dawno pogrzebanego ojca...

Dziesięć dni później doszło do tragedii. Chłopcy wraz z Grahamem Lanem i Dorothy Hartley i Gertrudą Gower poszli na co wtorkową, popołudniową wycieczkę na plażę. „Sierżant” chcąc rzekomo zerwać gatunek rzadkich kwiatów, a prawdopodobnie — zaimponować ukochanej, wspiął się na skały. Gdy już był w połowie drogi, na zdradliwej ścianie klifu, kamienie obsunęły się pod nim. Próbował jeszcze chwycić się kruchej skały, zawadził stopami o występ i runął w dół, na kamienistą plażę. Poniósł śmierć na miejscu.

Było to tym bardziej przejmujące, że „Sierżant” i Dorothy Hartley dzień wcześniej ogłosili swoje zaręczyny. Zamierzali się pobrać na wiosnę. W piątek go chowano. Żaden z nauczycieli nie czekał, aż grób zostanie usypany do końca. Składano pośpiesznie konwencjonalne kondolencje Dorothy Hartley. Gdy odeszli grabarze i położono ostatnie wieńce, ostatni żałobnik usiadł na pobliskim grobie z głową opartą w dłoniach. Matowe niebieskie oczy patrzyły na kopiec zza okularów. Z wyczekiwaniem...?

Howard Jamieson — tak jak obiecywał — postarał się o zgodę na dodatkowy egzamin dla Harry’ego Keogha.

Test ułożono specjalnie, aby zbadać werbalną, przestrzenną i matematyczną percepcję chłopca. Miał się odbyć w college’u w Hartlepool pod ścisłym nadzorem Harmona, dyrektora szkoły. Wieść ta rozeszła się szybko i Harry stał się obiektem zawistnych żartów i przytyków.

Już nie nazywano go okularnikiem. Zyskał nowe przezwisko — „Faworyt”. Rozpowszechnił je Stanley. To sugerowało, że Harry stał się ulubieńcem dyrektora i nauczyciela matematyki. Za pomocą swoich perfidnych metod, w których Stan-

ley był mistrzem, włączając w to groźby i szantaż, przekonał nawet bardzo opornych chłopaków, że coś jest nie tak z nagłym „odkryciem” Harry’ego.

Zastanawiał się dlaczego ten „Faworyt” — miał prawo do specjalnych egzaminów? Inni też byli wtedy chorzy. A czy potraktowano ich w ten sam sposób? Nie. Tylko dlatego, że ten rozmarzony wypierdek ma układy z nauczycielami. Kto zbiera z zapalem śmierzące muszle dla tej starej rury Gower? Okularnik Keogh. Za kim wstawiał się stary „Sierżant”? Za nim. A teraz, gdy zaczął coś rozumieć z matematyki, to nawet zawszony Hannant stanął po jego stronie!

Do tego wszystkiego doszły też głosy tych, którzy nie mogli podejść do egzaminów z własnej winy i tych, którzy nie zdali. Wkrótce Stanley miał za sobą sporą grupę żądnych odwetu chłopców. Zaniepokojony Jimmy Collins wyraził się głośno, że „coś tu śmierdzi”.

Przyszedł następny wtorek, tydzień po śmierci nauczyciela gimnastyki. Uczniowie znów wyruszyli na plażę po kamienie. To była ostatnia wyprawa przed zimą. Na początku pomysł wydawał się dobry, ale z czasem tak chłopcy, jak i nauczyciele stawali się nim coraz bardziej znudzeni. Śmierć Lane’a kładła dodatkowy cień na wyprawach. Opiekunkami były tym razem: panna Gower i Jean Tasker (nauczycielka fizyki, starsza od Gower, ale mniej przykra) — zastępująca Dorothy Harley.

Jak zwykle, gdy zebrano już kamienie i ułożono w kupkę, pozwolono chłopcom na dowolne zabawy przed powrotem do szkoły. Nastrój nie był jednak tak beztroski, jak niegdyś. Gigi Gower (tak nazywali ją chłopcy z powodu inicjałów) pouczała nie umiejących pływać. Hannant i Tasker stali na brzegu morza, zbierali muszelki i białe kamyki. Gawędzili dla zabicia czasu. Wtedy Stanley, nie mogąc już dłużej powstrzymać w sobie złości, dojrzał okazję, by „dać Keoghowi nauczkę”.

Harry odłączył się i przechadzał w zamyśleniu po plaży. Gdy spojrzał w górę, dojrzał Greena i grupę innych chłopców.

— Proszę, proszę. Czy to nie nasz mały ulubieniec belfrów, mały okularnik Keogh z garstką muszelek dla starej, zwariowanej Gigi. Jak leci, okularniku? Uważasz, że masz szansę zdać „specjalny egzamin”, który dla ciebie szykują?

— Liczysz, że zdasz, okularniku? — powiedział inny z chłopców. — Przepchną cię, co?

— To „Faworyt” — rzucił trzeci. — On musi zdać! Ulubieniec nauczycieli miałby oblać?

Jimmy Collins wycierał się ręcznikiem po kąpieli, kiedy zorientował się, że dzieje się coś niedobrego. Został w tyle, zaczął się pośpiesznie ubierać.

— No? — Green pchnął Harry’ego w piersi. — Co o tym myślisz, czterooki? Przepuszczą cię przez ten śmieszny egzamin i pozwolą odejść od nas, od brzyd-

kich, złych chłopców z Harden?

Harry zatoczył się po następnym pchnięciu, muszle wypadły mu z rąk. Stanley skoczył i zgniółł je butami, ze złością.

— Gówniany, tchórzliwy, nauczycielski maminsynku — szydził. — Faworyt starego Jamiesona. Rozmazany marzyciel.

— Skończ zasrana pało — Keogh odwrócił się twarzą do niego. — Chcesz, żebym cię oszpecił?

— Co? — Green myślał, że się przesłyszał. — Co powiedziałaś, Keogh?

— Dlaczego nie zostawisz go w spokoju? — powiedział Jimmy, już ubrany, przepychając się przez chłopców.

— Nie mieszaj się, Jimmy — powiedział stanowczo Harry. — Wszystko w porządku.

— Wszystko w porządku? — wykrzyknął Stanley. — A ja twierdzę, że nie, mój synu! I zaraz ci to udowodnię!

Wraz z ostatnim słowem zamierzył się, Harry zrobił unik, ruszył do przodu i dźgnął go wyprostowanym ramieniem. Stanley zgiął się wpół jak scyzoryk, tuż przed kolana Keogha, które właśnie szykowały się do następnego ciosu. Uderzenie było szybkie jak strzał z pistoletu. Green upadł na plecy z rozłożonymi ramionami.

Harry podszedł bliżej, Green — oszołomiony — usiłował się podnieść. Potrząsnął chwiejnie głową. Krew ciekła mu z rozbitego nosa. Oczy szklily się od wzbierających łez.

— Ty...ty...ty...! — splunął krwią.

Harry pochylił się nad nim i pokazał zaciśniętą pięść.

— Co? — warknął. — No, dalej! Powiedz coś. Daj mi powód, a ci przyłożę.

Nic nie powiedział. Dotknął drżącą ręką złamanego nosa i rozciętej wargi. Szlochał.

Ale Harry jeszcze nie skończył. Chciał dać mu nauczkę.

— Słuchaj! — powiedział. — Jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie okularnikiem albo „Faworytem”, jeśli się w ogóle do mnie odezwiesz, tak cię spiorę, że będziesz pluł zębami przez miesiąc. Zrozumiałeś, gnojku?

Stanley — niedawno tak pewny siebie — zapłakał jeszcze żałośniej.

Harry uniósł wzrok, spojrzał na pozostałych chłopców. Zdjął okulary i włożył je do kieszeni. Nie miał już zeza. Nie potrzebował wcale okularów.

— Co powiedziałem jemu, dotyczy i was. A może ktoś chce się ze mną spróbować...?

Jimmy Collins stanął przy Harrym.

— Albo z nami — powiedział.

Chłopcy milczeli zaskoczeni. Nie spodziewali się takiego obrotu wydarzeń. Powoli zaczęli się rozchodzić, rozmawiać, śmiać się nerwowo, żartując jakby nic się nie stało.

— Harry — powiedział cicho Jimmy — nigdy czegoś takiego nie widziałem! Walczyłeś jak prawdziwy mężczyzna! Biłeś się jak dorosły facet, jak „Sierżant”, gdy robił pokazy na gimnastyce. — Szturchnął Harry’ego łokciem ostrożnie w żebra. — Hej, wiesz, co? Jesteś odłotowy. Jesteś naprawdę odłotowy!

Dwa tygodnie później Harry przystąpił do egzaminów. Pogoda na początku września była okropna. Nieustannie padało. Deszcz lał także w dniu egzaminu, wałąc w szyby okien gabinetu dyrektora college’u. Harry siedział za ogromnym biurkiem zawalonym papierami.

Sam Jack Harmon nadzorował egzamin. Czytał przy tym zapiski z ostatniego zebrania rady pedagogicznej. Od czasu do czasu podnosił wzrok, rzucał okiem na chłopca i zastanawiał się.

Tak naprawdę wcale nie chciał Harry’ego w college’u. Nie z osobistych pobudek, nie dlatego, że wymuszono na nim zgodę na sprawdzenie chłopca, który prze-gapił termin, ale dlatego, że mogło to stworzyć kłopotliwy precedens. I tak narze-kał na brak czasu, a tu jeszcze dodatkowa praca. Egzaminy to egzaminy — są wy-rażnie ogłaszane co roku.

Z drugiej strony, Howard Jamieson był jego przyjacielem ze starych czasów. Harmon miał u niego spory dług wdzięczności. Gdy Jamieson po raz pierwszy poruszył ten temat, Harmon przyjął prośbę niechętnie. W końcu jednak zainteresowa-ł się i chciał zobaczyć tego „nastoletniego geniusza” osobiście. Szukał wyjścia z tej sytuacji. Zawsze to niewygodny przypadek. Sam więc ułożył pytania, wybrał najtrudniejsze zadania z ostatnich sześciu lat. Prawdopodobnie taki chłopiec jak Keogh nie będzie miał szansy na ich rozwiązanie.

Dodatkowego egzaminu nie planowano, więc Harmon mógł zaspokoić cieka-wość, przekonać się co do zdolności Keogha i jednocześnie uniknąć zamieszania. Z zadumą obserwował, jak chłopiec pracuje nad papierami.

Miał godzinę czasu na każdy temat i dziesięciominutowe przerwy dla odpo-czynku. Pierwszy był test z angielskiego, potem matematyka.

Keogh pracował ciężko. Marszczył brwi, gryzł ołówek, pisał przepisywał. Gdy upłynął czas, jeszcze nanosił poprawki. Zadania z matematyki z pewnością zbity go z tropu, co chwila to próbował coś pisać, to odkładał pióro. Przez chwilę skro-bał zawzięcie, zaraz prostował się i patrzył w okno, blady i spokojny. Wyglądał na zmęczonego.

Nagle zaczął pisać jak natchniony. Harmon rozumiał jego napięcie i podniece-

nie — pytania były bardzo trudne. Sześć zadań, wykonanie każdego z nich zajęłoby piętnaście minut, gdyby chłopak był zaawansowany w programie.

Jednego Harmon nie mógł zrozumieć; dlaczego Keogh tak się męczył? Dlaczego przystępował do szaleńczych ataków na kartkę papieru, tylko po to, by za chwilę opaść z sił? O czym tak dumał, patrząc w okno? Gdzie błędziły jego myśli, gdy na twarzy pojawiał się wyraz rozmarzenia, oddalenia?

Dyrektor spojrział na zegarek, minęło trzydzieści pięć minut. Keogh oparł się znowu, opuścił ramiona, oczy miał na pół przymknięte. Harmon cicho wstał i przeszedł po sali. Stary, ścienny zegar tykał miarowo. Harmon podszedł do chłopca i spojrział mu przez ramię, oczy mu się rozszerzyły ze zdumieniem, pochylił się, by lepiej zobaczyć. Keogh usłyszał jego zdziwiony szept, ale nie zareagował. Siedział spokojnie, patrząc na strugi deszczu spływające po szybach.

Harmon po chwili wrócił do swojego biurka, otworzył szufladę i wyjął rozwiązania zadań. Okazało się, że uczeń odpowiedział poprawnie na wszystkie zadania. Co więcej, rozwiązał je z minimalną ilością obliczeń na brudno, prawie zupełnie omijając znane wzory.

Dyrektor Harmon wziął długi, głęboki oddech. Osłupiały wpatrywał się w wydrukowane odpowiedzi. Ogrom obliczeń, sprawnie przeprowadzonych rozwiązań. Ostrożnie włożył papiery z powrotem do szuflady. Gdyby nie to, że był tu przez cały czas, podejrzewałby, że chłopak oszukuje. Ale przecież nie opuścił sali ani na chwilę! Więc... co to ma znaczyć?

Intuicja. Howard Jamieson nazwał Keogha intuicyjnym matematykiem. Harmon chciał przekonać się jak działa ta intuicja podczas następnej części egzaminu.

Postanowił porozmawiać z Jamiesonem i George'm Hannantem, który pierwszy zwrócił uwagę na talent chłopca.

Keogh był po prostu genialny — nauczyciele mieli rację, nie wiedzieli tylko, że jego „geniusz” zmierzał w zupełnie innym kierunku, niż ktokolwiek mógł podejrzewać.

Jack Harmon był niskim, tłustym, owłosionym mężczyzną. Był szpetny, ale promieniował dobrocią. Miał naturę poprawnego dżentelmena i bystry umysł.

W młodości znał ojca Georga Hannanta, który w tym czasie był dyrektorem w Harden i nauczał matematyki. Harmon pracował wtedy w małej szkółce w Morton, innej górniczej wiosce. Przez te wszystkie lata spotykał się z młodym Hannantem i patrzył jak dorośleje. Nie zdziwił się, gdy w końcu podążył w ślady ojca. Nie mógł żyć bez szkoły.

„Młody Hannant” — tak zawsze myślał o nim. Śmieszne, bo George już od

dwudziestu lat był nauczycielem.

Harmon wezwał go do swojego college'u w Hartlepool, aby porozmawiać o utalentowanym uczniu. Spotkali się tuż po egzaminie. Harmon mieszkał nieopodal i zaprosił młodszego kolegę na lunch. Jego żona widząc, że rozmawiają o sprawach zawodowych podała posiłek i wyszła.

— Mam nadzieję, że nie obraziłeś się, że wezwałem cię w ten sposób. Wiem, że masz dużo roboty u Howarda.

— Nie ma sprawy. On sam mnie dziś zastępuje. Lubi się czasami tym zajmować! Mówi, że „tęskni” za zwykłymi lekcjami i w każdej chwili zamieniłby swój gabinet na klasę pełną chłopców.

— O tak! A my nie? — zaśmiał się Harmon. — Ale pieniądze George, pieniądze! I sądzę, że jeszcze sprawa prestiżu. Dowiesz się, co on czuje, gdy sam zostaniesz dyrektorem. A teraz opowiedz mi o Keoghu. To ty go odkryłeś, prawda?

— Prawdę mówiąc odkrył się sam — odparł Hannant. — Jakby obudził w sobie możliwości. Jak spóźniony na starcie biegacz...

— ... który prześciga wszystkich w mgnieniu oka, co?

— O! — powiedział Hannant. Jeszcze nie znał wyników egzaminu Harry'ego. Obawiał się, że chłopak może sobie nie poradzić. Coś intrygującego było w zachowaniu dyrektora.

— Zdał? — zapytał wprost.

— Nie — zaprzeczył głową Harmon. — Nie zdał, a szkoda. Angielski! Próbował — nie udało się, ale... Uśmiech na twarzy Hannanta zamarł.

—... ale biorę go do siebie — dokończył Harmon. Ich spojrzenia spotkały się. — Na podstawie wyników z pozostałych części egzaminu.

— Jak sobie z tym poradził?

— Przyznaję, dałem mu najtrudniejsze zadania, jakie tylko mogłem znaleźć. On je po prostu zmiażdżył. Jedynym jego błędem było niekonwencjonalne podejście, jeśli można to uznać za błąd. Nic sobie nie robi z ogólnie przyjętych wzorów.

„Dokładnie wiem, o co ci chodzi” — pomyślał Hannant.

— O tak! Dokładnie tak — odezwał się głośno.

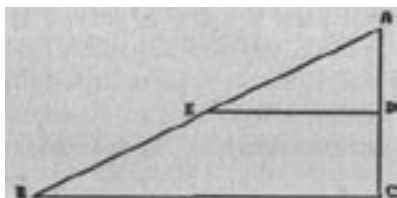
— Myślałem, że to dotyczy tylko matematyki, ale to samo stało się podczas następnej części. Można to nazwać testem przestrzeni czy inteligencji. Rzecz polega na sprawdzeniu możliwości intelektu. Uważam odpowiedź na jedno z pytań za szczególnie interesującą, nie odpowiedź samą w sobie, ale sposób w jaki doszedł do rozwiązania. Zadanie dotyczyło trójkąta.

— Tak? — zapytał Hannant wkładając nieuważnie do ust kawałek pieczonego kurczaka. — Więc jak do tego doszedł?

— Oczywiście, można to zadanie rozwiązać przy pomocy prostej trygonome-

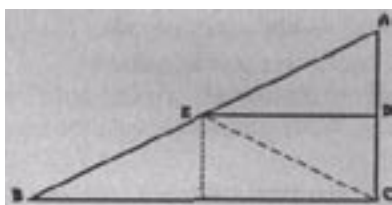
trii... albo wzrokowo. To było proste zadanie, a jednak mnie zastanowiło. Pokażę ci.

Odsunął talerz, wyjął pióro i narysował na papierowej serwetce:



— Odcinek AD jest połową odcinka AC, odcinek AE to połowa odcinka AB. Ile razy trójkąt ABC jest większy od trójkąta ADE.

Hannant dorysował:



— Cztery razy. Wzrokowo, jak powiedziałeś.

— Zgoda, ale Keogh nie dorysował przerywanych linii. Po prostu znał odpowiedź. Zatrzymałem go i zapytałem jak to zrobił. Wzruszył wtedy ramionami i powiedział: „Pół razy pół — to ćwiartka. Mniejszy trójkąt jest cztery razy mniejszy od dużego.”

Hannant uśmiechnął się.

— To typowe dla Keogha — powiedział. — To właśnie zwróciło moją uwagę na niego. Ignoruje wzory, przeskakuje etapy procesu rozumowania.

Poważny wyraz twarzy Harmona nie zmienił się.

— Jakie wzory? — zapytał. — Czy on przerabiał trygonometrię?

— Nie. Mieliśmy właśnie zacząć.

— Więc nie znał tego wzoru?

— Nie, nie robiliśmy tego jeszcze. — Hannant zmarszczył brwi.

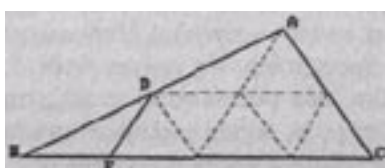
— Ale zna! Tak jak my!

— Przepraszam? — Hannant nie nadążał za rozumowaniem dyrektora.

— Zapytałem go: „Keogh, wszystko się zgadza, ale gdyby to nie był trójkąt prostokątny? Gdyby był na przykład taki?” I narysował:



— Powiedziałem mu — kontynuował — „odcinek AD jest połową odcinka AB, odcinek BE jest równy jednej czwartej odcinka BC.” Keogh spojrzął i wypalił: „Jedna ósma. Jedna czwarta razy jedna druga.” A potem dorysował:



— Co starasz się udowodnić? — Hannant siedział z napiętym wyrazem twarzy.

— Czy to nie oczywiste? To jest wzór. On sam do tego doszedł, podczas egzaminu!

— To wcale nie musi być takie niepojęte jak myślisz. Powiedziałem już, że niedługo zaczynamy trygonometrię. Keogh zna program. Może coś poczytał na zapas?

— Tak? — Harmon uśmiechnął się ironicznie. Wyciągnął rękę przez stół i klepnął kolegę po ramieniu. — W takim razie, George, wyświadczyć mi przysługę i przekaż książkę, z której on korzystał, dobrze? Bardzo chciałbym ją zobaczyć. Rozumiesz, w ciągu tych lat nauczania w szkole nie spotkałem takiego wzoru. Może znał go Archimedes, Euklides albo Pitagoras, ale nie ja!

— Co? — Hannant jeszcze raz spojrzął na rysunek, tym razem dokładniej. — Ale ja znam. To znaczy, rozumiem zasadę Keogha. Musiałem gdzieś to już widzieć, musiałem... Uczę trygonometrii od dwudziestu lat.

— Mój młody przyjacielu. Ja też uczę, nawet dłużej. Posłuchaj, wiem wszystko o sinusach, cosinusach, tangensach. Dokładnie rozumiem trygonometryczne proporcje, nie są mi obce podstawowe i skomplikowane wzory matematyczne. Podobnie jak tobie. Może znam się na tym lepiej, ale nigdy nie widziałem tak jasno przedstawionego wzoru, tak logicznie, tak profesjonalnie sformułowanego. Tak! Nie można powiedzieć, że Keogh odkrył wzór, bo nie odkrył. Tak samo jak Newton nie odkrył grawitacji. To jest stałe jak pi. Zawsze było. Keogh pokazał nam, że to jest! — Wzruszył bezradnie ramionami. — Nie wiem jak to lepiej wytłumaczyć.

— Wiem o czym myślisz — odrzekł Hannant. — Nie musisz dalej wyjaśniać. To ci właśnie powiedziałem; on widzi wszystko na wskroś.

— Ale to jest wzór! — naciskał Harmon, przerywając tok myśli Hannanta. Specyficzny, ale zawsze wzór. I pytam: co jeszcze, czy są w nim inne podstawowe zasady, na które nie natknęliśmy się do tej pory, reguły czekające na właściwy bodziec, by mogły zaistnieć. Biorę Keogha do college'u!

— Cieszę się, że go przyjmujesz. — Już chciał się zwierzyć, że trapią go dziwne myśli związane z chłopcem, ale powstrzymał się. — Nie sądzę, że mogłyby się zrealizować u nas, w Harden.

— Tak, rozumiem — odparł Harmon zamysławiając się. — Możesz być pewny, że zrobię wszystko, by chłopiec się u nas rozwinął. Obiecuję. Opowiedz mi o nim. Co wiesz o jego pochodzeniu?

W drodze powrotnej do Harden, siedząc za kierownicą swojego forda, Hannant myślał o tym, co powiedział Harmonowi o dzieciństwie i wychowaniu Keogha. Harry spędził młode lata w domu krewnych. Wuj miał sklep kolonialny na głównej ulicy, ciotka była gospodynią domową.

Dziadek Keogha był Irlandczykiem. Przeniósł się z Dublina do Szkocji w 1918 roku, pod koniec wojny. Pracował na budowach. Babka była z pochodzenia Rosjanką, uciekła przed rewolucją i osiadła w Edynburgu. Zamieszkała w dużym domu nad morzem, tam spotkał ją Sean Keogh. Pobrali się w 1920 roku. Trzy lata potem urodził się Michael, wuj Harry'ego, a w 1931 roku jego matka, Mary Keogh. Sean Keogh był surowym ojcem, chciał wciągnąć syna w budownictwo (czego ten nienawidził), zmuszał do ciężkiej pracy od czternastego roku życia. Natomiast dosłownie szalał za córką. To wywołało zazdrość brata wobec siostry. Michael mając 19 lat uciekł na południe i zaczął własne życie.

Zanim Mary skończyła 20 lat, szalona miłość ojca do córki obróciła się w nieopaną zaborczość. Odciął ją od świata zewnętrznego, pozostawała w zupełnej izolacji. Pomagała w pracach domowych mamie, rosyjskiej arystokratce. Ponadto regularnie brała udział w podejrzanych seansach. Natasza Keogh była z nich powszechnie znana.

Latem 1953 roku stało się nieszczęście. Sean Keogh zginął w wypadku. Żona, która dobiegała pięćdziesiątki, zaczęła chorować. Sprzedała sklep i odsunęła się od życia towarzyskiego. Okazyjnie organizowała seanse, żyła z odsetek bankowych. Dla Mary śmierć ojca była początkiem wolności, jakiej dotychczas nie zaznała. Wyzwoliła się.

Przez następne dwa lata żyła ze skromnego stypendium. Wiosną 1955 roku spotkała, starszego o 25 lat, bankiera z Edynburga. Pobrali się. On nazywał się Gerald

Snaith. Żyli w dużej posiadłości niedaleko Bonnyrigg. W tym czasie stan zdrowia matki Mary zaczął się pogarszać, lekarze stwierdzili raka. Odtąd Mary Keogh połowę czasu spędzała opiekując się matką w domu nad brzegiem morza w Edynburgu.

Harry „Keogh” urodził się jako Harry Snaith w dziewięć miesięcy po śmierci babki, w 1957 roku. W rok później w swym gabinecie bankowym zmarł na atak serca jego ojciec.

Mary Keogh była silna i jeszcze młoda. Sprzedała dom rodzinny nad morzem, była jedyną spadkobierczynią majątku męża. Chcąc wyrwać się na jakiś czas z Edynburga, wiosną 1959 roku przyjechała do Harden i wynajęła dom. Dużo czasu spędziła z bratem i jego żoną. Pogodzili się. Ponieważ nie najlepiej mu się wiodło w interesach, swoją gotówką pomogła mu przezwyciężyć kłopoty.

Michael Keogh wyczuł smutek i beznadziejność życia siostry. Gdy próbował dociekać, co ją gryzie, przypomniała mu o „szóstym zmyśle” jakim była obdarzona ich matka. Twierdziła, że odziedziczyła po niej tę cechę. Ten zmysł mówił jej, że wkrótce umrze.

Bała się o przyszłość syna. O to, co się z nim stanie, jeśli ona umrze. Był jeszcze małym chłopcem.

Michael Keogh i jego żona nie mogli mieć dzieci. Wiedzieli o tym przed ślubem, a jednak pobrali się. Uznali, że nie jest to najważniejsze, skoro najbardziej liczy się uczucie. Czasami rozważali adopcję. W tych okolicznościach brat przyrzekł zaopiekować się dzieckiem, choć nie dawał wiary przecuciom siostry. Ta „obietnica” miała przede wszystkim uspokoić ją.

W tym czasie Mary spotkała i została „omotana” przez mężczyznę niewiele od siebie starszego. Nazywał się Wiktor Szukszin. Był to rosyjski dysydent, który uciekł na Zachód w poszukiwaniu azylu politycznego. Pobrali się w 1960 roku i zamieszkali w Bonnyrigg. Ojczym Harry’ego był lingwista, dawał prywatne lekcje rosyjskiego i niemieckiego w Edynburgu. Nowe małżeństwo nie miało problemów finansowych. Oboje oddali się życiu bez trosk, zaspokajali swoje pragnienia, robili to, co lubili. Szukszin także był zainteresowany „paranormalnością”, podobnie jak Mary.

Michael Keogh poznał go dopiero na ślubie siostry, potem jeszcze raz widzieli się na wakacjach, a potem na jej pogrzebie. Zimą 1963 roku Mary Keogh zmarła — jak przepowiedziała — w wieku 32 lat. Jej rodzina nie lubiła Sukszina. Coś ich od niego odrzucało, może to, co przyciągało Mary Keogh?

Jej śmierć była czymś dziwnym. Mary utonąła pod lodem, pochłonięta przez rzekę. Wiktor był razem z nią, ale nie mógł pomóc. Oszalały pobiegł po ratunek — na próżno.

Płynąca pod lodem rzeka miała wiele spokojnych miejsc na brzegach, gdzie mogła wynieść ciało. Czekano do roztopów. Bezskutecznie. Woda nanosiła dużo mułu z okolicznych wzgórz. Sądzono, że przykrył ciało. Mary Keogh nigdy nie odnaleziono.

Michael wypełnił obietnicę. Harry zamieszkał u niego w Harden. Szukszin musiał na to przystać, zresztą nie lubił dzieci i nie był zdolny do samodzielnego wychowywania chłopca. Z woli matki Harry otrzymał spory spadek, dom w Bonnyrigg dostał się Rosjaninowi, który powrócił do swoich lekcji. Ani razu nie wyraził chęci zobaczenia Harry'ego, ani o niego nie pytał.

Historia rodzinna, mimo że dramatyczna nie mówiła nic specjalnego o Harrym Keoghu. Jediną rzeczą, która bardziej zainteresowała Hannanta były szczególne skłonności jego babki i matki do zjawisk paranormalnych. Mary była przekonana, że odziedziczyła „moc” po matce, Nataszy Keogh.

Jakiś czas potem, gdy Harry opuścił szkołę dla chłopców w Harden i przeszedł do college'u w Hartlepool, Hannant natknął się na ostatnią „odmienność” dotyczącą chłopca.

Na strychu stała stara, drewniana skrzynia pełna książek, papierów, zapisków ojca z nauczycielskich czasów. Hannant natknął się na nią, gdy poszedł naprawiać dach. Była solidnie zbudowana. Ciemne drewno, mosiężne okucia i zawiasy nadały jej staroświecki wygląd.

Obejrzał stare fotografie, odłożył rzeczy, które ewentualnie przydałyby się do pracy w szkole. Znalazł stary, oprawiony w skórę notes, pełen notatek. Układ i styl prac ojca zastanowił go...

W jednej chwili ów znany, niewytłumaczalny chłód otoczył go. Zadrżał, usiadł gwałtownie. Ciało zeszywniało. Jak w transie. Zamknął notes ojca i szybko zbiegł na dół. Wpadł zdyszany do salonu, gdzie w kominku buchał ogień. Bez zastanowienia rzucił zeszyt w płomienie.

Tego samego dnia zebrał notatki i książki Keogha, by przesłać je do college'u. Wziął najnowszy zeszyt i przejrzał przelotnie kilka stron. Zamknął go i także wrzucił do ognia.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Latem 1972 Dragosani wrócił do Rumunii.

Wyglądał świetnie w modnej, spranej koszuli bez kołnierzyka, w dobrze skrojonych spodniach. Miał na sobie połyskujące, czarne buty o ostrych, spiczastych czubach, marynarkę w kratę z dużymi kieszeniami.

Było upalne popołudnie. Dragosani znajdował się teraz na obrzeżach wioski, nieopodal drogi łączącej miejscowości Corabia i Calinesti. Stał nieruchomo oparty o samochód. Patrzył na bezładnie rozrzucone wiejskie chałupy. Dookoła rozciągały się pola uprawne.

Wyglądał jak bogaty turysta z Zachodu, może z Turcji czy Grecji. Z drugiej strony, wołga czarna jak jego buty, nasuwała inne skojarzenia. Turyści jednak są wszystkiego ciekawi, kręcą się bezustannie, a on patrzył spokojnie, jakby okolica była mu dobrze znana.

Właściciel zagrody, Hzak Kinkovski, nadszedł od strony budynku gospodarczego, gdzie właśnie skończył karmić kurczaki. Zdziwił się, bo oczekiwał turystów dopiero pod koniec tygodnia. „Co to za jeden?” — pomyślał podejrzliwie. „Może to urzędnik z Ministerstwa Gospodarki Terenowej, jakiś zasrany sługus tych bolszewickich przemysłowców. Muszę na niego uważać”.

— Kinkovski? — zapytał przybysz — Hzak Kinkovski? Powiedzieli mi w Ionestasi, że masz pokoje. Rozumiem, że ten budynek — wskazał na chwiejący się kamienny dom przy brukowanej drodze — to pokoje gościnne.

Kinkovski pobladł i udawał, że nic nie rozumie. Zmarszczył brwi i przyglądał się Dragosaniemu, zbierając myśli. Nie zawsze deklarował swoje dochody z turystyki, przynajmniej nie wszystkie.

— Tak, nazywam się Kinkovski. Mam pokoje, ale o co chodzi?

— Mogę zostać czy nie? — Przybysz był zmęczony i niecierpliwił się.

Kinkovski dostrzegł, że jego odzież, na pierwszy rzut oka modna i elegancka, była wygnieciona po długiej podróży.

— Wiem, że jestem o miesiąc za wcześnie, ale przecież nie masz jeszcze gości.
„O miesiąc za wcześnie!” — teraz gospodarz przypomniał sobie.

— Aha! To pan jest ten Herr z Moskwy. Pytał pan w kwietniu, zamówił pokój, ale nie przysłał zaliczki. Herr Dragosani? Rzeczywiście wcześnie, ale witam i zapraszam. Przygotuję kwaterę. A może dam panu na razie pokój angielski. Ile czasu pan tu zostanie?

— Przynajmniej dziesięć dni — odparł. — Jeśli masz czystą pościel, znośne jeżdzenie i jeśli twoje rumuńskie piwo nie jest zbyt gorzkie. — Spojrzał ostro, nieprzyjemnie.

Kinkovsi spieszył się i złagodniał.

— Mein Herr — zaczął mamrotać gospodarz — moje pokoje są tak czyste, że można jeść z podłogi. Moja żona gotuje wyśmienicie. Moje piwo jest najlepsze w Karpatach Południowych. A nasze maniery są lepsze niż u Rosjan.

Dragosani zaśmiał się i wyciągnął rękę.

— Żartowałem. Lubię wiedzieć jacy naprawdę są ludzie. Lubię też ducha walki. Jesteś typowym synem swego kraju, Kinkovsi. Nosisz chłopskie ubranie, ale masz duszę wojownika. Myślisz, że jestem Rosjaninem? Z takim nazwiskiem? Ty jesteś tu bardziej obcy niż ja. Masz obce nazwisko, dziwny akcent, mówisz do mnie „Herr”. Jesteś Węgrem, tak?

Kinkovsi przyjrzał się twarzy Dragosaniego. Początkowa niechęć zniknęła. Poczul do niego sympatię. „Ten człowiek ma poczucie humoru” — pomyślał.

— Mój pradziad pochodził z Węgier — powiedział ujmując rękę gościa i potrząsając ją wylewnie. — Ale moja prababka była z Wołoszy. A co do akcentu, to jest miejscowy. W ciągu ostatnich dziesięcioleci przybyło tu wielu Węgrów, większość osiedliła się na stałe. Jestem Rumunem, nie mniej niż ty. Nie jestem tylko tak bogaty. — Zaśmiał się ukazując żółte, zniszczone zęby. — To prawda można powiedzieć, że jestem wieśniakiem. „Herr”! Wolałbyś, żebym nazywał cię „Towarzyszu”?

— Na Boga, tylko nie tak — odpowiedział szybko Dragosani. — „Mein Herr” wystarczy, dziękuję — Również się zaśmiał. — No pokaż mi te angielskie pokoje.

Kinkovsi prowadził przybysza do wysokiego, pokrytego spadzistym dachem domu gościnnego.

— Mam mnóstwo pokoi, cztery na każdym piętrze. Możesz wynająć kilka jeśli chcesz.

— Jeden wystarczy — rzucił Dragosani. — Byle z toaletą i łazienką.

— Małe mieszkanie, tak? Znajdzie się. Pokój na poddaszu, z osobną toaletą i łazienką. Bardzo nowoczesny, naprawdę!

Ściany na parterze były odnowione, pokryte świeżą cementową zaprawą w ko-

lorze piasku. Wyższe partie miały pierwotną, kamienną elewację. Dom wyglądał na ponad trzysta lat. Spodobał się Dragosaniemu, przeniósł go w przeszłość, do korzeni.

Kinkovski zaprosił do wejścia.

— Proszę tu pozostać — powiedział. — Pójdę na górę i przygotuję pokój. To nie potrwa długo.

Dragosani zrzucił buty, powiesił marynarkę na drewnianym krześle. Opadł na łóżko. Światło słońca wpadało przez owalne okno.

— Nie było mnie tu przez pół życia. Ale miło wracać. Od trzech lat przyjeżdżam tu na jakiś czas. Tak będzie jeszcze przez cztery lata...

— O? Ma pan zaplanowaną przyszłość na cztery przyszłe sezony. A co potem? — zapytał gospodarz zbiegając ze schodów.

Dragosani wyciągnął się na łóżku, położył dłonie pod głowę, spojrzał na niego zmrużonymi oczyma.

— Badam miejscową historię — odrzekł. — To zajmie mi jeszcze cztery sezony.

— Cała ta okolica to historia! Czy to jest pański zawód — badanie historii?

— Nie — potrząsnął głową. — W Moskwie mam... zakład pogrzebowy. Historia to moje hobby.

— Acha! — sapnął Kinkovski. — Zajmę się też posiłkiem. Toaleta jest w korytarzu...

Urwał nagle i spojrzał na leżącego mężczyznę. Przybysz miał zamknięte oczy. W pokoju było cicho i spokojnie. Kinkovski podniósł klucze od samochodu gościa porzucone na podłodze przed łóżkiem. W milczeniu opuścił pokój i zamknął za sobą ostrożnie drzwi. Wychodząc rzucił ostatnie spojrzenie. Przybysz spał.

Za każdym razem Dragosani wybierał inną kwaterę, ale zawsze w pobliżu miasta, które nazywał swoim domem. Nie chciał być rozpoznany. Myślał o używaniu innego nazwiska, pseudonimu, ale odrzucił ten pomysł. Był dumny ze swego nazwiska i ze swojego pochodzenia. Nie z powodu miasta Dragasani i jego geograficznego położenia, ale dlatego, że tutaj został znaleziony. Jego ojcem były szczyty gór Transylwanii, matką żywna, ciemna ziemia.

Miał swoją wersję o prawdziwych rodzicach. To, co zrobili, było prawdopodobnie najlepszym rozwiązaniem. Wyobrażał ich sobie jako Cyganów, młodych kochanków wyrzuconych z taboru. Ich miłość nie mogła przewyciężyć rodzinnych waśni, a oni kochali się nade wszystko. Dragosani urodził się i został porzucony. Niedawno chciał odnaleźć nieznaną rodzinę i dlatego tu przyjechał, choć zdawał sobie sprawę, że było to niemożliwe do wykonania. Przez Rumunię od wie-

ków przetaczały się tysiące Cyganów, przez wszystkie jej krainy: Starą Wołoszczyznę, Transylwanię, Mołdawię. Wszystkie te regiony posiadały pewien rodzaj naturalnej autonomii, własny charakter.

O tym myślał Dragosani, gdy zasypiał. We śnie widział obrazy z dzieciństwa — zanim opuścił Rumunię, by dokończyć edukację. Był samotnikiem, żył własnym życiem. Wędrował tam, gdzie inni bali się pójść, gdzie nie wolno było im chodzić...

Ciemny i gęsty las spływał po stromych i krętych stokach wzgórz. Borys odwiedził to miejsce tylko raz, w trzy dni przed swoimi siódmymi urodzinami (przed siódmą rocznicą jego znalezienia, jak mawiał przybrany ojciec). Prezentem urodzinowym była podróż do Dragasani. Poszedł tam do małego kina. Krótki rosyjski film teraz już zamazywał się w pamięci. Przypominał sobie też jakąś szaloną jazdę w wesołym miasteczku. To było przerażające i ekscytujące zarazem.

To było nieuczęszczone miejsce, zupełnie opustoszałe. Dlatego też Borys tak bardzo je lubił. Nie wycinano tu drzew od prawie pięciuset lat, żaden gajowy nie opiekował się tymi porośniętymi sosnami stokami. Promienie słońca rzadko przebijały się przez gąszcz krzewów i drzew. Tylko ciche gruchanie leśnych gołębi i szelest pełzających jaszczurek sporadycznie zakłócał ciszę. Wokół wirowały pyłki nasion, szyszki i igły zaścierały ziemię.

Wzgórza znajdowały się na starej wołoskiej równinie. Przypominały swoją rzeźbą, kształtem krzyż z centralną belką długą na dwie mile z północy na południe i poprzeczną belką milową ze wschodu na zachód. Wokół rozpościerały się pola uprawne, oddzielone od siebie murami, płotami, wąskimi alejami drzew. W najbliższym sąsiedztwie krzyżowych wzgórz rosły ostre, dzikie trawy. Pięły się wysoko, tryskały soczystą zielenią. Czasami przybrany ojciec Borysa pozwalał wypasać tam bydło. Ale nawet zwierzęta unikały tego miejsca, obawiały się go bez żadnego widocznego powodu. Łamały zapory, przeskakiwały ogrodzenia, by uciec od tych dziwnych, zbyt spokojnych pól.

Dla małego Borysa to miejsce było wyjątkowe, Tu mógł się bawić, penetrować „dżunglę Amazonki”, szukać „zapomnianych miast Inków”. Nigdy nie ważył się powiedzieć przybranej rodzinie o swoich zabawach, i o miejscu, gdzie to robił. Fakt, że był to zakazany teren, fascynował go, było w nim coś, co przyciągało jak magnes.

Tak jak teraz. Wspiął się po stromych, krzyżowych stokach, chwycił się gęsto rosnących drzew. Oddychał ciężko. Sapał, targał za sobą wielki karton. W środku był jego pojazd, podobny do tego z wesołego miasteczka, tyle, że bez kół. Długa wyprawa warta była trudu. To miał być ostatni zjazd, tym razem z samego szczytu. Słońce zachodziło i w domu czekały go już wymówki za spóźnienie. Ale jeden

dodatkowy zjazd nie mógł już więcej zaszkodzić.

Zatrzymał się na szczycie dla zaczerpnięcia oddechu, przysiadł na chwilę w bladym świetle spływającym zza wysokich, posepnych sosen. Podciągnął pudło do miejsca, gdzie ścieżka spadała wprost do podnóża. Kiedyś, dawno temu wyrąbano tu przecinkę, nie uprzedzono drwali o naturze tego miejsca. Wyrosły młode drzewka, ale nie zakryły blizny, która była torem śmiałych rajdów Borysa.

Przez chwilę balansował pojazdem na krawędzi, potem wskoczył do środka, chwycił za ścianki i mocno rozkołysał pudło, aż zaczęło zsuwać się w dół.

Z początku sunęło gładko po warstwie igieł i trawy, między krzakami i młodymi drzewami, wzdłuż blizny ale... Borys był dzieckiem. Nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa, nie czuł stromizny i siły przyśpieszenia.

Zjazd coraz bardziej przypominał oszalamiający pęd z wesołego miasteczka. Wtem pudło uderzyło w kępę traw, wyskoczyło w górę. Odbiło się poślizgiem o młode drzewo i wpadło w gęsty las.

Nie było mowy o kontroli nad pojazdem. Borys nie mógł hamować ani kierować pudłem.

Z każdą chwilą był coraz bardziej potłuczony i posiniaczony. Trzęsło nim jak ziarnkiem grochu w strączku. Odbił od przecinki, a słabe światło zniknęło zupełnie. Uchyłał się przed niewidocznymi, chłostającymi twarz gałęziami. Wciąż trwał koszmar zjazdu.

Jazda skończyła się w miejscu, gdzie teren tworzył drobne usypisko pod drzewami, których korzenie wystawały na powierzchnię i wiły się niczym grube węże. Borys wypadł z pudła, staczał się gdzieś w przepaść. Widział tylko skrawki ciemnego nieba ponad szczytami posepnych sosen. Pamiętał jedynie uderzenie o krawędź kamienia i pograżanie się w ciemnej, zapyłonej przestrzeni.

Może stracił świadomość na minutę, może na pięć, a może na pięćdziesiąt. Może wcale nie stracił przytomności? Któż mógł mu dać prawdziwą odpowiedź...

— Kim jesteś? — zapytał nagle jakiś głos w jego bolącej głowie. — Dlaczego tu przyszedłeś? Czy składasz... z siebie ofiarę?

Borys poczuł jak paraliżuje go przerażenie, paniczny lęk, przed którym nie ma ucieczki. Dotychczas strach kojarzył mu się ze skrzypiącymi odgłosami kroków w ciemności, z pukaniem gałązek do okien jego sypialni w nocy. Bał się też ropuch i karaluchów.

Pewnego razu, gdy zszedł do głębokiej chłodnej piwnicy pod zagrodą, gdzie jego przybrany ojciec trzymał wino i sery owinięte w płótno, usłyszał niezwykle drażniące i natrętne bzyczenie. W kręgu światła małej pochodni ujrzał olbrzymią zieloną muchę. Podeszedł bliżej, chciał ją zabić znienacka, ale mucha zniknęła! Odwrócił się i zobaczył dwie następne, gdy zamachnął się na nie szmatą, znów znik-

nęły.

W zimnej piwnicy zrobiło mu się gorąco — po półce, na której stały omszałe butelki, łąziły cztery wielkie muchy... Tym razem nawet nie próbował ich dosięgnąć — uciekł w popłochu, jakiego się po sobie nie spodziewał. Kiedy zdyszany stanął w świetle dnia, z rękawa koszuli wyleciały, głośno bzycząc, wielkie owady. Długo nie mógł się otrząsnąć, był przerażony. Działo się coś złego.

Tak właśnie wyobrażał sobie koszmar. Chytra inteligencja, która zbliża się do nas coraz prędzej, w miarę jak od niej uciekamy.

— Więc jesteś jednym z moich... dlatego tu przyszedłeś, wiedziałeś jak mnie znaleźć... — powiedział głos silniej.

Wtedy Dragosani zdał sobie sprawę, że jest świadomy; głos był rzeczywisty! Zło w nim zawarte było lepkiem dotknięciem ropuchy, zielonymi muchami w ciemności, tykaniem zegara, który zdaje się mówić w nocy rzeczy, o których milczy w dzień.

Wyobrażał sobie usta wypowiadające te ociekające jadem słowa. W umyśle obraz rysował się żywy i potworny: wargi ociekały krwią niczym płynnym rubinem, błyszczące kły wystawały jak u wielkiego, wściekłego psa!

— Jak... ci na imię, chłopcze?

„Dragosani” — pomyślał, bo gardło miał zbyt suche, żeby przemówić. To jednak wystarczyło.

— Dragosani! — głos zmienił się w chrapliwy szept, świszczące westchnienie nagłego objawienia. — Jesteś niestety za młody! Nie masz siły, chłopcze! Jesteś dzieckiem, zwykłym dzieckiem. Cóż możesz dla mnie zrobić? Nic! Krew płynie jak woda w twoich żyłach. Nie ma w niej żelaza...

Borys powstał i rozejrzał się przerażony. Huczało mu w głowie. Znajdował się w połowie zbocza, na krawędzi skały, powyżej drzewa. Nie był tu nigdy przedtem, nie wiedział, że to miejsce istnieje. Oczy przyzwyczyły się już do ciemności, zobaczył, że siedzi na pokrytej mchem kamiennej płycie, która mogła być tylko grobowcem.

Widział już coś takiego. Jego wuj zmarł miesiąc temu. Ale pochowano go w poświęconej ziemi, na cmentarzu w Slatinie — to miejsce nie było poświęcone.

Niewidzialne istoty poruszały się dookoła w stęchłym powietrzu, nie muskając nawet girland pajęczych sieci i martwych zwisających gałązek. Było zimno, wilgotno. Słońce nie zaglądało tu od kilkuset lat.

Grób był wyciosany z grubego bloku skały, przykrywała go masywna płyta. Gdy Borys spadał, musiał uderzyć głową o ten kamień. Czuł i słyszał rzeczy, których nie można było słyszeć i czuć.

Wśluchał się, wyteżył wzrok. Próbował powstać. Udało się za trzecim razem.

Drżąc oparł się całym ciałem o płytę. Słuchał i patrzył. Żaden głos, żaden obraz nie pojawił się. Odetchnął z ulgą.

Zbite skorupy błota, mchu i sosnowych igieł odpadły od płyty, gdy uniósł ręce. Dragosani oczyścił grób z resztek śmieci. Ukazał się fragment herbu.

Cofnął gwałtownie ręce, zatoczył się do tyłu. Usiadł, ciężko oddychając, serce mu kołatało. Herb przedstawiał smoka z wysuniętą groźnie przednią łapą, nietoperza o trójkątnych, rozpusznych oczach, a nad nimi złowieszczą głowę samego diabła z wywieszonym pożądliwie językiem.

Wszystkie trzy symbole — smok, nietoperz i diabeł wryły się w pamięć chłopca. Ten obraz na stałe zamieszkał w jego wyobraźni.

— Uciekaj, młody człowieku, uciekaj... odejdz stąd. Jesteś za mały, za młody! Zbyt niewinny, a ja jestem za słaby i tak bardzo stary.

Nogi ugiwały się pod nim, obawiał się, że upadnie. Wycofał się, obrócił i zaczął uciekać z tego ponurego miejsca. Chciał się znaleźć jak najdalej od pokrytego igliwem nagrobku, gdzie sękate, wiekowe korzenie wystawały nad powierzchnią ziemi, z dala od tego przeklętego grobu i jego sekretów.

Wciąż biegł, przeciskając się pomiędzy drzewami chłostany przez gałęzie, posiniaczony od upadków. Głos odezwał się raz jeszcze w jego głowie, głos ohydny i podstępny.

— Uciekaj, uciekaj! Ale nie zapomnij o mnie, Dragosani. Bądź pewny, że i ja nie zapomnę o tobie. Poczekam, aż będziesz silny, aż twoja krew stanie się gorąca i będziesz już wiedział, co czynisz. Musisz mieć silną wolę. Wtedy zobaczymy. Teraz muszę spać...

Borys wydostał się z lasu u stóp wzgórza, przeskoczył niski płot, którego górna belka była nadłamana. Upadł twarzą w dzikie trawy i osty. Błogosławił światło. Wstał i pobiegł w kierunku domu. Na środku pola, kiedy zabrakło mu tchu, zatrzymał się na chwilę. Odwrócił twarz w kierunku posepnych gór. Słońce zachodziło, ostatnie promienie oblewały złotem szczyty sosen. Dragosani wiedział, że tam, w tajemnym miejscu, spoczywa w cieniu drzew nietknięta płyta starego grobu.

„Kim jesteś” — zapytał w myślach.

— Dobrze wiesz Dragosani. Wiesz dokładnie. Nie pytaj „kim jesteś”, zapytaj „kim jestem?” Odpowiedź jest jedna. Jestem twoją przeszłością, Dragosani. A ty... jesteś... moją... przyszłością! — odezwał się głos unoszony powiewem wieczornego, zimnego wiatru znad wzgórz i pól Transylwanii.

— Herr Dragosani!

— Czym... kim... kim jesteś? — powtórzył pytanie ze snu. Zerwał się nagle

i — usiadł półprzytomny na łóżku. Młoda dziewczyna skłoniła się po wiejsku. Uśmiechnął się do niej cierpko. Gdy się budził, zawsze był rozdrażniony, szczególnie jeśli wrywano go ze snu przed czasem.

— Jesteś głucha? — Przeciągnął się. — Zapytałem kim jesteś?

Jego surowy głos nie zaskoczył jej, uśmiechnęła się prawie bezczelnie.

— Na imię mam Ilza, Herr Dragosani. Ilza Kinkovsi. Spał pan trzy godziny. Był pan bardzo zmęczony. Ojciec powiedział, by nie budzić pana. Przygotowałam pokój na górze. Jest już gotowy.

— A czego teraz chcesz ode mnie? — zapytał rozdrażniony.

Było w niej coś irytującego, może zbyt pewność siebie. Ładna, młoda, może miała dwadzieścia lat, zauważył też, że nie ma obrączki. Przeszedł mu dreszcz po plecach.

— Na górze jest cieplej. Słońce ogrzewa szczyt domu. Wspinaczka po schodach ożywi krew. — Dragosani rozejrzał się po pokoju. Wstał i macał kieszenie marynarki wiszącej na krześle.

— Gdzie są moje klucze? I moje walizki?

— Ojciec zabrał walizki, a oto klucze. — Jej dłoń dotknęła jego zimnej jak skała ręki. Zadrżał, a ona zaśmiała się.

— Niewinny jak dziewica!

— Co? — syknął przybysz. — Co po-wie-dzia-łaś?

Odwróciła się ku drzwiom i podeszła do schodów.

— To takie miejscowe powiedzenie, że gdy chłopiec drży od dotknięcia dziewczyny, znaczy, że jest prawiczkim.

— Co za głupota! — rzekł Dragosani.

Spojrzała na niego i znów się zaśmiała.

— To pana nie dotyczy. Nie jest pan chłopcem, nie wygląda pan na nieśmiałego. Tak tylko powiedziałam!

— Za bardzo spoufalasz się z gośćmi — warknął Borys. Drażnił go jej opiekuńczy ton.

— Staram się być uprzejma. To nie jest dobre, gdy ludzie nie rozmawiają ze sobą. Ojciec kazał się zapytać, czy będzie pan jadł kolację z nami czy u siebie, w pokoju.

— Zjem w pokoju — odparł natychmiast.

Wzruszyła ramionami i zaczęła się wspinać na drugie piętro.

Ilza nie była zbyt gustownie ubrana, nosiła bawełnianą spódnicę za kolana, ciasno spiętą w talii, krótką, czarną bluzkę zapinaną od przodu, na nogach zaś miała gumki. Ten strój nadawał się tylko do pracy w gospodarstwie.

Szedł za nią. Próbował odwrócić wzrok. Kręciła tyłkiem! Jej krągłe pośladki po-

ruszały się niezwykle kusząco pod tą nieładną spódnicą. Przystanęła na drugim piętrze, umyślnie czekała na krańcu schodów. Dragosani stanął także i wstrzymał oddech. Spojrzała w dół, bezczelnie uśmiechając się i patrząc mu prosto w oczy. Prowokacyjnie potarła wewnątrz uda kolanem. Patrzyła na niego coraz bardziej wyzywająco.

— Jestem pewna, że się tu panu... spodoba — powiedziała.

— Tak, tak... z pewnością...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie zatrzymując się już więcej, Ilza Kinkovsi zaprowadziła Dragosaniego na poddasze. Pokazała łazienkę, która o dziwo była bardzo nowoczesna.

Pokoje wyglądały bardzo przytulnie: bielone ściany, stare dębowe belki, powleczone pokostem szafki i półki. Dragosani poczuł się lepiej, przychylnie spojrzął na dziewczynę. Pomyślał, że byłoby niegrzecznie jeść w samotności, kiedy ojciec i córka okazali taką gościnność.

— Ilza! — zawołał nagle. — Ee. Przepraszam... panno Kinkovsi, zmieniłem zdanie. Chciałbym jeść z wami. O której jest posiłek?

Ilza, schodząc po stopniach, spojrzała przez ramię.

— Jak tylko się pan odświeży — powiedziała bez uśmiechu.

— Dobrze. Będę za kilka minut.

Jej kroki ucichły. Dragosani szybko zdjął koszulę, otworzył jedną z walizek. Wyjął ręczniki, aparat do golenia, nowe spodnie i skarpety. Dziesięć minut później był gotów, wyszedł na zewnątrz. Przy drzwiach budynku gospodarczego spotkał staro Kinkovsi.

— Przepraszam! Przepraszam! — powiedział. — Śpieszyłem się jak mogłem.

— Nie szkodzi — gospodarz wyciągnął rękę. — Witaj w moim domu. Proszę wejść, zaraz zaczynamy jeść.

Jadalnia była dość duża, ale ciemna i niska. Na środku stał wielki kwadratowy stół, przy którym mogłoby zasiąść dwunastu ludzi. Gość usiadł na krześle, twarzą do okna. Ilza umiejscowiła się naprzeciw, kiedy już pomogła matce podać do stołu. Po prawej stronie usiadł Hzak Kinkovsi z żoną, która właśnie skończyła swoje obowiązki. Obok nich dwaj synowie w wieku może dwunastu i szesnastu lat.

Posiłek był prosty, ale obfity. Należało pochwalić kuchnię, więc Dragosani wymruczał kilka komplementów. Ilza uśmiechnęła się, a jej matka, Maura Kinkovsi, promieniała z zadowolenia.

— Domyślam się, że musi być pan głodny. Taka długa podróż, aż z Moskwy...

— Zatrzymywałem się, by coś przekąsić — odpowiedział gość. — Ale zawsze posiłki nie zadowalały mnie i były bardzo drogie. Spałem godzinę, może dwie w samochodzie, gdzieś za Kijowem. Przyjechałem przez Gałac, Bukareszt, Pitești. Omijałem góry.

— Tak, daleka droga — potaknął gospodarz. — Tysiąc sześćset kilometrów.

— W linii prostej — powiedział Dragosani. — Przejechałem samochodem, ponad dwa tysiące kilometrów według licznika.

— Taka droga po to, by studiować miejscową historię — pokręcił głową gospodarz.

Skończyli posiłek. Gospodarz oparł na rękach ogorzałą twarz. Zapalił fajkę. Aromatyczny dym unosił się dookoła. Dragosani zapalił rothmansa z paczek, jakie Borowic zakupił dla niego w „specjalnym sklepie” dla moskiewskiej elity partyjnej. Dwaj synowie udali się do wieczornych zajęć, kobiety poszły pozmywać naczynia. Zostali sami.

Wzmianka gospodarza o „miejscowej historii” zdziwiła przybysza, ale zaraz potem przypomniał sobie, że taki podał powód swojej wizyty w Rumunii. Zaciągnął się papierosem. Podał się za właściciela zakładu pogrzebowego. Zastanawiał się czy zabrzmi to dziwnie, jeśli wyjaśni swoje chorobliwe zainteresowania.

— Mógłbym równie dobrze pojechać na Węgry, do Mołdawii czy dalej przez Alpy, do Ordei. Albo na przykład do Jugosławii, czy daleko na wschód, do Mongolii. Wszystkie te miejsca mnie interesują, ale Rumunia najbardziej. Tutaj się urodziłem.

— A co pana tu przyciąga? Góry? A może bitwy? Mój Boże, ten kraj wie, co to wojny. — Kinkovsi nie tylko był uprzejmy, szczerze się zainteresował. Nalał więcej domowego wina (z miejscowych winogron) do szklanki gościa i uzupełnił swoją.

— Góry to nie wszystko — odpowiedział Dragosani. — Tak jak i bitwy. Legenda, którą badam jest starsza niż historia znana przez naukowców. Może tak stara jak okoliczne góry. Bardzo tajemnicza sprawa — i bardzo straszna.

Pochylił się nad stołem, spojrział w wodniste oczy gospodarza.

— No dobrze, proszę nie trzymać mnie w napięciu. Co to za tajemnicza pasja? Czego pan poszukuje?

Wino było mocne, Dragosani rozluźnił się i stał się mniej ostrożny. Słońce zachodziło. Mrok ogarniał wszystko.

Z kuchni dobiegał brzęk naczyń i stłumione, kobiece głosy. W drugim pokoju tykał stary zegar. To była wymarzona sceneria.

— Legenda o której myślę — powiedział powoli i poważnie — dotyczy wampira.

Przez chwilę Kinkovsi wyglądał na zaskoczonego. Potem ryknął śmiechem

i poklepał się po udzie.

— Ha! ha! Wampir. Powinienem się domyślić. Każdego roku przyjeżdża wielu takich jak pan. Wszyscy szukają Drakuli.

— Wielu takich? Każdego roku? — Dragosani był zaskoczony.

— Przyjeżdżają. Teraz, kiedy wasza „żelazna kurtyna” trochę się podniosła. Przyjeżdżają z Ameryki, Anglii, Francji, czasami z Niemiec. Głównie są to ciekawscy turyści, ale nawet wykształceni ludzie, naukowcy. Wszyscy polują na „legendę”. Sam nabrałem kilku, w tym pokoju, udając, że boję się Drakuli. Każdy wie, nawet taki wieśniak jak ja, że to stworzenie to wymysł z książki bystrego Anglika, którą napisał na przełomie wieku. Tak! Niecały miesiąc temu widziałem film pod takim samym tytułem, w kinie w mieście.

— Naukowcy mówisz? — Borys z trudem ukrył zakłopotanie. — Wykształceni ludzie?

Kinkovski wstał i włączył światło. Pyknął z fajki.

— Tak, naukowcy. Profesorowie z Kolonii, Bukaresztu, Paryża. Przez ostatnie trzy lata. Uzbrowieni w notesy, fotokopie starych, spleśniałych dokumentów i map, w aparaty i szkicowniki, i cały ten ich kram.

— I w książeczki czekowe.

Kinkovski wybuchnął śmiechem.

— O tak! Mają pieniądze. Słyszałem, że na przełęczach małe wioskowe sklepiki sprzedają im buteleczki z ziemią z zamku Drakuli.

Dragosani poczuł wzbierającą złość, czuł, że jest obiektem żartów gospodarza. Ten żółtozęby prostak nie wierzył w wampiry, kpił z nich. To były dla niego turystyczne atrakcje oparte na przesądach i babskim gadaniu!

— Co to za rozmowy o potworach? — Maura Kinkovski wyszła z kuchni wycierając ręce w fartuch. — Lepiej uważaj, Hzak. Bądź ostrożny, gdy mówisz o diabłach. Pan też, Herr Dragosani. Są jeszcze opuszczone miejsca, których ludzie nie potrafią zrozumieć.

— Jakie opuszczone miejsca, kobieto? — zaśmiał się mąż.

„O tak! Są takie miejsca” — pomyślał Dragosani. „Jest śmiertelnie opuszczone miejsce w twoim grobie. Czuję samotność, z której nikt nie zdaje sobie sprawy, dopóki nie wskrzeszę cię moim dotykiem!”

— Wiesz, o czym myślę — podchwyciła Maura. — Krążą pogłoski, że w górach jeszcze istnieją wioski, gdzie ludzie wbijają drewniane kołki w serca zmarłych za młodu. To taki zwyczaj. Jak zdejmowanie kapelusza przed konduktem żałobnym.

W drzwiach pojawiła się Ilza.

— Poluje pan na wampiry? Chyba nie jest pan jednym z nich, Herr Dragosani?

— Oczywiście, że nie. Żartowałem, to wszystko. — Powstał.

— Tak? — sapnął Kinkovsi wyraźnie rozczarowany. — Szkoda, chciałem porozmawiać. Może później?

— Z pewnością znajdziemy czas na rozmowę — powiedział, podążając za gospodarzem do drzwi.

— Ilza — zarządził Kinkovsi — weź pochodnię i odprowadź pana do pokoju gościnnego, dobrze?

Dziewczyna uczyniła, jak jej kazano, poprowadziła gościa przez podwórze.

— Herr Dragosani, obok łóżka jest przycisk, jeśli będzie pan czegoś potrzebował, wystarczy tylko nacisnąć. Ale to z pewnością zbudzi moich rodziców, więc lepiej niech pan zostawi zasłony rozsunięte, to dojrzę z okna mojej sypialni...

— Co? — zapytał, udając, że nie rozumie. — W środku nocy?

— Mój pokój jest na parterze. Lubię otworzyć na noc okno i wdychać powietrze. Czasami wstaję i spaceruję o pierwszej po północy.

Dragosani pokiwał głową, odwrócił się i wszedł po schodach na górę. Czuł na plecach jej gorący wzrok.

W pokoju szybko zasunął dokładnie zasłony. Rozpakował walizki i wziął kąpiel. Gorąca woda parowała kusząco. Dragosani dodał soli i rozebrał się do naga.

Leżał i moczył się w wannie, rozkoszując się ciepłem, nie myśląc o niczym szczególnie. Woda oziębiła się. Zakończył kąpiel i wytarł się do sucha.

Była dopiero dziesiąta, kiedy już leżał pod kołdrą, chwilę potem zasnął.

Obudził się przed północą. Zobaczył pasek białego, księżycowego światła w miejscu, gdzie nie stykały się zasłony. Przypomniał sobie, co powiedziała Ilza Kinkovsi. Wstał, wziął spinacz i szczelnie połączył zasłony.

Nie bał się kobiet. Ani trochę! Ale nie mógł zrozumieć ich odmiennej natury, a oprócz tego miał tyle spraw na głowie, tyle do zrozumienia. Nie chciał marnować czasu na wątpliwe przyjemności. Miał inne potrzeby niż pozostali mężczyźni, jego ambicje były mniej przyziemne. To, co stracił z pospolitej zmysłowości, nadrobił nadprzyrodzonymi zdolnościami. Wiedział, że jego talent nie jest w pełni wykorzystany. Chciał poznać głębię wiedzy nie badaną od pięciuset lat. Tam, pośród nocy leżał ten, który znał prastare tajemnice, który za życia władał potworną magią. Tam, w ziemi, było źródło wiedzy. Pragnął je odszukać.

Była północ. Dragosani zastanawiał się, w jaki sposób może wezwać tajemniczy głos. Księżyc był w pełni, gwiazdy błyszczały jasno, gdzieś w górach wyły wilki. Tak jak pięćset lat temu.

Leżał bez ruchu i wyobraził sobie zniszczony grób oplatany przez skamieniałe macki korzeni, posępne drzewa dookoła, kryjące tajemnicę. Widział polanę na

wzgórzu.

„Stary, wróciłem. Przynoszę nadzieję w zamian za twoją wiedzę. To już trzeci rok, zastały tylko cztery. Co u ciebie?” — pomyślał.

Zerwał się wiatr z gór. Drzewa szumiały, gałęzie pochylały się ku oknom. Dragosani usłyszeli przerażające westchnienie, wiatr zamarł.

— Dragosani! To ty, mój synu? Wróciłeś do mnie?

— Któż inny mógłby to być? Tak, to ja, Szatanie. Jestem silny, jestem potężny. Ale chcę więcej. Dlatego wróciłem i dlatego będę wracał...

— Jeszcze cztery lata, Dragosani. A potem... potem zasiądziesz po mojej prawej stronie, a ja nauczę cię wielu rzeczy. Cztery lata, Dragosani. Cztery lata.

— Za długo dla mnie, Stary Smoku. Budząc się każdego rana, zasypiam wieczorem i liczę godziny. Czas płynie wolno. A u ciebie, co się wydarzyło przez ostatni rok?

— Minał jak chwila, szybko, niezauważalnie. Obudziłeś mnie, wznieciłeś tęsknotę. Przez pierwsze pięćdziesiąt lat spoczywałem i pragnąłem zemsty, zemsty na tych, którzy mnie tu uwięzili. Następne pięćdziesiąt lat chciałem już tylko powstać. Pomyślałem sobie, że moi zabójcy już nie istnieją, że są szczątkami we własnych grobach, prochem na wietrze. Przez następne sto lat chciałem wyrównać rachunki z synami moich oprawców.

Legiony przetoczyły się u stóp tych gór, zastępy Lombardczyków, Bułgarów, Awarów i Turków. Aaa! Turcy! Dzielni żołnierze, moi dawni wrogowie. Upłynęło pięćset lat, a ja zapominam o swojej chwale, tak jak dziad nie pamięta dzieciństwa. I prawie zapomniałem! I mnie zapomniano! Została po mnie wzmianka w rozsypującej się księdze. Może nie miałem już prawa istnieć? Może się z tego cieszyłem. I wtedy ty przyszedłeś do mnie. Zwykły chłopak imieniem... Dragosaaaniii...

Głos zamilkł, wiatr zerwał się ponownie i ucichł. Borys zadrżał w swoim łożku. To był jego wybór, jego przeznaczenie. Bał się, że straci kontakt.

— Ty, spod znaku smoka, nietoperza i diabła — jesteś tam? — zawołał niecierpliwie.

— A gdzie miałbym być, Dragosani? — głos jakby żartował. — Tak, jestem tutaj. Ożywiłem się w moim grobie. W ziemi, która jest teraz moim życiem. Myślałem, że o mnie zapomniałeś. Nasienie zostało jednak posiane. I wzeszło. Pamiętałeś o mnie, a ja o tobie. Znamy się wzajemnie...

— Opowiedz raz jeszcze. Powiedz jak to było. Moja matka i ojciec; jak się spotkali? Opowiedz mi o tym!

— Słyszałeś tę historię dwa razy — westchnął głos w jego głowie. — Chcesz jeszcze raz? Masz nadzieję ich odnaleźć? Nie mogę ci pomóc. Ich nazwiska nic dla mnie nie znaczyły. Nic o nich nie wiedziałem. Znałem tylko ciepło ich krwi. Ale,

skosztowałem jedną kroplę, jedną różową kapkę. Moja krew była w nich, ich krew we mnie — tak stałeś się ty. Nie pytaj o nich, Dragosani. Ja jestem twoim ojcem....

— Chciałbyś chodzić po ziemi, oddychać, gasić swoje pragnienie, Nietoperzu? Chciałbyś wyrzynać wrogów, rozrywać ich na strzępy, tak jak czyniłeś przed wiekami, tak jak czynili twoi przodkowie, Tym razem nie jako sługa niewdzięcznego księcia Drakuli. Jeżeli chcesz, to zamień się ze mną. Opowiedz o moich rodzi-
cach.

— Twoja propozycja brzmi jak groźba. Śmiesz mi grozić? — głos stał się lodowaty. — Ośmielasz się do mnie mówić, przypominać o Vladach, Radanach, Drakulach? Nazywasz mnie sługą? Chłopcze, moi „panowie” bali się mnie bardziej niż Turków. Dlatego przykuli mnie srebrnymi i żelaznymi łańcuchami i pochowali w zapomnianym miejscu na krzyżowych wzgórzach. Walczyłem dla nich, ku ich chwale, za ich „święty krzyż”, za ich „chrześcijaństwo”. Teraz walczę, by się uwolnić. Boli mnie ich zdrada, ich krzyż to sztylet wbity w moje serce!

— Sztylet, który ja mogę wyciągnąć. Twoi wrogowie odeszli A ty leżysz bez sił! Półksiężyc Turków zamienił się w sierp, to czego nie zdoła ściąć, rozwała młotem. Jestem Wołochem, tak jak ty. Moja krew jest starsza niż dzieje Wołoszy. Nie cierpię najeźdźców. Mamy nowego wroga, Stary Diabeł. Nasi przywódcy jeszcze raz okazali się sługami obcych. Więc jak będzie? Chciałbyś znów walczyć? Nietoperz, smok i diabeł przeciw młotowi i sierpowi!

— Dobrze, powiem ci jak to było, jak... nastałeś. Była... wiosna. Czas wschodzenia. Rok... czym dla mnie są lata? Ćwierć wieku temu.

— Był rok 1945 — powiedział Dragosani. — Wojna miała się ku końcowi. Cyganie uciekali w góry, tak czynili od wieków. Tym razem przed niemiecką machiną wojenną. Ukryły ich wyżyny Transylwanii. Niemcy polowali na nich po całej Europie. Wieźli na rzeź razem z Żydami do obozów śmierci. Stalin też deportował wiele mniejszości, rzekomych „kolaborantów” z Krymu i Kaukazu. Ale zbliżał się już koniec. Była wiosna 1945 roku. My poddaliśmy się już sześć miesięcy wcześniej. Niemcy uciekali. W kwietniu zabił się Hitler...

— Wiem tylko to, co mi powiedziałaś. Poddaliśmy się, mówisz? Ha! Nie dziwię się. Cztery i pół roku minęło i ciągle najeźdźcy. A ja nie mogłem pić wina wojny. Wzbudzasz we mnie stare pragnienia, Dragosani.

Tak, była wiosna, gdy przyszła ta para. Podejrzewam, że uciekali. Może przed wojną? Kto wie? Byli bardzo młodzi, ale płynęła w nich stara krew. Cyganie? Nie wiem...

Mój grób uszkodzono w dniu mojego uwięzienia. Nikt nie pojawił się od tamtej pory. Z wyjątkiem księży, którzy w pierwszych latach przyszli wykłuć ziemię, w której spoczywam. Potem przyszli oni, nocą, kiedy księżyc świecił nad górami.

Chłopiec i dziewczyna. Była wiosna, noce były jeszcze chłodne. Mieli koc i małą oliwną lampkę. Kochali się. Myślę, że to wyrwało mnie ze snu. A może byłem już rozbudzony? Przecież huczała wojna, jej grzmot przesywał ziemię, poruszał moje stare kości...

Czułem, co robili. Przez cztery i pół wieku nauczyłem się odróżniać upadek liścia z drzewa od muśnięcia piórka. Położyli koc na dwie zbiegające się płyty; to było ich schronienie. Zapalili lampkę, by widzieć siebie.

Oni... zainteresowali mnie. Przez lata, przez wieki wzywałem. Nikt nie przyszedł. Może powstrzymali ich księża, ostrzeżenia, mity i legendy, które narosły w ciągu tych długich lat.

Moja skarga musiała do nich dotrzeć. Przez setki lat gniewało mnie, że nikt nie przyszedł mnie uwolnić, pomścić. W końcu przyszli... Cyganie.

Dziewczyna była przerażona, a on nie mógł jej uspokoić. Wdarłem się do jej umysłu, dałem siłę, by odpędzić strach, siłę, by mogła zderzyć się z jego ciałem.

Tak, to była dziewczyna! Jej błona była nie naruszona! O mało nie umarłem w moim grobie — z żądy.

Tak... byli kochankami, ale nie w pełnym sensie tego słowa. On był chłopcem, młodzieniaszkiem — nigdy nie dotknął kobiety. Ona była dziewczyną. Wdarłem się i do jego umysłu. Oddałem im tę noc, jedyną. Uciekli nad ranem. Potem — nic o nich nie słyszałem.

— Poza tym, że ona urodziła mnie. — powiedział Dragosani. — I zostawiła na progu.

Odpowiedź nie przyszła natychmiast, dopiero z następnym porywem wiatru. Stwór w ziemi był już zmęczony, miał mało sił w sobie, za mało nawet na myślenie. Ziemia zatrzymała go w ciasnym grobie, pilnowała nieubłagalnie... uciszała.

— Taaaak. Ale wiedziała, gdzie cię zanieść. Była Cyganką, wędrowała. Przyniosła cię tam, gdzie zostałeś poczęty. Zrobiła tak, bo wiedziała, kto jest naprawdę twoim ojcem. Tamtej nocy kochałem szczerze. W podzięce jedna kropla krwi, drobna kropelka, Dragosaniiiii...

— Krew mojej matki.

— Krew twojej matki. Spadła na ziemię, w której leżałem. Jaka cenna kropla! To była i twoja krew, płynie teraz w twoich żyłach. Ta kropla przyniosła cię tutaj, gdy byłeś dzieckiem — mówił tajemniczy głos.

Dragosani milczał. W głowie kłębiły się myśli, wizje, wspomnienia wywołane słowami starego Szatana.

— Wrócę jutro.

— Jak zechcesz, mój synu.

— Śpij teraz... ojcz.

Ostatni poryw wiatru poruszył luźną dachówkę.

— Śpij dobrze, Dragosaaaniii...

Dziesięć minut później Ilza Kinkovsi wstała z łóżka, podeszła do okna i wyjrzała. Myślała, że to wiatr wyrwał ją ze snu, ale wokół panowała cisza, ani jednego powiewu. Z nieba płynęło srebrne światło księżyca. Zastony w oknie pokoju Dragosaniego były zaciągnięte.

Nazajutrz Dragosani zjadł śniadanie i wyjechał swoim samochodem jeszcze przed dziewiątą. Wybrał drogę prowadzącą blisko krzyżowych wzgórz. W dole, na rozległej nizinie znajdowała się zagroda, gdzie spędził dzieciństwo. Szukał dogodnego miejsca do obserwacji na mało uczęszczanej drodze.

Odwrócił wzrok od zabudowań, spojrzął na wzgórza. Wiedział dokładnie, gdzie patrzeć. Z niewiarygodną dokładnością i ostrożnością skoncentrował wzrok na pewnym miejscu, gdzie dostrzegł zielone sklepienie drzew, a poniżej zniszczoną płytę. Nie mógł tam pójść przed zapadnięciem zmroku. Przypomniawszy sobie jeszcze jeden wieczór, gdy był małym chłopcem...

Miał wtedy siedem lat. Sześć miesięcy po pierwszej wizycie na wzgórzach, wyszedł na sanki, z psem dla towarzystwa. Buba, podwórkowy kundel, zawsze biegał za nim. Tuż za wioską znajdował się mały spadek terenu, gdzie każdej zimy dzieci bawiły się w śnieżki i jeździły na sankach. Tam właśnie miał iść, ale wiedział, gdzie czeka na niego lepsza jazda — na przecince. Wzgórza były miejscem przeklętym i zakazanym. Ludzie w okolicy miewali dziwne sny. Coś wnikało w ich umysły, drażniło w nocnych koszmarach. Jego to przyciągało.

Przecinka doskonale nadawała się do jazdy. Borys przychodził tu często. Tamtego dnia zjechał tylko raz, w połowie drogi rozejrzał się dookoła, sprawdził, czy może dojrzeć miejsce pod drzewami. Zostawił sanki u podłoża góry i wraz z Bubą zaczął się wspinać. Wmawiał sobie, że to był zwykły grób, zapomniane miejsce pochówku dawnego właściciela ziemskiego — nic więcej. Za pierwszym razem to musiał być zły sen, uderzył głową w drzewo i stąd ten koszmar. Teraz miał Bubę dla towarzystwa i ochrony.

Pies pomachał ogonem, zaszczeakał, gdy zbliżali się do tajemnego miejsca. A potem nagle uciekł. Borys widział go poprzez drzewa, jak waruje przy saniach, nerwowo machając ogonem. Skamlał.

Chłopiec znalazł miejsce, które pamiętał z dnia rajdów w pudle. Tutaj zima nie dotarła, ziemia była czarna dla oczu przyzwyczajonych do bieli. Z pewnością było to miejsce ze złych snów. Dotarł do miejsca, gdzie płyty schodziły się, a na zapałym nadprożu widniała stara tarcza herbu.

Oczy rozróżniały już szczegóły mrocznej scenerii, a zimne palce szukały sym-

bolu nietoperza-smoka-diabła wyrytego w kamieniu. Pamiętał ten najbardziej zły ze złych głos, kiedy był tu ostatnim razem. Sen? Tak realny sen, który przypominał mu o wzgórzach od ponad pół roku!

Czego w końcu się obawiał? Starego zniszczonego grobu, niejasnych symboli na płytach nagrobka, głosu, który tak chorobliwie tłukł się po jego głowie?

Od tamtej chwili szept przychodził do niego często nocą w snach, gdy leżał bezpiecznie w łóżku: „Nigdy mnie nie zapomnij, Dragosaaaniii...”

— Widzisz, nie zapomniałem, wróciłem, przyszedłem. Do ciebie. Nie, do siebie. Na moje tajemne miejsce. — wykrzyknął głośno.

Jego ciepły oddech zabielił się gęstą parą w mroźnym powietrzu. Borys słuchał całym sobą. Jego słowa zamknięte w zamarzniętych kryształkach oddechu przesłały znak w głąb ziemi.

— Ty...? — Usłyszał swój głos skierowany do nikogo, do niczego, w mrok. — Czy to... ty?

— Dragosaaaniii! Moc jest już w twojej krwi. Dlatego wróciłeś?

Borys przygotowywał odpowiedź na to pytanie setki razy, czekał przygotowany, aż głos znowu przemówi w tajemnym miejscu. A teraz odwaga zupełnie go opuściła.

— No? Mróz przykuł twój język do zębów? Powiedz w myśli jeśli nie możesz wykrztusić z siebie słowa, chłopcze. Co z tobą? Zniknąłeś? Wilki wyją na przełęczach. Wiatry dmą nad górami i morzami, nawet spadający śnieg oddycha. A ty, pełen słów, wybuchający pytaniami, spragniony wiedzy — ogłuchłeś?

Borys chciał powiedzieć: „To moje wzgórze. To moje miejsce. Ty jesteś tu tylko pogrzebany. Bądź więc cicho.” Zamierzał powiedzieć to tak odważnie, jak to wiele razy powtarzał.

— Ty jesteś... naprawdę? — wykrztusił.

— A jak istnieją góry? Jak istnieje pełnia księżycy? Góry rosną i niszczą je wiatry, księżyc pojawia się i znika. Tak jak istnieją góry i księżyc, tak istnieję ja.

Borys nie zrozumiał, ale nabrał odwagi.

— Jeśli istniejesz naprawdę, to ukaż się.

— Igrasz ze mną? Wiesz, że nie mogę. Chciałbyś bym oblekł się w ciało? Nie potrafię. Jeszcze nie. Widzę, że twoja krew to nadal woda. Zamarzlaby jak lód na moim grobie, gdybyś mnie tylko ujrzał, Dragosani.

— Czy ty nie żyjesz?

— Jestem nieumarły.

— Wiem, kim jesteś. Jesteś tym, co mój ojciec nazywa „imaginacją”. Mówi, że to jest we mnie silne.

— To prawda, ale moja natura jest odmienna. Istnieję nie tylko w twoim umy-

śle.

Borys usiłował cokolwiek pojąć.

— Ale co ty robisz? — zapytał.

— Czekam.

— Na co?

— Na ciebie, mój synu.

— Ale ja jestem tutaj!

Pociemniało przez chwilę, jakby drzewa skłoniły się ku sobie. Dotyk niewidzialnego istnienia był delikatny jak muśnięcie piórka.

— Dziecko, nie kuś mnie. Poszłoby szybko, smacznie, ale na próżno. Nie jesteś dość silny, Dragosani. Twoja krew nie ma treści. Jestem głodny i byłbym cię pożarł, ale cóż po skromnej przekąsce?

— I... idę już...

— Żegnaj. Wróć, gdy będziesz mężczyzną, gdy nie będziesz mnie drażnił.

Borys opuścił polanę, kierował się ku czystym połaciom śniegu.

— Jesteś martwy. Nic nie wiesz. Co możesz o mnie wiedzieć?

— Jestem nieumarły. Wiem wszystko, co należy wiedzieć. Mogę ci o wszystkim powiedzieć.

— O czym?

— O życiu, o śmierci, o życiu poza śmiercią.

— Nie chcę nic o tym wiedzieć.

— Ale zechcesz, jeszcze zechcesz.

— A kiedy mi o tym opowiesz?

— Gdy będziesz potrafił zrozumieć.

— Powiedziałeś, że jestem twoją przyszłością. Powiedziałeś, że jesteś moją przeszłością. To kłamstwo. Nie mam przeszłości. Jestem tylko chłopcem.

— Ha! Ha! Ha! Jesteś, jesteś. W twojej krwi zawiera się historia wielkiej rasy, Dragosani. Jesteś we mnie, a ja w tobie. Nasz ród jest... odwieczny! Wiem wszystko, co pragniesz wiedzieć. Cała wiedza będzie twoja, znajdziesz się w elicie wszelkich istnień.

Borys był w połowie drogi do domu. Teraz poczuł się bezpieczniej. Trzymając się pnia drzewa, obrócił się.

— Dlaczego chcesz mi coś ofiarować? Czego ode mnie chcesz? — krzyknął w stronę wzgórz.

— Nic, czego nie dasz z własnej woli. Chcę twojej młodości, twojej krwi, twojego życia, Dragosani. Chcę, byś żył we mnie. A w zamian... twoje życie będzie dłuższe niż moje.

Borys wyczuł w tych słowach żądzę, chciwość, wiekowe pragnienie. Ciemność

za nim wydawała się nabrzmiewać, rozprzestrzeniać, nacierać niczym czarny, trujący obłok. Odwrócił się, uciekał. Przez pnie drzew zobaczył w przodzie dachy okolicznych budynków.

— Chcesz mnie zabić — zaszlochał. — Chcesz, żebym umarł tak jak ty!

— Nie. Chcę byś żył poza śmiercią, a to różnica. Ja jestem tą różnicą. Jesteś nią i ty. Jest w twojej krwi, w samym twoim imieniu — Dragosaaaniii...

Głos zamarł. Borys znalazł się na otwartej przestrzeni przecinki. W zamierającym świetle dnia poczuł, jak opuszcza go strach. Odnalazł sanki.

Buba czekał cierpliwie. Kiedy Borys wyciągnął rękę, by poklepać psa, ten warknął i wycofał się z podwiniętym ogonem. Sierść zjeżyła się na całym jego tułowiu. Od tej pory Buba już nigdy nie zbliżył się do Dragosaniego.

Śnieg stopniał, zbocza pokryły się na powrót zielenią. Stara blizna przecinki zlewała się z resztą drzew, zrastała ze starym lasem. Młode drzewka dojrzały, pokryły się bujnym listowiem.

Myśli Dragosaniego znów popłynęły ku przyszłości... Gdy miał dziewięć lat, zamknięto szkołę w Ionesti, przybrany ojciec wyprawił go więc do szkoły w Ploiesti.

Po krótkim czasie odkryto, że poziom inteligencji Borysa jest bardzo wysoki. Interweniowało państwo, posyłając go do szkoły średniej w Bukareszcie. Poszukując młodych, zdolnych ludzi wśród satelickich narodów, sowieccy urzędnicy z Ministerstwa Edukacji znaleźli go i „polecili”, by podjął wyższe studia w Moskwie. To, co określali „wyższą edukacją” było właściwie intensywną indoktrynacją, w następstwie której Borys miał wrócić pewnego dnia do Rumunii jako marionetkowy urzędnik w marionetkowym rządzie.

Gdy dowiedział się, że przechodzi do Ploiesti, że będzie mógł wracać do domu najwyżej dwa razy w roku, wyprawił się nad stary grób pod drzewami, by zapytać o radę.

Teraz wracał raz jeszcze, na skrzydłach pamięci. Widział siebie: chłopca kłęczącego przy zniszczonej płycie, lejącego łzy na płaskorzeźbę nietoperza-smoka-diable.

— Co? Wiesz, że pragnę żelaza i mięsa! A ty składasz mi w darze sól łez. Czy to ty Dragosani, ten który ma w sobie nasienie potęgi? Pomyliłem się. Czy jestem przeklęty, by leżeć tu na wieki?

— Mam iść do szkoły w Ploiesti, tam będę teraz mieszkał. Nie będę tu teraz wracał.

— I to jest powód twego smutku?

— Tak.

— Nie bądź babą! Jak chciałbyś nauczyć się świata? Tu w cieniu gór? Nawet pta-

ki latają dalej, niż ty kiedykolwiek zaszedłeś. Świat jest wielki. Aby go poznać, trzeba go zobaczyć. Ploiesti? Znam to miasto, odległe tylko o dwa dni konnej jazdy. Czy z tego powodu trzeba płakać?

— Nie chcę jechać...

— Ja też nie chciałem być osadzony w ziemi, ale mnie odkopali, Dragosani. Widziałem swoją siostrę z odciętą głową, kołkiem wbitym w pierś i oczyma wiszącymi na policzkach, ale nie płakałem. Nie! Dopadłem jej oprawców, odarłem ze skóry i kazałem im ją zjeść. Smażyłem gorącym żelazem. Zanim zdechli, nasączyłem oliwą. Podpaliłem i zrzuciłem ze skał zamku w Braszowie. Wtedy dopiero zapłakałem łzami szczerej radości! Ja nazwałem ciebie moim synem!

— Nie jestem twoim synem — odciął Borys, wybuchając znów łzami. — Jestem niczym synem. Muszę jechać do Ploiesti. I to wcale nie są dwa dni drogi, tylko trzy albo cztery godziny samochodem. Udajesz, że wszystko wiesz, a nigdy nie widziałeś samochodu, co?

— Nie widziałem — do teraz. Teraz widzę — w twojej głowie, synu. Ujrzałem wiele rzeczy w twoim umyśle. Wiele z nich mnie zdziwiło, ale żadna nie przestraszyła. Więc samochód twojego przybranego ojca ułatwi ci podróż do Ploiesti oraz powrót, gdy przyjdzie pora...

— Ale...

— Posłuchaj teraz: idź do szkoły w Ploiesti. Bądź mądry jak twoi nauczyciele, a nawet mądrzejszy od nich. Wróć jako wykształcony człowiek, jako mężczyzna. Żyłem przez pięćset lat i wiele się nauczyłem. To było konieczne, Dragosani. Nauka bardzo mi się przydała. W rok po moim powstaniu zostanę najpotężniejszym na świecie. O, tak! Kiedyś zadowolilibym się Wołoszczyzną, Transylwanią, Rumunią. Teraz zdobędę wszystko. Ty także będziesz wielki, Dragosani. Wszystko w swoim czasie.

Ten głos zniewalał Borysa, w tych słowach tętniła wielka pierwotna moc.

— Chcesz, bym się... wykształcił?

— Tak. Gdy znów zejdziesz na ten świat, będę rozmawiał z mądrymi, nie z wioskowymi głupkami. Nauczę ciebie synu — więcej niż nauczyciele w Ploiesti. Przejmiesz ode mnie wiedzę, a ja wiele nauczę się od ciebie.

— Powtarzasz się — powiedział Dragosani. — Czego możesz mnie nauczyć? Tak mało wiesz o tym, co jest teraz na świecie. Niewiele wiesz. Jesteś martwy — żyjesz poza śmiercią — leżysz w ziemi od pięciuset lat.

Borys usłyszał śmiech w swojej głowie.

— Może masz rację. Ale są inne rodzaje wiedzy. Dobrze, coś ci dam. Dar... znak, że potrafię cię wiele nauczyć. Rzeczy, których nie potrafisz sobie wyobrazić.

— Dar?

— W rzeczy samej. Teraz szybko, znajdź martwe stworzenie.

— Martwe stworzenie? — zadrzał Borys. — Jakie martwe stworzenie?

— Jakikolwiek. Żuka, ptaka, mysz leśną. To bez różnicy. Znajdź martwe stworzenie albo zabij żywe i przynieś tu ciało. Daj mi je w darze, a ja w zamian przekażę ci część mojej wiedzy.

— Widziałem martwego ptaka u podnóża stoku. Pisklę gołębia. Musiało wypaść z gniazda. Wystarczy?

— Ha! Ciekawe, cóż za sekrety kryje w sobie pisklę gołębia? Ale... dobrze, wystarczy. Przynieś je.

Borys wrócił po dwudziestu minutach. Położył bezwładne ciało na czarnej ziemi obok zapadłej, zniszczonej płyty.

— Ha! Rzeczywiście mała danina. Nieważne. Teraz powiedz, Dragosani, chciałbyś poznać uczucia i myśli martwego stworzenia?

— Ono nie myśli. Jest martwe.

— A zanim umarło?

— Nic nie wiedziało. To żółtodziób. Cóż może wiedzieć pisklę?

— Wiedziało wiele rzeczy. Posłuchaj uważnie, rozpostrzyj skrzydła, wyskub pióra u dołu. Powąchaj je, poczuj, przetrzyj między palcami i słuchaj. Zrób to...

Borys wykonał polecenie. Nie wiedział czego się spodziewać. Pchły i małe chrabąszcze pośpiesznie uciekały z małego ciała.

— Nie tak. Zamknij oczy. Niech tam dotrze twój umysł. Tak, teraz dobrze!

Borys był wysoko. Czuł szelest, kołysanie gałęzi. Nad głową miał sklepienie nieba. Czuł, jak może wystrzelić w bezkresną przestrzeń i nigdy nie lądować. Zawrót głowy. Powrócił do swojego umysłu, upuścił martwego ptaka, chwycił się ziemi.

— I co? Nie spodobało ci się gniazdo, Dragosani? Ale to nie koniec. Jest coś więcej. Weź ptaka, ściśnij mocno zwłoki, niech ulegną twoim dłoniom. Poczuj małe kości pod skórą, małą czaszkę. Unieś ku twarzy. Wdychaj, ucz się. Poczekaj, pomogę ci...

Borys nie był sam. — bliźniacze istnienie zawładnęło nim. Ten drugi nie był Borysem! Przerazające, dziwne uczucie. Uczepił się jaźni Borysa.

— Nie, nie! Dalej, wejdź. Stańcie się jednością. Dowiedz się, co czuło pisklę. Teraz...

Ciepło... twarda ziemia poniżej, tulące ciepło nad głową... Niebo już nie tak jasne, błękitne — ciemne... iskierki gwiazd... spokojna noc... ciepło opiekuńczych skrzydeł... ktoś obok tuli się... hukanie... ciepłe ciało wznosi się — ciało rodziców... naciska, broni, szczelnie okrywa skrzydłami... powolne, ciężkie uderzenie powietrza, coraz mocniejsze, zanika, słabnie, hukanie w oddali... sowa upatrzyła ofiarę tej nocy... ciało rodziców osuwa się, serce zamiera... świetliste punkty gwiazd wy-

pełniają niebo... miękko w dół... ciepło.

— Teraz! Rozerwij ciało, Dragosani! Otwórz! Rozgnieć czaszkę między palcami. Wczuwaj się w opary mózgu. Spójrz do wnętrza, patrz na pióra, krew i kości. Spróbuj! Dotknij, posmakuj, zobacz, posłuchaj, powąchaj, użyj wszystkich pięciu zmysłów — a odkryjesz szósty!

Pora lecieć!... uciec... powietrze wzywa, unosi małe piórka... rodzeństwo już odleciało... rodzice pouczają, wzywają: „Lataj! O tak! O tak!”... ziemia wiruje poniżej... gniazdo kołysze się na wietrze.

Pisklę-Dragosani wyskakuje z drżącej konstrukcji gałązek, opuszcza gniazdo... przez chwilę tryumf latania... i jego gorycz... upadek. Wiatr przechytrzył nieświadomość pisklęcia. Zaniepokojenie... koszmar! Rozpaczliwe wirowanie, skrzydło próbuje chwycić gałąź drzewa. Uderza, łamie się. Agonia, bezbronne konanie, spadanie, trzepotanie, pikowanie i ostatecznie zderzenie małej czaszki z kamieniem...

Borys wrócił do siebie, zobaczył szczątki w swoich rękach.

— Tak! — powiedział głos z ziemi. — Nadal uważasz, że niczego nie potrafisz cię nauczyć, Dragosani? Czy to nie jest wiedza? Dostałeś kiedyś tak niepospolity dar? W całym swoim życiu niewielu widziałem z takim talentem. A ty pojąłeś to jak... jak pisklę pojmuje sztukę latania. Witaj w małym, starym, bractwie wybranych, witaj, Dragosani.

Resztki zwłok pisklęcia wypadły z rąk Borysa, splamiły ziemię, zostawiły skażę na dłoniach.

Borys Dragosani — nekromanta!

Dreszcz przeszył chłopca, który krzyczał długo i głośno. Jeszcze raz uciekał, tak panicznie, że pamiętał tylko tupot własnych nóg i walenie serca w piersi.

Nie mógł uciec od tego „daru”, on został z nim, uciekał z nim. Coś wdarło się pomiędzy krzyk i uczucie latania, mglisty obraz czegoś pozostał odtąd w jego pamięci, tkwił w świadomości:

Pogruchotana płyta grobu, ponury kamień, a na nim ciało w kłębowisku piór i wnętrzości, kończyn wyrywanych ze stawów. I... obrzydliwa macka przebijająca się przez pniakowaty grunt, przepychająca się przez glebę, warstwę igieł, mech i kamienie. Wstrętna, inna niż wszystko, co ziemskie, ohydna więc, w której pulsowały purpurowe żyły.

A potem... a potem... krwiste oko na czubku macki rozglądało się dookoła. Zaczzerwienione oko i gadzie szczęki w rozdziawionej paszczy. Wić przybrała postać ślepego, cętkowanego węża z purpurowym, rozszczepionym językiem, który migotał nad porzuconymi szczątkami pisklęcia. Ostre jak igły kły błyszczały śnieżną bielą. Ślina ociekała na suchą ziemię dopóki ostatnia drobina nie została pożarta!

Potem gad szybko wycofał się, naga ziemia wessała pulsującą, obrzydliwą więc.

Dragosani otrząsnął się, przerwał rozmyślenia — dojeżdżał do miasta. Na obrzeżach znalazł targowisko, które w każdą środę tętniło życiem. Wieki temu tureccy najeźdźcy, nacierając od wschodu, grabiąc i paląc wszystko po drodze, zatrzymywali się przy tej rzece, która płynęła z Karpat do Dunaju. Tutaj Hunyadi, a potem wołoscy książęta przybywali ze swoich zamków. Zbierali rycerzy pod swoimi sztandarami i wyznaczali wojewodów-wojowników do obrony przed najazdami łupieżczych Turków. Znakiem obrońców tej ziemi był smok, smok zawsze patronował chrześcijanom w ich walce z Turkami. Dragosani zaczął się zastanawiać, czy stąd nie pochodzi przypadkiem nazwa miasta — Dragasani. Z pewnością tak. Dlatego też, podobizna smoka widniała na tarczy na zapomnianym grobie.

Na targowisku kupił żywe prosię, włożył je do podziurawionej, dla wentylacji, torby. Przyniósł do samochodu i schował do bagażnika. Wyjechał z miasta i znalazł spokojny trakt poza główną drogą. Tam uchylił lekko torbę, złamał kapsułkę z chloroformem i wrzucił do bagażnika. Zamknął go i odszedł. Policzył do pięćdziesięciu. Nie chciał, by zwierzę umierało z jego ręki.

Wczesnym południem skierował się ku wzgórzom i zaparkował samochód kilkaset metrów od zakazanego miejsca. Zaczął się wspinać. Tutaj, pod osłoną sosen czuł się bezpieczny, mozolnie piał się do tajemniczego miejsca. Torbę z prosięciem przerzucił przez ramię.

Stojąc przy grobie, Dragosani położył zwierzę w zagłębieniu między dwoma korzeniami, przymocował do pnia.

Wrócił do kwatery, zamówił wczesną kolację i zasnął. Było jeszcze jasno, gdy Ilza Kinkovsi obudziła go, wchodząc z posiłkiem na tacy. Zostawiła kolację, by Dragosani mógł zjeść w spokoju.

Gdy wychodziła objął wzrokiem jej rozkołysane biodra. Jak na wieśniaczkę była bardzo atrakcyjna. Dziwił się, dlaczego nie miała męża?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tuż przed zachodem słońca Dragosani wrócił na tajemne miejsce. Prosię ożyło, ale nie miało siły wstać. Borys wprawnie ogłuszył zwierzę. Usiadł i czekał. Zapadał zmrok i pojawiły się pierwsze gwiazdy.

— Dragosaaaniiii! — odezwał się nagle głos.

Niewidzialne istoty tłoczyły się dookoła. Wyłaniały się nie wiadomo skąd. Niewidzialne palce nieboszczyków dotykały twarzy Dragosaniego, jakby chciały go rozłupać.

— Tak, to ja — wyszeptał. — Przyniosłem coś. Podarunek.

— O! Jaki podarunek? Co chciałbyś w zamian?

— Przychodziłem na to miejsce wiele razy — a ty prawie nic mi nie powiedziałeś. Nie twierdzę, że mnie oszukujesz czy zwodzisz. Po prostu — nauczyłeś mnie niewiele. Może to moja wina. Może nie stawiałem właściwych pytań, ale teraz jedno pytanie zadam ci wprost! Jest coś, co pragnę poznać. Kiedyś był czas, gdy posiadałeś... moce! Podejrzewam, że zachowałeś siłę o której nie wiem.

— Moc? O tak — wielka, potężna moc.

— Chcę mieć we władzy te siły. Wszystko, co wiedziałeś i co wiesz — wiedzieć chcę ja!

— To znaczy, że pragniesz zostać... wampirem!

Samo słowo i sposób w jaki zabrzmiało, wprawiło Dragosaniego w drżenie, którego nie mógł powstrzymać. Nawet on, nekromanta, inspektor śledczy zmarłych — poczuł strach, jakby w samym słowie zawierało się coś ze strasznej natury tej istoty.

— Tutaj w Rumunii — odezwał się Dragosani — krążyły legendy, które w ostatnich stuleciach rozprzestrzeniły się po świecie. Sam wiem od wielu lat kim jesteś, Stary Diable. Zwą cię strzygą, upiorem, wampirem. Jesteś stworzeniem z bajek opowiadanych w nocy przy kominku, straszycłem z historyjek do straszenia dzieci. Ale teraz chcę wiedzieć, kim naprawdę jesteś. Chcę oddzielić prawdę od fałszu.

Chcę wyplenić kłamstwa z legendy.

— Powtarzam, musisz zostać wampirem. Nie ma innej drogi.

— Musisz mieć swoją historię — naciskał Dragosani. — Leżysz tu od pięciuset lat, co było zanim umarłeś?

— Umarłem? Ja nie umarłem. Może mnie zamordowali, tak, na tyle było ich stać. Ale nie uczynili tego. Wybrali bardziej okrutną karę. Pogrzebali mnie nieumarłego. Zostawmy to... chcesz poznać historię mojego życia?

— Tak.

— Było długie i krwawe. Opowieść wymaga czasu.

— Mamy czas, mnóstwo czasu — gorączkowo nalegał Borys.

Wyczuł zaniepokojenie niewidzialnych istnień. Coś ostrzegało, by nie nadużywał chwili, nie przeciągał struny — nieumarli nie lubią przymusu.

— Tak, mogę ci opowiedzieć, co zrobiłem, ale nie jak zrobiłem. Nie w wielu słowach... Gdy poznasz moje początki, moje pochodzenie, nie staniesz się wampirem, nawet nie pojmiesz. Tak jak ryba nie wyjaśni, jak być rybą, tak jak ptak nie wytłumaczy, jak zostać ptakiem, tak ja nie mogę powiedzieć, jak zostać wampirem. Zeskocz ze skały. Spadniesz i rozbijesz się... skoro nie można zgłębić tajemnic zwyczajnych stworzeń, jak wyobrażasz sobie posiąść sekrety wampirów.

— Nie można się więc nauczyć? Pokazałeś mi jak rozmawiać ze zmarłymi. Cemu więc nie pokażesz więcej?

— Ach! Mylisz się Dragosani. Pokazałem ci jak zostać nekromanta, a to ludzki talent. To stara zapomniana przez człowieka sztuka, istniała od zarania ludzkiego gatunku. Rozmawiać ze zmarłymi? To zupełnie coś innego. Nieliczni władają tą siłą.

— Ale ja rozmawiam z tobą!

— Nie mój synu. Ja rozmawiam z tobą, bo jesteś częścią mnie. I zapamiętaj: nie jestem martwy. Tylko poza śmiercią. To polega na odmiennym do nich podejściu. Ci, którzy umieją rozmawiać ze zmarłymi, lubią ich, współczują, akceptują. Nekromanci nie mają tak uczuciowego stosunku, oni tylko prowadzą śledztwo.

Borys nagle poczuł, że rozmowa zmierza w ślepy zaułek.

— Starczy! — krzyknął. — Umyślnie mnie zwodzisz!

— Odpowiadam na pytania — najlepiej jak potrafię.

— Nie musisz mówić, jak zostać wampirem, powiedz, kim jest wampir. Opowiedz mi o sobie, o tym co robiłeś za życia i jak to robiłeś. Opowiedz o swoich początkach.

— Jak chcesz. Ale najpierw... najpierw ty powiedz, co wiesz — o wampirach. Opowiedz o tych mitach, przesądach, które słyszałeś. Wtedy oddzielimy kłamstwo od prawdy.

Dragosani westchnął, oparł się plecami o nagrobek, zapalił kolejnego papierosa.

— Opowiem po kolei. Dobrze, zacznijmy od tego: wampir to stworzenie ciemności, wierny Szatanowi.

— Ha! Ha! Ha! Shaitan był pierwszym wampirem — w naszej legendzie, rozumiesz? Stworzenie ciemności: tak, jesteśmy w nocy, noc jest w nas. Mówią, że w ciemności wszystkie koty są czarne. Tak więc, w nocy różnice nie są duże, przynajmniej ich nie widać. Z powodu upodobania do ciemności słońce nam szkodzi.

— Szkodzi? Niszczy was, obraca w proch!

— Co? To mit. Nie jest tak groźnie, ale nawet słabe światło słońca osłabia nas, tak jak silne osłabia ciebie.

— Boicie się krzyża, symbolu chrześcijan.

— Nienawidzę krzyża. To symbol wszystkich kłamstw, zdrady, wiarołomstwa. Ale nie boję się go.

— Mówisz, że wymierzony w ciebie krzyż, święty krucyfiks, nie spali twojego ciała?

— Nie, moje ciało mogłoby się spalić z obrzydzenia na ten widok, ale pewnie wcześniej uśmierciłbym tego, kto ten krzyż trzyma.

— Nie oszukujesz mnie? — Dragosani nabrał powietrza.

— Twoje wątpliwości poddają próbie moją cierpliwość.

— Nie masz odbicia: ani w wodzie, ani w lustrze. Podobnie — nie masz cienia.

— To nieporozumienie, ale nie bez powodu. Moje odbicie nie jest zawsze identyczne, mój cień nie oddaje zawsze mojego kształtu.

Borys zastanowił się, przypomniał sobie obrzydliwą mackę sprzed dwudziestu lat.

— To znaczy, że jesteś „płynny”, że możesz zmieniać kształt.

— Tego nie powiedziałem.

— Więc wyjaśnij.

— Nic się przed tobą nie da ukryć... — Stary Diabeł w ziemi westchnął.

— Potrafisz zmieniać kształt? — nalegał Borys.

— Nie, ale mogę być tak postrzegany. W istocie, możliwość zmiany kształtu nie istnieje, przynajmniej ja nigdy się z tym nie spotkałem...

— No dobrze. Powiedz co wiesz o sile hipnozy?

— Hipnoza! — westchnął. — Masowa hipnoza! Robiłeś to! Oczywiście. Potrafi zmącić umysł, ale nie oszuka lustra. Może pojawiać się jako trzepoczący skrzydłami nietoperz czy przemykający wilk, ale mój cień jest ludzki.

Dragosani raz jeszcze przypomniał sobie wstrętą mackę, ale nic nie powie-

dział. Zdawał sobie sprawę, że martwe (czy nieumarłe) stwory, które przemawiają w umysłach żywych są mistrzami obłudy i zakłamania.

— Nie możesz przekroczyć rwącej rzeki, topisz się? — zapytał Borys.

— Za życia byłem zachłannym wojownikiem. Nie przeprowadzałem się przez rwącą rzekę. To była moja strategia. Gdy nadchodził najeźdźca, czekałem i pozwalałem mu się przeprowadzić. Wyrzynałem wrogów na swojej stronie. Może wtedy powstała legenda, na brzegach Dunaju, Motrulu, Siretulu. Widziałem jak te rzeki spłynęły krwią...

— Pijesz krew żywych. To twoja żądza, kieruje tobą, panuje nad tobą. Umierasz bez krwi. Twoja zła natura wymaga, byś żerował na innych. Krew to twoje życie — wyrzucił z siebie jednym tchem.

— Śmieszne! Co do zła: to stan umysłu. Jeśli przyjmujesz dobro, musisz zaakceptować i zło. Może nie rozumiem twojego świata, Dragosani, ale w moim niewiele było dobra. Picie krwi? Pożerasz mięso zwierząt, wysysasz krew winogron. Czy to zło? Pokaż mi stworzenie, które nie pożera słabszego od siebie. Ta legenda ma korzenie w okrucieństwie, które czyniłem. We krwi, którą przelałem. Byłem okrutny! Myślałem, że gdy wrogowie dowiedzą się, że jestem potworem, nie będą śmieli występować przeciwko mnie. I byłem potworem! Legenda przetrwała. Czyż nie miałem racji?

— To nie jest odpowiedź!

— Jestem zmęczony. Zdajesz sobie sprawę, ile mnie kosztuje takie wypytywanie?

— Zadam ci ostatnie pytanie, proszę pozwól.

— Dobrze, jeśli musisz.

— Legenda mówi, że ugryzienie wampira zmienia normalnego człowieka w wampira. Gdybyś wyssał ze mnie krew, Stary Szatanie, ja też stałbym się nieumarły?

Nastąpiła chwila długiej przerwy, Dragosani wyczuł po drugiej stronie zakłopotanie, usilne poszukiwanie odpowiedzi.

— Był czas, gdy ziemia była młoda, gdy w lasach żyły wielkie nietoperze, wraz z innymi stworzeniami. Choroba zniszczyła większość z nich. Osobliwa zaraza. Kilka z nich przetrwało. Za moich czasów istniał gatunek, który ssał krew z innych zwierząt. Z ludzi też. Nietoperze przeniosły epidemię na tych, których kąsały. Zarażone ofiary nabywały cechy nietoperzy.

— Zaczekaj! — wykrzyknął Dragosani. — Masz na myśli nietoperza-wampira, który żyje do dziś w Środkowej i Południowej Ameryce. Tak, ta choroba to wścieklizna, ale... nie widzę związku.

— Ameryka? — zapytał głos zdumiony.

— To nowy kontynent — wyjaśnił Borys. — Odkryty za twoich czasów. Ogromny i bogaty, i bardzo potężny!

— Tak mówisz? Dobrze! Musisz opisać mi ten twój nowy świat szczegółowo, ale nie teraz... teraz... jestem zmęczony i...

— Nie tak szybko! — zawołał Dragosani, świadomy, że rozmowa zeszła na ślepy tor. — Mówisz, że nie stałbym się wampirem, gdybyś mnie ugryzł. Usiłujesz twierdzić, że legenda jest bezpodstawna, poza domniemanym związkiem z nietoperzami. To nie przejdzie. To nietoperz otrzymał imię od ciebie, nie ty od niego! Zapytałeś, czy chcę być wampirem. A jak mógłbym się nim stać, jeśli nie w ten sposób? Może byś mnie tym „obdarzył”, tak jak ciebie obdarowano uczestnictwem w Zakonie Smoka. Ha! Bez kłamstw! Chcę znać prawdę. Jeśli rzeczywiście jesteś moim ojcem, dlaczego coś ukrywasz, czego się obawiasz?

Dragosani czuł, że otaczające go istnienia były niezadowolone, wycofywały się. Głos w jego jaźni był zmęczony i oskarżał.

— Obiecałeś podarunek, małą daninę — a przynosisz zmęczenie i tortury. Jestem iskrą, która zanika, mój synu, wygasającym żarem. Utrzymałaś płomień, a teraz chcesz go zdławić. Daj mi spać zanim... wyczerpiesz... mnie... do końca... Dragosaaniiii...

Borys zacisnął zęby, przełknął złość wraz ze śliną w gardle. Chwycił prosię za związane nogi. Powstał, wyjął sprężynowy nóż. Błysnęło metalowe ostrze.

— Dar dla ciebie! — warknął.

Prosię ożyło, zaczęło wierzgać, zakwiczało przeraźliwie, Dragosani podciął mu gardziel, purpurowa posoka nasączyła czarną ziemię. Wiatr zerwał się nagle i wśród drzew słychać było ciężki oddech. Rzucił ciało prosiaka na korzenie. Wyjął chusteczkę i wyczyścił dłonie. Niewidzialne istoty pojawiły się znowu.

— Wynocha! — warknął Dragosani, szykując się do odejścia. — Wynoście się, wy, duchy ludzkie! To dla niego, nie dla was.

Zszedł na dół. Mimo zupełnej ciemności stapał pewnie jak kot. On też był stworzeniem nocy! Rozmyślał o życiu, śmierci, o półśmierci. Uśmiechnął się blade. Rozwagał pytanie, którego nie zadał: „Jak zabić wampira? Jak pozbawić go życia i śmierci?”

W czwartek Dragosani wstał wcześniej. Wyjrzał przez okno i zobaczył Ilzę Kinkovsi karmiącą kurczaki, które biegały po podwórzu i na skraju wiejskiej drogi. Dziewczyna kątem oka dojrzała go w oknie.

Mężczyzna otworzył szeroko okna, wdychał powietrze poranka głęboko do płuc. Oparł się rękoma na parapecie, wystawił się do słońca. Jego ciało było białe jak kreda. Ilza spojrzała na jego nagą pierś. Oddychał głęboko, muskuły pod ra-

mionami naprężały się, nadymały się niczym worki powietrza. Pomyślała, że jest bardzo silny.

— Dzień dobry! — krzyknęła w górę. Kiwnął głową w odpowiedzi i przyglądając się jej zrozumiał, dlaczego tak źle spał. Ona była tego przyczyną...

— Wszystko w porządku? — zapytała ukazując białe zęby, które umyślnie musnęła językiem.

— Co? — Dragosani przybrał obronną postawę.

— Jest pan taki blady! Może trzeba się opalić?

— Tak, może... może masz rację — wymamrotał. Cofnął się do pokoju i zaczął się ubierać. Ze złością naciągał koszulę.

„Kobiety, samice, seks! To takie... obrzydliwe? Takie nienaturalne? Takie... konieczne? Czy tego mi brak?” — myślał ze zdenerwowaniem.

Ilza dalej karmiła kurczaki. Usłyszała jego kasznięcie. Podniosła wzrok i zobaczyła jak zapina koszulę, patrząc się na nią.

— Ilza, czy w nocy jest chłodno? — zapytał z głębi. Uniosła brwi, zastanawiając się o co mu chodzi.

— Chłodno? Nie. Jest lato.

— Więc, dzisiaj — zostawię okna nie... zasłonięte.

— To bardzo zdrowo. Jestem pewna, że będzie się pan dobrze czuł. — Zaśmiała się.

Zamknął okno i dokończył ubieranie. Przez chwilę żałował swojego czynu. Ostatecznie pozbył się wątpliwości. „Młodzieniaszek — nigdy nie dotknął kobiety” — przypomniał sobie opowieść Diabła o ojcu. „Wdarłem się i do jego umysłu... oddałem im tę noc”.

Kamyk stuknął o szybę. To była Ilza.

— Śniadanie w swoim pokoju, Herr Dragosani — zawołała — czy zje pan z nami? — Nacisk na słowa „w swoim pokoju” był wyraźny. Borys udał, że nie rozumie.

— Zejdę — odpowiedział i zmrużył oczy. Zauważył rozczarowanie na twarzy Ilzy. Potrzebował pomocy tym razem, tym pierwszym razem. Ona wiedziała o tym wszystko, a on nic. Ale... Wampir wiedział jeszcze więcej i Borys miał nadzieję, że zdradzi mu tę tajemnicę rozkoszy.

Seksualny problem Dragosaniego, czy raczej psychiczny blok, który nie pozwalał mu dotychczas brać udziału w tej sferze życia, miał swe początki w okresie dojrzewania. Zdarzyło się to podczas trzeciego roku pobytu w Bukareszcie, gdzie uczęszczał do szkoły średniej.

Miał trzynaście lat i niecierpliwie czekał na letnie wakacje, na powrót do domu. Tymczasem otrzymał list od przybranego ojca zakazujący mu przyjazdu — na far-

mie wybuchła zaraza.

Perspektywa spędzenia wakacji w przyszkolnym internacie nie była zachęcająca. Borys jednak miał w Bukareszcie rodzinę — młodszą siostrę przybranego ojca i mógł u niej spędzić wakacje. To było lepsze niż nic.

Ciotka Hildegarda była młodą wdową, miała dwie córki — starsze od niego o rok: Annę i Katrinę. Wszystkie trzy mieszkały w dużym, drewnianym budynku przy ulicy Budesti. Dziwne, ale w domu Borysa nigdy o nich nie wspomniano. Dragosani spotykał je rzadko, czasami przyjeżdżały na wieś. Uważał, że ciotka jest zbyt tkliwa, a kuzynki chichoczą i szczebioczą jak typowe smarkate dziewczęta. Miał też wrażenie, że ojczym traktuje ciotkę jak czarną owcę w rodzinie.

Borys zamieszkał więc na trzy tygodnie u ciotki. Tam odkrył zmysłowość i perversję kobiety. To doświadczenie utkwiło w jego pamięci na długie lata. Okazało się, że ciotka była nimfomanką. Uwolniona od wszelkich hamulców przez śmierć męża, w pełni zaspokajała swój wielki głód seksualny, a jej córki były ulepione z tej samej gliny. Nawet gdy żył jej chorowity mąż, potajemnie miewała kochanków. Niektóre szczegóły docierały do jej brata na wsi. Przybrany ojciec Borysa nie był święty, ale swoją siostrę uważał za dziwkę, choć nie mówił tego wprost. Jak daleko posuwała się w swoich ekscesach — tego nie wiedział dobrze. Gdyby znał całą prawdę, zapewne poszukałby dla syna innej kwatery na wakacje, który wkrótce miał okazję wystarczająco się przekonać, do czego mogą być zdolne kobiety...

W drzwiach domu ciotki nie było żadnych zamków, ani w sypialni, łazience, nawet w toalecie. Ciotka wyjaśniła, że w jej domu nie ma tajemnic. Borys z trudem to znosił, jak i ukradkową, figlarną wymianę spojrzeń między matką a córkami w jego obecności.

Nie było miejsca na prywatność, nic nie było zakazane, ale niczemu nie wolno się dziwić. Ciotka powiedziała mu, że to jest „dom natury”, gdzie ludzkie ciało i jego cechy są częścią przyrody, istnieją po to, by je badać, odkrywać, rozumieć i w pełni się nim rozkoszować — bez tradycyjnych ograniczeń.

Miał szanować każde „naturalne” zachowanie kobiet w tym domu. Ich filozofia głosiła, że za mało miłości jest na świecie, za dużo nienawiści. Gdyby pragnienia ciała i ogień ducha ostudzić, zaspokoić przyjemną grą uścisków, świat byłby lepszym miejscem. Borys z początku tego nie rozumiał, ale wkrótce...

Po kolacji pierwszego wieczoru poszedł do swego pokoju. Chciał trochę poczytać w samotności. U podnóża schodów prowadzących do sypialni znajdował się mały pokoik, zwany przez ciotkę „biblioteką”. Dragosani zajrzał do środka i znalazł półki książek i czasopism pełnych erotyki. Kilka ilustrowanych pism tak go zafascynowało, że zabrał je ze sobą. Nigdy wcześniej nie widział takich rzeczy.

Już siedząc w sypialni na łóżku, z wypiekami na twarzy przeglądał książki. Po-

chłonęły go całkowicie. Jedna z nich była uderzająco realna, ale tak „nieprawdopodobna” dla umysłu chłopca. Wiedział, że musiało być w tym jakieś szachrajstwo, fikcja, ale nie mógł zrozumieć, jak zrobiono takie zdjęcia. Wiedział, co to masturbacja. Teraz poczuł podniecenie, ale tu, w domu ciotki, nie czuł się wystarczająco bezpieczny, by to zrobić. Zajęty kolorowymi obrazkami, usłyszał samochód, zajeżdżający pod dom. Jakiś gość przyjechał i wszedł do domu. Gdy Borys chyłkiem odnosił pisma do biblioteki, dobiegł go śmiech i wesołe westchnienia z głównego salonu. Ten pokój pokazano mu wcześniej. Podziwiał lustra rozwieszane na ścianach i suficie. Drzwi były lekko uchylone, Borys podszedł do nich na palcach. Wewnątrz słychać było gardłowy, męski głos i ordynarne, ponaglające szepty ciotki i kuzynek. To, co zobaczył, przypominało fotografie z biblioteki. Ospowaty mężczyzna z brodą i ogromnym owłosionym brzuchem był nagi.

Patrząc tylko w jedno z luster, Dragosani nie mógł zobaczyć całego przedstawienia, ale to, co dojrzał wystarczyło mu nad wyraz.

Trzy kobiety roznegliżowane prześcigały się w pobudzaniu mężczyzny do jeszcze większego wysiłku. Dotykały go rękoma, ustami, piersiami — całym ciałem.

On leżał plecami na dywanie, młodsza kuzynka klęczała na nim i huśtała się, w górę, w dół, w górę, w dół. Za każdym uniesieniem odsłaniała długi, gruby pal błyszczący od wydzielin. Gdy tylko ukazywał się ten śliski drąg, chłopiec mógł dojrzeć małą, delikatną rękę Katriny zaciśniętą wokół niego. Matka dziewcząt, klęczała u głowy mężczyzny. Uderzała go swoimi wielkimi piersiami w twarz, tak, że sutki na zmianę znikwały w jego ustach.

Kobiety nie były nagie, ich białe, luźne fatałaszkę były porozpinane. Piersi i pośladki wyłaniały się na przemian — pulsujące, drżące. Wszyscy czworo byli pochłonięci i zaangażowani, rozkoszowali się nie tylko swymi doznaniem, ale także sycili oczy przeżyciami partnerów.

Na oczach Borysa zmienili miejsca i pozycje, i zaczęli serię nowych, zmysłowych wysiłków. Tym razem mężczyzna wspiał się od tyłu na ciotkę niczym ogromny, zły pies, a dziewczęta grały drobniejsze role. W oczach chłopca wyglądało to odpychająco.

Mężczyzna tryskał spermą co chwila, stękając z przyjemności, jakby wcale się nie męczył, jakby porwało go niczym niepoohamowane pożądanie.

Borys otrząsnął się z trudem i zaczął się wycofywać w kierunku swojego pokoju.

— Chwileczkę dziewczynki — usłyszał nagle głos ciotki. — Nie męczmy tak naszego Dymitri. Może pójdziecie zabawić się z Borysem. Tylko nie za ostro, bo może się przerazić, nie wygląda na doświadczonego...

Dragosani rzucił się pędem po schodach. Wpadł do pokoju, rozebrał się błyska-

wicznie i wskoczył do łóżka. Leżał skulony bez ruchu pod kołdrą. Czekał, bojąc się głośniejsz odetchnąć.

Dotychczas wyobrażenia i marzenia chłopca o seksie były zwyczajne, wręcz banalne. Bawił się myślami o kontakcie z ciotką, o dotykaniu jej piersi, jej białych pośladków. Nie uważał tego za specjalnie wstydlive czy odrażające, to była tylko gra wyobraźni. Dotychczas. Ale teraz? W porównaniu z tym co zobaczył jego fantazje okazały się tak niewinne.

Widział trzy kobiety, spółkujące z niezmordowaną bestią. Widział wielki drąg rozpustnego ciała włochatego mężczyzny.

Kuzynki nie krępując się, wpadły do sypialni. Borys leżał nieruchomo zawinięty w pościel. Wstrzymał oddech udając, że śpi.

— Borys, śpisz? — Jedna z nich zachichotała i zapytała.

— Przecież światło się pali! — zauważyła druga.

— Borys? — Ciężar ciała Anny spadł na łóżko. — Na pewno śpisz?

Chłopak udawał że śpi, a serce waliło mu w piersi. Obrócił się.

— Co? Co? Odejdz. Jestem zmęczony — wymamrotał. Obie zaczęły chichotać.

— Borys, nie pobawisz się z nami? — zapytała Katrina. — Wystaw w końcu głowę. Mamy tu coś. Chcemy ci coś pokazać.

Tak mocno naciągnął kołdrę, że nie mógł oddychać. Wciąż miał przed oczyma Annę, która opiera swoje drobne ręce na brzuchu mężczyzny i huśta się na jego różowym członku.

— Jeśli zgasimy światło, wystawisz głowę?

— Wyłączone! — zachichotały dziewczęta.

Gdy uwolnił się z pościeli, zaczął głęboko łapać powietrze. Natychmiast — wśród śmiechów — zapaliło się światło. Jedna z nich stała tuż obok łóżka z koszulą zarzuconą na głowę. Stęchły zapach bił w jego twarz. Ujrzał jej ciemne łono. Kuzynka umyślnie wygięła nogi. Wargi rozchyliły się na boki...

— I co? — Borys ledwo usłyszał głos wśród powodzi prostackiego śmiechu.

— A nie mówiłyśmy, że chcemy ci coś pokazać?

Dragosani nie wytrzymał, opanował go paniczny wstręt! Miotał się jak w transie. Później niewiele z tego pamiętał, był zbyt oszołomiony. Chichot zmienił się we wrzaski i płacz. Poczul ostry ból w piersiach i na wystających kostkach dłoni.

Na drugi dzień dręczycielki trzymały się od niego z dala. Obie miały wiele siniaków: Anna miała rozciętą wargę, Katrina podbite oko.

Wyczerpany po nieprzespanej nocy, Borys zabarykadował się w pokoju. Musiał ścierpieć gniew ciotki i oskarżenia kuzynek. Ciotka Hildegarda nie dała mu jeść za karę i zagroziła, że wszystko powie ojcu. Żądała, by wyszedł z pokoju i przeprosił kuzynki. Nie zrobił tego, pozostał w swoim pokoju i zabarykadował drzwi. Dopie-

ro, kiedy zapadł zmierzch, gdy groźby ciotki zmieniły się w błaganie, odstawił łóżko i szafkę od drzwi i zbiegł na dół.

Ciotce było przykro. Powiedziała, że nie pojmuje dlaczego dziewczęta napastowały go zeszłej nocy. Udawała, że nie wie, co zrobiły, czym go obraziły, że zareagował tak gwałtownie. Cokolwiek to było — prosiła, żeby o tym zapomniał i nie mówił nic ojczymowi.

Borys dla świętego spokoju zgodził się z ciotką — nie potrzebne były jeszcze jakieś kłopoty. Dymitri dawno opuścił dom.

Hildegarda przygotowała kolację i poprosiła córki, by nie dokuczały chłopcu więcej.

Przyszła noc...

Dragosani wyczerpany spał na łóżku przysuniętym do drzwi. Około trzeciej nad ranem zbudził się. Usłyszał głos ciotki. Mówiła niewyraźnie i oddychała ciężko. Gdy wyciągnął rękę w ciemności, odkrył, że była naga. To rozbudziło go zupełnie. Była pijana. Uświadomił sobie, że ta niezaspokojona kobieta pragnie wsunąć się do jego łóżka. Natychmiast opanował go gniew.

— Ciotko Hildegardo — powiedział w ciemności. Odwrócił twarz od jej alkoholowego oddechu. — Zapal światło, proszę!

— O! Mój chłopcze, obudziłeś się, chcesz mnie zobaczyć? Byłam w łóżku, nie mam nic na sobie. Te gorące letnie noce. Wstałam, by napić się wody i przez pomyłkę znalazłam się tutaj. — Jej piersi otarły się o usta Borysa.

Zaciskając zęby, odwrócił głowę.

— Zapal światło — powtórzył.

— To nieładnie tak — próbowała dziecinnie zaprotestować.

Znalazła wyłącznik. Stała naga w oślepiającym świetle, w miejscu skąd odsunęła łóżko. Uśmiechała się. Wyglądała głupio i odpychająco. Zbliżyła się do chłopca, wyciągając ramiona. Zobaczyła wyraz jego twarzy, pełen obrzydzenia. Zasłaniała ręką usta.

— Borys, ja...

— Ciociu! — Dragosani usiadł na łóżku i wsunął stopy w buty. — Proszę wyjść, natychmiast! — krzyknął. — Jeśli nie, wyjeżdżam. Opowiem mojemu ojcu, co tu się wyprawia, dokładnie!

— Wyprawia? — wytrzęziała szybko. Spróbowała złapać Borysa za rękę, była zakłopotana.

— Opowiem o tych mężczyznach, którzy pieprzą się z tobą i twoimi córkami jak byki, zupełnie jak buhaje, które zapładniają krowy mojego ojca.

— Ty... — odsunęła się od niego poblądła. — Ty widziałeś?

— Wynos się! — warknął. Spojrzał na ciotkę z nienawiścią i pogardą.

— A więc to tak! Starsi chłopcy ze szkoły już cię dostali, co? Podobają ci się bardziej niż dziewczęta, prawda?

Borys obrócił się i pochwycił krzesło.

— Wynocha! Zaraz wyjeżdżam. Natychmiast! Każdemu milicjantowi na mojej drodze powiem o tych świństwach, o tych książkach, za które mogłabyś pójść siedzieć. O twoich córkach, które jeszcze są dziewczętami, a już są gorsze niż stare dziwki...

— Dziwki? — warknęła, a Borys pomyślał, że zaraz się na niego rzuci.

— Ale któż może być bardziej zepsuty niż ty — dokończył.

Zaczęła płakać. Potem zerwała się i wypadła z pokoju.

Nazajutrz przyjechał ojczym, by zabrać chłopca do domu. Nigdy w swoim życiu, Borys nie cieszył się tak z czyjegoś przybycia. Starał się, tego nie okazywać. Gdy pakował się, ciotka Hildegarda pół godziny rozmawiała z bratem, który wypytywał między innymi o siostrzenice. Anna i Katrina były nieobecne. Ciotka pożegnała się czule i podejrzanie serdecznie. Spojrzała raz jeszcze na Borysa, gdy wsiał do samochodu. Pomachała ręką, patrzyła z błaganiem w oczach, prosiła o milczenie. W odpowiedzi Borys zaśmiał się szyderczo. Jego spojrzenie mówiło lepiej niż tysiąc słów, co o niej myśli. Nigdy potem nie mówił nikomu o tych zajęciach, nawet Diabłu w ziemi.

Dragosani po długiej wspinaczce dotarł na miejsce, gdzie leżała grobowa płyta. Zapadał zmierzch. Prosię drżało w worku. Słońce zachodziło i oblało czerwienią daleki horyzont.

— Dragosani? — Szatan pierwszy zaczął mówić. — Przyszedłeś mnie dręczyć? Nowymi pytaniami, nowymi żadaniami? Chciałbyś skraść moje sekrety? Kawałek po kawałku, aż nic nie zostanie ze mnie. A potem jak mi to wynagrodzisz, skoro leżę w zimnej ziemi? Krwią świnki? Prosię dla tego, który kąpał się we krwi wrogów, dziewic, całych armii!

— Krew to krew, Stary Smoku — odparł. — Widzę, że ożywiłeś się po wczorajszym posiłku.

— Tym, co wypilem! — wykrzyknął szyderczo. — To ziemia wypiała, Dragosani, nie moje stare kości.

— Nie wierzę ci.

— Nie obchodzi mnie czy wierzysz, czy nie. Idź, zostaw mnie. Znieważasz mnie. Nie mam nic dla ciebie, a ty nie masz nic dla mnie. Nie pragnę rozmowy, żegnaj!

— Przyniosłem prosiaka, dla ciebie czy dla ziemi — nieważne, ale i coś jeszcze, coś innego. Pod warunkiem...

— Pod warunkiem? — Diabeł zainteresował się.

— Może jest już za późno. Może to zbyt trudne — nawet dla ciebie. Kim bowiem jesteś, jak nie martwą istotą... Dobrze, dobrze. Nie jesteś umarły, skoro nalegasz.

— Nalegam? Ublizas mi Dragosani. Cóż mi przynosisz tej nocy? Co chcesz dać?

— Posiadłem tajemnicę, pewną wiedzę.

— Mów dalej.

— Jestem mężczyzną, zdobyłem męską wiedzę o kobietach i... — Zamilkł zmieszany. Stary Smok zaśmiał się. Wiedział, że to kłamstwo.

— Męska wiedza o kobietach? O czym mówisz — Dragosani?

— Nie miałem czasu... praca, studia... nie było okazji — odparł po chwili, próbując usprawiedliwić się.

— Czas? Studia? Okazje? Dragosani, nie bądź dzieckiem. Miałem jedenaście lat, gdy rozerwałem pierwszą błonę dziewiczą, tysiąc lat temu. A potem dziewice, mężatki, dziwki, wdowy, kurwy — co za różnica? Miałem je wszystkie — na wszystkie sposoby. A ty? Nie próbowałaś? Nie nurzałaś się w ich pocie, słuzie, w gorącej, słodkiej krwi? Ani razu? I ty mnie nazywasz martwym?

Stary Diabeł wybuchnął śmiechem, śmiał się chrapliwie, wściekle i zarazem sprośnie. Nie posiadał się z radości.

— Bądź przeklęty! — Dragosani powstał i tupał w ziemię, i pluł ze złości. — Bądź przeklęty! — Uniósł zaciśniętą pięść ku czarnej ziemi. — Bądź przeklęty, bądź przeklęty, bądź przeklęty!

— Jestem już przeklęty, mój synu! I ty też! — zawył Diabeł. Borys wyjął błyszczący nóż i pochwycił ogłuszone prosię.

— Czekaj, bez pośpiechu. Powiedz, skoro niczym chorowity ksiądz unikałeś tego przez długie lata, dlaczego teraz?

Dragosani pomyślał, że może czas powiedzieć prawdę — Szatan pewnie i tak już go przejrzał.

— To kobieta. Jątrzy mnie, kusi swoim ciałem.

— Znam takie, znam...

— Myśli, że wolę mężczyzn.

— To obraza!

— Też tak uważam — potaknął Dragosani. — Więc... zrobisz to?

— Zapraszasz mnie do swojej jaźni, czy mam rację? Dziś wieczorem, gdy ta kobieta przyjdzie do ciebie? — zapytał Szatan.

— Tak.

— Dobrze, zgadzam się, ale będę miał — moje własne ciało, Dragosani. Nie tak słabe jak twoje.

— Potrafisz? Czy ja się tego nauczę?

— O tak, potrafię, mój synu. Zapomniałeś o pisklęciu. Niczego się wtedy nie nauczyłeś? Kto uczynił cię nekromantą, Dragosani? Tak, i tym razem nauczysz się... wiele.

— Nie chcę nic więcej od ciebie — na razie. — Odszedł od grobu, ruszył w dół wzgórza, oddalał się od miejsca grozy.

— A co z prosiakiem? — Zapytał ciężko głos w jego głowie.

— Prosię? Rzeczywiście. — Szybko powrócił, naciął gardło zwierzęcia, rzucił różowe zwłoki na ziemię. Nie oglądał się, odszedł cicho.

Zsuwał się po stoku. Zahaczył o pień drzewa, którego korzenie wystawały nad ziemię. Zatrzymał się na chwilę. Wtem ujrzał coś dziwnego: to była wczorajsza danna. Bryła różowej skóry i kości zgniecionych na miazgę. Sucha jak pieprz. Leśny żuk pełzał, na próżno, szukając kęsa dla siebie.

Dragosani wrócił do domu rodziny Kinkovsi na kolację. To miał być jego ostatni posiłek tutaj, chociaż jeszcze tego nie wiedział. Ilza nie okazała mu żadnego zainteresowania — czuł się spięty i rozdrażniony. Nie był pewien czy dobrze postąpił. Stary Diabeł nie był głupcem i podkreślał, że wszystko nastąpi na wyłączone zaproszenie Dragosaniego. Czas nadchodził, a jego ciało pragnęło ulgi po latach milczenia zmysłów. Pierwszy raz od przyjazdu tutaj, jedzenie wydawało być się bez smaku, piwo miało nieprzyjemny zapach.

Po kolacji przechadzał się po swoim pokoju i rozmyślał. Był zły na siebie i niepokojny. Mijały kwadranse. Kilka razy wyciągał swoje książki o wampiryzmie, które przywiózł ze sobą. Czytał urywki, to znów odkładał je do walizki.

Według legendy nie wolno nigdy przyjmować zaproszenia od wampira, jak też nigdy nie wolno zapraszać wampira do czegokolwiek. Świadoma wola ofiary jest najważniejsza. Znaczyło to, że człowiek sam decyduje stać się ofiarą. Wola jest barierą w jaźni ofiary, na którą wampir się nie porywa, nie jest zdolny jej przełamać bez pomocy samej ofiary.

W przypadku Dragosaniego była to kwestia głębi wiary. Wiedział, że Potwór istnieje, nie wiedział jednak jaką moc, siłę posiada na ziemi. Skoro już „zaprosił” wampira do siebie, to powinien wiedzieć czy będzie wystarczająco odporny, czy w ogóle będzie w stanie się mu oprzeć...

Godzina między północą a pierwszą minęła niesłychanie szybko. Czas spotkania zbliżał się. Borys zastanawiał się czy Ilza już śpi i czy w ogóle zamierza się z nim spotkać. Może tak igrała z wszystkimi gośćmi. Mogła również myśleć o mężczyznach, tak jak on do tej pory myślał o kobietach.

Podchodził do otwartego okna, zsuwał i rozsuwał zasłony. Przeklinał swój brak

konsekwencji. Siadał na łóżku w ciemności.

Było już po pierwszej, nazwał siebie błaznem i raz jeszcze ruszył do okna. Na podwórzu ciemna i lekka postać przemykała się cicho. „To ona!” — pomyślał.

Podniecenie walczyło ze strachem. Był mężczyzną, ale w „tych” sprawach ciągle jeszcze — chłopcem. Jedyne ciała, które poznawał, których sekrety zgłębiał, były zimne i martwe. A to było żywe i gorące.

Niechęć wzbierała w Dragosanim. Był chłopcem, po prostu — chłopcem. Przed oczyma przesunęły się obrazy: pobyt w domu ciotki... kuzynki... kopulujący samiec...

Usłyszał skrzypienie schodów, podbiegł do okna. Nikogo nie dostrzegł. Ilza już była na piętrze, podchodziła do drzwi.

Wiatr wdarł się do pokoju, zasłony zafalowały. Zdawało się, że podmuch dotarł aż do serca Dragosaniego. W jednej chwili zniknął strach, cała niepewność. Stał w cieniu. Czekał.

Otworzyły się drzwi — weszła. W księżycowej poświacie jej odzienie było przezroczyste jak welon. Podeszła do łóżka.

— Herr Dragosani? — zawołała drżącym głosem.

— Czekam na ciebie — padła odpowiedź z mroku.

Usłyszała, ale nie spojrzała w kierunku, z którego dochodził głos.

— Więc... myślałam się co do pana — powiedziała, unosząc ramiona tak, że przezrzysta tkanina opadła. Jej pośladki i piersi wyglądały jak biały marmur. — Oto — obróciła się ku niemu — oto jestem.

Stała niczym mleczny posąg, patrzyła bez cienia zmieszania. Jego ciemna sylwetka przysunęła się do niej. W świetle dnia myślała, że jego oczy są śmiesznie słabe, wodniste, niebieskie i miękkie jak u kobiety, ale teraz... W świetle księżycy były dzikie jak u wilka! Gdy powalił ją na łóżko, poczuła jego ogromną siłę.

— Myślałam się co do pana — zdołała jeszcze wyszeptać.

Następnego poranka Dragosani zamówił śniadanie do swojego pokoju. Hzak Kinkovsi nie widział jeszcze go tak ożywionego — wiejskie powietrze musiało mu służyć, natomiast samopoczucie Ilzy nie było najlepsze...

— Moja Ilza to jest dziewczyna silna. Ale od operacji... — mruzczał gospodarz, podając śniadanie na tacy.

— Jakiej operacji? — Borys udał, że jest zainteresowany.

— Sześć lat temu lekarze wykryli raka macicy. Wszystko jej wycięli, dobrze że żyje. Ale tu jest wieś. Mężczyzna chce żony, która rodzi dzieci. Będzie chyba starą panną, może znajdzie pracę w mieście.

— Rozumiem — przytaknął Dragosani.

— Ale dziś jak się czuje?

— Czuję się rzeczywiście źle. Zostanie w łóżku dzień, może dwa. Zasłoniła okna i leży w ciemnym pokoju. Mówi, że nie potrzeba lekarza, ale martwię się o nią.

— Nie trzeba — to znaczy, nie martw się o nią.

— Nie? — Kinkovski zdziwił się.

— To dojrzała kobieta. Wie co dla niej najlepsze. Odpoczynek, cisza, spokój w ciemnym pokoju. To jej pomoże — robię to samo, gdy czuję się źle.

— Może. Ale martwię się — to zawsze moje dziecko. Poza tym tyle pracy — dzisiaj przyjeżdżają Anglicy.

— Może ich spotkam wieczorem. — Dragosani ucieszył się ze zmiany tematu.

Kinkovski pokiwał ponuro głową, zabrał pustą tacę.

— Nie znam angielskiego. Tyle, co od turystów.

— Ja trochę znam — odparł Borys — poradzimy sobie.

— Przynajmniej będą mogli z kimś porozmawiać. Przywiozą pieniądze, a to najlepszy tłumacz — próbował się uśmiechnąć. — Życzę smacznego, Herr Dragosani.

W południe Borys pojechał do Pitesti, bez specjalnego powodu. Pamiętał, że była w tym mieście mała biblioteka. Po drodze zatrzymała go miejscowa milicja.

Wszystkiego mógł się tylko domyślać. Obawiał się, że odkryto jego kontakty ze Starym Diabłem. Uspokoił się, gdy dowiedział się w czym tkwi problem: Borowic próbował go odszukać. W końcu udało mu się. Agenci bezpieczeństwa wytropili Dragosaniego w Ionestasi, stamtąd ślad wiódł do rodziny Kinkovski, dostali go w Pitesti. Szli tropem jego wołgi, nie było ich wiele w Rumunii, tym bardziej z rodzieskimi numerami.

Dowódca patrolu przeprosił za utrudnianie i przekazał „wiadomość”, która zawierała ściśle zastrzeżony numer telefonu Borowica. Dragosani pojechał z milicjantami na posterunek. Zadzwoił stamtąd.

Borowic po drugiej stronie linii był bardzo konkretny.

— Borys, wracaj jak najprędzej.

— Co się stało?

— Pracownik ambasady USA miał wypadek na wycieczce. Rozbił samochód. Masakra. Nie zidentyfikowaliśmy go jeszcze oficjalnie, ale musimy to wkrótce zrobić. Amerykanie będą chcieli dostać ciało. Chcę, byś pierwszy go obejrzał...

— Czy jest on taki ważny?

— Podejrzewaliśmy od pewnego czasu, że on i dwóch innych szpiegują na rzecz CIA. Jeśli to prawda, powinniśmy się jak najwięcej dowiedzieć. Wracaj natychmiast, dobrze?

— Już jadę.

Wrócił szybko do domu rodziny Kinkovsi. Wrzucił rzeczy do samochodu, zapłacił z nadwyżką i podziękował gospodarzowi za gościnę. Przyjął kanapki, termos kawy i butelkę miejscowego wina. Hzak Kinkovsi nie miał już wątpliwości.

— Mówił pan, że prowadzi zakład pogrzebowy. Milicjanci śmiali się, gdy im to powiedziałem. Twierdzili, że jest pan grubą rybą w Moskwie. Wyszedłem na głupka.

— Przykro mi przyjacielu — odpowiedział Dragosani. — Jestem ważną osobą i moja praca jest wyjątkowa. Gdy wracam do domu, chcę zapomnieć o niej, pragnę odpocząć. Proszę, wybacz.

Hzak Kinkovsi zaśmiał się. Podali sobie ręce. Borys wsiadł do samochodu. Zza zasłon Ilza patrzyła, jak odjeżdża. Odetchnęła z ulgą. Pomyślała, że nie spotka już takiego mężczyzny, może dobrze, ale...

Sińce nabierały kolorów — wkrótce znikną. Zawsze będzie mogła powiedzieć, że potknęła się i upadła. Sińce znikną z jej ciała, ale nie pamięć jak się na nim znalazły.

Westchnęła z ulgą i zadrżała na przypomnienie doznanej rozkoszy.

INTERWAŁ PIERWSZY

Na górnym piętrze znanego hotelu w Londynie, Alec Kyle siedział za biurkiem zmarłego szefa i stenografował. Duch stał naprzeciw. Od ponad dwóch godzin dyktował miękkiem, łagodnie modulowanym głosem. Kyle'a bolała ręka, głowa była pełna niezliczonych obrazów. Nie miał wątpliwości, że duch mówił prawdę — całą prawdę. Skąd to wszystko wiedział? Kyle był pewien jednego: to co usłyszał, było niesłychanie ważne. Uważał za przywilej to, że informacje zostaną właśnie przez niego dalej przekazane.

Ból przeszył go nagle od nadgarstka po łokieć. Upuścił ołówek i złapał się za zeszywniałą rękę. Nieziemski gość przerwał.

— Dlaczego nie weźmiesz pióra? — zapytał duch normalnym tonem. Kyle zapomniawszy nawet, że mówi do czegoś mniej cielesnego niż obłok dymu.

— Wolę ołówek. Taki nawyk — wolno wypisują się. Przepraszam, że przerwałem — boli mnie nadgarstek.

— Mamy czas.

— Poradzę sobie jakoś.

— Posłuchaj, przynieś sobie kawy, zapal. Rozumiem, że to dla ciebie dziwne. Gdybym był na twoim miejscu, nie wytrzymałbym nerwowo. Nieźle ci idzie, posuwamy się do przodu. Jestem dobrze przygotowany. Odwiedziłem kilka miejsc, byś miał czas się dostosować. Jak sam zobaczysz — jesteśmy do przodu!

— Ale mam mało czasu — odparł Kyle, zapalając papierosa. Rozkoszował się wdychanym dymem. — Mam zebranie o czwartej. Muszę przekonać paru ważnych facetów. Chcę utrzymać sekcję i przejąć ją po Keenan'ie. Muszę zdążyć...

— Nie martw się o to — uśmiechnął się duch. — Pomyśl, że już ich przekonałeś.

— Tak? — Kyle wstał, przeszedł przez biuro i wrzucił monety do automatu. Tym razem duch podążył za nim. Stał tuż za plecami. Mężczyzna odwrócił się i popatrzył na półpłynną postać, obłok czy kłęb jakiejś dziwnej energii. „Hologram, bańka mydlana, ektoplazma” — pomyślał. Ominął ducha i wrócił do gabinetu Gormleya.

— Tak — zjawa, wróciła na swoje miejsce. — Zobaczysz: przeciągniemy twoich przełożonych na naszą stronę.

— Przeciagniemy? My?

— Zobaczysz. A teraz opowiem ci o Harrym Keoghu. Przepraszam, że tak przeskakuję. Tak będzie lepiej, byś miał kompletny obraz.

— Jak wolisz.

— Jesteś gotowy?

— Tak — Kyle chwycił ołówek — ale zastanawiałem się właśnie, gdzie w tym wszystkim jest twoje miejsce.

— Moje? — zjawa uniosła brwi.

— Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będę twoim szefem.

Twarz mężczyzny skrzywiła się w uśmiechu. „Duch? Moim przyszłym szefem?”

— uśmiechnął się do siebie.

— Myślałem, że to już wyjaśniliśmy — powiedziała zjawa. — Nie jestem duchem i nigdy nie byłem. Ale dobrze, dojdziemy do tego, zobaczysz. Możemy już zaczynać?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Harry Koegh bujał myślami w chmurach, które dryfowały niczym kule puchu na niebieskim oceanie letniego nieba. Ręce ułożył pod głowę, źdźbło trawy sterowało, jak maszt, osadzone w zębach. Milczał od czasu, gdy skończyli się kochać. Mewy krzyczały, nurkowały w wodzie. Trawy na wydmach cicho szumiały.

Brenda pieściła rękę Harry'ego. Lubiła go takiego, jak teraz. Spokojnego, na skraju snu, bez tej całej dziwności. Był dziwny, to prawda, ale to był jeden z powodów, dla których go kochała. Czasami wyobrażała sobie, że on też ją kocha, choć nigdy jej tego nie powiedział.

— Harry — zapytała delikatnie, stukając go pod żebro — jest tam ktoś?

— Tak? — źdźbło zadrżało w ustach. Wiedziała, że nie lekceważy jej, po prostu, nie było go tutaj. Był gdzieś daleko. Czasami chciała poznać to miejsce, tajemne miejsce Harry'ego.

Usiadła, zapięła bluzkę, poprawiła spódnicę i strząsnęła z niej piasek.

— Harry, zrób ze sobą porządek. Na plaży są ludzie.

Poprawiła jego rzeczy, przytuliła się i pocałowała go w czoło.

— O czym myślisz? Gdzie jesteś, Harry? — szczypiąc w ucho zapytała.

— Chciałabyś wiedzieć — powiedział. — Tam nie jest przyjemnie. Ja przywykłem. Nie polubiłabyś tego miejsca.

— Polubiłabym, gdybyś ty tam ze mną był.

— To nie jest miejsce, gdzie można być z kimś — powiedział. — Tam można być tylko samemu.

— Harry, powiedz... — zaintrygowało ją to.

— Przecież jesteśmy tutaj — uciał. — Jesteśmy tutaj i kochamy się.

Wiedziała, że gdy spróbuje dalej wypytywać, to i tak niczego nie zmieni.

— Kochałeś się ze mną — powiedziała — osiemset jedenaście razy.

— Przywykłem do tego.

To zbiło ją z tropu.

— Do czego przywykłeś? — zapytała po chwili.

— Do liczenia. Czegokolwiek. Kafelków w ubikacji, gdy tam siedzę, na przykład.

Zachnęła się rozdrażniona.

— Mówiłam o kochaniu, Harry. Nie jesteś ani trochę romantyczny.

— Teraz nie — zgodził się. — Miałaś całą przyjemność?

Już nie był tak chorobliwie zamyślony. Tak właśnie określała jego dziwne stany świadomości. Była zadowolona, że wrócił mu humor.

— Osiemset jedenaście razy — powtórzyła — w ciągu trzech lat. To dużo. Wiesz, od jak dawna chodzimy ze sobą?

— Od dziecka — odpowiedział. Patrzył w niebo.

Wiedziała, że tylko jednym uchem słucha tego, co ona mówi. Coś działo się w jego głowie, unosił się na krawędzi rzeczywistości. Znowu odpłynął. Miała nadzieję, że kiedyś dowie się dokąd. Teraz tylko odchodził i wracał.

— Ale jak długo? — naciskała. Złapała go za podbródek.

— Jak długo? Cztery, pięć lat chyba. — Patrzył na nią bez wyrazu.

— Sześć — powiedziała. — Miałeś wtedy dwanaście lat, a ja jedenaście. Zabrałeś mnie do kina i trzymałeś za rękę.

— A! O to ci chodzi — pokiwał głową. — A mówisz, że nie jestem romantyczny.

— Założę się, że nie pamiętasz tytułu filmu. To był „Psycho”. Nie wiem, kto z nas bardziej się bał.

— Ja — zaśmiał się Harry.

— Potem — kontynuowała — gdy miałeś trzynaście lat pojechaliśmy na piknik na polach Ellison’s Bank. Podjedliśmy trochę i zaczęliśmy się wygłupiać. Wtedy położyłeś rękę na mojej nodze pod sukienką. Skrzyczałam cię. Udałeś, że to był przypadek. Za tydzień znowu to zrobiłeś. Nie rozmawiałam z tobą przez dłuższy czas.

— Było mi wtedy tak smutno — westchnął Harry.

— Potem zacząłeś chodzić do szkoły w Harden. Rzadko cię wtedy widywałam. Następne lato było piękne — dla nas. Pewnego razu wzięliśmy namiot na plażę w Crimdon. Poszliśmy popływać, potem w namiocie wycierałeś moje plecy.

— A ty moje — przypomniał sobie.

— Chciałeś, bym położyła się obok ciebie.

— Ale ty nie chciałaś.

— Harry! Nie miałam wtedy jeszcze piętnastu lat. To było straszne!

— Nie było tak źle — zaśmiał się znowu. — Pamiętasz pierwszy raz?

— Oczywiście.

— To było jak otwieranie wytrychem zupełnie nowego zamka!
— Szybko się sprawiłeś. — Musiała się uśmiechnąć. — Zawsze się dziwiłam, skąd się tego nauczyłeś. Naprawdę zastanawiałam się, czy może ktoś inny nie udzielił ci lekcji...

Jego twarz przybrała poważny wyraz.

— O co ci teraz chodzi?

— No, jakaś inna dziewczyna! — Była zaskoczona jego nagłą zmianą nastroju.
— A o czym pomyślałeś?

— Inna dziewczyna? — ciągle był nachmurzony. Powoli zaczął uśmiechać się, rozbawiło go to, w końcu wybuchnął serdecznym śmiechem. — Inna dziewczyna!

— Jesteś zabawny — Brenda odetchnęła z ulgą.

— Wiesz — odpowiedział, poważniejąc znowu — całe życie ludzie mówią mi, że jestem zabawny. A ja nie jestem taki. Boże, czasami chciałem dobrze się uśmieć. Jakbym nie miał na to czasu — nigdy. Nie czułaś czasami, że jeśli się nie wyśmiesz, to zaczniesz wrzeszczeć. To właśnie czuję.

— Nie rozumiem ciebie. A ty nawet nie chcesz, abym cię rozumiała — westchnęła. — Tak pięknie by było, gdybyś pragnął mnie tak, jak ja ciebie.

Powstał, podał jej rękę. Pocałował w czoło, tak zwykle zmieniał temat.

— Przejdziemy plażą do Hartlepool. Stamtąd złapiemy autobus do Harden.

— Iść do Hartlepool? To cały dzień drogi.

— Wstąpimy na kawę w Crimdon. Możemy jeszcze się wykapać. Potem pójdziemy do mnie. Możesz zostać do wieczora, jeśli chcesz. Chyba, że masz inne plany?

— Nie, nie mam. Wiesz, że nie mam, ale...

— Ale co?

— Harry, co będzie z nami? — Brenda stała się rozdrażniona.

— O co ci chodzi?

— Kochasz mnie?

— Chyba tak.

— Ale nie wiesz na pewno? Bo ja wiem, że cię kocham.

Szli wśród wydm, po mokrym piasku, gdzie niedawno odpłynęła fala. W morzu kąpali się ludzie.

— Tak — odpowiedział w końcu. — Wiem, że cię kocham. Co ciebie martwi? Że nie okazuję miłości? Nie wiem, co chcesz, bym ci mówił. Nie miałem czasu pomyśleć, co mam ci powiedzieć.

Przyłgnęła do jego ramienia, przytulili się, szli tak.

— Nie, nic nie musisz mówić. Nie chciałabym, żeby to się skończyło.

— Dlaczego miałyby się skończyć?

— Nie wiem, ale martwię się. Dokąd zmierza nasza miłość? Moi rodzice też się martwią.

— O! — pokiwał głową. — Małżeństwo, tak?

— Nie, nie to — westchnęła. — Mówisz od zawsze, że jesteśmy za młodzi. Zgadzam się. Wiem, że lubisz być sam i masz rację: jesteśmy za młodzi.

— Ty to powtarzasz — zaprzeczył.

Brenda spojrzała w dół.

— Gdybyś mi powiedział, co cię tak pochłania. Wiem, że jest coś, o czym mi nie mówisz. Wiesz, że to nie przez pisanie. Byłeś nieobecny zanim zacząłeś pisać książki. Tak naprawdę, od kiedy cię znam...

— Brenda! — zatrzymał się, pochwycił ją w ramiona. Zabrakło mu tchu, nie mógł wykrztusić słowa. Przeraziła się.

— Tak, Harry? Co?

Przełknął ślinę, puścił ją i zaczął iść przed siebie. Dogoniła go, chwyciła za rękę.

— Harry?

— Brenda, chcę... chcę z tobą porozmawiać.

— Ja też tego chcę — powiedziała z naciskiem. Zatrzymał się znowu, objął dziewczynę ramieniem, patrzył na morze.

— To dziwna rzecz, to całe...

Poprowadziła go wzdłuż plaży.

— Dobrze, przejdźmy się. Ty mów, a ja będę słuchać. Dziwna rzecz...?

Pokiwał głową, spojrzał na nią kątem oka, odchrząknął.

— Brenda, zastanawiałaś się, o czym myślą martwi ludzie. To znaczy, jakie są ich myśli, gdy leżą w swoich grobach?

Poczuła gęsią skórkę na szyi i plecach. To, co powiedział, zmroziło ją do szpiku kości.

— Czy się zastanawiałam?

— Powiedziałem, że to dziwny temat — dodał pośpiesznie.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Mimowolnie zadrżała. „Pewnie żartuje” — pomyślała. „A może nad czymś pracuje. To musi być to, może historia jego powieści?”

Może źle zrobiła, lekceważąc pisanie jako źródło jego nastrojów. Może był właśnie taki, bo nie mógł o tym z nikim porozmawiać. Każdy wiedział, że Harry jest nad wyraz rozwinięty: jego książki były świetne, jak prace dojrzałego pisarza. Czy dlatego jest tak dziwny, że wiele zatrzymuje w sobie.

— Harry, powinieneś być wcześniej powiedzieć, że chodzi o pisanie.

— O moje książki? — Jego brwi uniosły się.
— To pomysł z książki? O to chodzi, prawda?
Zaprzeczył głową, a za chwilę przytaknął.
— Zgadłaś, pomysł z książki. Dziwna historia. Mam kłopoty z całością, gdybym mógł z kimś porozmawiać...
— Przecież możesz ze mną.
— Więc porozmawiajmy. Może przyniesie mi to nowe pomysły.
Szli dalej, trzymając się za ręce.
— W porządku — powiedziała i dodała po chwili — mają szczęśliwe myśli.
— Kto?
— Ci zmarli z grobach. Myślę, że mają szczęśliwe myśli.
— Ludzie, którzy byli szczęśliwi za życia, o niczym nie myślą — powiedział rzeczowo. — Cieszą się, że już się życie skończyło.
— Sądziś, że można podzielić umarłych na kategorie?
— Zgadza się. Dlaczego by nie? Nie myśleli tak samo, gdy żyli, prawda? Niektórzy są szczęśliwi, na nic się nie skarżą. Ale są tacy, co leżą pełni nienawiści wiedząc, że ich zabójcy żyją bezkarnie.
— Harry, to straszne! Co to za historia? O duchach?
Obliznął spieczoną wargę, przytaknął.
— Coś w tym rodzaju. To opowiadanie o człowieku, który może rozmawiać z ludźmi w ich grobach. Słyszy ich głosy w głowie i wie, o czym myślą.
— Nadal uważam, że to straszne. To okropne. A... a czy ci zmarli chcą z nim rozmawiać? Dlaczego?
— Bo są samotni, jedynie ten człowiek potrafi z nimi rozmawiać.
— Czy on nie oszaleje od tego? Te wszystkie głosy w głowie jednocześnie!
— To nie jest tak — Harry uśmiechnął się krzywo. — Widzisz, ciało gnije, zmienia się w proch. Ale umysł żyje. Nie pytaj jak, sam nie wiem, jak to tłumaczyć. Jest tak, że jaźń jest cały czas świadoma. Gdy człowiek umiera, ona trwa dalej. Tyle tylko, że na poziomie podświadomości. Zmarły jakby śpi, tak na swój sposób. Widzisz nekroskop rozmawia z ludźmi, z którymi chce, których wybiera.
— Nekroskop?
— To nazwa takiej osoby, która zagląda w umysły zmarłych.
— Rozumiem — powiedziała Brenda marszcząc brwi. — Przynajmniej wydaje mi się, że rozumiem. Więc szczęśliwi ludzie leżą, rozpamiętując dobre czasy, a nie-szczęśliwi po prostu wyłączają się.
— Coś w tym rodzaju. Źli ludzie myślą o złych rzeczach, mordercy o morderstwach i tak dalej. Jak zwykli ludzie. Każdy ma swoje piekło. Ich myśli biegną normalnym torem. Powiedzmy, że za życia mieli przyziemne myśli. Nie poniżam ich

— nie byli błyskotliwi, to wszystko. Są jeszcze ludzie nadzwyczajni, twórczy. Wielcy myśliciele, architekci, matematycy, pisarze — prawdziwi intelektualiści. Jak uważasz, o czym oni myślą?

Brenda patrzyła, próbując zrozumieć. Zatrzymała się, podniosła jasny, morski kamyczek.

— Jeśli, powiedzmy, byli za życia wielkimi myślicielami, to myślą na swój niezwykły sposób.

— Zgadza się! — powiedział z naciskiem Harry. — Właśnie tak. Budowniczo- wie mostów budują w swych myślach mosty. Piękne, napowietrzne, łączące kontynenty. Muzycy komponują cudowne piosenki i melodie. Matematycy konstruują abstrakcyjne teorie, tak zadziwiające, że obejmują tajniki wszechświata. Zmarli prześcigają osiągnięcia swojego życia. Rozwijają pomysły do granic ideału. Doskonale niedokończone — na co nigdy nie mieli czasu za życia. Nikt im nie przeszkadza — nie ma zakłóceń z zewnątrz. Nikt ich nie kłopotczy, nikt się nie miesza, nikt ich nie obchodzi.

— Sądzisz, że tak jest naprawdę?

— Oczywiście — przytaknął i poprawił się — w moim opowiadaniu, w każdym razie. Skąd mam wiedzieć jak naprawdę jest?

— Tak głupio zapytałam — odpowiedziała. — Oczywiście, że tak nie jest. Nie rozumiem, dlaczego ci zmarli ludzie chcą rozmawiać w twoim, no, nekroskopem? Czy on im nie przeszkadza?

— Nie — Harry potrząsnął głową — wręcz przeciwnie. Co za pożytek z czegoś pięknego, jeśli nie możesz powiedzieć czy pokazać komukolwiek co zrobiłeś? Dlaczego też oni lubią rozmawiać z nekroskopem — on docenia ich geniusz. Jest jedynym, który to potrafi. Jest przyjacielski, chce poznać ich cudowne odkrycia, fantastyczne wynalazki, które stworzyli!

— To wspaniały pomysł, Harry — podchwyciła Brenda. — Wcale nie jest taki okropny, jak z początku myślałam. Nekroskop może „wynajdować” za nich wynalazki. Może budować mosty, komponować muzykę, pisać nie napisane arcydzieła. Tak to się dzieje, w twoim opowiadaniu?

Harry odwrócił twarz, stał i patrzył daleko w morze.

— Coś w tym rodzaju. Nie pracowałem nad tym jeszcze...

Przez chwilę milczeli. Ruszyli dalej, doszli do Crimdon, zatrzymali się ma kawę w małej kafejce przy plaży. Po krótkim odpoczynku, przeszli jeszcze milę do opuszczonej części plaży. Kąpali się w białym, z dala nikt nie mógł tego zauważyć — można było pomyśleć, że są w strojach kąpielowych. Po chwili, gdy wygłupiali się na falach, jakiś stary włóczęga pojawił się na plaży. Ubrali się szybko i wyruszyli w dalszą drogę. Autobus z Hartlepool zawiózł ich na miejsce, prawie

pod drzwi trzypiętrowego, wiktoriańskiego domu, gdzie Harry zajmował poddasze. Brenda zdążyła przygotować kanapki, wzięli prysznic, a potem kochali. Dzieli między sobą rozkosze miłości. Smakowali sól na swoich ciałach. Byli pełni słońca, promieniowali ciepłem, wszystko było udane, naturalne. Brenda najbardziej lubiła Harry'ego w lecie. Nie był wtedy tak blady i jego postać wydawała się bardziej muskularna.

Harry nie był słaby czy cherlawy, potrafił się obronić, nie dał sobie pluć w twarz. Brenda widziała, jak radził sobie z silniejszymi od siebie. Tamci wracali w siniakami. W duchu była dumna, że to ona właśnie była przyczyną bójk. Harry nie zważał na docinki pod swoim adresem, ignorował je, kładł je na krab głupoty zaczepnych prostaków. Ale nigdy nie zniósł obrazy Brendy albo siebie. Stawał się wtedy zupełnie innym człowiekiem.

Harry miał szesnaście lat, gdy kochali się pierwszy raz. On pragnął tego od dawna. Szybko stał się w tym dobry. Brenda była niewinna, myślała, że istnieje tylko jeden sposób miłości, Harry zaś odkrył przed nią tajemnice zmysłów, o których nie śniła nawet i nie podejrzewała, że jej ciało może być zdolne do tylu doznań. Często zastanawiała się, czy ktoś inny nie uczył go, jak to się robi. W końcu przestała się tym martwić, złożyła to na karb jego osobowości i... przyspieszonego rozwoju. Z jakiś niewiadomych przyczyn zaczął celować w nowych dziedzinach, celować jakoś naturalnie, jakby bez uprzedniej nauki czy intensywnego treningu.

Kiedyś Harry przyznał, że kładł angielski na każdym egzaminie, przez ten język o mało co, nie zdałby do college'u. Wtedy jego wypracowanie było zupełnie do niczego. Ale ten przypadek nie powtórzył się więcej. Może pracował nad angielskim? Ale kiedy? Brenda nigdy nie widziała go, jak się uczy. Nigdy niczego się nie uczył. Miał dopiero osiemnaście lat, a już był tak płodnym pisarzem. Dotychczas pisał krótkie opowiadania, ale przynajmniej trzy w tygodniu. Wszystkie dopracowane, perfekcyjne. Wiedziała, że teraz zajmuje się powieścią.

Jego rozklekotana maszyna stała na małym stoliku przy oknie. Pewnego razu Brenda niespodziewanie odwiedziła mieszkanko, w którym pracował. To był ten jeden z rzadkich momentów, kiedy widziała go przy pracy. Gdy wchodziła po schodach słyszała stukanie klawiszy. Weszła do małego przedpokoju i zajrzała przed drzwi. Harry siedział przy stoliku, zamyślony, uśmiechał się do siebie, coś mruczał. Wsparł podbródek na rękach, potem wyprostował się, wystukał kilka wersów dwoma palcami, zatrzymał się. Kiwał głową, uśmiechał się do swoich myśli. Wyglądał przez okno na ulicę.

Gdy zapukała do drzwi, przestraszył się. Ale przywitał się, odłożył pracę. Zdążyła rzucić okiem na kartkę papieru w maszynie: „Pamiętnik rozpustnika z XVII wieku”. Dziwiła się potem, co to miało znaczyć? Co Harry może wiedzieć o XVII

wieku? Z jego ograniczoną wiedzą o historii, która zawsze była jego najsłabszym punktem? No i rozpustnik...?

Gdy się ubrała po miłosnych igraszkach, podeszła do lustra, aby zrobić sobie makijaż. Znalazła się blisko stolika. Spojrzała na maszynę i niedokończoną stronę — Harry pracował nad nią wcześniej. Kartka papieru A4 oznaczona była: str. 213, a w lewym górnym rogu: Pamiętnik... itd.

Brenda przekreśliła wałek nieco i przeczytała fragment. Zarumieniła się, odwróciła wzrok. Wygładzony, piękny styl, ale niesamowicie lubieżna treść. Kątem oka ponownie spojrzała na kartkę, lubiła siedemnastowieczne romanse. Styl Harry'ego był doskonały. Ale to nie był romans — czysta pornografia.

Wtedy dopiero uświadomiła sobie, co znajduje się za oknem: stary cmentarz po drugiej stronie ulicy. Miał ponad czterysta lat. Rosły tam ogromne kasztanowce otoczone zaroślami i kwiatami. Widać było zwietrzałe nagrobki, a wokół nich dobrze utrzymany kamienny płot. „Dlaczego Harry wybrał takie miejsce na mieszkanie? Wokół były lepsze budynki. Powiedział, że podoba mu się widok.” — zastanawiała się. Teraz dopiero uświadomiła sobie, co to za widok!

Harry coś mamrotał, przewracał się na łóżku. Podeszła i uśmiechnęła się opiekuńczo. Leżał w cieniu, zaczął drzeć. Chciała go obudzić przed odejściem. Musiała już iść. Rodzice woleli, gdy wracała za dnia. Zaparzyła sobie jednak kawę i usiadła na fotelu.

— Nie martw się, mamó, nie skrzywdził mnie! — nagle przemówił Harry. — Byłem z ciocią i wujkiem, dbali o mnie. A teraz jestem już dorosły. Może wkrótce wszystko będzie w porządku, będziesz mogła wtedy spać spokojnie...

Chwila przerwy, jakby się wsłuchiwał.

— Ale dlaczego nie możesz, mamó? ...Nie mogę! Za późno. Wiem, że chcesz mi coś powiedzieć, ale... tylko szept, mamó. Słyszę, ale... nie wiem co... jak rozumieć twoje słowa. Może odwiedzę cię, przyjdę do ciebie... — mamrotał bezładnie.

Rzucał się niespokojnie, pocił obficie i drżał. Brendę opanował lęk o niego. Czyżby gorączka? Pot zbierał się w małym zagłębieniu nad górną wargą, tworzył krople na czole, zmoczył włosy. Harry trząsał się pod kołdrą.

— Harry? — wyciągnęła rękę i dotknęła go.

— Co! — obudził się nagle. Oczy miał szeroko otwarte, ciało sztywne. Patrzył nieruchomo w jeden punkt. — Kto...?

— Harry, Harry! To tylko ja. Miałeś jakiś straszny sen! — Brenda wtuliła go w swe ramiona, zarzuciła jego ręce wokół siebie. — O twojej mamie. Już wszystko dobrze!

Przycisnęła go mocniej do siebie na chwilę, a potem delikatnie uwolniła się. Jego oczy były ciągle szeroko otwarte, patrzył za nią.

— O mojej matce? — powiedział. Podała mu kubek z kawą.

— Mówiłeś „mamo”. Rozmawiałeś z nią.

Rozprostował się, poprawił palcami zmierzwione włosy.

— Co mówiłem?

— Niewiele. Takie mamrotanie, że jesteś dorosły i żeby była spokojna. Był to tylko sen, Harry.

Zdażył się ubrać, zanim dopiła kawę. Następnie zeszli na przystanek. Czekali na autobus do Harden. Harry pocałował dziewczynę w policzek.

— Do zobaczenia, kochanie — powiedział.

— Jutro? Jutro będzie niedziela.

— W tygodniu zajrzę do ciebie. Pa, kochanie.

Zajęła miejsce z tyłu autobusu. Obserwowała przez szybę jak Harry stoi samotnie na przystanku. Po chwili ruszył, ale nie w stronę domu, skierował się w cmentarną bramę.

Harry nie odwiedził Brendy. Praca w damskim salonie fryzjerskim w Harden nie szła jej dobrze, była rozkojarzona, zaczęła się martwić. Ojciec twierdził, że zgłupiała, dała się omamić.

— Ten chłopak to cholerny dziwak — oświadczył. — Brenda, nie możesz być taka uczuciowa. Nie pozwalam ci jechać do Hartlepool. W piątkowy wieczór, kiedy chłopaki piją piwo? Możesz jutro zobaczyć swojego stukniętego Harry'ego.

Źle spała tej nocy. Sobotniego poranka wstała wcześniej, pojechała autobusem do Harry'ego. Miała swój klucz, weszła na poddasze. Nie zastała go. W maszynie do pisania znajdowała się kartka papieru oznaczona wczorajszą datą i krótka wiadomość:

„Brenda!

Pojechałem do Edynburga na weekend. Muszę zobaczyć tam paru ludzi, wrócę najpóźniej w poniedziałek, wtedy się zobaczymy. Obiecuję. Przepraszam, że nie wpadłem w tygodniu. Dużo rzeczy chodziło mi po głowie i nie byłoby nam dobrze.

Kocham, Harry.”

Dwa ostatnie słowa sprawiły, że mu przebaczyła. Poniedziałek był blisko. Zastanawiała się, kogo mógł odwiedzać w Edynburgu. Żył tam jeszcze jego ojczym, którego nie widział od lat. Kto jeszcze? Może inni krewni, o których nie wiedziała. Może żyła też kiedyś jego matka, która prawdopodobnie utonęła, gdy był małym chłopcem. Nigdy nie znaleźli jej ciała. Nie ma grobu.

Zacząła się zastanawiać nad czymś, o czym nigdy nie myślała. Szczegółowo przejrzała papiery Harry'ego. Sprawdzała opowiadania, powieści. Nigdzie wśród papierów nie natknęła się na historię o nekroskopie.

To oznaczało, że Harry nie zaczął tego opowiadania albo że kłamał.

W tym czasie, kiedy Brenda Cowell stała w smudze porannego światła w mieszkaniu, Harry znajdował się o sto dwadzieścia mil od Hartlepool. Patrzył na duży dom ukryty w zieleni ogrodu. Niegdyś posiadłość ta była dobrze utrzymana. To działo się dawno temu. Pamiętał matkę. Gdzieś w głębi podświadomości nigdy jej nie zapomniał. I ona nigdy o nim nie zapomniała, nadal martwiła się o syna.

Po chwili skierował się nad rzekę, płynącą nieopodal. Jej nurt był powolny, wirujący, jakby... zapraszający. Głęboka, zielona toń przyciągała. Gdzieś tam, na dnie, między kamieniami i szlamem dostrzegł mały błyszczący przedmiot. Pierścionek, sygnet. Kocie oko osadzone w złocie. Harry podszedł do brzegu, przysiadł. Świeciło słońce, ale było chłodno. Niebo zsiniało, w jednej sekundzie stało się szarą, płynną nawałnicą zdradliwej rzeki.

Znalazł się pod wodą, płynął w kierunku przerębli. Przez lód dojrzał twarz, drżące galaretowate wargi unosiły się i opadały w złym grymasie. Ręce wpychały go pod wodę. Na jednym z palców — sygnet, z kocim okiem. Harry drapał te ręce, chwycił się ich, w szale je rozrywał. Złoty sygnet obluzował się, zawirował, wpadł w mrok lodowatej głębi. Krew zabarwiła wodę purpurą. Czerwień i czerń umiaramia Harry'ego. Nie, to nie jest tylko jego śmierć. Umiera też jego matka. Uwięzieni pod wodą tonęli. Prąd niósł ich pod lodem, obracając, miotając bezlitośnie. Kto zaopiekuje się teraz Harrym? Biedny, mały chłopiec...

Koszmar ustępował. Pęd i wirowanie wody w rzece zastygło. Łapał powietrze. Trzymał się trawiastego brzegu zaciśniętymi do bólu dłońmi. „To było tutaj. To stało się tutaj” — myślał oszołomiony. „Ona umarła w tym miejscu. Tutaj została zamordowana! Gdzie ona teraz jest?”

Wstał i powoli ruszył brzegiem rzeki. Tam, gdzie się zwężała, przeszedł przez mały most. Żywopłoty ogrodu ciągnęły się wzdłuż brzegu. Szedł wąską, zarośniętą ścieżką między ścianą zieleni z jednej strony, a trzcinami i wodą z drugiej. Po chwili dotarł do miejsca, gdzie brzeg stawał się lekko urwisty. Ścieżka kończyła się nad spokojną wodą. Żywopłoty przechylały się w stronę rzeki. Harry wiedział, że nie musi dalej szukać. Ona była tutaj.

Jeśli ktoś śledziłby go z drugiego brzegu, zauważyłby dziwną rzecz. Harry usiadł, machał nogami nad płytkim, mulistym zbiornikiem. Podparłszy głowę, patrzył głęboko w wodę. Łzy płynęły mu z oczu, łączyły się z wodą w rzece.

Po raz pierwszy w dorosłym życiu Harry Koegh spotkał się z matką, rozmawiał z nią w „cztery oczy”, mógł sprawdzić straszne szczegóły ze snów i koszmarów,

z przesłankami, które wzbudzały w nim podejrzenia od wielu lat. Rozmawiali. On płakał łzami smutku, łzami bólu i niemocy. Tak długo czekał na ten dzień. Płakał łzami czystego gniewu, gdy wszystko zaczęło się układać się w całość. W końcu powiedział jej, co zamierza uczynić.

Wtedy Mary Koegh zaczęła jeszcze bardziej obawiać się o niego. Prosiła, błagała, by nic nie czynił nieroztropnie. Syn przystał na jej prośby — opowiedział skinieniem głowy. Nie wierzyła mu, krzyknęła za nim, gdy wstał. Przez ułamek sekundy wydawało się, że dno zadrżało. Po chwili woda ucichła.

Harry wracał do miejsca, w którym przed wieloma laty zdarzyła się tragedia. Stanął na brzegu, wokół rosły wysokie trzciny. Sprawdził czy jest zupełnie sam. Popłynął na środek rzeki, gdzie prąd był najbardziej rwący. Ale nawet tam siła nurtu była niewielka. Po dwudziestu minutach nurkowania i szperania wśród kamieni na dnie, znalazł to, czego szukał. Już bez blasku, trochę zaśniedziały sygnet.

Wsunął go na wskazujący palec lewej dłoni. Był trochę za luźny, ale nie tak, by można było go zgubić. Obrócił na palcu. Był zimny jak dzień, w którym został zgubiony przez właściciela.

Harry ubrał się i skierował do Bonnyrigg, stamtąd chciał złapać autobus do Edynburga i wsiąść w pierwszy pociąg do domu, do Hartlepool.

Śnił, że teraz, gdy już odnalazł matkę, nie będzie miał nigdy trudności z nawiązaniem z nią kontaktu, osuszy łzy, uspokoi ją. Tego pragnęła od dawna. Już nie będzie musiała więcej martwić się o małego synka.

Zanim opuścił miejsce nad rzeką, zatrzymał się i spojrzał na duży dom na drugim brzegu. Tam nadal mieszkał jego ojczym — morderca. Pragnął, by Wiktor Szukszin zapłacił za śmierć jego matki. Musi go spotkać najsroższa kara odpowiadająca zbrodni, którą popełnił. Nic nie wyniknie z prostego oskarżenia. Jaki dowód przedstawiłby po tylu latach? Harry chciał zastawić pułapkę, wyrównać rachunki poza wymiarem sprawiedliwości. Postanowił wykorzystać swoją niezwykłą, tajemną moc człowieka-nekroskopu. Wysłuchać tych, których nie ma już wśród żywych.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Lato 1975 roku...

Trzy lata minęły od ostatniej wizyty Dragosaniego w Rumunii. Już niedługo miał nadejść moment, kiedy Stary Diabeł wyzna mu swoje sekrety, sekrety wampirów. W zamian nekromanta przywróci go do życia, czy raczej pozwoli uwolnić się ze śmierci i zstąpić na ziemię.

Nekromanta urósł w siłę. Jego pozycja była nie do podważenia. Po odejściu generała Borowica miał stanąć na szczycie sowieckiego wydziału ESP. Z wiedzą wampirów — jego władza będzie niezmierną. To, co kiedyś wydawało się nierealnym marzeniem, miało się spełnić. Stara Wołoszczyzna będzie najpotężniejszym ze wszystkich państw. Z Dragosanem jako przywódcą. Zwykły śmiertelnik mało może osiągnąć w ciągu swojego życia, ale nieśmiertelny może dojść do wszystkiego. Dręczyło go jednak jedno pytanie: „Jeśli to prawda, że nieśmiertelność ma niezmierną siłę, dlaczego gatunkowi wampirów nie powiodło się? Dlaczego nie rządzą, nie panują nad tym światem?”

Dla człowieka samo dopuszczenie możliwości pojawienia się wampira jest przerażające. W czasie, gdy ludzie uwierzyli, kiedy mieli niepodważalny dowód ich istnienia, zabijali je i niszczyli. Wampiry stały się niewidzialne, ukrywały się w dzień, nie mogły poruszać się swobodnie po ziemi. Jednocześnie musiały zaspokajać swoje pragnienia, żądze, głód władzy — jaką mogło dać im Zło. Mieć władzę: polityczną czy jakąkolwiek inną, to znaczy być pod obserwacją, a to była jedna z najgorszych rzeczy, których wampiry się obawiały. Ale gdyby zwykły człowiek mógł posiadać wiedzę wampirów, te ograniczenia zniknęłyby — osiągnęłyby wszystko!

Dlatego Dragosani raz jeszcze przyjechał do Rumunii. Praca i obowiązki zbyt długo nie pozwalały mu na kontakt z Diabłem. Chciał porozmawiać z nim, podzielić się informacjami o ziemskim świecie i pochłonąć resztę tajemnej, upiornej wiedzy.

Już wkrótce miała nadejść odpowiednia pora, kiedy sekrety wampirów roztoczą przed nim horyzonty wszechpotężnej władzy.

Minęły trzy lata od kiedy był tu ostatni raz — lata ciężkiej pracy. Przez ten cały czas Grigorij Borowic nie oszczędzał swoich ludzi — nekromanty także. Stary generał musiał w pełni wykorzystać cztery lata dane mu przez Breżniewa tak, by wydział umocnił swoją pozycję w systemie.

Pierwszy Sekretarz przekonał się, że Wydział jest potrzebny. Co więcej, była to jedna z najbardziej tajnych służb i najbardziej niezależna — tak jak zaplanował Borowic.

Dzięki wczesnym ostrzeżeniom, Breżniew był zupełnie przygotowany na upadek politycznego rywala — Richarda Nixona, prezydenta USA. Afera Watergate zaszkodziła czy też nawet zrujnowała kariery wielu polityków, a Breżniew na tym skorzystał. Oczywiście dzięki przepowiedni Borowica czy dokładniej, Igora Władika...

Podobnie, zgodnie z przewidywaniami generała, Breżniew znając przyszłość, sprawnie prowadził politykę zagraniczną. Przed upadkiem Nixona, wcześniej, bo w 1972 roku wiedząc, że w Ameryce do władzy dojdą nieustępliwi politycy, Breżniew podpisał układ z USA, traktujący o sztucznych satelitach. Ameryka była daleko w przodzie w rozwoju technologii kosmicznych, więc szybko złożył podpis pod szczytowym osiągnięciem „odprężenia” — wspólnym przedsięwzięciem „Skylab”, co już teraz przynosiło korzyści.

W rzeczy samej, przywódca radziecki podjął te i inne sugestie Borowica, zrealizował prognozy otrzymane z Wydziału ESP. Wypuścił tysiące dysydentów i Żydów. Każdy krok kończył się sukcesem, umacniał jego pozycję.

Breżniew ściśle honorował umowę z 1971 roku ze starym generałem.

Tak jak dobrze wiodło się Breżniewowi i jego reżymowi, tak i powodziło się Borowicowi i Borysowi Dragosaniemu.

Podczas gdy generał zapewniał stabilność Wydziału i zdobywał sobie szacunek przywódcy, jego stosunki z Jurijem Andropowem pogarszały się. Nie było otwartej nienawiści, ale Andropow był zazdrosny i bez przerwy knuł swoje intrygi. Dragosani wiedział, że Borowic stale obserwuje szefa KGB, ale nie domyślał się, że i on jest pod nadzorem. Coś w jego zachowaniu nie dawało spokoju staremu generałowi. Dragosani zawsze był arogancki i nieposłuszny.

Borowic w pewien sposób akceptował to, nawet się z tego cieszył — ale było coś jeszcze. Przypuszczał, że to ambicja tak się objawia, oczywiście pożądana — do pewnego momentu.

Dragosani także zauważył w sobie zmianę. Mimo tego, że jego największe „uproszczenie” przeszło do historii, stał się nawet bardziej oziębły wobec płci przeciw-

nej. Gdy brał kobietę, to zawsze z niezmienną brutalnością — nie było w tym żadnego uczucia, czysty upust zdławionych emocji i fizycznych potrzeb. Co do ambicji: coraz trudniej mu było się kontrolować. Nie mógł doczekać się dnia, gdy Borowic odejdzie. To był dodatkowy powód wyjazdu do Rumunii. Chciał spotkać się z Diabłem. Mimowolnie zaczął uważać go za swój największy autorytet. Mógł z nim rozmawiać w absolutnym zaufaniu o swoich ambicjach i planach. Wampir stał się swojego rodzaju wyrocznią. Swojego rodzaju, bowiem Dragosani nigdy nie był pewny, czy jego słowa nie są fałszywe. Wiedział też, że skoro coś tak silnie przyciągało go do Rumunii, to powinien być ostrożny podczas obcowania z Potworem.

Te i inne myśli krążyły mu po głowie, gdy jechał wołągą starą, wiejską drogą z Bukaresztu do Pitesti. Do miasta pozostało szesnaście kilometrów.

Trzy lata temu był tu ostatnio. Dziwne, ale przez ten cały czas ani razu nie pomyślał o bibliotece w Pitesti. Teraz poczuł, że ciągnie go do tego miejsca. Nadal mało wiedział o wampiryzmie i o półśmierci, a cała wiedza, którą posiadał była raczej wątpliwa — pochodziła przecież od samego Wampira. Jeśli jakakolwiek biblioteka miała być źródłem miejscowych podań i legend — to była to z pewnością ta w Pitesti.

Dragosani pamiętał, że szkoła często wypożyczała stare dokumenty i zapiski dotyczące historii dawnej Wołoszczy. Duża część zbiorów została wywieziona podczas wojny ze względów bezpieczeństwa. To było mądre posunięcie, bo Pitesti przeszło jedno z najcięższych bombardowań. Nie mniej jednak, wiele materiałów pozostało do tej pory w miasteczku.

O jedenastej był już na miejscu. Przedstawił się dyżurnemu, poprosił o pokazanie dokumentów dotyczących rodzin bijarów, ziem, bitew, pomników, ruin, cmentarzy Wołoszczyzny — w szczególności okolicznych terenów z piętnastego wieku.

Bibliotekarz był uprzejmy i chętny do pomocy, choć zapytanie przybysza wywołało uśmiech na jego twarzy. Po chwili weszli do pokoju, w którym mieściły się stare dokumenty... Wtedy Dragosani domyślił się, co go tak rozbawiło.

W pokoju o wymiarach stodoły znajdowały się półki z książkami i dokumentami. Było tego wystarczająco dużo, by zapełnić kilka ciężarówek. Wszystko dotyczyło przedmiotu zainteresowania Dragosaniego.

— Czy... to jest skatalogowane?

— Oczywiście, proszę pana — odpowiedział młody bibliotekarz i znowu się uśmiechnął. Przyniósł skrzynki z zawartością, której przeczytanie tylko zajęłoby kilka dni.

— Samo pobieżne przejrzanie tych materiałów zabierze rok albo więcej — zauważył Dragosani.

— Katalogowanie trwało dwadzieścia lat — odparł bibliotekarz. Teraz władze dzielą zbiory: większość przechodzi do Bukaresztu, część do Budapesztu. Nawet Moskwa zgłosiła wniosek. Zabiorą je w ciągu trzech miesięcy.

— Mam niewiele czasu. Tylko kilka dni. Zastanawiam się... czy mógłbym ja-
koś zawęzić zakres moich poszukiwań. — Dragosani był przytłoczony tym wido-
kiem.

— Jest jeszcze kwestia języka. Chciałby pan zobaczyć dokumenty w języku tu-
reckim, węgierskim czy niemieckim? A może interesują pana języki słowiańskie?
Do czego chciałby pan się odnieść? Jakie punkty orientacyjne? Wszystkie mate-
riały mają przynajmniej trzysta lat, kilka datuje się sprzed siedmiu stuleci i dalej.
Mamy dokumenty obcych najeźdźców i tych, którzy ich wyparli. Potrafi pan zro-
zumieć te dzieła?

Dojrzał beznadziejne spojrzenie Dragosaniego.

— Proszę pana, może powie pan bardziej konkretnie.

— Jestem zainteresowany pewnym mitem, którego korzenie tkwią tutaj,
w Transylwanii, Mołdawii, Wołoszy i który pochodzi, o ile wiem, z piętnastego
wieku. Mitem wampira.

— Ale pan nie jest turystą? — bibliotekarz nagle stał się ostrożny.

— Nie, jestem Rumunem. Teraz mieszkam i pracuję w Moskwie. Co to ma do
rzeczy?

Bibliotekarz był może trzy, cztery lata młodszy od Borysa i trochę skrępowany
jego światowym wyglądem.

— Jeśli się przyjrzeć tym katalogom, które właśnie pokazałem, można zauwa-
żyć, że są napisane tym samym charakterem pisma — jedną ręką. Powiedziałem
już, że zabrało to dwadzieścia lat pracy. Człowiek, który to wykonał, żyje do dziś
i mieszka niedaleko — w Titu. To w kierunku Bukaresztu, dwadzieścia pięć kilo-
metrów stąd.

— Wiem — powiedział Dragosani. — Przejeżdżałem tamtędy niecałe pół go-
dziny temu. Myślisz, że on mógłby mi pomóc?

— O tak, jeśli zechce.

— Zechce?

Mężczyzna rozejrzał się niepewnie po pokoju.

— Zrobiłem błąd dwa lata temu. Wskazałem drogę amerykańskim „badaczom”,
Nie chciał z nimi rozmawiać — wyrzucił ich. To trochę ekscentryk, rozumie pan?
Odtąd jestem bardziej ostrożny. Mamy dużo zapytań w tej sprawie — ten Draku-
la daje widocznie jakiś biznes na Zachodzie. Pan Giresci unika komercyjnej stro-
ny zagadnienia.

— Więc mówisz, że ten człowiek to ekspert. — Nekromanta poczuł, lekkie pod-

niecenie. — To znaczy, że studiował legendę, śledził historię, dokumenty przez dwadzieścia lat?

— Tak, między innymi. To jest tak zwane hobby, a może obsesja. To pożyteczna obsesja dla biblioteki — pracownik zaśmiał się nerwowo.

— Muszę się z nim zobaczyć. To zaoszczędzi mi mnóstwo czasu i energii.

Bibliotekarz wzruszył ramionami.

— Dobrze, mogę dać adres, ale... to będzie od niego zależało, czy zechce pana widzieć. Może weźmie pan butelkę whisky. To amator tego trunku. Rzadko może sobie pozwolić na szkocką.

— Daj mi ten adres — powiedział Dragosani z błyskiem w oczach.

Dom Giresci stał samotnie — na końcu osady, zagubiony wśród dziko rosnących ogrodów, żywopłotów — tonął w zieleni. Był bardzo zaniedbany. Trochę wysiłku włożono jednak w utrzymanie budynku, bo gdzieś tam stare deski zastąpiono nowymi, połatano dach. Ścieżka prowadząca pod drzwi była zarosnięta. Dragosani zapukał w deski, z których odpadły ostatnie płyty farby.

W jednej ręce trzymał torbę z butelką whisky — zakupioną w miejscowym sklepie alkoholowym w Pitesti — bochenkiem chleba, trójkątem sera, paroma owocami. Zapukał ponownie, tym razem mocniej. W końcu usłyszał odgłosy wewnątrz.

Mężczyzna, który otworzył drzwi, miał około sześćdziesięciu lat i wyglądał delikatnie jak zasuszony kwiat. Jego włosy były białe niczym czapa śniegu. Cera bardzo blada i błyszcząca. Choć prawa noga mężczyzny była drewniana, panował nad swoją ułomnością, poruszał się zgrabnie. Miał przygarbione plecy, jedno ramię trzymał sztywno, drgało, kiedy nim poruszał.

Przenikliwym spojrzeniem brązowych oczu przeszywał stojącego na progu gościa.

— Pan mnie nie zna, panie Giresci — powiedział Dragosani. — Jestem historykiem, którego fascynacje wiążą się ze starą Wołoszczyzną. Powiedziano mi, że nikt nie zna dziejów tych okolic lepiej niż pan.

— Hmm — mruknął Giresci, mierząc gościa wzrokiem. — Są profesorowie w Budapeszcie, którzy polemizowaliby z twoją tezą. Stał ciągle blokując wejście, ale Dragosani zauważył, że jego oczy spoczęły na torbie i butelce.

— Whisky? — zapytał. — mam słabość do kieliszka.

— Przebyłem długą drogę z Moskwy. Może wypijemy razem podczas rozmowy.

— A kto powiedział, że będziemy rozmawiać? — jego spojrzenie ponownie zatrzymało się na butelce. — Szkocka, co?

— Oczywiście. Jedyna prawdziwa whisky i...

— Jak się nazywasz, młody człowieku? — uciął Giresci. Nadal stał w wejściu, ale oczy wyrażały zainteresowanie.

— Borys Dragosani. Urodziłem się w tych stronach.

— I dlatego interesuje cię miejscowa historia? — Był nadal podejrzliwy. — Nie ciągniesz za sobą jakichś cudzoziemców, co? Na przykład Amerykanów?

Gość uśmiechnął się.

— Wręcz przeciwnie. Wiem, że miał pan z nimi przedtem kłopoty. Ale nie będę kłamał, Ladislau Giresci. Moje zainteresowania są identyczne. Bibliotekarz z Pitești dał mi adres.

— Tak? Ale powiedz, tylko bez wykrętów, co ciebie interesuje?

— Chcę porozmawiać o wampirach. — Dragosani postanowił zagrać w otwarte karty.

Stary człowiek popatrzył przenikliwie, nie był zaskoczony.

— O Drakuli?

— Nie, o prawdziwych wampirach, o ich kulcie.

Giresci ożywił się, zaczął ciężko oddychać.

— Wampiry? No, może porozmawiamy. Tak, i napiję się whisky. Ale najpierw powiedz: chcesz poznać legendę prawdziwych wampirów. Powiedz, wierzysz w wampiry?

Borys spojrział na starca.

— Tak, wierzę — oznajmił stanowczo.

Gospodarz odsunął się.

— Wejdz, Dragosani, wejdz, wejdz. Porozmawiamy.

Mimo że dom Giresci na zewnątrz wyglądał na zaniedbany, w środku był czysty i porządkowy. Ściany wyłożone na ludowo dębową boazerią. Wzorzyste, utkane według starej słowiańskiej tradycji, dywany wyścielały wypolerowane przez wieki sosnowe deski. Pomimo swej prostoty, pomieszczenie emanowało ciepłem, ale z drugiej strony...

Wszechobecne hobby czy obsesja starca żyły w każdym pokoju. Przepajały atmosferę domu w ten sposób, jak mumie w muzeum dają poczucie niezmiernych piasków pustyni i wiecznych tajemnic. Tutaj czuło się pasma górskie, dziką trawę, dumę, procesję niekończących się wojen, krew, niewiarygodne okrucieństwo. Te pokoje były starą Rumunią, Wołoszczyzną.

Na ścianach wisiała stara broń. Miecze, części szesnastowiecznej zbroi, zdradliwa haczykowata pika. Czarna kula armatnia przytrzymała drzwi — Giresci znalazł ją na starym polu bitewnym, niedaleko twierdzy Tirgoviste. Para ozdobnych, tureckich bułatów dekorowała miejsce nad kominkiem, Obok topory, maczugi, cepy, zardzewiały pancerz z tarczą piersiową przeciętą prawie do połowy.

Ściana na korytarzu, który dzielił salon od kuchni i sypialni była obwieszona obrazami z podobiznami Władów i drzewami genealogicznymi rodzin bojarskich. Herby i znaki rodów, skomplikowane mapy bitewne, szkice fortyfikacji, kurhanów, szańców, zrujnowanych zamków i baszt.

I książki. Półka przy półce. Wiele z nich niezmiernie cennych. Wszystkie ocalał Giresci. Znajdował je na aukcjach, w księgarniach, antykwariatach, w zrujnowanych i podupadłych posiadłościach niegdyś potężnej arystokracji.

— To musi być warte fortunę — zauważył Dragosani.

— Dla muzeum, dla kolekcjonera, możliwe. Nigdy nie patrzyłem na to pod tym kątem — odparł gospodarz. — A jak ci się podoba ta broń? — wręczył mu kuszę.

Dragosani zważył broń w dłoniach, zamyslił się. Kusza była całkiem nowoczesna. Ciężka jak strzelba i na pewno śmiertelna. Interesujące, bo „strzała” wykonana była z drewna, prawdopodobnie gwajakowego, czubek z wypolerowanej stali.

— To nie pasuje do reszty — powiedział przybysz.

Starzec zaśmiał się, ukazując zepsute zęby.

— Pasuje, pasuje. Ta kusza jest środkiem odstraszającym. Dragosani pokiwał głową.

— Drewniany kołek w serce, co? Upolowałeś tym wampira?

Giresci ponownie się zaśmiał.

— Nie jestem głupi. Kto chce upolować wampira musi być szalony. Ja jestem tylko dziwakiem. Upolować? Nigdy. Ale co wtedy, jeśli wampir zechce zapolować na mnie? Nazwij to samoobroną jeśli chcesz, czuję się z tym bardziej bezpieczny w domu.

— Ale dlaczego się boisz? Dlaczego któryś z nich miałby cię odwiedzić?

— Gdybyś był tajnym agentem — powiedział gospodarz, a Borys uśmiechnął się w myśli — czy byłbyś zadowolony, wiedząc, że ktoś z zewnątrz zna twoje metody? Oczywiście, że nie. A wampir? Posłuchaj dwadzieścia lat temu, gdy kupowałem tę broń, nie byłem taki pewny. Widziałem coś, czego nie zapomnę do końca życia. One istniały naprawdę. Im bardziej zgłębiałem ich legendę, historię, tym bardziej stawały się dla mnie potworami. Nie mogłem spać — wieczne koszmary. Zakup broni był jak pogwizdywanie w ciemności. Może nie odsunęło to ciemnych mocy, ale było znakiem, że opanowałem swój strach.

— A bałeś się? — zapytał Dragosani.

Stary spojrzał podejrzliwie.

— Oczywiście, że się bałem — odpowiedział w końcu. — Tu, w tym domu, gdzie zbierałem i studiowałem wiedzę o wampirach. Bałem się, tak. Ale teraz...

— Co teraz?

Jakby rozczarowanie odbiło się na twarzy Giresci.

— Nadal tu jestem, żyję, nic mi się nie przytrafiło, więc myślę, że może wymarły. Tak istniały, ale prawdopodobnie ostatni z nich odszedł na zawsze.

— Lepiej trzymaj swoją kuszę. — Dragosani oddał broń. — Tak, Ladislau, trzymaj w gotowości. Bądź też ostrożny, kiedy zapraszasz nieznanym do domu.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni po paczkę papierosów. Nagle zamarł, Giresci skierował kuszę w jego serce, z odległości tylko jednego metra.

— Jestem ostrożny — powiedział, wpatrując się w oczy gościa. — Obaj wiemy dużo, ty i ja. Ja wiem, dlaczego wierzę, ale ty?

— Ja? — Dragosani wyjął pod marynarką pistolet z kabury.

— Dlaczego chcesz znać prawdę?

Nekromanta szybkim ruchem wymierzył w kierunku Giresci...

Stary zabezpieczył kuszę, położył na małym stole.

— Za spokojnie — zaśmiał się — jak na wampira. Naciąg strzały jest uregulowany, by ugodzić i nie przeszyć na wylot. Tylko wtedy, gdy kołek utkwi w ciele, wampir będzie naprawdę unieszkodliwiony.

Dragosani blady jak śmierć, odłożył pistolet obok kuszy, na stole.

— Mój naciąg — mówił Borys chrapliwie — wystarczy, by przepchać ci serce przez plecy. Widziałem lustra na ścianach korytarza i jak w nie patrzyłeś, gdy je mijałem. Za dużo lusterek, pomyślałem. I krzyż nad drzwiami, i jeszcze jeden na twojej szyi. Przydało się? No więc, jestem wampirem, stary człowieku?

— Nie wiem, kim jesteś — pokręcił głową. — Wampirem? Nie. Nie ty. Przyszłaś za dnia. Ale pomyśl: ktoś poszukuje mnie, dokładnie chce osiąść tajemnicę. I nawet zna nazwę: wampiry. Może kilku — jeśli w ogóle — na świecie ją zna. Nie byłbyś przezorny?

Dragosani wziął głęboki oddech, rozluźnił się.

— Twoja przezorność o mało nie kosztowała cię życia — powiedział bez osłonek. — Co jeszcze trzymasz w zanadrzu?

— Nic, nic. — Giresci zaśmiał się nerwowo. — Myślę, że się teraz rozumiemy. Zostawmy to, zobaczmy lepiej, co masz w torbie. — Wskazał miejsce przy stole jadalnym pod oknem.

— Tu jest cień — wyjaśnił. — Chłodniej.

— Whisky dla ciebie — odrzekł przybysz. — Reszta dla mnie na obiad, ale nie jestem pewien, czy chce mi się teraz jeść. Ta twoja kusza to piekielna broń!

— Musisz zjeść, oczywiście, że musisz zjeść! Co? Ser na obiad? Nie, nie ma mowy. Mam bekasy w piekarniku. Już wypieczone. Grecka recepta. Przepyszne. Whisky jako aperitif, chleb nasączymy tłuszczem ptaków, ser na potem. Dobrze! Świetny obiad. Potem opowiem ci moją historię.

Giresci posadził gościa. Dragosani dostał szklaneczkę wyjętą ze starego, dębowego sekretarzyka, pozwolił sobie na małą whisky. Gospodarz pokuśtykał do kuchni. Zapach piezzonego mięsa powoli napełnił pokój. Wrócił z parującą tacą, polecił wyjąć talerze z szuflady. Nałożył jeden kawałek sobie, dwa dla gościa. Oprócz ptasiego mięsa były pieczone ziemniaki.

— Ja piję twoją whisky — powiedział Giresci — ty jedz moje ptactwo. To było w czasie wojny — stary rozpoczął swoją opowieść. — Gdy byłem małym chłopcem, miałem wypadek. Ramię i plecy. Nie mogłem pójść do wojska. Chciałem coś zrobić, dlatego zaciągnąłem się do Obrony Obywatelskiej. Obrona Obywatelska! Miasto płonęło noc w noc. Jak można się „bronić”, gdy z nieba leci deszcz bomb? Biegałem wraz z setką innych. Wynosiliśmy ciała z płonących i walących się budynków. Byłem młody i przywykłem szybko. Gdy jest się młodym krew, ból, śmierć — nie robią wrażenia. Robisz to, bo tak trzeba.

Wtedy... wtedy przyszła noc najcięższa. Było ciężko każdej nocy, ale tamta... — opuścił głowę, zgubił słowa. — Na peryferiach, w kierunku Bukaresztu, było wiele starych domów. Rezydencje arystokracji z dawnych czasów. Wiele tych budynków rozsypywało się, ludzie nie mieli pieniędzy na ich utrzymanie. Ci, co w nich mieszkali, nadal mieli pieniądze, ziemię, ale nie tak wiele. Żyli, stopniowo umierali, rozpadali się jak ich domy. Tej nocy bomby spadły właśnie tam.

Kierowałem ambulansem. Jechałem na przedmieścia, gdzie w większych domach tworzone szpitale. Dotychczas większość bombardowań dotknęła centrum.

Jechałem wzdłuż starych, bogatych rezydencji, niebo na wschodzie i południu było czerwone od płomieni ognia. Na ziemi panowało piekło. Ambulans był pusty — dzięki Bogu — właśnie skończyliśmy kurs, wyładowaliśmy pół tuzina ciężko rannych w jednym z prowizorycznych szpitali. Byłem ja i jeszcze jeden sanitariusz. Wracaliśmy do Ploiesti. Samochód drżał na starych brukowanych drogach, na kupach gruzu. Wtedy spadły bomby.

Spadły na stare posiadłości, wszystko wylatywało w powietrze. Piękne widowisko, gdyby nie tak piekielne. Pierwsza — trzysta metrów od prywatnych posiadłości. Głuchy pogłos, nagły błysk — wulkaniczny wybuch ognia i popiołu. Ziemia drżała pod pędzącym ambulansem. Następna, dwieście pięćdziesiąt metrów dalej. Cisnęła ogniem w drzewa i uniosła ziemię ponad dachy. Dwieście metrów — następna. Kula ognia wniosła się nad kamienne mury, wyżej niż domy. Za każdym razem ziemia drżała coraz mocniej, coraz bliżej. Dom ma prawo, trochę oddalony od drogi jakby podskoczył z fundamentami. Wiedziałem, gdzie spadnie następna bomba. Trafi dokładnie w ten dom! I co wtedy?

I miałem rację — prawie. Przez ułamek sekundy widziałem szkielet budynku podświetlony od tyłu. Światło tak jasne jakby przenikało kamienie. Na dole,

w oknie stała postać z rozpostartymi ramionami, wymachiwała rękoma w szalonym gniewie. Kiedy zgasł błysk wybuchu i opadła dymiąca ziemia, uderzyła następna bomba.

Wtedy nastąpiło piekło. Dach ambulansu został zmiążdżony, podmuch wyrzucił drzwi wśród dymu i ognia. Droga uniosła się w górę i w dół — jak wąż. Wyrzuciła kostki bruku w szyby, wtedy... wszystko zaczęło wirować, wszystko płonęło!

Ambulans unióś się jak zabawka w dłoni szaleńca. Zatoczył się, opadł na bocze. Straciłem świadomość, byłem w szoku. Miałem nudności. Gdy doszedłem do siebie, odczołgałem się od płonącego pojazdu. Kilka sekund później, kilka sekund i...

Nie znałem nawet imienia mojego towarzysza z ambulansu. Poznałem go tej nocy i pożegnałem.

Bomby sypały się z nieba nieustannie. Drżałem na całym ciele. Byłem bezbrony.

Spojrzałem na dom, który został trafiony. Ku mojemu zdziwieniu — ktoś stał w oknie.

Pobiegłem tam. Skoro już jedna bomba trafiła, było mało prawdopodobne, że spadnie druga. W szoku nie zwróciłem uwagi na to, że dom płonął.

Wszedłem przez zniszczone okno. W pomieszczeniu, które kiedyś zapewne było biblioteką znalazłem zmasakrowanego człowieka — to, co z niego zostało. To, co powinno po nim zostać — ciało. Ten jego stan... powinien był umrzeć. Żył, choć powinien umrzeć.

Nie jesteś pierwszy, który słyszy tę historię. Opowiadałem ją potem — czy raczej paplałem — kilka razy. Z upływem czasu coraz bardziej niechętnie. Wiedziałem, że spotka się to z niedowierzaniem. Cała ta przygoda była bodźcem, szokiem, który spowodował moje poszukiwania, badania. Stała się moją obsesją. To moje najbardziej znaczące wspomnienie. Przez kilka lat bardzo ograniczyłem grono słuchaczy, ale nadal muszę o tym opowiadać. Prawdę powiedziawszy — ty Dragosani — będziesz pierwszą osobą od siedmiu lat.

Z początku, nic nie widziałem w pokoju. Tylko szczątki, ogromne zniszczenie. Ściana była naruszona i przechylona, w każdej chwili mogła runąć. Półki leżały dookoła w bezładzie, tomy rozrzucone. Niektóre paliły się. Gryzący dym, płomień i chaos. I wtedy usłyszałem jęk.

Dragosani są jęki i jęki. Jęki ludzi wyczerpanych do cna, jęki rodzących kobiet, jęki umierających. Ale są też jęki nieumarłych! Nic wtedy o tym nie wiedziałem. Były to dla mnie odgłosy agonii, ale jakiej agonii — jakiej nieskończoności bólu...

Dochodziły zza starego, przewróconego biurka blisko okien. Przedarłem się przez gruzy, dotarłem do biurka, postawiłem je na nogi — odsunąłem od naruszo-

nej ściany. Tam, między regałami i ciężką belką — leżał człowiek. Według wszelkich zewnętrznych oznak był to człowiek, zresztą dlaczego miałem myśleć inaczej... Potem musiałem znaleźć dla niego inne imię...

Jego oblicze było imponujące. Byłby przystojny, ale jego twarzą szarpała agonía. Wysoki, potężny mężczyzna. I silny. O, Boże, jaki on musiał być silny — to właśnie pomyślałem, kiedy zobaczyłem jego obrażenia. Żaden człowiek nie przeżyłby takich ran. Wielka drzazga wiekowej sosny przebiła jego pierś na wylot. Przyszpieliła go do podłogi niczym motyla w kolekcji. To powinno go być zabić, ale nie... Ciało było rozerwane na dwie części. Widziałem całe wnętrzości. Jego flaki pulsowały. Wnętrzości, jakich nigdy nie widziałem — to nie były wnętrzości normalnego człowieka.

Co? widzę, że chcesz o coś zapytać. Zapytaj siebie. Wnętrzości to wnętrzości! Śluzowate rurki, pozwijane tuby, dymiące kanały. Dziwne kształty — czerwone, żółte, purpurowe kawały mięsa. Skręcone, parujące pęcherze. O tak, to wszystko było we wnętrzu! I coś jeszcze! — Giresci głęboko odetchnął i popił whisky.

Nekromanta słuchał w napięciu... Mimo, że całą uwagę skierował na historię starego, jego twarz nie okazywała emocji czy przerażenia.

— Jesteś odporny, mój młody przyjacielu — Giresci zauważył obojętność gościa. — Wielu zbladłoby, nawet zwymiotowało, wysłuchując tej opowieści. Ale to jeszcze nie koniec.

Powiedziałem, że dojrzałem coś we wnętrzu ciała tego człowieka. Rzeczywiście! Przez chwilę mignęło mi to... Myślałem, że wzrok nie zawodzi. Zresztą — zobaczyliśmy się nawzajem jednocześnie. Wtedy, to coś zaczęło się kurczyć i znikać wśród wnętrzości. A może... po prostu, wyobraźnia podsunęła mi ten obraz. Wtedy pomyślałem, że dojrzałem jakby ośmiornicę o wielu ruchliwych mackach. Ale dlaczego te macki były większe od normalnych ludzkich organów. To była wielka wić, oplatająca mięsień serca!

Ranny, mimo bólu, był świadomy. Pomyśl — świadomy! Wyobraź sobie jak musiał cierpieć! Gdy przemówił do mnie, prawie zemdlałem, on jeszcze myślał, układał poprawnie zdania: „Wyciągnij to, wyciągnij to ze mnie. Ostrze belki — wyciągnij z mego ciała.”

Doszedłem do siebie, zdjąłem marynarkę i położyłem ostrożnie na odsłonięte wnętrzości. Nie mogłem nic zrobić, były na wierzchu. Chwyciłem belkę.

„Nie dam rady” — powiedziałem mu zaciskając zęby. „To cię zabije na miejscu. Jeśli to wyjmę, umrzesz od razu. Mówię szczerze, nie mogę.”

„Spróbuj jakoś” — westchnął.

Spróbowałem. Niemożliwe. Trzech ludzi nie dałoby rady. Dosłownie: przebiło go na wylot, do podłogi. Poruszyłem lekko belką i wtedy spadły kawały sufitu,

ściana niebezpiecznie zadrzała. Co gorsza, krew wypłynęła w zagłębieniu piersi, tam, gdzie przykuła go belka.

Wtedy ryknął i wytrzeszczył oczy, zamarłem ze strachu. Jego ciało zaczęło drżeć pod marynarką, jakby przeszył go elektryczny prąd. Stopy waliły w podłogę w nagłym paroksyźmie bólu. Ale czy uwierzysz? W tej boleści, jego drżące ręce objęły pal. Starał się przekazać mi swoją siłę, kiedy próbowałem go uwolnić.

Próżny wysiłek. Obaj o tym wiedzieliśmy. Powiedziałem: „Nawet gdy zdołam to wyciągnąć, cały sufit zawali się na ciebie. Posłuchaj, mam ze sobą chloroform. Mogę cię tym uspić. Nie będziesz czuł bólu.”

„Nie, nie” — sapnął natychmiast. „Sprowadź pomoc, ludzi. Idź, idź szybko!”

„Nie ma nikogo!” — zaprotestowałem — „a jeśli są tu ludzie, to ratują swoje życie, swoje rodziny, dobytek. Cała dzielnica jest jak piekło.”

Kiedy to powiedziałem, usłyszałem daleki pomruk bombowców i odgłosy wybuchów.

„Nie” — naciskał. „Możesz to zrobić. Wiem, że potrafisz. Znajdziesz pomoc i wrócisz. Zapłacę ci sowicie. Nie umrę — wytrzymam. Jesteś... jesteś moją jedyną szansą. Jak możesz mi odmówić.” Był zdesperowany.

I teraz ja doświadczałem bezsilności, zupełnej niemożności. Ten odważny, silny człowiek miał umrzeć. Wiedziałem, że nie znajdę nikogo, że wszystko skończone.

Podążył za moim wzrokiem, ujrzał płomienie liżące parapety okienne. Dym gęstniał, książki płonęły. Ogień przerzucał się na powalone półki i mebel. Dym sączył się z nadwątłego sufitu. Ściana obsunęła się i tuman gipsowego pyłu wypełnił powietrze.

„Spło... spłonę” — westchnął. Przez chwilę jego oczy były szeroko rozwarte, błyszczał w nich strach, a potem pojawiła się w nich dziwna rezygnacja. „Sko... skończone. Skończone. Po tylu długich wiekach.”

„Nie miałeś szans” — mówiłem. „Twoje rany... Twój ból jest tak wielki! Przekroczyłeś już jego próg...”

Wtedy spojrzął na mnie i dostrzegłem szyderstwo w jego oczach. „Moje rany, mój ból?” — powtarzał. Zaśmiał się gorzko, pełen jadu i pogardy. „Kiedy nosiłem szyszak smoka, kopia przeszyła moją przyłbicę, złamała grzbiet nosa. To był ból! Ból, bo część prawdziwego MNIE została zraniona. Silistria — pobiliśmy tam Turków. Tak, znam ból, mój przyjacielu. Znamy się dobrze — ból i ja! W 1294 roku dołączyłem do czwartej krucjaty. Spalono mnie za okrucieństwo. Ale czyż się nie odpłaciłem? Przez trzy długie dni łupiliśmy, gwałciliśmy, wycinaliśmy w pień. W agonii, na poły strawiony ogniem, prawie do samego MOJEGO serca, byłem siepaczem wszechczasów. Ludzkie ciało spaliło się, ale ciało wampira żyło. A teraz leżę przykuty, unieruchomiony. Płomienie dojdą do mnie i dokończą dzieła. Ludz-

ki ból, ludzka agonia — nie znam ich, nie obchodzą mnie. Ale ból wampira? Przybity, w płomieniach, rozdierany w ogniu — warstwa za warstwą. Nie!”

Takie były jego słowa. Myślałem, że majaczy. Kim był? Wykształcony człowiek, z pewnością. Płomienie zbliżały się, było gorąco — nie do zniesienia. Nie mogłem tam dłużej zostać — nie mogłem go też opuścić, dopóki był świadomy. Wyjąłem małą buteleczkę z chloroformem.

Dojrzał moje zamiary, wytrącił otwartą butelkę z rąk. Zawartość wylała się i po chwili zniknęła w ogniu. „Głupcze!” — syknął — „zabiłbyś tylko ludzką powłokę.”

Czułem gorąco pod ubraniem, małe języki ognia lizały belkę. Ledwo mogłem oddychać. „Dlaczego nie umierasz?” — krzyknąłem wtedy, nie mogłem się od niego oderwać. „Na Boga, umieraj.”

„Bóg? Nie ma dla mnie miejsca w twoim niebie, mój przyjacielu” — odpowiedział.

Na podłodze, wśród innych szczątków leżał nóż. Niezwykle ostry. Chwyciłem i zbliżyłem się do leżącego. Mierzyłem w gardło. Jakby czytał w moich myślach. „Nie wystarczy” — powiedział. „Cała głową.” „Co?” — zapytałem. „Co mówisz?”

Wtedy przykuł swój wzrok do mnie. „Podejdź!”

Pochyliłem się nad nim, wyciągnąłem nóż. Wziął go ode mnie, odrzucił daleko. „Zrobimy inaczej” — powiedział.

Patrzyłem w jego oczy — trzymały mnie. Były... magnetyczne!

„Idź do kuchni” — zarządził. „Tasak. Duży. Przynieś. Idź już.”

Jego słowa — nie, jego umysł trzymały moją jaźń. Przedarłem się do kuchni przez dym i płomienie. Wróciłem. Pokazałem tasak. Pokiwał głową z zadowoleniem. Pokój był już cały w płomieniach, moje ubranie zaczęło dymić, włosy miałem osmolone i poskręcane.

„Twoja nagroda” — powiedział.

„Nie chcę nagrody.”

„Ale ja chcę, byś ją miał. Chcę, byś wiedział kogo zabiłeś. Rozerwij moją koszulę przy szyi.”

Zrobiłem, jak polecił. Wokół szyi miał złoty łańcuch z ciężkim medalionem. Odpiąłem go i włożyłem do kieszeni.

„Masz” — westchnął. „Pełna zapłata. Teraz koniec”

Uniosłem tasak drżącą ręką, ale...

„Czekaj!” — powiedział. „Posłuchaj, kusi mnie, żeby cię zabić. To jest instynkt samozachowawczy, silny u wampirów. Wiem, że na to za późno. Śmierć, którą mi zadasz, będzie czysta i miłosierna. Płomienie są powolne i bezlitosne. Mogę cię uderzyć, zanim ty to zrobisz, nawet w chwili, gdy zadasz cios. A wtedy obaj umrzemy straszliwie... uderz, gdy zamknę oczy. Uderz mocno i uciekaj! Uderz i odskocz

daleko! Rozumiesz?”

Przytaknąłem. Zamknął oczy. Uderzyłem.

W jednej chwili proste, błyszczące ostrze dotknęło jego szyi. Zanim odciąłem głowę, otworzył oczy. Ostrzegał mnie — zrobiłem, jak chciał. Uskoczyłem, gdy głowa odpadła, potoczyła się i zatrzymała wśród płonących książek. Ale te oczy patrzyły na mnie pełne oskarżenia. I ten rozszczępiony język jak u węża, liżący wargi.

Cała głowa potwornie zmieniała się. Skóra skurczyła się na czaszce, kości wydłużyły się jak u wielkiego wilka. Przenikliwe oczy — przedtem ciemne — oblały się purpurą krwi. Zęby opadły na dolną wargę, uwięziły język między wielkimi, ostrymi jak igły kłami.

To prawda! Widziałem to — przez krótką chwilę, zanim głowa zaczęła się błyskawicznie deformować. Ogarnęło mnie przerażenie. Potykając się, uciekłem od tej wpatrzonych we mnie, obcej, trawionej ogniem głowy. Uciekałem od bezgłowego tułowia...

Pamiętasz, przyłożyłem marynarkę od odkrytych wnętrzności. Niewidzialna siła ujęła ją od dołu, rozerwała i rzuciła w dwóch płatach pod sufit. A potem, drgająca, dzika oślizgła macka — obrzydliwe cielsko wypełzło z brzucha. Miotła się, szarpała w potwornym bólu, szukając czegoś.

Sunęła po podłodze, dokładnie sprawdzając płonący pokój. Wskoczyłem na krzesło i przykucnąłem na nim przykuty strachem. Widziałem, jak gniją resztki korpusu, sypią się kości — pozostał tylko pył. Macka stała się ociężała, wróciła do miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą leżało ciało, do prochu, do pyłu.

Wszystko to, rozumiesz, działo się w kilka chwil. Szybciej, niż można opowiedzieć. Pośpieszyłem do wyjścia. Cała powierzchnia pokoju, gdzie ta okropność miała miejsce, zajęła się ogniem, który pochłonął wszystko. Nie pytaj mnie, jak się stamtąd wydostałem, jak przebiegłem się na zewnątrz, to uszło z mojej pamięci.

Usłyszałem jeszcze, jakby z otchłani piekielnych, długi jęk agonii. Żałosny, okropny i złowieszczy.

Wtedy... Posypały się bomby. Nic więcej nie pamiętam. Przytomność odzyskałem w szpitalu. Straciłem nogę i jak mi później powiedzieli — część umysłu. Nerwica wojenna. Nie było sensu niczego tłumaczyć, pozwoliłem im pozostać przy swoim. Mój umysł i ciało były ofiarami bombardowania...

Ale pomiędzy rzeczami, które przy mnie znaleziono, było to, co poświadczyło całą historię. Nadal to mam!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Giresci na kamizelce nosił złoty łańcuch. Z lewej kieszeni wyjął zegarek na srebrnym, trochę już zaśniedziałym ze starości łańcuszku, z prawej medalion, o którym wspominał wcześniej. Dragosani pochwycił medalion i wpatrywał się weń. Na jednej stronie widniał stylizowany krzyż heraldyczny, prawdopodobnie znak Zakony Joannitów z Jeruzalem. Był przekreślony i mocno zamazany, a po drugiej stronie widniała surowa, chropowata płaskorzeźba, a na niej trójpostać: nietoperz, smok i diabeł. Znał dobrze ten motyw.

— Zbadałeś to?

— Trójpostać? Jej znaczenie? Próbowałem, ale do tej pory nie udało mi się odkryć jej pochodzenia. Mogę powiedzieć o symbolice smoka i nietoperza w lokalnej historii, ale co do motywu diabła — to raczej... ciemna sprawa.

— Nie — uciął niecierpliwie Dragosani. — Nie o to mi chodzi. Znam ten motyw. Co z człowiekiem, tym stworzeniem, które dało ci medalion? Zdołałeś wysledzić jego losy?

Giresci odebrał mu zegarek i medalion.

— To ciekawe — powiedział. — Po takich przeżyciach powinienem trzymać się z daleka do tego prawda? Kto by pomyślał, że przed długie lata będę prowadził poszukiwania i badania. Tak się stało! Na początku zająłem się nazwiskiem, rodziną i pochodzeniem, tego stworzenia, które zabiłem tamtej nocy. Jego nazwisko brzmiało: Faethor Ferency.

— Ferency? — powtórzył Dragosani, jakby delektował się słowem. Pochylił się do przodu, nacisnął palcami stół. To imię mówiło coś. Ale co?

— Co? — Giresci był wyraźnie zdziwiony. — Uważasz, że to nieszczerzalne imię? Nazwisko jest dość pospolite, węgierskie. Spotkałem się z podobnym w przypadku księcia z Białej Chorwacji — z IX wieku. Jego nazwisko brzmiało Ferrenzing.

„Ferency, Ferrenzing” — pomyślał Dragosani — „jeden i ten sam.” Zastanowił się, czemu doszedł do takiego wniosku. Zdał sobie od razu sprawę, że faktycz-

nie o tym wiedział — o podwójnej tożsamości wampirów. Podwójna tożsamość? Z pewnością był to zbyt pośpieszny wniosek. „To nazwiska musiały być te same — nie ludzie, którzy jej nosili” — pomyślał. — „A jeśli tych dwóch, jeden — książe białochorwacki, a drugi — rumuński właściciel ziemski to jedna i ta sama osoba!” Nekromanta wiedział, że idea półśmierci wampirów wcale nie jest tak szalona, jak sądzą niewtajemniczeni.

— Czego jeszcze dowiedziałeś się o nim? — przerwał ciszę. — O jego rodzinie? O tych, co przeżyli? O jego pochodzeniu? Starzec zmarszczył brwi i podrapał się po głowie.

— Rozmawiać z tobą to trochę bezcelowe i frustrujące. Mam ciągle wrażenie, że już znasz wszystkie odpowiedzi. Może nawet wiesz więcej niż ja — jakbyś chciał ode mnie potwierdzenia swoich przekonań... — Zamyślił się przez chwilę.

— O ile wiem, Faethor Ferency był ostatnim z rodu.

— Mylisz się! — wyrzucił z siebie Dragosani. — Nie możesz być tego pewien. Giresci był zaskoczony.

— Znów wiesz więcej niż ja? — Pił whisky wolno, ale wydawał się być pod jej wpływem. Nalał sobie znowu. — Powiem ci dokładnie, czego dowiedziałem się o tym Faethorze. Wojna już skończyła się, gdy zacząłem badania. Na życie nie mogłem się skarżyć. Miałem dom, „wynagrodzono” mi utratę nogi. Renta kombataanta pozwalała przeżyć, dawałem sobie radę. Bez luksusów, ale nie głodowałem. I miałem dach nad głową. Nie miałem rodziny, nie ożeniłem się powtórnie.

Dlaczego zająłem się legendą wampirów? Przypuszczam, że głównie dlatego, że nie miałem nic innego do roboty, a to przyciągało mnie jak wielki magnes. Jak już wiesz, zacząłem badania od Faethora Ferency. Wróciłem do miejsca, gdzie to się stało, rozmawiałem z ludźmi, którzy mogli go znać. Dom Ferenczego był jedną wielką wypaloną jamą, szkieletem. Dowiedziałem się o jego nazwisku z poczty, z rejestru ziemi i własności, z list zaginionych i zabitych, z raportów wojennych etc. Ale nikt nie znał go osobiście. Wtedy odnalazłem starą kobietę, która mieszkała w tej dzielnicy, wdowę Luorni. Jakies piętnaście lat przed wojną pracowała u Faethora. Sprzątała, chodziła tam dwa razy w tygodniu. Robiła to może przez dziesięć lat, czy więcej, dopóki nie zniechęciła się do tej pracy. Coś narastało w niej, aż nie mogła dalej tego znieść. W każdym razie, nigdy nie wymówiła jego imienia, uprzednio nie przeżegnawszy się. Mimo wszystko, dowiedziałem się paru interesujących szczegółów.

W domu nie było luster. Wiem, że nie muszę wyjaśniać, co to znaczy...

Wdowa Luorni nigdy nie widziała swojego pracodawcy w świetle dnia. Wychodził jedynie dwa razy, zawsze wieczorem, do ogrodu. Nie przygotowywała mu nigdy posiłku i nigdy nie widziała, żeby coś jadł. Miał kuchnię, to prawda, ale nie ko-

rzyszał z niej, a jeśli nawet, to sprzątał ją sam.

Nie miał żony, rodziny, żadnych przyjaciół. Poczta przychodziła rzadko. Wyjeżdżał z domu na całe dni. Nigdzie nie pracował, a zawsze miał pieniądze. Mnóstwo pieniędzy. Sprawdziłem w banku, ale niczego nie odkryłem. Krótko mówiąc, Faethor Ferency był bardzo dziwnym, bardzo tajemniczym i samotnym człowiekiem. Ale to nie wszystko. Pewnego ranka wdowa Luorni przyszła sprzątać i natknęła się na miejscową policję. Trzej bracia — znany gang włamywaczy, grasujący w okolicach Moreni — szajka, którą policja tropiła latami została ujęta w domu Faethora. Widocznie włamali się do mieszkania we wczesnych godzinach rannych. Myśleli, że dom jest pusty — nieszczęsna pomyłka.

Zgodnie z tym, co później zeznali na posterunku, Faethor właśnie zaciągał całą trójkę do piwnicy. Pamiętasz, w tamtych czasach policja ciągle używała koni w bardziej odległych rejonach. Nigdy złoczyńcy nie cieszyli się tak jak oni, z oddania w ręce prawa. To byli twardzi opryszkowie, ale nie mogli być rywalami dla Ferenczego. Każdy miał złamaną nogę i rękę. Namierzona ofiara stała się oprawcą. Pomyśl o jego sile, Dragosani! Policja była wdzięczna, że przyczynił się do ich ujęcia. Tak powiedziała wdowa Luorni. W końcu bronił swego życia i mienia. Była tam, kiedy zabierano braci, kilka godzin później. Gdy ich zobaczyła, zrozumiała, że jej pracodawca „wyssał” w nich radość życia.

Jak powiedziała, Ferency ciągnął ich do piwnicy. Po co? By ich zatrzymać, dopóki nie nadejdzie pomoc? Nie! Żeby ich przechowywać, niczym mięso w spiżarni, dopóki nie będzie ich potrzebował. Wkrótce potem, wdowa przestała tam pracować.

— Tak? — wymamrotał Borys. — Dziwi mnie, że pozwolił jej odejść. Wiedział chyba, że zaczęła coś podejrzewać. Nie bał się, że może o nim zacząć rozpowiadać?

— Chwileczkę — odrzekł Giresci — o czymś zapomniałeś, Dragosani. Pamiętasz sposób w jaki panował nade mną oczami i umysłem — tej nocy podczas bombardowania, tej nocy, podczas której zmarł?

— Hipnoza! — wykrzyknął nekromanta.

Giresci uśmiechnął się ponuro.

— To umiejętność wampirów, jedna z wielu. Po prostu, rozkazał jej, że dopóki żyje ma milczeć. Dopóki żył, wdowa niczego nie pamiętała.

— Rozumiem — powiedział Dragosani.

— Jego siła była tak potężna — kontynuował gospodarz — że doprawdy zapomniała, do chwili, gdy zacząłem ją wypytywać po latach. Wtedy, oczywiście Faethora już nie było wśród żywych.

Opowieść Giresci zaczęła irytować Borysa. To jego poczucie samozadowolenia,

bystrości, wysokie mniemanie o swoich zdolnościach detektywistycznych.

— Ale to wszystko to są, oczywiście, przypuszczenia — powiedział. — Nie wiesz tego na pewno.

— Wiem — odpowiedział natychmiast gospodarz — wiem to od wdowy. Nie zrozum mnie źle, nie twierdę, że się po prostu wygadała. To nie była zwykła pogawędka — wcale nie. Siedziałem, pytałem o niego bezustannie, dopóki nie doko-pałem się do wszystkiego. Zmarł i jego moc odeszła.

Dragosani zamyślił się, zmrużył oczy. Nagle poczuł się zagrożony. Poczuł, że jest mu za ciasno. Klaustrofobia? Może. Wzdrygnął się, usiadł prosto, próbował się skoncentrować.

— Ta wdowa nie żyje? — zapytał.

— Tak, umarła wiele lat temu.

— Więc tylko ty i ja wiemy cokolwiek o Faethorze Ferency?

Giresci spojrzał przenikliwie na gościa. Głos nekromanty płynął wolno, stał się złowieszczym pomrukiem. Coś było z nim nie w porządku.

— Tak — odpowiedział Giresci marszcząc brwi. — Nie mówiłem nikomu, nie przypominam sobie. Nie było sensu — kto by uwierzył? Dobrze się czujesz, mój przyjacielu? Wszystko w porządku?

— Ja? — Dragosani zorientował się, że pochyla się do przodu, jakby stary przy-ciągał go. Usilnie próbował wyprostować się na krześle. — Trochę jestem senny, to wszystko. Może po posiłku. Podałeś mi dobry obiad.

— Jesteś pewny?

— Tak zupełnie. Proszę cię, Giresci, nie przerywaj. Opowiedz więcej. O Feren-czym i jego przodkach. O Ferrienzingach. O wampirach. Zdradź mi wszystko, co wiesz i czego się domyślasz.

— Wszystko? To zabierze tydzień i dłużej!

— Mam tydzień czasu — odrzekł Borys.

— Do diabła, mówisz poważnie?

— Nie przyszedłem tu żartować!

— No dobrze, Dragosani, bez wątpienia miły z ciebie człowiek. Dobrze jest po-rozmawiać z kimś, kto tak bardzo jest zainteresowany i orientuje się w temacie, ale czy myślisz, że straciłbym na to cały tydzień? W moim wieku czas jest niezmiernie cenny. A może myślisz, że jestem długowieczny jak Ferency, co?

Gość uśmiechnął się dwuznacznie, już miał powiedzieć: „Możemy porozma-wiać tutaj albo w Moskwie.” To nie było jednak konieczne. Nie teraz. Borowic mógłby domyślić się, skąd pochodzi jego talent nekromanty.

— Możesz więc poświęcić mi godzinę lub dwie? Skoro już o tym wspomniałeś, zacznijmy od problemu długowieczności Faethora.

— Dobrze! — Giresci zaśmiał się. — Zostało jeszcze trochę whisky. — Nalał do kieliszka, rozluźnił się. — Długowieczność Ferenczego. Prawie nieśmiertelność wampirów. Najpierw powiem, czego jeszcze dowiedziałem się od wdowy Luorni. Kiedy była jeszcze małą dziewczynką, jej babka mówiła, że pamięta Faethora — mieszkał w tym samym domu. I jej prababka też! Nic dziwnego — syn następuje po ojcu, prawda? Tu mieszkało wiele rodzin bojarów, których nazwiska sięgały niepamiętnych czasów. Nadal żyją takie rodziny. Ale nigdy w tym domu nie było kobiet. A jak mężczyzna przedłuży istnienie swego rodu, jeśli nie ma żony, ani żadnej innej kobiety?

— Oczywiście sprawdziłeś i to.

— Tak. Mało było dokumentów, wojna zniszczyła większość. Ale z pewnością nigdy nie było tam kobiety. Celibat?

Dragosani poczuł się obrażony.

— Nie sądzę — odpowiedział sztywno.

— Oczywiście, że nie — potwierdził starzec. — Wampir i celibat? Śmieszne. Pożądanie to siła, która nim kieruje — wszechobecna żądza władzy, ciała, krwi!

Posłuchaj: W roku 1840 Bela Ferenczy wyprawił się przez góry, z wizytą do kuzyna, na północną granicę Austro-Węgier. Ten fakt jest dobrze udokumentowany. Bela jakby umyślnie zadał sobie trud, by rozpowszechnić wiadomość o wyjeździe. Wynajął człowieka do opieki nad domem podczas jego nieobecności. Nie miejscowego, nawiasem mówiąc, ale jakiegoś Cygana. Wynajął powóz, woźnicę na początek trasy, zarezerwował kwatery na przełęczach. Poczył wszelkie możliwe przygotowania do podróży — jak na tamte czasy. Rozgłosił wokół, że to wizyta pożegnalna, postarzał się szybko w ciągu ostatnich lat; pojechał odwiedzić po raz ostatni dalekich krewnych. Pamiętaj, tutaj ciągle była Wołoszczyzna-Mołdawia. W Europie huczała już rewolucja przemysłowa — wszędzie tylko nie tutaj. Zawsze byliśmy opóźnieni. Kolej poprzez góry, łącząca Gałac i Lwów miała dopiero powstać za dziesięć lat. Wiadomości krążyły wolno, trudno było przechowywać informacje. Mówię to, by podkreślić, że w tym przypadku komunikacja była dobra, a zapiski przetrwały do dziś.

— Przypadku? — zdziwił się Dragosani. — O jakim przypadku mówisz?

— O przypadku nagłej śmierci Beli. Powóz wraz z końmi wpadł w przepaść, zmiotła go lawina. Wiadomość o tym szybko rozeszła się. Cygański nadzorca zabrał zapieczętowany testament do notariusza. Wolę zmarłego wypełniono niezwłocznie. Dom i posiadłości Ferenczych miano przekazać pewnemu kuzynowi imieniem Giorg, który zasłużył sobie na dziedzictwo.

— I oczywiście pojawił się ten Giorg Ferenczy i przejął majątek. Był dużo młodszy od Beli, ale podobieństwo było zdumiewające.

— Zgadza się, podążasz za moim tokiem rozumowania. Przeżywszy pięćdziesiąt lat, w ciągu których jako człowiek zestarzał się, zdecydował się, że pora „umierać” i zrobić miejsce dla następcy.

— A kto przyszedł po Giorgu? — zapytał Borys.

— Faethor, oczywiście — Giresci podrapał się odruchowo po głowie. — Zastanawiałem się — powiedział — gdybym go nie zabił w tę noc, gdyby przeżył bombardowanie, jakie byłoby jego następne wcielenie? Czy pojawiłby się po wojnie w nowej skórze, odbudowałby dom i żył jak przedtem? Myślę, że odpowiedź brzmi: prawdopodobnie tak. Wampiry są przywiązane do swojego terytorium.

— Jesteś więc przekonany, że Bela, Giorg i Faethor to jedna i ta sama osoba?

— Oczywiście. Sam mi opowiedział jak szalał w bitwie pod Silistrą. Przed Belą byli: Grigor, Karl, Peter i Stefan, i Bóg tylko wie ilu innych. To było ich terytorium, rozumiesz, panowali tu krwawo. Panowali jak bojarowie. Zachłannie kochali swoją ziemię. Dlatego dołączył do czwartej krucjaty, chciał powstrzymać dawnych i przyszłych wrogów z dala od swoich ziem. Swoich ziem, rozumiesz? Nie ważne jaki król, jaki rząd, jaki system jest u władzy — wampir uważa swoje terytoryjny za dom. Walczył o swoje ziemskie dziedzictwo, nie dla nędznej garstki krzykliwych cudzoziemców z Zachodu. Widziałeś krzyż rycerzy krucjaty przekreślony na odwrocie medalionu. Gdy go znieważyli, pogardził nimi, napluł na nich!

— Tak dokładnie wytropiłeś jego korzenie? Do roku 1204? — Coś ze strachu wampira było słyszalne w głosie Dragosaniego.

Giresci przekrzywił głowę na bok.

— Jak twoja znajomość historii, Dragosani?

— Niezła, myślę.

— Wiele nazwisk łączy się zwaną krucjatą, ale trudno tam znaleźć Ferenczego czy Ferrenzinga. Ale on tam był — nie ma wątpliwości. Skąd o tym wiem? Cóż, możliwe, że rozmawiasz z czołowym autorytetem w tej sprawie. Odkryłem fakty pominięte przez historyków. Oczywiście miałem przewagę, bo wiedziałem czego szukam — mój cel był wyraźnie określony. W procesie śledzenia wampira zajmłem się także wieloma ubocznymi dziedzinami. Człowieku, mógłbym napisać książkę o czwartej krucjacie! Cóż to musiało być za piekło! Co z bitwa! I to pewne, że w największym wirze walki znalazł się on i jego złowieszczą horda, którą dowodził. Był tam, gdzie padło miasto. On i zgraja chciwych wojowników szaleli w okolicy. Gwałcili, grabili wyrzynali w pień przez całe trzy dni. To papież Innocenty III powołał tę krucjatę. Osłupiał, przeraził się na wieść, jaki przybrała obrót. Wymknęła mu się spod kontroli. Krzyżowcy przysięgali odbić Ziemię Świętą, ale Innocenty III i jego legat zwolnili ich z tego. Umył ręce. W tajnych komunikatach oświadczył, że zostało mu mało władzy, zarządził, że odpowiedzialni za „zyny

pełne nieludzkiego okrucieństwa nie mogą zyskać chwały ani nagrody.” Ich imiona mieli wymazać, zapomnieć, pozbawić szacunku.

Nie trzeba było szukać daleko kozła ofiarnego. Pewien spragniony krwi Wołoch najęty w Zara został obarczony odpowiedzialnością. Z początku krzyżowcy szanowali go — może skrycie zazdrościli albo bali się. Teraz Ferenczy poczuł się zdegradowany, pozbawiono go wszelkich zaszczytów. Popadł w niełaskę, jego imię wymazano ze wszystkich kronik. W rewanżu pogardził nimi, zbeszcześcił znak krucjaty — krzyż na medalionie. Zebrał swoich ludzi i wrócił do domu dumny, srogi, pod proporcem nietoperza, diabła i smoka.

— Założmy, że rzeczywiście wszystko to prawda, a przynajmniej opiera się na prawdzie. Jednak nadal pozostaje kilka pytań. — Dragosani zagryzł wargę.

— Jakich.

— Ferenczy był wampirem. Wampir szuka ofiar. Gdy opanowuje go głód, zabija bezlitośnie, jak lis duszący kurczęta, i równie bezmyślnie. A nic o tym nie świadczy. Jak to możliwe, że żył przez prawie tyle wieków i ani razu nie wzbudził podejrzeń. Pamiętaj, Giresci, krew to życie. Nie odnotowano przypadków wampiryzmu?

— Wokół Ploiesti? Nie, ani jednego. Odkąd istnieją zapiski. — Stary uśmiechnął się i pochylił się w stronę gościa. — Gdybyś był wampirem, Dragosani, szukałbyś ofiary tuż za progiem domu?

— Przypuszczam, że nie — Borys zainteresował się. — Ale gdzie w takim razie?

— Na północy, mój przyjacielu. W samych Karpatach Południowych. W Alpach Transylwanii! Wszystkie historie o wampirach mają tam swoje korzenie. Sianie i Sinaia u podnóża, Braszów i Sacele za przełęczą. Żadne z tych miejsc nie leży dalej niż pięćdziesiąt mil od domu Faethora. Wszystkie są unikalne, bo mają złą sławę.

— Nawet dziś? — gość udał zdziwienie, ale pamiętał, co powiedziała mu Maura Kinkovsi na ten temat trzy lata temu.

— Legendy trwają, Dragosani. Szczególnie legendy o duchach. Górale nie zastanawiają się, gdy ktoś umiera młodo i nie da się tej śmierci prosto wytłumaczyć. Drewniany kołek z pewnością czeka na trupa. Ostatni przypadek: dziecko umarło od ukąszenia wampira w Ślanicy zimą 1943 roku. Pogrzebano je z kołkiem wbitym w serce. W okolicznych wioskach w tym samym roku było takich przypadków jedenaście.

— W 1943, powiadasz?

Giresci przytaknął.

— O tak, widzę, że zaczynasz łączyć fakty. Zgadza się, na krótko przed śmiercią

Faethora. Ta dziewczynka była jego ostatnią zdobyczą. Oczywiście, w czasie wojny ofiary były bardziej „dostępne”. Mógł równie dobrze pochwycić wielu, o których nie wiemy. Ludzi, którzy po prostu „zaginęli” podczas nalotów na wioski, a było ich niemało, wierz mi — zamilkł. — Masz jakieś pytania?

— Powiedziałaś, że te miasta w górach, pięćdziesiąt mil od Ploiesti, to dzika okolica. Teren wznosi się miejscami ponad siedemdziesiąt metrów. Jak Ferenczy to robił? Zamieniał się w nietoperza, leciał polować na swoje żerowiska?

— Lud powiada, że wampir ma moc nietoperza, wilka — a gdy chce nawet pchły, pluskwy, pająka. Pytasz jak docierał na miejsce mordy? Nie wiem. Mam swoje hipotezy... ale żadnych dowodów.

— Jakie hipotezy? — zapytał Dragosani. Czekał ze zniecierpliwieniem na odpowiedź. Wierzył, że już ją zna — teraz miał się tylko przekonać na ile bystry jest Giresci. I na ile niebezpieczny... Próbował wyprostować się w krześle. Coś dziwnego działo się z jego tokiem myślenia.

— Wampir — mówił powoli starzec, ostrożnie formułując myśli — nie jest człowiekiem. Wystarczająco dużo widziałem tej nocy, gdy umierał Ferenczy. Przekonałem się, że jest to obca istota, współmieszkaniec ludzkiego ciała. W najlepszym wypadku żyje w symbiozie, w najgorszym jako pasożyt człowieka.

— Dokładnie! — wyrwało się Dragosaniemu. Czuł się oszołomiony i zmieszany. Wiedział, że Giresci dokładnie zna się na wampirach — ale jak się dowiedział? Zastanawiał się nad swoim samopoczuciem, dziwny, zimny dreszcz przeszył jego ciało. — Czy jest istotą nadprzyrodzoną? Z pewnością musi być — mordować i nie być wykrytym przez tyle lat! — Borys usłyszał swój głos.

— Nie jest nadprzyrodzonym stworzeniem — Giresci zaprzeczył ruchem głowy. — Nadludzki, hipnotyczny, magnetyczny — tak. Nie jest nietoperzem, ale jest cichy jak nietoperz. Nie jest wilkiem, a ma zwinność wilka. Nie jest pchłą, a łaknie krwi niczym pchła — monstualna pchła. To moja hipoteza.

„Zgadza się wszystko” — pomyślał Dragosani.

— Nazwisko Ferenczy. Mówiłeś, że jest dość pospolite — zapytał głośno. — Dlaczego, biorąc pod uwagę całe twoje badania, nie wytropiłeś innych Ferenczych? Mówiłeś, że wampir jest przywiązany do swojego terytorium. Ten region należał do Faethora. Są przecież jeszcze inne ziemie: kto w takim razie był ich panem?

Gospodarz zdawał się być zaskoczony.

— Przelicytowałaś mnie — odpowiedział w końcu. — Trafne spostrzeżenie. Faethor Ferenczy władał despotycznie przez siedemset albo i więcej lat Mołdawią i wschodnią Transylwanią. A co było z resztą Rumunii? Czy o to ci chodzi?

— Rumunia, Węgry, Grecja — gdziekolwiek nadal żyją wampiry.

— „Nadal” żyją? Boże, uchowaj!

— Niech będzie jak chcesz, tam gdzie zwykli żyć — ustąpił Borys.

Giresci odsunął się trochę od gościa.

— Zamek Ferency wybuchnął w Alpach pod koniec lat dwudziestych. Rozsądził go gaz błotny, który zebrał się w podziemiach i lochach. O ile mi wiadomo, ten sam los spotkał właściciela, barona. Nazywał się Janosz Ferency. Wzmianki o nim zostały dokładniej wymazane niż zapiski o starym Faethorze z czwartej krucjaty.

— Słusznie — zgodził się natychmiast Dragosani. — Poszedł do wszystkich diabłów, co Ladislau Giresci? Dobrze, teraz powiedz: wyśledziłeś innych Ferencych? A co myślisz o Zachodnich Karpatach, powiedzmy, za rzeką Oltul?

— Co? To ty powinieneś się na tym lepiej znać, Dragosani! — odpowiedział. — Urodziłeś się tam w końcu. Wiesz tak dużo, jesteś bystry i tak żywo interesujesz się wampirami. Z pewnością próbowałeś coś sam wytropić?

— Pięćset lat temu było takie stworzenie na zachodzie — potwierdził Dragosani. — Wyrzynał tysiące Turków i sam został ukarany za swój tak zwany „nienaturalny” zapal!

— Nieźle — Giresci uderzył pięścią w stół. — Masz rację. Miał na imię Tibor, był potężnym bojarem, został pokonany przez Vladów. Miał władzę nad Cyganami. Książęta obawiali się go. Prawdopodobnie przypuszczali, że jest wampirem. Tylko my, wykształceni, nowoczesni ludzie wątpimy w takie rzeczy. A ludy prymitywne — one wiedzą lepiej.

— Co jeszcze wiesz o nim? — mruknął gość.

— Niewiele. — Oczy jego straciły ostrość, oddech zrobił się ciężki. Giresci łyknął trochę whisky. — To mój następny obiekt dociekań. Wiem, że został stracony...

— Zamordowany — wtrącił Dragosani.

— Niech będzie — zamordowany. Gdzieś na wschód od rzeki. Wbito w niego kołek i pochowano w tajemnym miejscu, ale...

— A czy ucięto mu głowę — jemu Tiborowi?

— Co? Nie znalazłem na to dowodu — odrzekł starzec.

— Nie ścięto! — syknął przez zęby przybysz. — Zakuli go w srebrne i żelazne łańcuchy, wbili kołek i zakopali. Ale zostawili głowę. Powinieneś wiedzieć, co to znaczy, Ladislau Giresci. On nie umarł — żyje poza śmiercią. Jest nieumarły!

Giresci poderwał się z krzesła. Poczuł, że coś niedobrego wisi w powietrzu. Skupił wzrok na twarzy Dragosaniego. Zaczął ciężko oddychać i drżeć na całym ciele.

— Trochę tu ciemno — westchnął. — Zbyt blisko... — Dosięgnął drążącą dłońią okna. Otworzył. Słońce wlało się do środka.

Gość wstał, pochylił się do przodu przygarbiony. Sięgnął ręką przez stół, złapał starego za nadgarstek w swoje silne stalowe palce.

— Obiekt dociekań, głupcze? A gdybyś go znalazł, odkrył grób wampira, co wtedy? Faethor pokazałby ci co trzeba zrobić, prawda? Zrobiłbyś to, Ladislau Giresci?

— Jesteś szalony! — wycofał się Giresci. Mimowolnie pociągnął ramię Dragosaniego w stronę smugi światła. Nekromanta natychmiast uwolnił ucisk, wyprostował się, uciekł w cień. Promienie słońca paliły jak kwas.

— Tibor! — Giresci wypluł słowo jak zgniły owoc. — Człowieku, jesteś chory!

— Ty stary łajdaku, ty stary diable, ty stara kreaturo z ziemi. Chciałeś mnie wykorzystać! — Dragosani szalał. Gdzieś na krańcu jaźni, na skraju świadomości coś zaśmiało się, skurczyło i zniknęło.

— Potrzebujesz lekarza! — zadrżał starzec. — Psychiatry!

Borys nie słuchał. Teraz wszystko zrozumiał. Podeszedł do małego stolika, wziął pistolet, ulokował pewnie w kaburze pod ramieniem. Chciał wyjść z pokoju, ale zatrzymał się i odwrócił. Giresci leżał skulony.

— Za wiele — mamrotał stary gospodarz — za wiele wiesz. Nie wiem, kim jesteś, nie wiem czym jesteś, Dragosani, ja...

— Słuchaj, co mówię! — uderzył starca z całej siły w twarz. Giresci spojrzał załzawionymi, rozszerzonymi łzami.

— Słu... słucham.

— Dwie prawdy — syknął Dragosani. — Po pierwsze: nikomu nie powiesz o Faethorze Ferenczym ani o tym, co odkryłeś. Po drugie: nigdy więcej nie wymówisz imienia Tibora Ferency. Zaprzestaniesz swoich dociekań. Zrozumiano?

Gospodarz przytaknął, po chwili jego oczy rozwarły się jeszcze bardziej.

— T... ty?

Borys zaśmiał się szyderczo.

— Ja? Człowieku, gdybym był Tiborem, już byś nie żył. Znam go i on teraz zna ciebie! — Obrócił się ku drzwiom, zatrzymał się i rzucił przez ramię. — Może się jeszcze spotkamy. Na razie — żegnaj.

Dragosani opuścił dom, wyszedł na pełne światło. Warknął i zazgrzytał zębami... słońce już nie raniło. Mimo to wątpił, że kiedykolwiek polubi jego promienie. To nie jego, Dragosaniego, słońce kąsało w domu Giresci. Czuł to Tibor, stary Diabeł z ziemi, który wstąpił w niego — zawładnął jego jaźnią. Borys wiedział o tym, a mimo to cieszył się, że już wyszedł z blasku dnia w cień samochodu. Wnętrze wołgi było rozpalone jak piec. Opuścił szyby, odjechał w kierunku głównej drogi. Temperatura spadła, lżej było oddychać.

Zaczął przeszukiwać swą świadomość, dokopywać się do tej pijawki, która się

w niej ukryła. Wiedział, że jeśli Tibor może dotrzeć do niego, tak też i on może dotrzeć do Tibora.

— O tak! Znam teraz twoje imię, Szatanie — mówił do siebie. — To ty tam byłeś w domu Giresci! Ty prowadziłeś mój język, zadawałeś pytania.

Nagle powiało chłodem, rozległ się przenikający wszystko głos.

— Nie zaprzeczam Dragosani. Ale bądź rozsądny — nie ukrywałem swojej obecności. Nie zrobiłem krzywdy, tylko...

— Tylko sprawdzałeś swoją siłę! — rzucił Borys.

— Chciałeś opanować moją wolę. Usiłowałeś to zrobić przez trzy lata. Może i by ci się udało, ale byłem daleko.

— Teraz oskarżasz mnie? Pamiętaj, Dragosani, to ty przyszedłeś do mnie pierwszy — z własnej woli. Zaprosiłeś mnie do swojego umysłu. Prosiłeś o pomoc z kobietą. Chętnie jej użyczyłem.

— Zbyt chętnie — odpowiedział gorzko Dragosani. — Skrzywdziłem ją, to ty ją skrzywdziłeś przeze mnie. Swoją żądzą w moim ciele.. Nie mogłem jej opanować. Przecież mogłem ją zabić!

— Miałeś rozkosz — chytrze dodał głos.

— Nie, ty miałeś. Mnie tylko porwał wir. Dobrze, może sobie na to zasłużyła, ale ja nie zasługuję, byś wkradł się do mojego umysłu i niczym złodziej chwycił moje myśli. Twoja żądza pozostała w moim ciele. Wiedziałaś, że tak będzie. Moje zaproszenie było czasowe, Stary Smoku. Nauczyłem się wiele — nie można ci ufać. Pod żadnym pozorem, jesteś zdraдлиwy!

— Ja? Zdraдлиwy? Dragosani, jestem twoim ojcem... — głos w głowie mężczyzny zadrżała.

— Ojcem kłamstw!

— Kiedy skłamałem?

— Wiele razy. Trzy lata temu byłeś słaby, a ja przyniosłem ci krew, wróciłem ci siłę. Gardziłeś krwią prosiaka, mówiłeś, że to tylko dla ziemi. Kłamałeś! To było dla ciebie. Dało ci wystarczająco siły, by dotrzeć do mnie nawet po trzech latach — i to w świetle dnia! Dobrze, już nie będę cię karmił. Powiedziałeś, że światło słońca tylko cię drażni. Kolejne kłamstwo. Czułem, jak cię pali. Ile jeszcze kłamstw wyszło z twoich ust? Nie, Tibor, robisz wszystko dla swoich korzyści. Dotychczas się tego obawiałem, a teraz wiem na pewno.

— I co zamierzasz zrobić?

Dragosani wyczuł drżenie w jego głosie. „Czyżby Stary Diabeł zaczął się z nim liczyć?” — pomyślał.

— Nic. Zupełnie nic. Może zrobiłem błąd, pragnąc stać się takim jak ty — jednym z wampirów. Może odejdę i nie wrócę, dopóki czas nie pochłonie ciebie.

Może dałem twym cuchnącym kościom mięso i odrobinę życia, ale wszystko przeminie, jestem pewny.

— Dragosani, nie! Posłuchaj. Nie sprawdzałem swojej siły. Pamiętasz, powiedziałem, że jestem jedyny. Inne wampiry wymarły. Czekałem przez wieki. Miały przyjść i uwolnić mnie lub chociaż pomścić. Nikt nie pojawił się. Pamiętasz?

— Tak, i co dalej?

— Co? Nie rozumiesz? Gdybyśmy zamienili się rolami, zdołałbyś się oprzeć? Dałeś mi sposobność dowiedzenia się o pozostałych, wiem już, co się z nimi stało. Stary Faethor był moim ojcem. Umarł. A Janosz, mój brat, który zawsze mnie nienawidził? Został rozerwany przez wybuch gazów, zebranych w lochach swojego zamku. Odeszli obydwaj — cieszą się z tego. Co? Czyż nie zostawili mnie na pastwę zgnilizny przez pół tysiąclecia? Słyszeli, jak ich wzywałem przez długie noce, ale czy przyszli mnie uwolnić? Nie! A więc Ladislau Giresci uważa się z tropiciele wampirów, czy nie? Pokazałem jak tropić tych, którzy zostawili mnie wśród łajna i robaków na długie stulecia. Gdybym tylko mógł powstać! No dobrze, odeszli, a z nimi moja zemsta...

Borys uśmiechnął się ponuro.

— Powraca do mnie pytanie: Tibor, dlaczego opuścili cię, pozostawili na łaskę losu? Na przykład twój ojciec, Faethor Ferenczy? Kto znał ciebie lepiej niż on? Dlaczego twój brat, Janosz tak bardzo cię nienawidził? Coś ukrywasz. Czarna owca wśród wampirów? Niesłychane! Sam nieraz wspominałeś o swoich występkach. Czy dręczy cię sumienie? Czy wampiry mają sumienie?

— Przesadzasz, Dragosani.

— Chyba nie. Zaczynam cię rozumieć, Tibor. Gdy nie kłamiesz otwarcie, tylko wykrzywasz prawdę.

— Łatwo ci mnie obrażać, bo wiesz, że nie mogę tobie nic zrobić. Jak to wykrzywiam prawdę? — głos zadrżał z wściekłości.

— Jak? Powiedziałeś przecież, że „dałem” ci sposobność dowiedzenia się, co stało się z twoimi krewnymi. Naprawdę to ty stworzyłeś tę możliwość. Nie miałem takiego zamiaru, kiedy wyjeżdżałem z Moskwy, gdy odwiedzałem bibliotekę w Pitesti. Kto więc zaszczeplił we mnie ten pomysł? A gdy dowiedziałem się o Ladislau Giresci, dlaczego pojechałem go odwiedzić?

— Posłuchaj, Dragosani...

— Nie. To ty posłuchaj. Wykorzystałeś mnie, jak wampir z opowieści wykorzystuje swoich ludzkich wasali, tak jak wykorzystałeś swoich cygańskich niewolników pięćset lat temu. Ale ja nie jestem niewolnikiem. Tiborze Ferenczy. To był twój błąd, którego pożałujesz.

— Dragosani, ja...

— Nie chcę nic więcej słyszeć, Szatanie, wynoś się z mojej jaźni!

Umysł Borysa był w pełni rozwinięty, wytrenowany, ostry jak jego skalpele. Wypróbowany w nekromancji, której nauczył go Wampir. Myślał szybko. Teraz miał się przekonać, jaka była jego siła. Zdusił wampira w sobie, wyrzucił daleko od siebie.

— Niewdzięcznik! — oskarżał Tibor w odwrocie. — Nie myśl, że to koniec. Pewnego dnia będziesz mnie potrzebował — wrócisz. Tylko nie zwlekaj Dragosani. Najwyżej rok, potem zapomnij o poznaniu wiedzy wampirów, bo będzie za późno. Rok, mój synu, nie dłużej niż rok! Będę czekał i może wtedy prze...ba...czę...ci Dragosaaaaniii...

Odszedł.

Borys poczuł się śmiertelnie wyczerpany. To nie było łatwe wypędzić Tibora. Teraz wiedział, że potrafi on potajemnie zakraść się do świadomości. Postanowił bardziej uważać na Starego Diabła.

Rumuńskie „wakacje” skończyły się prędzej niż zaczęły. Wszystko czego pragnął, to znaleźć się jak najdalej od upiornego mieszkańca grobu.

Dragosani zatrzymał się za Bukaresztem, na stacji benzynowej. Próbował wezwać Tibora. Biło światło dnia, ale udało się. Słaba odpowiedź — echo w głowie odbiło się jak w trumnie, skurczyło niczym robak-trupojad. Pod wieczór za miejscowością Braidą spróbował ponownie. Obecność nasilała się wraz z nastaniem ciemności. Tibor był tam i odpowiedziałby, gdyby Dragosani dał mu szansę. Ale on rozproszył myśli i pojechał dalej. W Reni, po kontroli celnej, zrezygnował z obrony, zaprosił Tibora. Była już pełna noc, ale szept pojawił się słaby, jakby z odległości tysiąca kilometrów.

— Dragosaaaaniii, tchórze! Uciekasz ode mnie, od Starego Diabła uwięzionego w ziemskiej pułapce.

— Nie jestem tchórzem, Szatanie. Nie uciekam. Wychodzę poza twój zasięg. Tam, gdzie już mnie nie dopadniesz. Widzisz teraz, Tibor, potrzebujesz mnie bardziej niż ja ciebie. Poleż sobie i przemyśl wszystko. Może pewnego dnia wrócę, ale to ja będę stawiał warunki. Żegnaj Tibor.

— Borys! Ja... — głos zanikał, rozpraszał się w nocnej mgle. Dragosani z każdym kilometrem oddalał się od tajemnych miejsc, uwalniał się od zimnych westchnień Upiora.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Dragosani przez trzy miesiące szlifował swój angielski. Był już koniec lipca, wracał do Rumunii — do Wołoszy, jak nazywał w swoich myślach strony rodzinne. Przyczyna powrotu była jedna — minął „ostatni” rok. Stary Diabeł ostrzegał, że czas jest niezwykle ważny. Dragosani nie miał pojęcia, co to miało znaczyć, ale jednego był pewien, że nie może pozwolić, by Tibor Ferenczy wygasł przez jakiegokolwiek jego przeoczenie. Jeśli jego koniec miał być nieunikniony, to może teraz Wampir będzie bardziej skłonny podzielić się z nim tajemnicami, w zamian za przedłużenie półśmierci.

Borys przejeżdżał przez Bukareszt. Zatrzymał się na targowisku, kupił parę żywych kurcząt w wiklinowym koszyku. Przykrył je kocem i umieścił z tyłu swojej wołgi.

Kiedy minął stolicę, spróbował skontaktować się z Tiborem — bezskutecznie. Skoncentrował się całkowicie na wywołaniu diablej jaźni z wiekowej drzemki. Nie usłyszał odpowiedzi — może już było za późno. Jak długo wampir może leżeć w ziemi, żyć w półśmierci — zapomniany. Mimo wielu rozmów ze starym smokiem i Ladislau Giresci — nadal mało wiedział o wampirach. To była strzeżona wiedza, powiedział kiedyś Tibor, ale Dragosani posiadzie ją, gdy zostanie przyjęty do braterstwa wampirów.

Znalazł kwaterę w gospodarstwie nad brzegiem rzeki Oltul. Wrzucił rzeczy do pokoju, po czym natychmiast pojechał w kierunku zadrzewionych krzyżowych wzgórz. Teraz stał na obrzeżu niepoświęconego kręgu, pod posępnymi sosnami. Przyglądał się zniszczonym płytom porozrzucanym na ciemnej ziemi pomiędzy poskręcanyimi korzeniami, wystającymi niczym zwoje martwych węży.

— Tibor, jesteś tam? — wyszeptał w mroku, przyzwyczał oczy do ciemności, penetrował wzrokiem teren dookoła. — Tibor, wróciłem. Przyniosłem podarunki. — Kurczęta gdakały w koszyku, miały związane nogi. Żadnej odpowiedzi, żadne nozdrza nie wywęszyły jego obecności. Miejsce było wysuszone do szczętu, mar-

twe. Zwisające gałęzie łamały się z trzaskiem. Pył wznosił się w miejscach, po których stapał Dragosani.

— Tibor — spróbował raz jeszcze. — Powiedziałeś: rok. Minął rok — wróciłem. Spóźniłem się? Przynoszę krew, Stary Smoku, ożywię twoje serce i dam ci znów siłę.

Cisza.

Borys zaniepokoił się. Czy wiedza, którą chciał przejąć od wampira odeszła na zawsze?

Przez chwilę czuł rozpacz, gniew, niemoc, ale wtedy...

Związane kurczaki w koszyku poruszyły się. Powiew zakołysał groźnie wysokimi gałęziami nad głową Dragosaniego. Słońce zatoneło za odległymi wzgórzami, coś obserwowało nekromantę z mroku, zza starych płyt, przez pył i strzaskane gałązki. Niby nic — ale czuł wpatrzone w siebie oczy. Nic się nie zmieniło, ale wydawało się, że to miejsce oddycha.

Oddycha plugawym oddechem, którego Borys nie lubił. Poczł zagrożenie, niebezpieczeństwo, jakiego dotychczas nie zaznał. Pochwycił koszyk i oddalił się od niepoświęconego kręgu. Oparł się o stary pień wielkiego drzewa, tak starego jak grób. Tutaj było bezpieczniej. Nagle zrobiło mu się sucho w gardle, przełknął z trudem ślinę.

— Tibor, wiem, że tu jesteś. Stracisz, Stary Diable, jeśli mnie zlekceważysz.

Wiatr zaszeleścił wysoko w gałęziach. Szept wdarł się do umysłu nekromanty.

— Dragosaaaniii? Czy to ty? — zawołał głos.

— Tak, to ja — odpowiedział ochotczo. — Przynoszę ci życie, Szatanie, przedłużam półśmierć.

— Za późno, Dragosani, za późno. Przyszedł mój czas, muszę odpowiedzieć na zew czarnej ziemi. Ja, Tibor Ferency — wampir. Cierpiałem wiele niedostatków, moja iskra paliła się słabo, a teraz ledwo się tli. To koniec...

— Nie, nie wierzę. Przynoszę ci życie — świeżą krew. Jutro będzie więcej. W kilka dni odzyskasz dawną siłę. Dlaczego nie powiedziałeś, że jest tak źle. Myślałem, że to fałszywy alarm. Jak miałem ci wierzyć, skoro wszystko, co mówiłeś było kłamstwem.

— Może ja też się myliłem. Nawet mój własny ojciec, mój rodzony brat — nienawidzili mnie... dlaczego miałbym ufać synowi? Zastępczemu synowi na dodatek. Nie wiąże nas prawdziwe ciało, Dragosani. Obiecaliśmy sobie wiele — ty i ja, nie warto było wierzyć, że coś się spełni. Skorzystałeś trochę — zostałeś nekromantą — a ja przynajmniej znów posmakowałem krwi, co prawda — ohydnej. Pogódźmy się, jestem już słaby...

Borys podszedł bliżej.

— Nie! — krzyknął. — Możesz mnie jeszcze wiele nauczyć, przekazać tajemnice wampirów.

Ziemia zadrżała, niewidzialne istoty podpełzły bliżej? Powrócił do drzewa.

Głos w jego głowie westchnął — westchnieniem wielkiego zmęczenia, westchnieniem żalu zapomnianego przez świat. Dragosani zapomniał, że było to zdrazieckie westchnienie wampira.

— Dragosani! Dragosani! Nauka wampirów jest zakazana dla śmiertelników. Żeby poznać wampiry, trzeba zostać wampirem! Żegnaj, mój synu, zostaw mnie przeznaczeniu. Ja mam ci dać władzę nad światem, gdy leżę tu i obracam się w proch? Gdzie tu sprawiedliwość — czy to uczciwe?

Nekromanta był zrozpaczony.

— Przyjmij chociaż krew, którą ci przyniosłem, słodkie mięso. Rośnij znów w siłę. Przyjmę twoje warunki. Skoro muszę zostać wampirem, by poznać tajemne sekrety, niech się tak stanie. Zgadzam się — skłamał. — Bez ciebie nie potrafię!

Potwór milczał długo. Dragosani wstrzymał oddech, czekał. Wyobraził sobie, że ziemia drży, pod jego stopami. To musiało być tylko złudzenie, że coś starego i złego, zgniłego, istniejącego w półśmierci leży tu pogrzebane. Drzewo za jego plecami było twarde jak skała. Nawet nie przypuszczał, że jest wyżarte w środku — puste. Coś przebijało się na powierzchnię, przez suchy spróchniały pień.

Może w każdej innej chwili Dragosani wyczułby ruch, ale dokładnie w tym momencie, Tibor ponownie przemówił i odwrócił jego uwagę.

— Powiedziałeś, że... masz dla mnie dar?

W głosie Wampira można było wyczuć zainteresowanie. Borys chwycił się ostatniej deski ratunku.

— Tak, tak! Mam u stóp, świeże mięso, krew. — Pochwycił kurczaka, ścisnął za gardło. Wyjął stalowy nóż i naciął szyję. Trysnęła czerwona krew.

Rzucił ciało, które jeszcze chwilę trzepotało w agonii. Białe pióra opadały na czarną ziemię.

Spleśniałe liście wessały krew ptaka jak gąbka chłonna woda. Za plecami Dragosaniego jakiś podłużny kształt sunął szybko w górę wydrążonego drzewa. Jego cuchnący biały koniuszek znalazł dziurę, którą utworzyła opadła, obumarła gałąź, przepchnął się na powietrze. Znajdował się niecałe pół metra nad głową Dragosaniego. Koniuszek dygotał, błyszczał dziwnym światłem.

Nekromanta pochwycił drugiego ptaka za szyję, podszedł do samej krawędzi „bezpiecznej strefy”.

— Mam tu coś więcej, Tibor, tutaj w ręce. Okaż tylko trochę zaufania, trochę wiary i powiedz coś o mocach, które posiądem, kiedy stanę się taki jak ty.

— Czu... czuję czerwona krew spływająca w głąb ziemi — to dobrze, mój synu.

Ale ciągle myślę, że przyszedłeś za późno. Nie, nie winie cię. Jestem tak winny jak i ty. Ale, nie mógłbym tak odejść bez podzielenia się przynajmniej jednym małym sekretem.

— Czekam — odpowiedział ochoczo Dragosani. — Dalej...

— Na początku — mówił Potwór — wszystkie stworzenia były równe. Pierwszy wampir był takim samym tworem Natury jak pierwszy człowiek. Tak, jak żył człowiek i inne niższe istoty — tak i żył wampir. Obaj, widzisz, byliśmy na swój sposób pasożytami, wszystkie stworzenia są takie. Człowiek zabijał, by mieć pożywienie, zaś wampir był łagodny — traktował stworzenie jak żywiciela. Wampiry nie umierały — żyły w półśmierci. W tym rozumieniu wampir jest nie mniej naturalny niż pijawka, czy nawet zwykła pchła. Ciało żywiciela staje się prawie nieśmiertelne — nie jest zjadane na sposób pasożytniczego żarłocstwa. Człowiek stał się doskonałym żywicielem wampira. Tak więc wampir, gdy człowiek wspiął się najwyżej — podzielił się z nim władzą.

— Symbioza — powiedział Dragosani.

— Czytam znaczenie tego słowa w twoim umyśle — ciągnął Tibor. — Tak, zgadza się — tylko, że wampir musiał nauczyć się maskować. Wraz z ewolucją przyszła zasadnicza zmiana. Przedtem mógł istnieć bez żywiciela, teraz stał się zupełnie zależny. Śluzica umiera bez ryby-żywiciela, wampir potrzebuje człowieka, żeby przetrwać. Gdyby ludzie odkryli go w innym człowieku — zabiliby bez wahania. Co gorsze, nauczyli się to robić.

Na tym nie kończą się kłopoty wampirów. Natura jest okrutna gdy przychodzi do poprawiania własnych błędów — jest bezlitosna. Nic, co ona tworzy nie żyje wiecznie. Każde swe dziecię obdarza śmiercią. A tu pojawiła się istota odrzucająca te surowe prawo, stworzenie, które — wyjąwszy wypadki — mogło żyć nieskończenie. Wezbrał w niej szal, poczuła odrazę do wampirów. Z biegiem wieków ziemi — aż po dziś dzień wampiry wykształciły w sobie słabość. Została im podstępnie wszczepiona, przechodziła z pokolenia na pokolenie przez wszystkie lata. Takie było ograniczenie Natury: skoro wampiry tak rzadko „umierają”, równie rzadko mogą się rozmnażać.

— Dlatego też — odrzekł Dragosani — wymieracie jako rasa.

— Możemy tylko raz w ciągu życia reprodukować się — bez względu na to, jak długo żyjemy.

— Ale macie taką potencję! Nie rozumiem dlaczego. Wina leży w waszych samcach. A może wasze samice są nieplodne? To znaczy, mają jedną sposobność wydania potomstwa.

— Nasze samce, Dragosani? — powiedział głos w jaźni Borysa sardonicznie.
— Nasze samice...?

— Co mówisz?

— Samce, samice! Nie, Borys. Gdyby natura tak rozwiązała problem, z pewnością już dawno by nas nie było.

— Ale ty jesteś samcem. Wiem, że tak!

— Mój żywiciel był samcem.

Oczy Dragosaniego rozszerzyły się w ciemności. Coś z wewnątrz ponaglało do ucieczki — ale skąd? Wiedział, że Diabeł nie może — nie ośmieli się go skrzywdzić.

— Więc jesteś samicą...?

— Myślałem, że to już wyjaśniłem. Nie jestem ani jednym ani drugim.

— Hermafrodyta? — Nekromanta nie był pewny czy używa właściwego słowa.

— Nie.

— Zatem jesteś bezpłciowy, agamiczny!

Perlista kropka uformowała się na bladym, pulsującym koniuszku cuchnącej macki, wystającej tuż nad głową Dragosaniego. Urosła, była niczym perła, zwiesiła się i zadrżała. Ponad nią pojawiło się purpurowe oko bez powieki. Spoglądało upiornie na przybysza.

— Co myśleć wtedy o twej żądz, tej nocy, gdy mieliśmy tę wieśniaczkę?

— Twojej żądz, Borys.

— A wszystkie kobiety, które miałeś w życiu?

— Posiadłem je moją siłą, ale żądza była żywiciela!

— Ale...

— Mój synu, mój synu — już prawie koniec, po wszystkim — Głos w głowie Dragosaniego zawył przeraźliwie.

Strwożony nekromanta ponownie ruszył na kraniec potępionego kręgu.

— Co jest? Coś złego? Masz! Więcej krwi! — Przeciął gardło drugiego ptaka i odrzucił ciało, ziemia wessała czerwoną krew. Diabeł pił łapczywie.

Nagle w głowie nekromanty zakręciło się, przez chwilę poczuł wielką siłę Wampira — i wielką chytrość, przebiegłość. Szybko odskoczył do tyłu i w tej samej chwili perlista kropka nad głową przybrała purpurowy kolor. I... spadła na szyję Dragosaniego, tuż poniżej linii kołnierzyka. Poczuł to, jak kroplę wilgoci z drzewa. Ale tu było niezmiernie sucho! Może ptak? — nigdy przedtem nie widział tu ptaka! Złapał się szybko za szyję, chciał wytrzeć... nic nie znalazł. Jajo Wampira, niczym rtęć, szybko przeniknęło przez skórę — teraz docierało do kręgosłupa. Borys poczuł ból, odskoczył od drzewa, ale ból nasilił się. Uciekał z kręgu, ślepo uderzał w pnie drzew na swojej drodze. Zatoczył się i upadł. I ten ból w czaszce, sięgający do kręgosłupa, ogień lejący się przez żyły niczym kwas.

Ogarnęła go śmiertelna panika, jakiej nie zaznał w całym swoim życiu. Wydawało mu się, że umiera, że coś nim zawładnęło i cokolwiek to jest, musi go niechybnie zabić. Czuł jak pękają wszystkie organy wewnętrzne, jak płonie mu mózg.

Nasienie Wampira znalazło miejsce spoczynku w klatce piersiowej Dragosaniego. Przestało drażnić, uspokoiło się. Było bezpieczne. Pragnęło odpoczynku.

Męki w jednej chwili opuściły nekromantę. Tak wielka była ulga, że stracił świadomość, tonął w błogiej bezbolesci — zapadał się w miękką rozkosz.

Harry Keogh leżał w swoim łóżku, zlepione potem włosy oblepiały czoło, kończyny drżały w rytm snu. To było coś więcej niż sen — za życia jego matka była uznanym medium, śmierć nie zmieniła jej, a nawet wyostrzyła talent. Przez lata odwiedzała Harry'ego w snach — tak jak teraz.

Śnił, że stoją razem w ogrodzie w Bonnyrigg. Było lato. Za płotem, rzeka toczyła wolno swe wody między zarośniętymi zielenią brzegami. Słońce i rzeka — sen pełen kontrastów i żywych kolorów. Ona była znów młodą dziewczyną, on — również młody, mógłby być raczej jej kochankiem niż synem. W tym śnie ich pokrewieństwo odeszło daleko. Ona jak zawsze martwiła się o niego.

— Harry, twój plan jest niebezpieczny i możliwe, że ci się nie powiedzie — powiedziała. — Nie zdajesz sobie sprawy, co robisz? Jeśli ci się uda — to będzie morderstwo, Harry! Nie będziesz lepszy niż on. — Głowa o złotych warkoczach obróciła się i spojrzała na dom niebieskimi kryształami oczu.

Dom był ciemną plamą na tle błękitnego nieba. Wyglądał niczym czarna dziura, czarny jak dusza mężczyzny, który w nim mieszkał.

Harry potrząsnął głową, odwrócił wzrok wielkim wysiłkiem woli.

— Nie morderstwo — powiedział — sprawiedliwość, której on nie zaznał od piętnastu lat. Byłem jeszcze dzieckiem, małym chłopcem, gdy zabrał cię ode mnie. Teraz jestem mężczyzną. Jakim będę człowiekiem, jeśli to tak zostawię?

— Nie, Harry! — naciskała matka. — Zemsta nie przyniesie sprawiedliwości, dwa zła nie dadzą dobra.

Usiedli na trawie, objęła go, pogłaskała po włosach.

— Nie chcę zemsty, mamó — powiedział. — Chcę wiedzieć dlaczego zamordował cię. Byłaś piękną, młodą żoną, damą z majątkiem i talentem. Powinien był cię uwielbiać — a on zabił. Przytrzymał pod lodem, a gdy już nie mogłaś walczyć, pozwolił rzece, aby cię porwał. Zabił z zimną krwią. Wyrwał z życia tak, jak wyrwa się chwasty w ogrodzie. Tylko, że to on był chwastem, a ty różą. Dlaczego tak postąpił?

— Nie wiem, Harry. Nigdy nie wiedziałam.

— Dlatego właśnie ja chcę się dowiedzieć. Dopóki on żyje, nigdy się nie przy-

zna. Dowiem się, gdy będzie martwy. Umarli nie odmawiają mi niczego.

— Strasznie to zaplanowałeś, Harry.

— Wiem. — Teraz on zadrzał. Przytaknął, spojrział zimno. — Tak właśnie musi się stać.

Zaczęła się obawiać, przyciągnęła syna do siebie.

— A jeśli coś się nie uda? Wystarczy, że wiem, że jesteś zdrow. Mogę leżeć w spokoju, Harry. Gdyby coś ci się przytrafiło...

— Nic mi się nie stanie. Będzie tak, jak zaplanowałem.

Pocałował jej zmartwione brwi, ona ciągle przytrzymywała go przy sobie.

— Wiktor Szukszin jest sprytny i... zły! Czasami czułam to w nim. Cóż, byłam tylko dziewczyną, a on był tak czarujący! Rosyjska dusza, oboje mieliśmy rosyjskie dusze. Wciągały mnie jego mroczne zamyślenia. Byliśmy jak dwa bieguny, przyciągaliśmy się. Wiem, że z początku kochałam go, nawet czując jego zimne serce. Był w nim jakiś obłęd, niewymowna obsesja, której nie mogłam opanować.

— To właśnie muszę wiedzieć — odrzekł Harry.

— Spójrz! — nagle westchnęła, przytuliła się mocniej. Mniejsza plama odebrała się od wielkiej czarnej masy domu — plama w kształcie człowieka. Przeszedł ścieżką w dół ogrodu, rozglądał się dookoła, załamywał ręce. Na czarnej plamie głowy zabłysły dwa bliźniacze srebrne owale. Oczy patrzyły na płot na skraju ogrodu. Harry i matka przytulili się do siebie, przez chwilę wizerunek Szukszina nie zwracał na nich uwagi — minął ich, zatrzymał się, węszył podejrzliwie — jak pies. Ruszył dalej. Zatrzymał się przy płocie. Patrzył przez długie minuty na powolny bieg rzeki.

— Wiem, o czym on myśli — wyszeptał Harry.

— On może coś wyczuć! — uciszyła go matka.

Szuskzin zaczął się wycofywać, zatrzymywał się co kilka kroków, węszył zapamiętale. Gdy był blisko patrzył na wskroś nich srebrnymi oczyma. Ruszył z powrotem w kierunku domu, zacierając ręce jak uprzednio. Gdy zlał się z plamą domu słychać było donośne trzaśnięcie drzwi.

Dźwięk ten krążył po głowie Harry'ego, rozlegał się pod czaszką, był trzaśnięciem, to pukaniem, to znowu serią puknięć.

— Już idź, proszę — powiedziała matka. — Bądź ostrożny, Harry, uważaj — mój biedny, mały Harry...

Obudził się w swoim mieszkaniu. Ukośne promienie słońca oznajmiały, że dzień ma się ku końcowi. Spał około trzech godzin. Ktoś zapukał do drzwi.

Zastanawiał się, kto to może być. Brenda? Nie. Była przecież sobota i miała nadgodziny w pracy. Układała włosy kilku „modnym” paniom w salonie fryzjerskim w Harden. Kto zatem puka?

Harry zwiesił sztywne nogi z łóżka, powstał i podszedł do drzwi. Miał zmierzwione włosy i zaspane oczy. Goście przychodzili tu rzadko. „Z pewnością puka jakiś intruz” — pomyślał. Zapiął spodnie i nałożył koszulę. Znowu odezwało się stukanie.

Za drzwiami czekał Keenan Gormley. Wiedział, że Harry Keogh jest w domu, czuł to już, gdy szedł ulicą, kiedy wspinał się po schodach na poddasze. Aura ESP Keogha była tu wszechobecna. Gormley, podobnie jak Wiktor Szukszin i Grigorij Borowic, miał jeden wielki talent — był „wykrywaczem”. Instynktownie wiedział, kiedy ma do czynienia z człowiekiem obdarzonym pozazmysłową percepcją. Emanacja ESP była u Keogha bardzo silna.

Harry otworzył drzwi...

Gormley widział już wcześniej Keogha, ale nigdy tak blisko. Przez ostatnie trzy tygodnie, kiedy gościł u Jacka Harmona, obserwował go często. Gormley i Harmon śledzili Keogha, trzymali chłopca pod ścisłą, ale dyskretną kontrolą. Gormley szybko przyznał, że Keogh jest wyjątkowy. Był nekroskopem, miał moc inteligentnego obcowania z umarłymi. W ciągu ostatnich trzech tygodni Gormley często myślał o talencie Keogha, talencie, który tak bardziej chciał mieć pod kontrolą. Teraz musiał znaleźć sposób, by nakłonić Harry’ego do współpracy.

Chłopak przetarł rozespane oczy, obejrzał przybysza. Chciał szybko go odprawić. Jedno spojrzenie na Gormleya przekonało go, że łatwo nie da się spławić. Ten mężczyzna robił wrażenie mądrego, skromnego człowieka. Do tego dobrotliwy uśmiech i prosząca o odwzajemnienie uścisku ręka — rozbroiły go całkowicie.

— Harry Keogh? — powiedział Gormley, wiedząc oczywiście, że to on. Nalegał na przyjęcie powitania, wysuwając rękę bardziej do przodu. — Nazywam się Keenan Gormley. Nie znasz mnie, ale ja wiem prawie wszystko o tobie.

Schody były słabo oświetlone, Harry nie mógł dokładnie przyjrzeć się rysom gościa. Pozostawało pierwsze wrażenie. W końcu pochwycił przelotnie rękę gościa, osunął się i pozwolił wejść. Ten kontakt, jakkolwiek krótki, powiedział mu wiele. Uścisk ręki Gormleya był energiczny i prężny. Chłodny, ale szczerzy. Nic nie obiecywał, ale też niczym nie groził. To mogła być ręka przyjaciela — chyba, że...

— Wie pan wszystko o mnie? — Harry zdziwił się. — Chyba niewiele można o mnie wiedzieć?

— Nie zgadzam się z tobą — odpowiedział Gormley. — Jesteś stanowczo za skromny.

Teraz, w świetle padającym z okien Harry przyjrzał się gościowi. Mógł mieć jakieś sześćdziesiąt lat. Zielone oczy były lekko zamglone, skóra pokryta siecią drobnych zmarszczek. Nad wysokim czołem rosły starannie pielęgnowane siwe włosy. Miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu. Dobrze skrojona marynarka nie skry-

wała jednak lekko zaokrąglonych ramion. Keenan miał najlepsze lata za sobą, ale Harry pomyślał, że jeszcze wiele mu ich zostało.

— Jak mam do pana mówić? — zapytał.

— Wystarczy: Keenan, skoro mamy się zaprzyjaźnić.

— Skąd wiesz, że będziemy przyjaciółmi? Nie mam ich wielu.

— Nie mamy wyboru — uśmiechnął się Gormley. — Dużo nas łączy. Ja słyszałem, że masz wielu przyjaciół.

— To źle słyszałeś — Harry zmarszczył czoło. — Moich przyjaciół mogę policzyć na palcach jednej ręki.

— Mówisz o żywych — odpowiedział cicho, uśmiech powoli zamierał na jego ustach. — Myślę o innych. A ci są bardziej liczni.

To zbiło Harry'ego z tropu. Po raz pierwszy ktoś — i to obcy — zrobił aluzję do jego talentu. Dopadł rozpadającego się krzesła, osunął się na nie bezwładnie. Drżał, był blady jak ściana.

— Nie wiem o czym... — zaczął chrapliwie.

— Wiesz, wiesz, Harry. Dokładnie wiesz, o czym mówię. Jesteś nekroskopem, prawdopodobnie jedynym prawdziwym nekroskopem na całym świecie.

— Chyba ci odbiło! — wysapał desperacko Harry. — Przychodzisz i wmawiasz mi takie... takie rzeczy. Nekroskop? Nie ma nic takiego. Każdy wie, że nie można...

— Nie można? Rozmawiać z umarłymi? Ale ty potrafisz, prawda?

Lepki pot spływał po czole Harry'ego.

Gormley podszedł, ujął chłopca za ramiona, potrząsnął nim razem z krzesłem.

— No, rusz się, człowieku, wyglądasz jak smarkacz złapany na masturbacji. To, co robisz, to nie jest choroba. To talent!

— To tajemnica — słabo zaprotestował Keogh, twarz błyszczała od potu. — Ja... ja ich nie krzywdzę. Nie śmiałbym. Z kim mają rozmawiać, jak nie ze mną? Są tacy samotni.

Był przekonany, że jest w tarapatkach i tylko usilne wyjaśnienie może coś pomóc. Gormley nie chciał zrazić chłopca do siebie.

— W porządku, synu. Spokojnie, nikt ciebie o nic nie oskarża.

— Ale to tajemnica! — naciskał Harry. Zacisnął zęby, opanował gniew. — Przy najmniej była. Ale teraz, skoro wszyscy mają się dowiedzieć...

— Nie dowiedzą się.

— Ale ty wiesz.

— To mój zawód, żeby wiedzieć o takich rzeczach, synu. Powtarzam: nie jesteś w tarapatkach — nie z mojego powodu.

Mówił tak spokojnie, tak przekonująco. Przyjaciel, prawdziwy przyjaciel... Har-

ry nie mógł opanować myśli, że ktoś wiedziało jego sekrecie. Nie był pewien czy może ufać temu człowiekowi, czy może komukolwiek ufać? Skoro Gormley wiedział, że Harry jest nekroskopem, co z zemstą na Wiktorze Szukszinie?

Rozpaczliwie sięgnął myślami na cmentarz w Easington, skontaktował się ze znajomym, zaufanym naciągaczem.

Przez chwilę Gormley poczuł moc, która wybuchła z głowy Harry'ego, pierwotną, obcą energię, jakiej nigdy nie doświadczył. Zaszumiało mu pod czaszką, serce zabiło gwałtowniej. To musiało być to! Talent nekroskopa w akcji. Gormley był tego pewien.

Harry skupił się, pochylił się na krzesło. Poczuł, jak pot spływa po nim, niczym topniejący śnieg, lało się z niego jak z uszkodzonego kranu. Ale teraz...

Powstał, zacisnął zęby i zaśmiał się dziko. Odrzucił głowę, wyprostował się jak struna. Przez chwilę opuścił go strach, ręce już prawie nie drżały, poprawił włosy. Rumieniec szybko wrócił na jego policzki.

— Zgadza się — powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu. — Koniec rozmowy.

Gormley był zaskoczony tą nagłą zmianą.

— Powiedziałem: koniec. To wszystko, co chciałeś wiedzieć, prawda? Przyszedłeś porozmawiać z autorem opowiadań. Ktoś ci powiedział o moim pomysle na nową powieść. Piszę — przepuszczałem, że nikt o tym nie wie. Przyszedłeś — chciałeś sprawdzić jak zareaguję, tak? To horror. Słyszałeś zapewne, że zawsze wczuwam się w to, o czym piszę. Więc stałem się nekroskopem. Sam ukułem to słowo, nawiasem mówiąc. Jestem dobrym aktorem — sam widziałeś. Dobra, po zabawie — koniec rozmowy. Tam są drzwi, Keenan...

Gormley powoli potakiwał głową. Z początku był zaskoczony, ale teraz instynkt wzięł górę. Przeczucie podpowiedziało mu, co tu naprawdę się dzieje.

— Sprytnie — powiedział — ale nie do końca. Z kim teraz rozmawiasz, Harry? Inaczej: kto mówi przez ciebie?

Jeszcze przez chwilę z oczu Harry'ego biła przekora. Gormley ponownie poczuł wpływ dziwnej mocy — chłopiec przerywał kontakt ze swoim chytrym zmarłym przyjacielem. Twarz jego zmieniła się.

— Co chciałbyś wiedzieć? — zapytał matowym, pozbawionym emocji głosem.

— Wszystko — odpowiedział natychmiast Gormley.

— Myślałem, że już wiesz wszystko.

— Chcę faktów. Zasięg twojego talentu, na przykład, i jego ograniczenia. Jeszcze przed chwilą przepuszczałem, że nie możesz używać go na odległość — dajmy na to. Chcę wiedzieć, o czym rozmawiacie, co ich interesuje. Czy uważają cię za intruza czy za przyjaciela? Chcę wiedzieć wszystko.

— Wszystko? — Harry uśmiechnął się gorzko. — Więc mamy być „przyjaciół-

mi”, czy tak?

Keenan przysunął krzesło i usiadł naprzeciwko Keogha.

— Harry, nikt się o tobie nie dowie. To prawda, będziemy przyjaciółmi. Pewnie myślisz, że jestem ostatnią osobą, której mógłbyś potrzebować. Na razie będziesz mnie potrzebował, zapewniam cię.

Harry patrzył przez zmrużone powieki.

— Dlaczego ty mnie potrzebujesz? Zanim cokolwiek powiem, wyjaśnisz mi kilka spraw.

Gormley oczekiwał takiej reakcji. Patrzył prosto w pytające, rozważne oczy chłopca.

— Postaram się. Wiesz kim jestem, więc teraz powiem ci, jak zarabiam na życie. Opowiem ci o ludziach, z którymi pracuję.

Opowiedział Harry’emu o brytyjskim wydziale E i co wiedział o jego odpowiednikach w Ameryce, Francji, ZSRR i Chinach. Opowiedział o telepatach, którzy mogą ze sobą rozmawiać przez kontynenty bez telefonu — tylko za pomocą siły umysłu. Mówił o jasnowidztwie, możliwości zobaczenia przyszłości, przepowiedzenia wydarzeń, które mają dopiero nastąpić. Wspomniał też o telekinezie i psychokinezie, o ludziach, którzy mogą przesuwać masywne obiekty wyłącznie siłą woli bez odwoływania się do siły mięśni. Opowiedział o „dalekowidzących” ludziach, którzy dostrzegają dowolne miejsca i wydarzenia na świecie. Przypomniał historię o psychicznym uzdrowicielu, o „lekarzu”, który potrafi wywołać siłę życia gołymi rękoma, odpędzać choroby bez potrzeby konwencjonalnych leków. Przedstawił esperów, których miał pod swoim zwierzchnictwem. Uświadomił Harry’emu, że i dla niego jest tam miejsce. Powiedział to wszystko w taki sposób, tak klarownie, zrozumiale, z takim przekonaniem, że Harry był pewien, że słyszy najczystsza prawdę.

— Więc, jak widzisz — kończył Gormley — nie jesteś dziwaczny, Harry. Może twój talent jest unikalny, ale nie ty — jako człowiek obdarzony talentem ESP. Twoja babka miała talent i przekazała go córce, twojej matce. Ona, z kolei, tobie. Bóg tylko jeden wie, do czego zdolne będą twoje dzieci.

— A teraz chcesz, żebym dla ciebie pracował? — Harry wyszeptał po dłuższej chwili, kiedy dotarło do niego wszystko, co usłyszał.

— Tak.

— A jeśli odmówię?

— Harry, znalazłem cię. Jestem „wykrywaczem”, wyczuję każdego espera na milę. Nie wiem nigdy, jaki talent posiada, ale wiem, że go ma. Są jeszcze inni tacy jak ja. Jeden z nich to szef radzieckiej jednostki ESP. Powiedziałem ci o sprawach, o których nie mam prawa mówić. Dlatego, że chcę twojego zaufania. Myślę, że i ja

tobie mogę ufać. Nie musisz się mnie obawiać, Harry, ale nie mogę obiecać, że jesteś bezpieczny.

— Myślisz... że mogą mnie znaleźć?

— Coraz więcej rozumiesz, Harry — powiedział Gormley. — tak jak i my. Mają przynajmniej jednego swojego człowieka w Anglii. Nie spotkałem go jeszcze, ale czuję blisko siebie. Wiem, że mnie obserwuje, śledzi. To prawdopodobnie także „wykrywacz”. Posłuchaj co mówię: znalazłem ciebie, więc jak długo to potrwa, zanim oni cię odnajdą? Jest jedna różnica: oni nie dadzą ci możliwości wyboru.

— A ty mi dajesz, tak?

— Oczywiście, że tak. To zależy od ciebie — przychodzisz do nas albo nie. Zastanów się, Harry — przemyśl to! Szybko!

Harry nie domyślał się, że Szukszin to ten sam człowiek — obserwator, którego „wyczuwa” Gormley.

— Mam kilka spraw do załatwienia — powiedział. — Potem podejmę ostateczną decyzję.

— Oczywiście, rozumiem.

— To zajmie trochę czasu. Może pięć miesięcy.

Gormley zgodził się.

— Skoro musisz...

— Muszę. — Po raz pierwszy podczas tego spotkania, Harry uśmiechnął się nieśmiało, naturalnie. — Słuchaj, zrobiło mi się sucho w gardle. Napijesz się kawy?

— Z wielką chęcią — Gormley odwzajemnił uśmiech. — Wypijemy, a ty może opowiesz mi o sobie, co?

— Dobrze — westchnął — opowiem.

Minęły dwa tygodnie. Harry Keogh skończył pisać powieść i zaczął „szykować” się na Wiktora Szukszina. Zaliczka za książkę zapewniła mu finansową stabilność, której potrzebował na przyszłe pięć, sześć miesięcy — na przygotowania.

Pierwszy krok zrobił, dołączając do grupy zwariowanych morsów, entuzjastów pływania, którzy wyrobili sobie nawyk kąpieli w Morzu Północnym przynajmniej dwa razy w tygodniu, przez cały okrągły rok, łącznie ze świętami Bożego Narodzenia. Brenda, dziewczyna zrównoważona, uznała, że Keogh oszalał.

„To dobre w lecie, Harry — pamiętał jak mówiła do niego pewnego wieczoru, gdy już leżeli nago przytuleni do siebie. — A co wtedy, gdy będzie zimno? Nie wyobrażam sobie, że wyłamiesz lód i zanurkujesz. O co chodzi z tą nagłą pływacką manią?”

„To sposób na zdrowie i kondycję — powiedział całując ją w piersi. — Nie chcesz, bym miał dobrą kondycję?”

„Czasami” — odpowiedziała i przytuliła się bardziej — „Myślę, że masz nawet za dobrą kondycję!”

W rzeczywistości była szczęśliwsza niż kiedykolwiek przez te trzy lata. Harry był otwarty, mniej oddawał się zamyśleniom, był ożywiony i podniecający. Jego nagłe zainteresowanie sportem nie kończyło się na pływaniu. Nauczył się samoobrony, zapisał się do małego klubu judo w Hartlepool. Już po tygodniu trener określił go jako „naturalnego” judokę i oczekiwał po nim wiele. Nie wiedział oczywiście, że Harry ma innego trenera, który kiedyś był mistrzem pułku w judo, a teraz pozostało mu przekazać wszystkie umiejętności młodzieńcowi.

W pływaniu zaś, Harry zawsze uważał się za niezłego, teraz okazało się, że był nie tylko niezły. Z początku cała grupa wyprzedzała go — przynajmniej do czasu, gdy znalazł sobie trenera, byłego srebrnego medalistę olimpijskiego, który zginął w wypadku samochodowym w 1960 roku, jak zapisano na jego nagrobku na cmentarzu Świętej Marii w Stockton. Harry został entuzjastycznie przyjęty przez nowego przyjaciela, który dołączył do wodnych zabaw z wielką pewnością siebie.

Mając nawet taką przewagę, pozostawał do przezwyciężenia fizyczny aspekt sprawy. Harry pozwalał umysłowi zawodowego pływaka przekazać technikę, ale to nie mogło zrekompensować braku mięśni; tylko ćwiczenia mogły pomóc. W każdym bądź razie, postęp był gwałtowny.

We wrześniu zapanował szal nurkowania, każdy prześcigał się w zostawaniu pod wodą jak najdłużej na jednym oddechu, w przepływaniu jak największych dystansów bez wynurzania się na powierzchnię.

Nadszedł pamiętny dzień dla Harry’ego, w zanurzeniu pokonał dwie długości basenu. Wszyscy zebrani przerwali ćwiczenia, by patrzeć. Zdarzenie miało miejsce na basenie w Seaton Carew. Jeden z morsów podszedł, chciał wiedzieć, w czym leży tajemnica. Harry otrząsnął się z wody.

— To umysł i siła woli — odpowiedział. Po trosze pokrywało się to z prawdą. Nie zdradził tylko, że była to siła jego woli, ale nie jego umysł.

Pod koniec października porzucił treningi judo. Jego postępy były tak szybkie, że instruktorzy w klubie zaczęli się go obawiać. Był zadowolony, że sam może się obronić, nawet bez pomocy „Sierżanta” Grahama Lane’a. W tym czasie zaczął też trenować łyżwiarstwo — ostatnią dyscyplinę swoich przygotowań.

Brenda, sama będąc niezłą łyżwiarką, była zaskoczona. Często próbowała namówić Harry’ego na ślizgawkę w Durham. Zawsze odmawiał. Rozumiała to. Wiedziała, w jaki sposób umarła matka Keogha, ale myślała, że zdoła przełamać jego opory. Nie mogła wiedzieć, że to nie był jego strach, a strach jego matki — w końcu Mary Keogh zauważyła sens poczyznań syna i ochoczo przysłała z pomocą.

Z początkiem obawiała się — lód, wspomnienie śmierci nadal nie odchodziło.

Ale po krótkim czasie znów rozkoszowała się jazdą na łyżwach, jak za dawnych lat. Cieszyła się, że Harry korzysta z jej wskazówek.

— Jedno, co mogę powiedzieć, Harry — dyszała, kiedy szaleńczo wirował z nią na ślizgawce — to, że nigdy się z tobą nie nudzę. Ale z ciebie sportowiec!

W pierwszym tygodniu listopada spadł śnieg.

Keogh czuł się dobrze, jak nigdy dotąd, gotowy podbić cały świat. Pewnej nocy matka przyszła do niego we śnie. Za dnia sam musiał nawiązywać kontakt, jeśli chciał z nią porozmawiać — we śnie inaczej. Wtedy ona miała niestrzeżony dostęp. Zwykle szanowała prywatność jego życia, teraz zmuszona była pomówić z synem w niecierpiącej zwłoki sprawie.

— Harry? — wkradła się do jego snu. Spacerowała z synem przez zamglony cmentarz, wśród posępnych, wysokich jak domy grobów. — Harry, możemy porozmawiać?

— Tak, mamó — odpowiedział. — O co chodzi?

Chwyciła go za ramię, ścisnęła mocno. Wierzyła, że dojdzie z synem do porozumienia, pozwoliła więc swoim wszystkim lękom wylać się pospiesznym potokiem słów.

— Harry, rozmawiałam z innymi. Powiedzieli, że grozi ci wielkie niebezpieczeństwo ze strony Szukszina. Jeśli nawet go zabijesz — zagrożenie pozostanie! O, Harry, tak strasznie boję się o ciebie!

— Niebezpieczeństwo ze strony ojczyzny? — przytulił się do matki. — Wiem, oczywiście. Zawsze o tym wiedzieliśmy. Ale zagrożenie po jego śmierci? Z jakimi „innymi” rozmawiałaś, mamó? Nie rozumiem.

— Przecież rozumiesz! — wyrzuciła. — Zrozumiałbyś, gdybyś tylko zechciał. Jak myślisz, Harry, od kogo dostałeś ten talent, jak nie ode mnie? Rozmawiałem z umarłymi, kiedy ciebie jeszcze nie było na świecie. Nie tak dobrze jak ty, ale wystarczająco. Wszystko, co zdołałam osiągnąć, to tylko mgliste wrażenia, wspomnienie. Ty rozmawiasz z nimi, uczysz się od nich, zapraszasz do siebie. Ale wiele się zmieniło, ćwiczę swoją zdolność od piętnastu lat, Harry. Jestem w tym teraz lepsza niż kiedy żyłam. Musiałam ćwiczyć dla twojego dobra. Jak inaczej mogłam się tobą opiekować?

Przyciągnął ją do siebie, objął ramionami, spojrział głęboko w jej rozdrażnione oczy.

— Nie walcz ze mną, mamó. Nie trzeba. Powiedz mi: o jakich innych mówisz?

— O innych, takich jak ja, o ludziach, którzy za życia byli uważani za medium. Niektórzy, podobnie jak ja, leżą w ziemi od niedawna, ale są tacy, którzy spoczywają w grobach już od dawien dawna. Nazywano ich za życia czarownikami, czarownicami. Wielu zginęło z tego powodu. To o nich mówiłam.

Harry przeraził się. „Umarli rozmawiają z umarłymi, komunikują się między sobą, rozważają zdarzenia ze świata żywych, z którego już dawno odeszli” — zadrdzał na samą myśl — I co ci powiedzieli, ci inni?

— Znają ciebie, Harry — odpowiedziała. — A przynajmniej wiedzą, że istniejesz. Jesteś jedynym, który przyjaźni się z umarłymi. Dzięki tobie umarli mają przyszłość — niektórzy. Dzięki tobie mają okazję dokończyć to, czego nie zdążyli za życia. Uważają cię za bohatera. I martwią się o ciebie. Bez ciebie ich nadzieje zostaną zaprzepaszczone, rozumiesz. Oni... oni błagają, żebyś porzucił tę obsesję, myśl o zemście.

Usta Harry'ego stwardniały.

— Chodzi ci o Szukszina? Nie mogę. To on cię zabił, mamó.

— Tu nie jest tak źle. Nie jestem samotna.

— To nie przejdzie, mamó. Mówisz to tylko z troski o mnie, przez to jeszcze bardziej ciebie kocham. I tęsknię bardziej. Życie to dar, a Szukszin odebrał ci go. Słuchaj, wiem, że to, co czynię, jest złe, ale sprawiedliwe. Potem wszystko się odmieni. Mam pewne plany. To ty dałaś mi talent, to prawda. Kiedy wszystko się skończy, wykorzystam go w prawych celach. Obiecuję.

— Ale najpierw załatwisz sprawę Wiktora?

— Muszę.

— To twoje ostatnie słowo?

— Tak.

Pokiwała smutno głową, uwolniła się i odeszła.

— Powiedziałam im, że taka będzie twoja odpowiedź. W porządku, Harry, nie będę się już sprzeczać. Dostaniesz ostrzeżenia, dwie przestrogi. Nie będą przyjemne. Jedna przyjdzie od zmarłych, odnajdziesz ją dalej we śnie. Druga czeka na ciebie w świecie żywych. Dwa ostrzeżenia, Harry. Jeśli nie przyjmiesz ich... za wszystko będziesz sam odpowiadał.

Zaczęła odpływać od syna, zniknęła za strzelistymi nagrobkami, mgła pływała wokół jej stóp. Starał się podążyć za nią — nie mógł. Niewidzialna materia snu rozdzieliła ich postacie, jego stopy były jak przyspawane do żwiru ścielącego się na ścieżkach cmentarza.

— Ostrzeżenia? Jakie ostrzeżenia?

— Idź tą ścieżką — wskazała drogę. — Znajdziesz tam jedno z nich. Drugie przekaże ci osoba, której ufasz szczerze. Obydwa powiedzą ci o przyszłości.

— Przyszłość jest nieodgadniona, mamó! — zawołał do ducha owiniętego wstęgą mgły. — Nikt nie potrafi jej przewidzieć. Nikt nie wie na pewno.

— Więc nazwij to prawdopodobną przyszłością — odpowiedziała. — Przyszłością swoją i dwóch innych osób. Jedna cię kocha, druga poprosiła o pomoc.

Jej głos i postać zlały się z wirującą mgłą.

Keogh spojrział na wskazaną ścieżkę. Nagrobki wyglądały jak gigantyczne kostki domina, ich szczyty ginęły w kłębach mgły. Były złowieszcze, posępne, tak jak droga między nimi — ścieżka wskazana przez matkę. Może lepiej, żeby nie poznał tych „ostrzeżeń”, może nie powinien pójść tą drogą?

Harry dryfował na żwirowej ścieżce między rzędami nagrobków, pchany przez sen. Na końcu alei była pusta przestrzeń, gdzie wirowała mleczna mgła. Zimne, opustoszałe miejsce, a dalej...

Trzy nagrobki, najbardziej posępne ze wszystkich.

Keogh popłynął przez pustą przestrzeń w ich kierunku. Gdy już był blisko strzelających z ziemi głazów, siła snu zniknęła i odzyskał swobodę ruchów. Spojrzał na nagrobki.

Pierwszy kamień:

BRENDA COWELL

UR. 1958

WKRÓTCE UMRZE PRZY PORODZIE KOCHAŁA
I BYŁA KOCHANA

Drugi kamień:

SIR KEENAN GORMLEY

UR. 1915

WKRÓTCE UMRZE W MĘCZARNIACH
PRAWDZIWIY PATRIOTA

Trzeci kamień:

HARRY KEOGH

UR. 1957

UMARLI BĘDĄ GO OPŁAKIWAĆ

— Nie! — krzyknął Harry.

Powlókł się, oddalił od posępnych kamieni, wyciągnął ręce w obawie przed upadkiem...

...i uderzył w mały stolik. Przez dłuższą chwilę leżał, ciągle w sennym szoku. Serce waliło jak młot. Zadzwonił telefon!

To był Keenan Gormley.

- Ach, to ty! — odezwał się Harry.
- Rozczarowałaś się? — zapytał Gormley poważnie.
- Nie, spałem. Przebudziłem się. Telefon mnie wytrącił ze snu.
- Przykro mi, przepraszam. Czas mija...
- Tak — odrzekł odruchowo Harry.
- Co? — Gormley był zdziwiony — czy powiedziałaś „tak”?
- Tak, przyłączę się do was. Musimy o tym porozmawiać.

Keogh rozważał propozycję Gormleya od pewnego czasu. Obiecał, że pomoże. W rzeczywistości ten sen — który był czymś więcej niż snem — przekonał go ostatecznie. Matka powiedziała komu może ufać, czy mógłby to być ktoś inny niż Gormley? Dotychczas nie był zdecydowany czy przyłączyć się do ekipy Sir Keenana, ale teraz, kiedy matka odkryła prawdopodobną przyszłość, jego, Brendy i Gormleya, to...

- To cudownie, Harry! — Gormley był szczerze uradowany.
- Kiedy przyjdiesz? Musisz poznać wielu ludzi, mamy tak dużo do pokazania... i wiele do zrobienia.
- Jeszcze nie teraz — Harry starał się stonować radość rozmówcy. — Przyjdę wkrótce.
- Kiedy? — Gormley był rozczarowany.
- Wkrótce — powtórzył. — Jak tylko skończę... to, co muszę skończyć.
- Dobrze — odparł Gormley — niech i tak będzie. Ale Harry, nie za długo, dobrze?
- Nie, to nie potrwa długo. — Odłożył słuchawkę. Ledwo dotknęła widełek aparatu, znów zadzwonił telefon. Keogh obrócił się i uniósł słuchawkę.
- Harry? — to była Brenda, miała cichy, spokojny głos.
- Brenda? Posłuchaj, kochanie — powiedział, nie dając jej zacząć. — Myślę... to znaczy... pobierzmy się!
- O, Harry — westchnęła zaskoczona i uradowana. — Tak się cieszę, że zanim...
- Pobierzmy się jak najszybciej — uciął krótko.
- Dlatego właśnie dzwoniłam — powiedziała. — Widzisz, Harry: wydaje mi się, że i tak byśmy musieli...
- Dla Harry'ego Keogha nie była to niespodzianka.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Połowa grudnia 1976 roku.

Dawno odeszło gorące lato, teraz natura starała się wyrównać rachunki — zanosilo się na srogą zimę.

Borys Dragosani i Maks Batu przyjechali do Anglii, zimny klimat harmonizował z chłodem ich serc, z mroźną naturą ich misji. Szykowali się do morderstwa.

W czasie lotu po głowie snuły się Dragosaniemu mroczne myśli: obawy, lęki, złość. Był zły na Grigorija Borowica, że ten wysłał go w tę misję. Bał się Tibora Ferenczy — Diabła uwięzionego w ziemi.

Teraz ukojony, wyciszony szumem silników i klimatyzacji, zagłębił się w fotelu i wrócił myślami do ostatniej wizyty na krzyżowych wzgórzach.

Myślał o drapieżnej naturze prawdziwego wampira, o agonii i panicznej ucieczce z tajemnego miejsca, o utracie świadomości na zadrzewionym stoku. Musiał skrócić swą wizytę w Rumunii, wrócił do Moskwy i oddał się w ręce najlepszych lekarzy, by wytłumaczyć sobie to, co się stało. Okazało się jednak, że był całkowicie zdrowy.

Zdjęcia rentgenowskie nic nie wykazały, próbki krwi i moczu były w stu procentach normalne. Ciśnienie, puls, oddychanie — wszystko w idealnym porządku. Czy istniał jakiś miernik jego zmiany? Nigdy nie miewał bólów głowy czy ataków astmy. Nie skarżył się na zatoki. Może się przepracowywał? Na pewno nie! Czy naprawdę zdawał sobie sprawę, co naprawdę jest powodem jego zmartwień?

Tak, ale nawet nie dopuszczał do siebie tej myśli, nie podałby jej w żadnych okolicznościach.

Lekarz zapisał leki uśmierzające ból, na wypadek gdyby objawy miały się powtórzyć. I to wszystko.

Próbował skontaktować się z Tiborem na odległość. Zastanawiał się czy Stary Diabeł znał odpowiedź, nawet kłamstwo mogło zawierać jakiś klucz. Ale Tibor na-

wet jeśli słyszał, to nie odpowiadał.

Rozważał setki razy wypadki tamtego dnia. Okropny ból, ucieczka, zapasć — coś spadło na szyję. Deszcz? Nie, była piękna noc — sucho. Liść, kawałek kory? Nie, to było coś wilgotnego. Może ptak zapaskudził skórę? Nie, ręka była czysta, gdy dotknął szyi. Coś jednak spadło... Po chwili płonął mózg, napiął się kręgosłup. Co to było? Dragosani domyślał się, ale nie dopuszczał takiego wytłumaczenia do siebie. Podejrzenie wdarło się więc w jego sny, stało się koszmarem nocnym.

Opanowała go obsesja, myślał tylko o tym. Miało to związek z pewnymi zmianami, które u siebie zauważył — od czasu tego zdarzenia...

— Dragosani, mój chłopcze — powiedział tydzień temu Borowic — starzejesz się przedwcześnie. Przepracowujesz się czy co? A może masz za mało roboty? Kiedy to ostatni raz skrwawiłeś sobie te delikatne paluszki, co? Miesiąc temu, prawda? Krwią francuskiego podwójnego szpiega. Spójrz na siebie, człowieku — włosy ci wypadają, dziąsła obsuwają się, spójrz! Wyglądasz jak anemik. Może ta wyprawa do Anglii ci pomoże...

Borowic prowokował, Borys nie ośmielał się jednak odeprzeć zaczepki. W istocie generał miał rację.

Włosy rzeczywiście przeredziły się, ale nie w zwykły sposób. Zmiana miała miejsce w samej czaszce, która jakby się wydłużyła z tyłu. To samo dotyczyło dziąseł: nie obsuwały się; to rosły zęby, szczególnie dolne i górne siekacze.

Podejrzenie o anemię było zupełnie śmieszne. Może był blady, ale z pewnością nie był słaby. W rzeczywistości czuł się silniejszy, zdrowszy niż kiedykolwiek w życiu. Bładość była wynikiem szybko postępującej fotofobii, Borys unikał jak mógł światła dziennego. Nie pokazywał się nawet w półmroku bez słonecznych okularów.

Fizycznie był sprawny, to prawda — ale sny, bezustanne lęki, obsesje — nerwice...

Bez względu na wynik brytyjskiej misji, Dragosani zamierzał wrócić do Rumunii. Zostały pytania, problemy, które musiał rozwiązać — im szybciej, tym lepiej. Tibor Ferenczy kierował biegiem wydarzeń stanowczo za długo.

Obok Borysa, na trzech złączonych rzędem siedzeniach, z rozdzielającym je ruchomym oparciem, siedział Maks Batu.

— Towarzyszu Dragosani — wyszeptał przysadzisty, mały Mongoł. — Podobno to ja jestem tym, co ma Złe Oko. Czyżby nasze role się zmieniły?

— O co chodzi? — zapytał nekromanta i drgnął w swoim fotelu na dźwięk słów.

— O czym myślisz, mój przyjacielu? — powtórzył Batu. — Miałeś bardzo surowy wyraz twarzy!

— Nie wtrącaj się — odpowiedział Dragosani. — To moje myśli i mój wyraz twarzy.

— Jesteście twardzielem, towarzyszu — odrzekł Batu. — Czuję bijący od was chłód. — Uśmiech powoli zniknął z jego twarzy. — Czy was obraziłem?

— Tym swoim gadaniem! — mruknął Borys.

— Możliwe, ale musimy „gadać”. Miałeś mi podać szczegóły, dobrze by było, gdybyś to teraz zrobił. Jesteśmy sami — w samolocie nie ma podsłuchu. Została nam jeszcze godzina do lądowania w Londynie.

— Masz rację — przyznał niechętnie Dragosani. — Dobrze, opowiem ci wszystko dokładnie. Będziesz miał przegląd całej sytuacji.

Borowic wymyślił sobie Wydział E około dwadzieścia pięć lat temu. W tym czasie spora grupa tak zwanych pseudonaukowców zaczęła poważnie interesować się parapsychologią, wtedy jeszcze prześladowaną w ZSRR. Borowic także się zapalił, zawsze był zainteresowany ESP mimo swojego prostackiego, wojskowego obycia i ateistycznego światopoglądu. Dziwnie utalentowani ludzie zawsze go fascynowali. On sam jest „wykrywaczem” — wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy. Gdy pojął, że posiada ten szczególny talent, od razu postarał się o kierownictwo nad naszym wywiadem ESP. Pierwotnie była to szkoła bez żadnych operacyjnych działań. KGB zlekceważyła ESP — oni lubią mięśnie i kamizelki kuloodporne. Jego służba w armii zbliżała się do końca, miał różne powiązania, nie mówiąc już o jego własnym talencie, więc dostał to stanowisko. Kilka lat później natrafił na innego wykrywacza w bardzo szczególnych okolicznościach. Stało się to tak: Telepatka, jedna z dziewczyn ekipy Borowica, której talent dopiero się rozwijał, została brutalnie zamordowana. Jej mąż, Wiktor Szukszin, został oskarżony o popełnienie tej zbrodni. Na swoją obronę powiedział, że dziewczyna była opętana przez diabły. Borowic od razu się tym zainteresował, zbadał Szukszina i odkrył, że on też jest „wykrywaczem”. Co więcej, poświata esperów wyprowadzała go z równowagi, drażniła, doprowadzała do niepohamowanych, zbrodniczych obsesji. Z jednej strony, Szukszin został wciągnięty do ekipy — aż drugiej kusilo go, by ją zniszczyć. Borowic uratował Szukszina od więzienia w kopalni soli, tak jak uratował ciebie, i wziął pod swoje skrzydła. Myślał, że można wypędzić z niego te mordercze zapędy, utrzymując jednocześnie zdolność do wykrywania ESP. Pranie mózgu nie dało rezultatu, nawet pogorszyło sprawę. Ale u Borowica nic nie może się zmarnować, szukał sposobu na wykorzystanie agresji Szukszina. W tym samym czasie Amerykanie również zaczęli interesować się ESP jako bronią, ostatecznie ruszyli do przodu. W Anglii mała sekcja ESP już istniała wcześniej. Brytyjczycy byli bardziej skłonni do podjęcia poważniejszych badań i wykorzystania zjawisk paranormalnych. Szukszin został umieszczony w długoletniej szkole dla szpiegów w Moskwie,

w końcu wysłano go do Anglii, otrzymał kryptonim: „Zdrajca”.

— Miał zabijać brytyjskich esperów? — wyszeptał Batu.

— Takie było początkowe założenie. Znaleźć ich, zdać raport o ich działalności, a gdyby psychiczne napięcie byłoby zbyt silne — zabić. Po kilku miesiącach Wiktor Szukszin rzeczywiście zdradził.

— Zaprzedał się Brytyjczykom?

— Tak, dla własnego bezpieczeństwa. Nic sobie nie robił z Matki Rosji, teraz miał nową ojczyznę, nową tożsamość. Mógł przecież godnie żyć, zrobić karierę. Był lingwistą, miał mistrzowskie kwalifikacje z rosyjskiego, niemieckiego i angielskiego. Lizał też pół tuzina innych języków. Zdradził ZSRR. Uciekł, zwiął. Pragnął wolności!

— Mówisz, jakbyś aprobował system brytyjski — zaśmiał się Mongoł.

— Nie martw się o moją lojalność, Maks — odparł Dragosani. — Nie znajdziesz człowieka bardziej lojalnego niż ja. Oddanego Rumunii!

— To warto wiedzieć — przytaknął Batu. — Chciałbym móc powiedzieć to samo o sobie. Ale jestem Mongołem i moje pojęcie lojalności jest odmienne. Póki co, jestem lojalny wobec Maksa Batu.

— W takim razie jesteś podobny do Szukszina. Wyobrażam sobie, co czuł. Stopniowo jego raporty stawały się uboższe. W końcu zniknął z pola widzenia. To rozdrażniło Borowica, ale nic nie mógł zrobić. Skoro Szukszin był „zdrajcą”, przyznano mu azyl polityczny. Borowic nie mógł przecież prosić o jego odesłanie — zostało mu tylko go obserwować.

— Obawiał się, że przystąpi do brytyjskich esperów, co?

— Nie, raczej nie. Generał śledził go regularnie. Plan Szukszina okazał się prosty. Dostał pracę w Edynburgu, kupił małą chatę rybacką w Dunbar, oficjalnie zaczął się starać o obywatelstwo brytyjskie. Osiedlił się, zarabiał na życie, zaczął prowadzić normalną egzystencję. Potem poznał dziewczynę pochodzenia rosyjskiego. Była psychicznym medium. Naturalnie, ten fakt, jej talent, działał na niego jak magnes. Poślubił ją, a następnie zabił. A potem — cisza.

— Uniknął kary?

— Uznano śmierć za przypadkową. Podobno wypadek. Szukszin odziedziczył po żonie pieniądze i dom — nadal w nim mieszka.

— A teraz mamy go zabić... — zamyślił się Batu. — Dlaczego?

— Gdyby nie mieszał się w nasze sprawy, wszystko byłoby w porządku. Ale szczęście opuściło go, Maks. Nie ma pieniędzy, ubożeje, nie wytrzymuje tej nagłej zmiany. Więc po tylu długich latach zaczął szantażować. Zagroza Borowicowi, Wydziałowi E, całemu przedsięwzięciu.

— Jeden człowiek stwarza tak wielkie zagrożenie? — Batu uniósł brwi.

Dragosani pokiwał głową.

— Brytyjski odpowiednik naszego Wydziału to duża siła. Na ile są dobrzy — tego nie wiemy, może nawet są lepsi od nas. Bardzo mało o nich wiemy, co samo w sobie jest złym znakiem. Może są tak sprytni, że potrafią się ukryć, otoczyć stuprocentową zasłoną bezpieczeństwa ESP. A jeśli tak są zdolni...

— To ile wiedzą o nas, co?

— Właśnie! — Borys popatrzył na swojego towarzysza z głębszym szacunkiem.
— Może nawet wiedzą o naszej misji!

— Więc towarzyszu generał obawia się, że jeśli nie zdejmemy Szukszina, to on może wygadać wszystko Brytyjczykom?

— Tym właśnie groził. Chce pieniędzy, inaczej przekaze brytyjskiej sekcji E wszystko, co wie. Zważ, że po tak długim czasie jego wiedza o naszym Wydziale jest znikoma, ale nawet drobny szczegół poza kontrolą, to za dużo na nerwy Borowica.

Maks Batu zamyślił się na chwilę.

— A jeśli Szukszin przemówi, to się wyda, że na początku pojawił się w Anglii jako radziecki agent ESP? Dragosani zaprzeczył ruchem głowy.

— List jest anonimowy, Maks. Nawet rozmowa telefoniczna. I nawet po dwudziestu latach są jeszcze rzeczy, które Borowic chce utrzymać w tajemnicy. Po pierwsze: położenie Zamku Bronnicy, druga: fakt, że Borowic jest szefem naszego Wydziału. Takie właśnie zagrożenie stwarza i dlatego musi zginąć.

— Ale przecież jego śmierć nie jest głównym celem naszej wyprawy?

Nekromanta milczał przez chwilę.

— Nie, naszym głównym celem jest śmierć kogoś ważniejszego. Nazywa się Sir Keenan Gormley, jest szefem brytyjskiego wywiadu ESP. Jego śmierć... i jego wiedza — to nasze zadanie. Ty zabijasz Gormleya — na swój specjalny sposób, a ja — przebadam na swój. Przedtem zabijamy Szukszina, którego również „przepytamy”.

— Naprawdę możesz ich przepytać z tajemnic? Kiedy już nie żyją? — Batu wydawał się wątpić.

— Tak, naprawdę mogę. Wydrę ich najgłębsze myśli prosto z ich krwi, ich szpiku, z ich zimnych kości.

Krępa stewardessa ukazała się przy końcu kabiny.

— Zapiąć pasy — powiedziała mechanicznym głosem. Pasażerowie jak roboty zapięli pasy.

— Jakie są twoje ograniczenia? — zapytał Batu. — Pytam z czystej ciekawości.

— Ograniczenia?

— Co wtedy, gdy człowiek nie żyje już, na przykład, od tygodnia?

Dragosani wzruszył ramionami.

— Nie ma żadnej różnicy.

— A gdy nie żyje od stu lat?

— Nawet mumie nie mogą ukryć tajemnic przed nekromantą.

— Ale zwłoki gniją — naciskał Batu. — Powiedzmy ktoś nie żyje od miesiąca czy dwóch. To musi być straszne...

— Jest straszne — odrzekł — ale przywykłem. Całe to świństwo nie przeraża mnie tak jak ryzyko. W trupach aż roi się od chorób. Muszę być ostrożny.

— To wstrętne — westchnął Batu. Dragosani zauważył, że Mongoł wstrząsnął się.

Światła Londynu błyszczały w oddali na krawędzi nocnego horyzontu, miasto było otulone mglistą poświatą za małymi, okrągłymi oknami.

— A ty? — zapytał Borys — czy twój talent ma swoje granice, Maks?

Mongoł poruszył się.

— Także jest niebezpieczny. Wymaga dużo energii, ssie moją siłę, osłabia mnie. Jak już wiesz, jest skuteczny tylko wobec słabych i niedołącznych osób. Jest też podobno inna przeszkoda. To legenda, ale nie zamierzam jej sprawdzać.

— Hmm?

— W moim kraju krąży opowieść o człowieku ze Złym Okiem. To stara legenda — sięga tysiąc lat wstecz. Ten człowiek był bardzo zły i używał swojej siły, by terroryzować okolice. Najeżdżał ze swoją bandą na wioski, grabił, gwałcił, potem odjeżdżał bezkarnie. Nikt nie śmiał się mu przeciwstawić. W jednej z wiosek żył starzec, który twierdził, że potrafi sobie poradzić z grabieżcą. Gdy banda pojawiła się, wieśniacy wzięli za jego radą zwłoki, przymocowali do nich włócznie i postawili na wałach ochronnych. Najeźdźcy podeszli w zmroku, ich przywódca zobaczył, że wieś jest „broniona”. Spojrzał swym Złym Okiem na strażników. Oczywiście, nie można umrzeć dwa razy, urok odbił się od trupów i uderzył w nadawcę. Spalił go ze szczętem.

— A morał? — zapytał Dragosani. Batu chrząknął.

— Czy to nie mówi samo za siebie? Nie można znieważać zmarłych. Oni zawsze okażą się w końcu zwycięzcami.

Dragosani pomyślał o Tiborze Ferenczy. „A co z nieumarłymi?” — zastanawiał się — „czy oni też wygrywają? Jeśli tak, to przyszła pora, żeby to zmienić...”

„Człowiek z ambasady” rozpoznał ich i przepuścił przez kontrolę celną. Bagaż, jak za dotknięciem magicznej różdżki znalazł się w czarnym mercedesie z dyplomatycznymi numerami.

Umundurowany kierowca, podobnie jak „człowiek z ambasady” miał chłodny

wzrok. Towarzyszący im mężczyzna usiadł na przednim siedzeniu, oparł rękę nie-
dbale na siedzeniu kierowcy, próbował stworzyć nastrój przyjacielskiego zaintere-
sowania, zadając konwencjonalne pytania.

— Pierwszy raz w Londynie, towarzysze? To ciekawe miasto, z pewnością. De-
kadencje, pełne głupców, a mimo to interesujące. Jak długo zamierzacie zostać?

— Dopóki nie wrócimy — odpowiedział Dragosani.

— Dobrze. Proszę, wybaczcie moją ciekawość! — powiedział bez urazy.

— Rozumiem. Jesteś z KGB. — Dragosani odezwał się.

Twarz „człowieka z ambasady” skamieniała.

— Nie używamy tego określenia poza ambasadą.

— A jakiego używacie — uśmiechnął się Maks Batu — dupki?

— Co? — twarz rozmówcy zbladła.

— Przyjechałem wraz z moim przyjacielem w sprawach, które nie powinny
was obchodzić — powiedział Borys stanowczym tonem. — Mamy wszelkie peł-
nomocnictwa, najwyższe pełnomocnictwa. Każde wejście nam w drogę, źle się dla
was skończy. Jeśli będziemy potrzebować pomocy, poprosimy.

Mężczyzna zacisnął usta.

— Nie rozmawia się ze mną w taki sposób — powiedział, cedząc słowa.

— Jeśli nadal będziesz się z nami spierał — kontynuował Dragosani bez zmiany
tonu — zawsze możemy ci złamać ramię, a wtedy będziesz się trzymał z dala przy-
najmniej przez dwa, trzy tygodnie.

— Grozisz mi?

— Nie, to jest obietnica — nekromanta wiedział, że rozmowa prowadzi do ni-
kąd.

Wkrótce potem dojechali do ambasady. Wyszli z samochodu, wyjęli bagaże
i sami zanieśli je do budynku.

I nikt więcej nie wchodził im w drogę.

Druga środa po Nowym Roku, 1977.

Wiktor Szukszin czuł zbliżające się niebezpieczeństwo. Opanowała go, ciężka,
psychiczna depresja, która tylko na krótko ustąpiła po przyjsciu przesyłki od Bo-
rowica zawierającej tysiąc funtów. Szukszin niepokoił się jednak, dlaczego stary
generał tak łatwo się poddał, dlaczego o nic nie pytał.

Dzisiaj czuł się wyjątkowo źle. Podał śnieg. Szary, gruby lód skuł rzekę. Dom był
wyziębiony. Panowała w nim lodowata pustka. Po raz pierwszy wszystko tutaj wy-
dawało mu się dziwne i złowieszcze. Dźwięki gitary w śniegu. Tykanie starego ze-
gara było ciężkie i monotonne. Deski podłogowe nie skrzypiały już tak przytulnie
jak kiedyś. Wszystko to niekorzystnie wpływało na stan nerwów Rosjanina. Jakby

dom wstrzymał oddech...

O drugiej trzydzięci po południu, Szukszin nalał sobie wódki do szklanki i usiadł w swoim gabinecie przy piecyku. Patrzył przez brudne, upstrzone przez muchy szyby na zamarznięty ogród. Dźwięk telefonu wytrącił go z równowagi.

Z bijącym sercem, o mało co nie wylał drinka, zanim podniósł słuchawkę.

— Ojczym? Tu Harry. Jestem w Edynburgu, u przyjaciół. Co u ciebie?

Szükszin ukrył gniew, w swoim głosie, zwalczył w sobie chęć wybuchu i przekleństw.

— Harry? To ty? Jesteś w Edynburgu? To miło, że o mnie pamiętałeś, „Ty drańniu! Twoja emanacja zabija mnie” — pomyślał.

— Twój głos zdrowo brzmi — odpowiedział Harry. — Gdy widziałem cię ostatnio, byłeś w złej formie.

— Tak, wiem — Szukszin hamował złość. — Nie czułem się wtedy dobrze. Ale teraz jest już lepiej. Czy chcesz czegoś? „Zżarłbym twoje serce, ty niewydarzona świnio!”

— Może cię odwiedzę, porozmawialibyśmy o mojej matce. Mam też ze sobą łyżwy. Jeśli na rzece jest lód, mógłbym trochę pojeździć.

— Nie! — warknął.

Zastanawiał się, co Harry wiedział czy podejrzewał, gdy znalazł sygnet, o którym on myślał, że zaginął w rzece, jaka więź łączy syna z matką? Dlaczego nie skończyć z tym teraz? Zdrowy rozsądek ustąpił wobec żądzy krwi, której Szukszin nie mógł w sobie pohamować.

— Ojczu?

— Tak, jestem... Harry. Oczywiście, chciałbym się z tobą zobaczyć. Lód na rzece doskonale nadaje się do jazdy, ale nie wiem czy umiałbym przyjąć gromadę młodych ludzi?

— Nie, ojczu. Nie zamierzałem nikogo sprowadzać. Nie myślałem sprawić aż takiego kłopotu. Krótko mówiąc: chciałbym przyjechać sam, pójść nad rzekę, pojeździć na łyżwach. Tak jak moja matka, to wszystko.

„Ten drań coś wie, na pewno coś podejrzewa. Więc chce pojeździć na łyżwach? Na rzece, gdzie jego matka?” — myślał Rosjanin. Twarz jego skrzywiła się w grymasie nienawiści.

— Kiedy mogę się ciebie spodziewać?

— Za jakieś dwie godziny, mogę?

— Dobrze — odrzekł Szukszin. — Czekam na ciebie, Harry.

Zdażył odłożyć słuchawkę zanim zwierzęcy charkot nienawiści wybuchł, zdradzając prawdziwe uczucie: „O, jak bardzo na ciebie czekam!”

Harry nie był w Edynburgu, w istocie znajdował się w hallu hotelu Bonnyrigg, gdzie przebywał od kilku dni. Po rozmowie z ojczymem narzucił płaszcz i poszedł do samochodu, starego, rozsypującego się morrisa, którego zakupił specjalnie na tę wyprawę.

Jechał oblodzoną drogą na szczyt wzgórza oddalonego niecałe ćwierć mili od starego domu. Zaparkował, wysiadł, przyglądał się budynkowi, wokół nie było nikogo. Monotonny, zimowy krajobraz — przenikliwie zimno. Wziął lornetkę w drżące palce i ukrył się między drzewami.

Szukszin wyszedł ze swojego gabinetu i pośpieszył do ogrodu. Potem pojawił się w bramie płotu, stojącego wzdłuż rzeki, w rękach trzymał siekiere...

Harry powoli wypuszczał powietrze w mroźne otoczenie. Rosjanin przedarł się przez kruche krzewy na brzeg rzeki, stąpał ostrożnie po lodzie. Obrócił się i rozejrzał dookoła, okolica była opustoszała.

Podszedł na środek szarej lodowatej połaci, pochylił się nad nią, wydawał się być zadowolony. Harry przykuł wzrok do tego obrazu. Ojczym zachowywał się tak kiedyś, z pewnością.

Wyznaczył siekiere krąg na chropowatej powierzchni lodu. Rąbał wzdłuż zaznaczonej linii z siłą i zacięciem szaleńca, dopóki nie pojawiły się pierwsze bryzgi wody. Po chwili wielki krąg lodu, szeroki na trzy metry oddzielił się od zamarniętej całości.

Zatrzymał się, raz jeszcze rozejrzał się dookoła. Obszedł przerębel dookoła pychając nogami okruchy lodu. Woda zaraz zamarznie, ale to miejsce nie będzie bezpieczne jeszcze przez wiele godzin. Szukszin przygotowywał pułapkę, ale nie wiedział, że ofiara obserwuje go przez cały czas.

Harry z trudem opanował drżenie. Widział zawziętą twarz wpatrzoną w rozpryskujący się lód. Twarz szaleńca, który z niewiadomych powodów pożył życia Harry'ego, tak jak kiedyś pożył — i zabrał — życie matce.

Wiktor Szukszin był zmęczony, fizycznie i psychicznie. Skończył pracę i skierował się w stronę domu. Szedł po oblodzonych kamieniach. Odrzucił siekiere i wszedł przez ogrodowe drzwi do gabinetu. Jeszcze dwa kroki... i zamarł!

Cały dom był pełen dziwnych mocy, wręcz cuchnął ESP, powietrze drgało od obcych energii.

Drzwi ogrodowe zatrzasnęły się tuż za nim! Obrócił się.

— Kto...? Co...? — wykrztusił.

Naprzeciw stali dwaj mężczyźni, jeden z nich trzymał pistolet wycelowany prosto w niego. Rozpoznał radziecki model broni. Poczuł jak przeznaczenie zaciska go w swojej twardej dłoni. Myślał nieraz, że pewnego dnia może się spodziewać wizyty, ale dlaczego teraz? Dlaczego w tej chwili?

— Siadajcie, towarzyszu — powiedział wyższy.

Maks Batu popchnął krzesło, na które Szukszin opadł. Batu stanął za oparciem, Dragosani naprzeciwno., Emanacja ESP obezwładniała go, jego mózg pływał w nicności. O tak, ci dwaj przybyli z pewnością z Zamku Bronnicy” — pomyślał.

— Esperzy! — wypluł słowo Szukszin. — Ludzie Borowica! Czego ode mnie chcecie?

— Masz wiele powodów, żeby źle wyglądać — mówił ponuro Dragosani. — Zdrajca, szantażysta, prawdopodobnie morderca...

Szukszin zerwał się z miejsca. Batu położył ciężkie łapy na jego ramionach.

— Zapytałem, czego ode mnie chcecie?

— Twojego życia — odrzekł nekromanta. Wyjął z kieszeni tłumik, przymocował do lufy pistoletu, podszedł i przyłożył broń do czoła zdrajcy. — Tylko twoje go życia.

Maks ostrożnie odsunął się.

— Poczekajcie — wrzasnął — robicie błąd. Borowic nie podziękuje wam za to. Dużo wiem o Brytyjczykach. Nadal dla was pracuję, na swój sposób. Nawet teraz!

— Teraz? — zapytał Dragosani, Nie zamierzał zastrzelić Szukszina, chciał go tylko nastraszyć. Zastrzelenie to był niedobry sposób uśmiercania, z punktu widzenia nekromanty. Borys zaplanował jego śmierć inaczej — bardziej interesująco.

Pragnął dowiedzieć się wszystkiego, co możliwe za pomocą konwencjonalnego przesłuchania, zabrać Szukszina do łazienki, związać i włożyć do wanny pełnej zimnej wody. Dragosani miał zamiar użyć jednego ze swych chirurgicznych skalpeli do nacięcia nadgarstków i obiecać, że gdy Szukszin powie wszystko, rany zostaną opatrzone i będzie wolny. Szukszin oczywiście będzie miał mało czasu na odpowiedź, czas, do kiedy krew zabarwi wodę na kolor purpurowy. Cokolwiek powie — nie będzie miało znaczenia. Kiedy umrze, Dragosani wypłucze ciało, wyjmie z wanny i wtedy... dokończy przesłuchania.

Odsunął pistolet.

— Co „teraz”?

Szukszin starał się przełamać strach i nienawiść. Jego życie wisiało na włosku, musiał uporządkować myśli, zełgać jak nigdy przedtem.

— Wiecie, że jestem „wykrywaczem”?

— Oczywiście. Borowic przysłał cię tutaj z tym zadaniem: wykrywać i zabijać. Widocznie się nie spisałeś.

Nie zważał na ironię w głosie Borysa.

— Zanim wszedłem, już wiedziałem, że jesteście, czułem waszą obecność. Obydwaj posiadacie potężne ESP, szczególnie ty — spojrzał na Dragosaniego.

— Wiem, co to „wykrywacz”, Szukszin, więc nie kręć, mów dalej.

— Nie kręć. Chciałem powiedzieć o człowieku, którego chcę zabić... dzisiaj!
Dragosani i Batu wymienili spojrzenia.

— Kto to jest?

— Nazywa się Harry Keogh, to mój przybrany syn. Ma talent, który odziedziczył po swojej matce. Zabiłem ją szesnaście lat temu... — Rosjanin wpatrywał się w nekromantę.

— Zabiłem ją. Raniła mnie jak wszyscy esperzy, jej talent doprowadzał mnie do obłądu!

— Zapomnij o niej — mruknął Borys. — Co z tym Keoghem?

— Właśnie do tego zmierzam. Jego talent jest... ogromny! Rozumiesz? Im większy, tym bardziej mnie rani. Więc zabijam go nie tylko dla ciebie, ale i dla siebie!

Dragosani zainteresował się. Zawsze znajdzie czas, by zakończyć porachunki z Szukszinem, ale skoro Harry Keogh jest tak potężny, chciał coś o nim wiedzieć.

— Myślę, że możemy się dogadać — powiedział w końcu i odłożył pistolet.

— Kiedy dokładnie zamierzasz zabić tego człowieka? I jak?

Szukszin przedstawił swoje zamiary.

Kiedy Szukszin wrócił do domu, Harry podążył do samochodu i zjechał ze wzgórza w kierunku Bonnyrigg. Na dole zaparkował na poboczu, przeszedł polami w kierunku rzeki. Ciężkie płatki śniegu, spadające z czarnego nieba pogłębiały ponury nastrój. Wszystko to przypominało mgliste kolory zimowych pejzaży w dawnym malarstwie.

Harry skierował się w górę rzeki, do miejsca spoczynku matki. Nie wiedział dokładnie, gdzie to jest. Chciał się upewnić, że potrafi ją zawsze odnaleźć. Spacerował po lodzie.

— Mamo, słyszysz mnie? Pojawiła się natychmiast.

— Harry, to ty? Tak blisko! — I znów jej bolesny strach. — Harry! Czy to... teraz?

— Teraz, mamo — ale nie dodawaj mi kłopotów. — Potrzebuję pomocy. Nie chcę, by cokolwiek mąciło mi umysł.

— O, Harry, Harry! Cóż mogę ci powiedzieć? Jak mogę przestać martwić się o ciebie? Jestem twoją matką...

— Więc, pomóż mi.

Zamilkła, ale jej troska wgrzyzała się w głowę Harry'ego. Szedł dalej, zamknął oczy i... trafił. Znalazł to miejsce. Zatrzymał się, otworzył oczy. Stał w zakolu rzeki na grubym, białym lodzie, na kamieniu grobowym matki. Teraz wiedział, że może ją znaleźć.

— Jestem tutaj, mam — pochylił się, odgarnął cienką warstwę śniegu. Spojrzał na ciężki klucz samochodowy w swoich dłoniach. To był drugi powód, dla którego tu przyszedł. Zaczął kruszyć lód.

— Teraz rozumiem, Harry. Oszukałeś mnie. Myślisz, że potem skończą się problemy?

— Nie, nie myślę. Ale jestem teraz silniejszy — pod wieloma względami...

W tym miejscu, blisko brzegu lód był trochę grubszy. Harry spocił się, ale zdołał zrobić dziurę o prawie metrowej średnicy. Wyrzucił, na ile się dało, kawałki lodu z przerębli. W dole wirowała czerni wody. Pod wodą, pod mułem i szlamem...

Zrobione. Teraz trzeba już iść. Zaczęło mocniej padać, wraz ze śniegiem pojawił się zimowy zmierzch.

— Harry! — zawołała matka po raz ostatni, gdy śpieszył do samochodu. — Harry, Kocham cię. Powodzenia, synku...

W godzinę później Dragosani i Batu stanęli za młodymi sosnami na brzegu rzeki, około trzydziestu metrów od domu Szukszina. Nie byli tu jeszcze nawet pół godziny, a już czuli jak zimno przenika przez ich ubrania. Batu wymachiwał rytmicznie ramionami. Dragosani zapalił papierosa. W końcu nad podwórzowymi drzwiami domu zapaliło się żółte światło — sygnał, że zaraz nastąpi morderstwo.

W rzeczywistości nie było jeszcze nocy, ale zimowa ciemność zawładnęła okolicą. Chmury odpłynęły i śnieg przestał padać. Wschodzący księżyc rzucił srebrną wstążkę na krętą rzekę lodu.

Dwie postacie skierowały się nad rzekę. Borys zaciągnął się ostatni raz papierosem, pod osłoną dłoni. Zdeptał niedopałek butem. Batu przestał wymachiwać ramionami. Obaj stali nieruchomo, obserwując rozwijającą się akcję.

Na brzegu rzeki, mężczyźni zdjęli płaszcze, położyli je na śniegu, usiedli i założyli łyżwy. Rozmawiali, ale do uszu ukrytych obserwatorów docierały tylko strzępy zdań. Głos Szukszina, ponury i basowy, brzmiał wojowniczo niczym ujadanie psa. Głos Harry'ego matowo i jednostajnie, prawie beztroski. Wjechali na lód.

Z początku jeździli ramię w ramię. Wtem szczuplejsza postać wysunęła się do przodu, Harry zręcznie nabierał prędkości, sunął w górę rzeki, ku miejscu, gdzie ukryli się obserwatorzy. Dragosani i Batu przykucnęli. Keogh zrównał się z nimi, zakręcił po całej szerokości rzeki i pojechał w drugą stronę.

Za nim — ojczym. Wydawał się zwalniać w porównaniu z szybkością jazdy Keogha. Harry był z pewnością bardziej oswojony z lodem, Rosjanin wyglądał przy nim niezdarnie. Nagle Keogh wykonał slalomowy zakręt pod ostrym kątem, aż łyżwy wyrzuciły chmurę śniegu i lodu. Udało mu się ominąć Szukszina. Skręcił raz jeszcze równie ostro i wrócił do dawnego kursu. Jego łyżwy wyhamowały na kra-

wędzi zdradzieckiego kręgu, gdzie świeży lód ledwo się trzymał.

Szukszin także musiał gwałtownie skręcić, rozpostarł szeroko ramiona, ledwo uniknął własnej pułapki.

— Ostrożnie, ojczel! — krzyknął Keogh przez ramię i przyśpieszył. — O mało co nie zderzyłem się z tobą.

Obserwatorzy słyszeli to.

— Szczęściarz, ten młody! — powiedział Mongoł. Dragosani nie rozumiał, co to ma wspólnego ze szczęściem.

Rosjanin zatrzymał się i zamarł w pochylonej pozycji, obserwując jazdę syna. Ciało jego wyraźnie drżało — jakby odczuwał ból czy jakieś emocjonalne napięcie.

— Tutaj, Harry — zawołał ochryple. — Tutaj. Jesteś dla mnie za dobry, mógłbyś kręcić kółka wokół mnie.

Harry powrócił, krążył wokół pochylonej postaci. Z każdym kołem, łyżwy zbliżały się do krawędzi pułapki. Szukszin wyciągnął ramiona i chwycił Keogha za ręce, obracał nim wokół własnej osi.

— Teraz — szepnął Batu do Dragosaniego — Coup de grace!

Nagle Szukszin przestał się obracać i rzucił się na Keogha. Keogh skręcił, chciał uniknąć zderzenia. Łyżwiarze mieli szczipione ręce. Jedna z łyżew Keogha zagłębiła się w wyłobieniu kręgu wyciętego przez Szukszina. Zatrzymał się. Uścisk Rosjanina uratował go przed upadkiem na kruchy płat lodu.

Szukszin wybuchnął nagłym śmiechem, odrzucił Harry'ego od siebie — w ramiona śmierci.

Keogh trzymał się jednak mocno rękawów ojczyma i pociągnął go za sobą. Ten stracił równowagę i runął, Harry zrobił unik i przerzucił Rosjanina przez biodro. Chciał się uwolnić od niego, ale bezskutecznie. Mężczyzna wpadł do własnej pułapki-przerębli, pociągając Keogha za sobą.

Spleceni ze sobą padli na lód, który natychmiast zaczął się zapadać. Krąg zagrzytał na krawędziach, woda wytrysnęła w górę czarnymi bryzgami. Dysk zadygotał i rozłamał się na dwie części. Szukszin wrzasnął niczym szalona, raniona bestia. Półkole lodu uniosło się na krawędzi, wpadli do mroźnej wody.

— Szybko, Maks — sapał Dragosani. — Nie możemy ich obu stracić.

— Którego mamy uratować? — rzucił Mongoł, gdy biegli po lodzie.

— Keogha — padła odpowiedź.

W ostatniej chwili fantastyczny pomysł wpadł mu do głowy. Skoro potrafił „nauczyć się” nekromancji od Diabła z grobu i dzięki temu kradł myśli zmarłych, to może da radę kraść także ich talenty. Dlaczego by nie skraść talentu Keogha i użyć do swoich celów?

Batu i Dragosani zbliżyli się do dziury, kawałki lodu unosiły się na czarnej, zimnej wodzie. Kiedy ostrożnie podeszli do krawędzi, tylko płynąca pod lodem rzeka szemrała cicho. Na chwilę ręka wystrzeliła z wody, chwyciła krawędzi, zniknęła jednak, zanim Dragosani zdążył ją pochwycić.

— Tędy! — rzucił Borys. — Z biegiem rzeki.

— Myślisz, że jest szansa? — Batu uważał, że sprawa jest beznadziejna.

— Niewielka — wykrzyknął nekromanta.

Biegali po lodzie, jak szybko tylko mogli w świetle zimnego, srebrnego księżyca.

Pod lodem Harry zdołał zrzucić kurtkę. Pod koszulą miał gumową, wodoodporną kamizelkę, a mimo to zimno było przeraźliwe. Szukszin nie mógł tego przetrzymać.

Harry zaczął płynąć. Szukał miejsc, gdzie zbierało się powietrze. Płynął ku matce, w strumieniu jej myśli, tak jak nieomylnie podążał za nimi dwie godziny temu z zamkniętymi oczyma. Wtedy jednak powietrza było pod dostatkiem — i było ciepło, tam była jego matka — tam! Zaczął szybciej płynąć, coś jednak chwyciło go za nogę — ojczym.

Harry płynął, rozpaczliwie rzucał ramionami i jedną wolną ręką. Płynął jak nigdy dotąd. Płuca wybuchały, serce waliło jak młot z w żebra. Szukszin uczepił się, jego ręce niczym kleszcze wielkiego kraba trzymały Harry'ego.

Nie mógł płynąć, woda była czarna jak krew wielkiego, obcego organizmu.

„Mamo! Pomóż mi!” — krzyknął w myślach Harry, starał się wziąć oddech, ale tylko lodowata woda wiała się przez usta i nozdrza.

— Harry! — odpowiedziała natychmiast. Była blisko, jej głos przepelniała rozpacz.

Wierzgnął obiema nogami w kierunku Rosjanina, uderzył plecami i głową w pokrywą lodu, która natychmiast rozerwała się na kawałki. Głowa i ramiona Keogha wydostały się na powierzchnię. Oczy zaczęły przyzwyczajać się do powietrza, zmysły przestały dygotać. Ostatkiem sił Harry złapał się nadbrzeżnych korzeni i powoli wydostał się z przerębła.

Woda zawirowała. Obok wynurzyła się szalona twarz Szukszina. Krztusił się i kaszłał, wymiotował wodą. Chwycił syna rękoma silnymi jak stalowe szpony.

Harry kopnął go kolanem w żebra, mimo to Szukszin nie puszczał i ciągnął Harry'ego w kipiel. Keogh walczył, walił pięściami — bez skutku.

Rosjanin zdobywał przewagę, Harry już się zanurzał...

Sięgnął raz jeszcze w kierunku mocnych korzeni na brzegu rzeki. Ręce napastnika zaciśnięte na gardle odcinały mu powietrze.

— Mamo! — krzyczał Harry. — Miałaś rację. Powinienem być cię posłuchać.

— Nie — zaprzeczyła jego woli poddania się. — Szukszin zabił mnie, ale nie zabije mojego syna.

I znów gorzka woda speniła się i zabulgotała.

Dragosani i Batu obserwowali walkę. Do tej pory dwie postacie rzucały się na siebie, ale teraz pojawiła się trzecia. Borys nigdy nie słyszał, nie wyobrażał sobie czegoś takiego w najczarniejszych koszmarach!

Nie była żywa, a poruszała się jak żywa! Przyłgnęła do Szukszina, owinęła się wokół niego, objęła błotnokościstymi ramionami. Jej włosy-wodorosty omotały jego ręce. Nie miała oczu, zgniły blask świecił z pustych oczodołów. Rosjanin wyl, wierzgał jak szaleniec.

Krzyczał i walczył ze zjawą. Rozdzierający, przeraźliwy wrzask dobiegł do uszu Dragosaniego i Batu.

— Nie ty! — bełkotał Szukszin. — O, Boże, nie ty! Nie ty!

Zniknął, a wraz z nim postać z kości i mułu...

Harry wygrzebał się na brzeg.

Batu już się zamierzał, by powalić i sparaliżować Keogha swoim wzrokiem, pochylił się w zabójczej pozycji, ale Borys go powstrzymał.

— Nie, Maks — wyszeptał chrapliwie. — Nie teraz. Zobaczymy, co potrafi, może posiada jakieś inne talenty.

Batu zrozumiał, rozluźnił się i wyprostował. Już na brzegu Harry zdał sobie sprawę z obecności obserwatorów. Odwrócił się i patrzył. Przez długą chwilę wpatrywali się w siebie wszyscy trzej. Harry rzucił wzrokiem na łatę czarnej wody.

— Dziękuję ci, mamó — powiedział.

Po czym obrócił się i potykając zaczął biec w kierunku domu. Nie podążyli za nim, Keogh zniknął im z pola widzenia.

— Towarzyszu Dragosani? To nie mógł być... człowiek? Co to było? — pytał zmieszany Maks.

Nekromanta pokiwał głową. Domyślał się odpowiedzi, ale jej nie wyjawiał.

— To kiedyś był człowiek. Jedno wiemy na pewno. Gdy Keogh potrzebował pomocy, dostał ją. To jest jego talent, Maks. Umarli odpowiadają na jego wołanie. Odpowiadają na jego zew, Maks. A zmarłych jest więcej niż żywych.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Nazajutrz Harry wrócił nad rzekę, w miejsce, gdzie jego matka leżała uwięziona w mule. Teraz było ich tam dwoje. Nie poszedł rozmawiać z nią, ale z Wikto-rem Szukszinem. Wziął poduszkę z samochodu. Położył ją na śniegu, usiadł podciągając kolana. Przerębel ponownie ściął lód i przykrył śnieg, tylko słaby kontur krawędzi przebijał się lekko. Przez chwilę siedział w ciszy.

— Ojczy, słyszysz mnie? — zapytał szeptem.

— Tak — odpowiedź przyszła po dłuższej chwili. — Słyszę Ciebie, Harry i czuję twoją obecność. Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju?

— Posłuchaj, ojczy. Może to już ostatni głos, jaki kiedykolwiek usłyszysz. Jeśli odejdę i zostawię cię w spokoju, kto będzie z tobą rozmawiał?

— A więc, to tak, Harry? Grzebiesz w myślach zmarłych! To mnie rani. Każde ESP mnie rani. Ostatniej nocy, po raz pierwszy od wielu lat spałem spokojnie w moim mroźnym łóżku. Nie czułem bólu. Nie chcę, by ktokolwiek ze mną rozmawiał, chcę spokoju.

— Co to znaczy, że ciebie ranię? — naciskał Harry. — Jak moje istnienie może ranić? — Harry chciał wiedzieć wszystko, Od początku do końca. — Opowiedz wszystko, a przysięgam, że nie będę cię już nachodził.

Opowiedział mu o Borowicu i o Zamku Bronnicy, o radzieckim Wydziale E, o ludziach dążących do podboju świata. Opowiedział jak Borowiec wysłał go do Anglii, by zabijał esperów, jak on zdradził i został obywatelem brytyjskim. Powiedział, jak ludzie obdarzeni ESP szarpali jego nerwy i doprowadzili do obłądu. Harry rozumiał go, lecz był on mordercą jego matki!

W czasie opowieści, Harry myślał o Sir Keenanie Gormleyu i o brytyjskiej sekcji ESP. Przypomniawszy sobie obietnicę wstąpienia do jego grupy po rozwiązaniu swoich problemów. Wszystkie problemy teraz miał za sobą. Postanowił odwiedzić Gormleya. Wiktor Szukszin nie był jedynym winnym — byli o wiele gorsi od niego. Gdyby go nie przysłali do Anglii, matka Harry'ego żyłaby do dziś. Dotychczas

życie wydawało się niepełne — jedyną ambicją było zabicie ojczyzna. Teraz wiedział, że ma większe zadania.

— W porządku, ojciec — powiedział — odchodzę i daję ci spokój. Spokój, na który nie zasługujesz. Nie mogę ci wybaczyć.

— Nie chcę twojego przebaczenia, Harry, obiecaj tylko, że zostawisz mnie w spokoju. Odejdź i daj się zabić...

Harry wstał sztywno. Bolała go każda kość, głowa tętniła od nadmiaru myśli. Był zupełnie wyczerpany.

Otrząsnął się i wrócił do samochodu.

— Do widzenia, Harry! — podążył za nim głos.

— Do widzenia, mamó — odpowiedział. — Dziękuję. Zawsze będę cię kochał.

— I ja ciebie, Harry.

— Co to jest? — zapytał przestraszony głos Szukszina.

Harry nie odpowiadał. Pozwolił matce zrobić to za niego.

— Witaj, Wiktorze. Harry nie ożywił mnie. Sama powstałam, z miłości — ty tego nigdy nie zrozumiesz. Nie uczynię tego więcej. Teraz już nie będę tak samotniona...

— Keogh! Obiecałeś mi, że jesteś jedynym, który może ze mną rozmawiać. A teraz ona mówi do mnie — ona rani mnie najbardziej!

— Spokojnie, spokojnie Wiktor — usłyszał odpowiedź matki, jakby mówiła do małego dziecka — nic ci to nie pomoże. Powiedziałaś, że pragniesz spokoju i ciszy? Ale przecież wkrótce znudzisz się tym, Wiktor.

— Keogh! — wrzask Szukszina był słabszy. — Musisz mnie z tego wyciągnąć. Wykop mnie, powiedz komuś jak znaleźć moje ciało — tylko nie zostawiaj mnie z nią!

— Wiktor — ciągnęła Mary bezlitośnie — cieszę się, że mogę z tobą porozmawiać. Jesteś tak blisko, mówię do ciebie bez wysiłku.

— Keogh, łajdaku! Wracaj! Och... proszę... wróć!

Harry'ego już nie było.

Harry wrócił do Hartlepool o pierwszej trzydziści. Droga była koszmarna, pokryta zbitym śniegiem. Jechał nerwowo, a kiedy w końcu dotarł do domu, ledwo wdrapał się po schodach.

Brenda, jego żona, cieszyła się jak małe dziecko ich mieszkaniem. Była dopiero w trzecim miesiącu ciąży, ale brzuch już się uwydatnił. Harry był ostatnio w świetnym humorze. Ale dziś....

Ledwo zdobył się na pocałunek w policzek, zasnął jak kamień, gdy tylko głowa spoczęła na poduszce.

Nie było go przez trzy dni. Gdzie i co robił — nie powiedział. Taki już był i powinna się do tego przyzwyczaić. Teraz wyglądał tak, jakby spędził te dni w piekle.

Spał całe popołudnie, wydawało się, że ma gorączkę. Brenda wezwała lekarza. Harry nawet nie przebudził się w czasie wizyty. Doktor podejrzewał zapalenie płuc, chociaż objawy nie były jednoznaczne. Zostawił lekarstwa i wskazówki, co robić w razie pogorszenia stanu zdrowia w nocy. Na śniadanie Harry jadł niewiele. Potem porozmawiał z żoną. Brenda przeraziła się. Mimo że i dawniej był skryty, ta rozmowa była jak nigdy przedtem przygnębiająca. Mówił o sporządzeniu testamentu. Wszystko chciał przekazać żonie i dziecku.

— Harry — powiedziała, chwytając go za ręce. Siedział z opuszczonymi ramionami na skraju łóżka. — O co tu chodzi? Wiem, że miałeś jakieś przejścia, że może niezbyt dobrze się czujesz. Pobraliśmy się dwa miesiące temu, a ty mówisz tak, jakbyś miał zaraz umrzeć! Nigdy nie słyszałam podobnych głupstw. Jeszcze tydzień temu pływałeś, trenowałeś, jeździłeś na łyżwach — byłeś pełen życia, więc co cię tak nagle przygnębiło?

Poczuł, że nie wytrzyma dłużej. W końcu Brenda była jego żoną, nie mógł jej trzymać w niepewności. Posadził ją przy sobie i opowiedział wszystko z wyjątkiem snu z nagrobkami i śmierci Wiktora Szukszina. Opowiedział o brytyjskiej organizacji ESP, ale nie do końca. Wystarczyło mu, że Brenda wie, iż jest szczególnie utalentowanym człowiekiem. W istocie takich ludzi było wielu, było też wiele sił zagrażających wolnemu światu. Część pracy Harry'ego, to zapobieganie tym niecnym zamierzeniom. Stwierdził, że jego talent nekroskopa ma być użyty jako broń. Najbliższa przyszłość była niepewna. Uważał, że należy przygotować się na każdą okoliczność.

Mówiąc to wszystko, Harry ciągle się zastanawiał, czy nie popełnia błędu. Może lepiej było to zataić przed żoną? Zastanawiał się nad swoim postępowaniem. Czy zwierzał się tylko po to, by przygotować ją na... wszystko, co może się zdarzyć? A może przechodził kryzys i potrzebował podzielić się kłopotami?

Harry czuł że, Brendzie też grozi niebezpieczeństwo. Ostrzeżenia matki, nie mówiły, że żona umrze w rezultacie jakiegokolwiek jego posunięcia. Była w ciąży, oczekiwali urodzin dziecka. Potrzebował rozmowy, rozmowy z przyjacielem.

Wszystko wyglądało na zagmatwane i niejasne, tak trudno było wyciągnąć rozsądne wnioski. Kiedy już skończył opowiadać, dał Brendzie czas na zastanowienie się.

Przyjęła wszystko, co powiedział jak oczywisty fakt, odczuła ulgę.

— Harry, wiem, że nie jestem tak zdolna jak ty, ale nie jestem też głupia. Wiedziałam, że coś wisi w powietrzu, od kiedy opowiedziałeś mi tę historię z nekroskopem. Czułam, że nie dopowiedziałeś wszystkiego. Zdarzało się, że pan Hannant

zaczepiał mnie i wypytywał o ciebie. Sposób, w jaki mówił, sugerował, że w tobie jest coś dziwnego...

— Hannant? — Harry zmarszczył podejrzliwie brwi.

— Och, nic. Nic ważnego. Prawdę mówiąc, myślę, że on się boi o ciebie Harry. Słyszałam jak rozmawiasz ze swoją zmarłą mamą we śnie. Wiedziałam, że to prawdziwa rozmowa. I wiele innych rzeczy. Twoja twórczość, na przykład. Skąd tak nagle stałeś się błyskotliwym pisarzem? Czytałam twoje opowiadania, Harry, To nie jesteś ty. Prawdziwy ty — to zwykły chłopak. Oczywiście, bardzo cię kocham, ale nie dam się ogłupić. A twoje pływanie, łyżwy, judo? Myślałeś, że uwierzę, że jesteś supermanem? To ulga znać teraz prawdę, Harry. Cieszę się, że w końcu powiedziałeś mi to.

— Ale nie mogę ci powiedzieć wszystkiego, kochanie — odezwał się ze zdziwieniem.

— Tak, wiem — odpowiedziała. — Skoro masz pracować dla kraju, to muszą być sprawy, których nie wolno ci ujawnić, nawet przede mną. Rozumiem, Harry.

Jakby ktoś zdjął wielki ciężar z jego ramion! Położył się, głowa zatonęła w poduszce.

— Brenda, nadal jestem zmęczony — ziewnął — pozwól mi spać, kochanie. Jutro wyjeżdżam do Londynu.

— Dobrze, kochanie — pochyliła się i pocałowała go w czoło. — Nie martw się, o nic już nie zapytam.

Harry spał do wieczora, potem wstał i zjadł obiad. Około ósmej poszli na spacer. Wrócili po kilkunastu minutach, bo Brendzie zrobiło się zimno. W domu wzięli gorący prysznic, kochali się, a potem oboje twardo zasnęli.

Sir Keenan Gormley opuścił kwaterę główną brytyjskiego wywiadu ESP, zjechał windą do małego hallu, wyszedł na ulicę w zimną, londyńską noc. Kilka rzeczy zastanawiało go ostatnio. Keogh nie skontaktował się z nim jeszcze. Z każdym upływającym dniem Gormley czuł, że czas ucieka bezpowrotnie. Było po dziewiątej, Gormley szedł w kierunku stacji metra Westminster.

Sir Keenan miał dwa powody do zmartwień. Jego zastępca, Alec Kyle wypytywał się nieustannie o jego zdrowie. Talent Kyle'a polegał na przepowiadaniu przyszłości. Troska o zdrowie przełożonego była całkiem wyraźna. Gdyby Alec wiedział coś dokładnie, z pewnością powiedziałby, dlatego też Gormley nie naciskał. Nie mniej jednak martwił się tym.

I było jeszcze coś ważniejszego. W ciągu ostatnich tygodni Gormley czuł, że wokół niego kręcą się esperzy — „wykrył” ich. Nigdy ich nie spotkał, nie potrafił odszukać, ale wiedział, że są. To nie byli jego ludzie — ich emanacja była obca.

Zawsze obserwowali Gormleya bezpiecznie ukryci w tłumie, w ruchliwych miejscach, gdzie nie mógł przypisać odczucia do twarzy. Zastanawiał się, jak długo będą go obserwować? Co zrobią? Doszedł do stacji, zszedł na peron, przez płaszcz i marynarkę sprawdził browninga kaliber 9 — przynajmniej jakieś pocieszenie. Nie było takiego espera, który byłby odporny na kule.

Na peronie stało parę osób, jeszcze mniej w przedziale, do którego wszedł. Przejrzał porzucony egzemplarz „Daily Mail” dla rozbicia monotonii podróży. Zupełnie nie reagował na nagłówki. Czy rzeczywiście tak się wyobcował ze świata? Pewnie tak. Praca zabierała stanowczo za dużo czasu. To był już trzeci z rzędu wieczór pracy w godzinach nadliczbowych. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz czytał książkę, kiedy bawił się z przyjaciółmi. Ale może Alec Kyle miał powody do troski o jego zdrowie. Może pora już na przerwę, pora oddać zastępcy prowadzenie sekcji. Prędzej czy później będzie musiał to zrobić. Obiecał sobie, że zrobi przerwę, jak tylko wprowadzi młodego Harry’ego Keogha.

Zadumał się, pociąg wtoczył się na stację St. James. Para bardzo zgrabnych nóg w krótkiej spódniczce odwróciła uwagę Gormleya. „To dziw, że to śliczne stworzonko nie zamarzło na śmierć” — pomyślał. „To dopiero byłaby strata”

Keenan zaśmiał się do swoich myśli. Jego żona zawsze dokuczała mu, że zbyt często ogląda się za spódniczkami. Może z sercem coś nie dobrze, ale cała reszta w zupełnym porządku. Gdyby miał trzydzieści lat mniej...

Zakaszła głośno, spojrzał w gazetę, próbował przebrnąć przez wiadomości. Ale w połowie stracił chęć czytania. Takie przyziemne sprawy, w porównaniu ze światem jasnowidzów, telepatów, a teraz nekroskopa.

Pomyślał o grze, w którą zwykł bawić się z Kyle’em. Gra słownych skojarzeń.

Grali kilka dni temu. Gormley pomyślał o Keoghu, kiedy wszedł do gabinetu Kyle’a. Zobaczył zastępcę, uśmiechnął się.

— Zagramy?

Kyle zrozumiał.

— Wal.

— To będzie nazwisko — ostrzegł Gormley.

— Harry Keogh. — Gormley cofnął się i szybko rzucił.

— Möbius — odparł natychmiast Kyle.

— Matematyka?

— Czasoprzestrzeń — Kyle zbladł. Gormley wiedział, że już coś mają.

— Nekroskop — rzucił na koniec.

— Nekromanta.

— Nekromanta? — powtórzył Gormley.

— Wampir! — wykrzyknął zrywając się z miejsca. — Starczy, sir. Cokolwiek to

było — minęło.

Spojrzał przez szybę, zorientował się, że pociąg właśnie minął stację Viktoria. W przedziale było pusto. Zostało jeszcze pół drogi. Wtedy poczuł wszechogarniającą depresję.

Czuł, że coś nie jest w nim w porządku. Może pustka pociągu, może za bardzo stracił kontakt z codziennym życiem? Kiedy pociąg wjechał na peron, już wiedział, co to było. To pracował jego talent.

Otworzyły się drzwi, para w średnim wieku opuściła wagon, Gormley został sam. Zanim jednak zamknęły się, weszło dwóch mężczyzn. Emanacja ich ESP wręcz poraziła, oszołomiła Gormleya!

Dragosani i Batu usiedli naprzeciw swojej ofiary, patrząc zimnym beznamiętnym wzrokiem. „Tworzą dziwną parę” — pomyślał Gormley. „Zupełnie nie pasują do siebie. Przynajmniej na pozór.” Wyższy pochylił się, jego zapadnięte oczy przypominały mu oczy Keogha. Może podobieństwo inteligencji? Ale nie była to ludzka duchowość. Raczej... inteligencji bestii.

— Wiesz, kim jesteśmy — powiedział basowym, ponurym tonem, nie siląc się na ukrycie rosyjskiego akcentu. — I my wiemy, kim jesteś. W takim razie głupio tak siedzieć i udawać, że się nie znamy. Zgadzasz się?

— Mówisz logicznie, nie spieram się — przyznał Gormley, i poczuł, że krew zamarza mu w żyłach.

— Więc dalej będę mówił logicznie — powiedział Dragosani. — Gdybyśmy chcieli cię zabić, już dawno byś nie żył. Nie brakowało nam okazji. Więc kiedy wyśiądziemy z pociągu na South Kensington, nie będziesz próbował robić zamieszania ani zwracać niepotrzebnej uwagi. Jeśli nie, będziemy zmuszeni cię zabić, niestety.

Gormley z trudem zachował spokój, uniósł brwi.

— Jesteś bardzo pewny siebie, panie...

— Dragosani — przedstawił się nekromanta. — Tak, jestem bardzo pewny siebie, podobnie jak mój przyjaciel, Maks Batu.

— Nieźle! — kontynuował Gormley. — Chyba zostaną uprowadzony. Ale czy jesteście pewni, że wiecie wszystko o moich nawykach. Może coś przeoczyliście. — Nerwowo wyjął zapalniczkę z prawej kieszeni płaszcza i położył na kolanie. Poklepał się po kieszeniach, jakby szukał paczki papierosów, zaczął sięgać do wnętrza płaszcza.

— Nie — odrzekł Dragosani z ostrzeżeniem w głosie. Błyskawicznie wyjął własny pistolet, wyciągnął na długość ramienia, kierując go prosto w twarz Gormleya. — Niczego nie przeoczyliśmy. Maks, przeszukaj go!

Batu usiadł obok Gormleya i wyciągnął zza poły płaszcza jego rękę. Drżące pal-

ce trzymały browninga. Gormley nie zdążył odwieść kurka. Batu wyjął magazynek, schował do kieszeni i oddał pistolet Anglikowi.

— To był twój ostatni nierozważny ruch — ciągnął Borys. Odłożył swoją broń. Cała jego postać była nienaturalna, jakby kocia, prawie kobieca.

— Jakikolwiek bohaterstwo — kontynuował nekromanta — skończy się twoją śmiercią.

Gormley ostrożnie włożył bezużyteczny pistolet do kieszeni.

— Czego ode mnie chcecie?

— Chcemy porozmawiać — odpowiedział Dragosani. — Chciałbym zadać ci kilka pytań.

— Domyśliłem się — odparł Gormley, zmuszając się do uśmiechu. — To będą bardzo „dogłębne” pytania, tak?

— Nie — zachnął się Borys. Teraz uśmiechnął się złowieszczo. Keenan poczuł do niego fizyczną odrazę. Usta tego człowieka wyglądały jak paszcza psa z wydłużonymi kłami. — Nie będziemy tobie świecić lampą w oczy, sir, jeśli o to chodzi — powiedział Dragosani. — Żadnych narkotyków, kleszczy, nie napełnimy ci brzucha wodą od tyłu. Nic z tych rzeczy. Ale i tak powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć. Zapewniam cię.

Pociąg zwolnił i wjechał na stację South Kensington. Serce uprowadzonego zabiło mocniej, „Tak blisko do domu — i tak daleko” — pomyślał.

Na peronie stała garstka ludzi, głównie młodych. Nawet gdyby Gormley zawołał o pomoc, nikt pewnie by nie zareagował.

— Opuść stację, jak to robisz codziennie — szepnął Borys, idąc przy uprowadzonym.

Serce Anglika zabiło gwałtowniej, wiedział, że jeśli pójdzie z nimi — to już koniec. Wiedział, że jest na straconej pozycji, jedynym ratunkiem jest ucieczka.

Wyszli z metra na ulicę Pelham, doszli przez Brompton Road do Queen’s Gate.

— Tutaj przechodzę na światłach — powiedział Gormley. Doszli do parkingu, Dragosani zwiększył uścisk na ramieniu Anglika.

— Tutaj — do samochodu — powiedział ciągnąc Gormleya na prawo i wzdłuż zaparkowanych pojazdów w kierunku forda. Borys kupił pojazd z drugiej ręki za gotówkę, bez żadnych wyjaśnień. Po zakończeniu misji policja miała odnaleźć wypalone szczątki w podmiejskich lasach. Zbliżyli się do forda, Keenan dostrzegł ostatnią szansę.

Niecałe trzydzieści metrów dalej, na parking wjechał policyjny patrol, umundurowany funkcjonariusz wyszedł ospale i sprawdzał drzwi stojących samochodów. „Rutynowa kontrola” — pomyślał Gormley. Dla niego był to cud!

Dragosani poczuł nagle napięcie w umyśle Keenana, zablokował go, zanim zdą-

żył zrobić jakiś ruch. Batu otworzył drzwi forda.

— Teraz, Maks! — Syknął nekromanta.

Batu natychmiast przybrał swoją postawę, jego okrągła twarz przeszła metamorfozę. Dragosani wzmocnił uścisk. Anglik otworzył usta, chciał krzyknąć, ale z ust wydobył się jedynie słaby skrzek. Ujrzał twarz Batu: jedno oko było wąską szparką, a drugie, okrągłe, zielone — pulsowało pełne wrzącej mazi. Coś przeni-
kło z tej twarzy niczym cięcie bezcielesnego noża. Wiedział, że jego serce nie wy-
trzyma tego.

Odrzucony ciosem straszego wzroku, Gormley osunął się na błotnik sąsied-
niego samochodu. Policjant spojrział w ich stronę. Drugi wyszedł z wozu patrolo-
wego. Co gorsza, następny pojazd, niebieski porsche wjechał z piskiem hamulców.
Oślepiające światła reflektorów wyłowiły z ciemności trzy postacie. Po chwili wy-
soki, młody mężczyzna wysiadł, trzaskając drzwiami. Na jego twarzy pojawiła się
troska, chwycił Gormleya za ramię.

— Keenan! — powiedział, patrząc mu w oczy. — Na Boga, to serce.

Dwaj policjanci pośpieszyli zobaczyć, co się dzieje. Sytuacja ta sparaliżowała
Dragosaniego. Starał się odzyskać spokój.

— Do samochodu! — szepnął do Batu.

Policjanci byli już na miejscu.

— Co się stało? — zapytał jeden z nich.

Borys myślał szybko.

— Zobaczyliśmy jak się potyka — powiedział. — Myśleliśmy, że jest pijany.
Chciałem pomóc, spytałem, czy mogę coś zrobić. Powiedział coś o sercu... Już
miałem zabrać go do szpitala, ale wtedy pojawił się ten pan i...

— Nazywam się Artur Banks — powiedział mężczyzna, właściciel porsche.
— To jest Sir Keenan Gormley, mój teść. Umówiliśmy się na stacji, potem zobaczy-
łem tych dwóch. Nie ma czasu na wyjaśnienia, musimy zawieść go do szpitala!

— Proszę zadzwonić później, sir — rzucił jeden z policjantów do Dragosaniego.
— Poda pan więcej szczegółów. Dziękuję. — Pomógł Banksowi ułożyć Gormleya
w porsche, drugi policjant pobiegł do wozu patrolowego i zapalił niebieskie świa-
tła. Banks zjechał z krawężnika.

— Za nami, sir — krzyknął policjant. — Będzie pod opieką za dwie minuty.

Wskoczył do wozu, włączył sygnał. Osłupiały Dragosani patrzył jak samocho-
dy odjeżdżają. Powoli wsiadł do forda, usiadł obok Batu, trząśnięty ze złości. Drzwi
zostawił otwarte, w końcu chwycił za klamkę i trzasnął tak mocno, że o mało nie
odpadły zawiasy.

— Kurwa! — rzucił. — Cholerni Anglicy! Pieprzony Gormley i jego zięć. Pie-
przona cywilizowana policja.

— Jest dobrze — powiedział Batu.

— Niech cię... szlag trafi i twoje zabójcze oczko. Nie zabiłeś go!

— Znam się na rzeczy — odparł cicho Batu. — Zabiłem go jak chciałem. Rozgniotłem jak pluskwę. Już nie żyje, towarzyszu, zaufajcie mi. W tej chwili już nie żyje.

W samochodzie Gormley zdążył wykrztusić jedno słowo: „Dragosani”, które nic nie znaczyło dla przerażonego zięcia. Opadł bezwładnie, kropla krwi pojawiła się w kąciku ust.

Maks Batu miał rację. Sir Keenan Gormley zmarł przed przyjazdem do szpitala.

Harry Keogh pojawił się w domu Gormleya na South Kensington około trzeciej po południu, następnego dnia.

Arthur Banks był zagoniony, czuł jakby minął rok od czasu, kiedy wyjechał z żoną, córką Gormleya, z Chichester. To miała być krótka wizyta, a tu ten straszny wypadek! Świat wirował dookoła szaleńczo.

Najpierw niemiły obowiązek — telefon do teściowej, Jacke Gormley. Powiedział co się stało. Córka pocieszała ją, jak mogła przez całą noc, a ona chodziła w obłądnie po domu, szukając męża. Następnego ranka czekała, aż przywieziono ciało ze szpitalnej kostnicy. Zrobili, co mogli, ale twarz pozostała wykrzywiona w okropnym grymasie. Formalności pogrzebowe przebiegały sprawnie. Tak jak sobie życzył Gormley — będzie kremacja. Do tego czasu zwłoki miały pozostać w domu. Jacke nie mogła przebywać przy martwym mężu, to nie był ten sam człowiek, zabrano ją na drugi koniec Londynu, do brata. Wszystko zostało na głowie Banksa. Odwiózł żonę na Waterloo, skąd wróciła do Chichester, do czasu pogrzebu. Banks obiecał, że będzie przy zmarłym.

Ale gdy wrócił do domu, stała się rzecz najgorsza ze wszystkich, czyste szaleństwo! Upiorne, niesłychane!

Kiedy Harry Keogh zadzwonił do drzwi, ujrzał Banksa chwiejącego się na nogach.

— Jestem Harry Keogh. Sir Keenan Gormley prosił, żebym przyszedł...

— Pomocy! — szepnął Banks. — Jezu Chryste, kimkolwiek jesteś — pomóż mi.

Harry spojrzał zdziwiony, podtrzymał mężczyznę, by uchronić go przed upadkiem.

— Co się stało? To jest dom Keenena Gormleya, czy tak?

Banks przytaknął słabo. Jego twarz zzieleniała. Zbierało mu się na wymioty.

— Tak. On jest t...tam, w salonie... ale nie wchodź tam! Muszę zadzwonić na po-

licję.

Harry posadził Banksa na krzesło. Pochylił się i potrząsnął nim.

— Tam jest Keenan? Co się z nim stało?

Zanim padła odpowiedź, Keogh przypomniał sobie:

„Wkrótce umrze w męczarniach najprzedniejszy patriota.”

Banks patrzył na Harry’ego, miał zieloną twarz.

— Czy pracowałeś dla niego?

— Miałem zamiar — Keogh nagle zrozumiał.

Mężczyzna wstał.

— Umarł wczoraj — zdołał wykrztusić — atak serca. Jutro ma być kremowany.

Ale teraz... — Otworzył drzwi i wybiegł do łazienki.

Harry zamknął osłabionego Banksa i wszedł do salonu. Zobaczył na własne oczy...

Jedno spojrzenie przekonało go, że w istocie był atak, ale jaki atak! Wrócił do Banksa, który ślaniał się przy zlewie w łazience.

— Wezwij policję, jeśli jesteś w stanie. Zadzwoni do biura Keenana. Zostanę z tobą i z nim... przez jakiś czas.

— Dzi...dzięki — powiedział mężczyzna nie unosząc głowy. — Przepraszam, nie mogę na razie...

— Rozumiem — odrzekł Harry.

— Zaraz wrócę do siebie, już mi trochę lepiej.

— W porządku.

Keogh wrócił do salonu. Ogarnął całość wzrokiem. Jego uwagę zwróciło stylowe, przewrócone krzesło. Jedna z nóg była wyrwana, a w niej tkwił nabity ząb! Resztę uzębienia zmarłego rozrzucano na podłodze. Usta zwłok były rozwarte jak czarna jama, w dziko wykrzywionym zamartwym grymasie. Po omacku znalazł krzesło wolne od szczątków ciała. Zamknął oczy, wyobraził sobie pokój przed zajściem. Sir Keenan w trumnie na dębowym stole, świece u głowy i nóg. I wtedy, gdy leżał w spokoju, ktoś go napadł!

— Dłaczego, Keenan? — zapytał.

— Nieeeee! Odejdź! — odpowiedź poruszyła Harry’ego. — Dragosani, ty potworze, odejdź, na Boga. Miej litość, człowieku!

— Dragosani? — zapytał w myślach Keogh. — Nie jestem Dragosani, Keenan. To ja, Harry Keogh.

— Co? — słowo było szeptem w jego jaźni. — Keogh? Dzięki Bogu! Dzięki Bogu, to ty, Harry!

— To był Dragosani? — Harry zacisnął zęby. — Czy on jest chory?

— Nie — żywo odciął Gormley. — On jest szalony, oczywiście. Jego talent jest...

okropny!

Nagle objawienie spłynęło na Keogha.

— Przyszedł do ciebie, gdy już umarłeś — westchnął. — Jest nekroskopem, tak jak ja.

— Nie, absolutnie nie — zaprzeczył Gormley. — Nie jak ty, Harry. My wszyscy tutaj rozmawiamy z tobą. Przynosisz ciepło i spokój. Jesteś jak miły sen, który powraca. Jesteś szansą, że coś po nas przetrwa, zostanie przekazane innym. Jesteś światłem w ciemności, Harry, a Dragosani...

— Kim on jest?

— To nekromanta, a to zupełnie inna rzecz.

Harry otworzył oczy, rozejrzał się po pokoju.

— Przecież to upiorne!

— Gorzej — głos Gormleya zadrżał. — On nie rozmawia, nie pyta. Sięga i bierze. Kradnie. Nic nie można przed nim ukryć. Znajduje odpowiedzi na swoje pytania we krwi, wnętrznościach, w samym szpiku kości. Umarli nie czują bólu, Harry. Ale gdy dobiega się do nas, czujemy ból. Czuję jego noże, jego ręce, rozdzierające paznokcie. Widziałem, co robi. To było piekło! Po minucie powiedziałbym wszystko, ale to nie jego metoda. On sięga prawdy, zapisanej w skórze, mięśniach, ścięgnach, w każdej komórce. Czyta w płynie mózgowym, w śluzie oczu, w martwych tkankach.

Harry poczuł się słabo. Kręciło mu się w głowie, był zdezorientowany, jakby to wszystko przytrafiło się komuś innemu.

— To nie stanie się już nigdy więcej. Trzeba go powstrzymać! — krzyknął w przerażeniu.

— O tak, trzeba go powstrzymać, Harry. Tym bardziej teraz. Rozumiesz, zabrał wszystko. Zna naszą siłę i nasze słabości, może użyć całej wiedzy. On i jego zwierzchnik, Borowic. Być może tylko ty potrafisz go powstrzymać!

Gdzieś z oddali słyszał jak Banks telefonuje z przedpokoju. Zostało mało czasu, a Gormley musi tak wiele jeszcze powiedzieć.

— Posłuchaj, Keenan. Muszę się spieszyć. Przyjdę do ciebie, gdy znajdę pokój w hotelu. Jeśli tu zostanę, policja będzie chciała ze mną rozmawiać. Znajdę cię, gdy...

— ...będę kremowany, tak? — Harry wyobraził sobie, jak Gormley kiwa głową ze zrozumieniem. — To miało się szybko odbyć, ale teraz prawdopodobnie opóźni się...

— Będę w kontakcie — uciał Harry. — Nadal niewiele wiem o organizacji, o nich...

— Znasz Batu? — Gormley nie ukrywał obawy. — tego Mongoła?

— Wiem, że to jeden z nich, nic poza tym...

— Ma Złe Oko, może zabić samym spojrzeniem. To on spowodował mój atak serca. Maks Batu zabił mnie. Moc jego oka pali jak kwas, wyżera mózg, serce. Zabił mnie...

— Więc i z nim się policzę — powiedział z determinacją Harry.

— Bądź ostrożny, Harry.

— Będę.

— Myślę, że rozwiązanie jest w tobie, mój chłopcze, i Bóg jeden wie, jak mocno modłę się, byś je znalazł. Dam ci jeszcze ostrzeżenie: kiedy Dragosani przyszedł do mnie, poczułem w nim coś odmiennego. To nie była jego nekromancja, Harry. W tym człowieku jest zło, pierwotne zło. Gdy on pozostaje na wolności, nic ani nikt nie jest bezpieczny. Nawet ludzie, którzy myślą, że go kontrolują.

Harry pokiwał głową.

— Będę na niego uważał — powiedział. — Znajdę rozwiązanie, Keenan, wszystkie odpowiedzi. Z twoją pomocą, ile tylko będziesz mógł jej użyć.

— Myślałem i o tym, Harry. Wiesz, to jeszcze nie koniec, to nie ja... To, co tu widziałeś było mną, to byłem ja. Niemowlę urodzone w Afryce Południowej, młody chłopak wstępujący do Armii Brytyjskiej w wieku siedemnastu lat, szef sekcji E przez ponad trzynaście lat — to wszystko ja. Wszystko minęło, ale ja nadal tu jestem, gdzieś tu...

— Wierzę — powiedział Harry. Otworzył drzwi i powstał, unikając wzrokiem pokoju.

— Znajdź zatem hotel — prosił Gormley — i wróć do mnie, kiedy tylko będziesz mógł. Im szybciej, tym lepiej. A potem... to znaczy, gdy będzie już po wszystkim, jeśli to w ogóle się skończy...

— Co takiego?

— Byłoby miło, gdybyś odwiedzał mnie od czasu do czasu. Rozumiesz, o ile się nie mylę, jesteś jedynym, który jest w stanie rozmawiać z umarłymi. Zawsze przyjmę cię z radością...

W godzinę potem Harry zamknął się w pokoju taniego hotelu, ponownie skontaktował się z Gormleyem. Jak zwykle kiedy miał za sobą uprzednie spotkanie, było to łatwe. Były szef sekcji E czekał na niego, rozważał co przekazać, porządkował informacje. Zaczęli od sekcji E i ludzi, którzy w niej pracowali. Gormley wytłumaczył, dlaczego na tym etapie nie powinien spotykać się z pierwszym zastępcą i w ogóle nie próbował wejść do organizacji.

— To pochłonie zbyt wiele czasu — wyjaśnił Gormley — skorzystałbyś na tym, to prawda. Po pierwsze, otrzymałbyś fundusze na swoje poczynania, na każdy konieczny wydatek. Miałbyś ochronę i oczywiście zadbano by o twój talent, szcze-

gólnie teraz, gdy odszedłem. Ale kiedy wyda się, że ktoś grzebał przy moich zwłokach...

— Myślisz, że będą mnie podejrzewać?

— Co? Nekroskopa? Oczywiście, że tak. Mam twoje akta, ale ogólnikowe, nieprzekonywujące, niekompletne. Jestem jedynym, który mógłby za ciebie poręczyć. Zanim wszystko by wyjaśniono, tamci poszliby za daleko do przodu. Czas to pieniądz, Harry, nie możemy zmarnować ani chwili. Proponuję takie rozwiązanie: nie będziesz próbował wejść do sekcji E od zaraz, będziesz działał w pojedynkę. Tylko Dragosani i Batu wiedzą o tobie cokolwiek. Problem polega na tym, że Dragosani wie o tobie wszystko. Skradł to ze mnie. Musimy sobie zadać pytanie: dlaczego Borowic przysłał tych ludzi? Dlaczego teraz? Do czego zmierza? Może tylko zapuszcza swoje macki. Owszem, miał przedtem swoich agentów, byli to jednak zwykli wywiadowcy. Wrogowie — szukali informacji, ale nie zabijali. Dlaczego Borowic zdecydował się na otwarty konflikt, zakończył zimną wojnę ESP?

Harry opowiedział o Szukszinie, podsumował to, co dotychczas wiedział.

Gormley zdziwił się.

— Rzeczywiście, wychodzi na to, że pracowałeś dla nas od dawna. Szkoda, że nie wiedziałem tego, gdy spotkałem się z tobą pierwszy raz. Moglibyśmy zacząć wcześniej działać. Szukszin był ważny dla ciebie, Harry, ale w rzeczywistości był płotką. Mogliśmy go nawet wykorzystać...

— Chciałem go dla siebie — powiedział zjadliwie Harry. — Chciałem go wykończyć. Nie wiedziałem zresztą, że jest jakieś powiązanie. Dowiedziałem się, gdy go zabiłem. Ale to już skończone, przejdźmy dalej. Więc... chcesz, bym działał w pojedynkę. Jest pewien problem: widzisz, nie mam zielonego pojęcia jak być agentem. Wiem, co mam zrobić: zabić Dragosaniego, Batu i Borowica. To mój cel, ale nie domyślałem się nawet, jak go osiągnąć.

Gormley zrozumiał wątpliwości Keogha.

— Tu jest właśnie różnica między wywiadem konwencjonalnym, a wywiadem ESP. Wiadomo, co to wywiad: płaszczki z postawionymi kołnierzykami i pistolety, toporne zbiry, brygady od mokrej roboty — cały ten kram. Ale nikt naprawdę nie wie, co to jest wywiad ESP. Robisz to, co podpowiada ci twój talent, znajdujesz najlepszy sposób na jego wykorzystanie. To wszystko, co każdy z nas może zrobić. Dla wielu z nas to proste: nie mamy wielkiego talentu, nie możemy go rozwijać. Na przykład ja — wyczuję espera na milę, ale to wszystko, nic więcej. Jednak w twoim przypadku...

Harry był przerażony. Zadanie wielkie, niemożliwe do wykonania. Był tylko człowiekiem, jedynym umysłem z jednym ledwo wykształconym talentem. Cóż zatem może zdziałać?

Gormley podchwycił jego myśl.

— Nie słuchasz, Harry. Powiedziałem, że należy dobrać najlepszą drogę wykorzystania swojego talentu. Do tej pory nie robiłeś tego. Spójrzmy prawdzie w oczy: co osiągnąłeś?

— Rozmawiałem ze zmarłymi — rzucił Harry. — To właśnie robię, jestem nekroscopem.

— Słuchaj, napisałeś opowiadania, których nie mógł dokończyć zmarły pisarz. Poznałeś wzory, do których matematyk nie miał czasu dojść za życia. Martwi nauczycieli cię prowadzić samochód, mówić po rosyjsku i niemiecku, rozwinęli twoje możliwości pływackie, zdolność samoobrony i kilka innych rzeczy. Uważasz, że nauczyłeś się czegoś?

— Niczego! — odparł Harry po chwili zastanowienia.

— Racja, niczego. Bo rozmawiałeś z nieodpowiednimi ludźmi. Pozwalałeś, aby twój talent ciebie prowadził, zamiast sam nim kierować. Wiem, że może to złe porównanie, ale jesteś jak hipnotyzer, który może tylko siebie zahipnotyzować, jak jasnowidz, który na następny dzień przepowiada swoją śmierć. Masz niebywałą talent, ale nie osiągasz niczego. Problem w tym, że jesteś samoukiem. Jesteś ignorantem. Opychasz się wszystkim, a niczym się nie delektujesz. Nie wiesz, co dobre, mylą cię pozory. O ile wiem, miałeś te możliwości od dziecka, ale twój umysł prze-gapił szansę. Teraz jesteś już dorosły i powinieneś być świadom swoich możliwości. Masz talent — musisz nauczyć się jak najlepiej go wykorzystać. To wszystko.

Harry zdawał sobie sprawę, że to, co mówi Gormley, jest prawdziwe.

— Od czego powinienem zacząć? — zapytał rozpaczliwie.

— Może mam dla ciebie klucz — Gormley starał się nie okazywać zbyt dużego optymizmu. — To rezultat gry ESP, w którą zwykłem bawić się z Kyle'em, moim zastępcą. Nie mówiłem o tym przedtem, bo może nic w tym nie ma, ale skoro mamy zacząć...

— Dalej — powiedział Harry.

W umyśle Keogha Gormley nakreślił pewien schemat:



— Co to jest, do cholery? — zakłopotał się Harry.

— To wstęga Möbiusa — powiedział Gormley nazwana tak od nazwiska odkrywcy, Augusta Ferdynanda Möbiusa, niemieckiego matematyka. Weź pasek papieru i obróć do połowy, połącz końce. Wstęga redukuje powierzchnię dwuwymiarową do jednowymiarowej. Stąd wiele następstw... tak mi powiedziano. Nie

wiedziałem, bo nie jestem matematykiem.

Harry był nadal zmieszany, nie z powodu zasady, ale jej konsekwencji.

— I to ma coś wspólnego ze mną?

— Z twoją przyszłością, możliwe, że z twoją najbliższą przyszłością. — Gormley umyślnie mówił niejasno. — Powiedziałem, że może nic w tym nie ma. Dobrze, wyjaśnić ci, co się zdarzyło. — Opowiedział Harry'emu o grze słownych skojarzeń. — Zacząłem od twojego imienia, Harry Keogh. Kyle odpowiedział: „Möbius”, zapytałem: „Matematyka?”, odpowiedział: „Czasoprzestrzeń”.

— Czasoprzestrzeń? — Harry zainteresował się. — To może pasować do tej wstęgi Möbiusa. Wydaje mi się, że pasek to tylko model. Czas i przestrzeń są nierozdzielnie powiązane,

— Hmm? — Harry wyobraził sobie zdziwioną twarz Gormleya — Czy sam tak pomyślałeś czy może... ktoś ci pomaga?

To podsunęło Harry'emu pewien pomysł.

— Poczekaj — powiedział — nie znam tego Möbiusa, ale znam dobrze kogoś innego. — Połączył się z Jamsem Gordonem Hannantem z cmentarza w Harden, pokazał mu wstęgę.

— Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc — myśli Hannanta były jak zawsze dokładne — poszedłem w zupełnie innym kierunku. Nie zajmowałem się krzywymi, to znaczy, moja matematyka była... jest bardzo praktyczna. Odmienna, ale praktyczna. Wiesz przecież o tym. Jeśli można to zrobić na papierze, to poradzę sobie. Jestem wzrokowcem, można powiedzieć, bardziej niż Möbius. Jego przemyślenia, a miał ich wiele, były abstrakcyjne i teoretyczne. Gdyby Möbius mógł pracować z Einsteinem, doszliby...

— Pozostanę przy wstędze — odrzekł Harry z poczuciem beznadziejności w głosie. — Możesz coś zasugerować?

Hannant wyczuł, że sprawa jest bardzo pilna, zastanowił się.

— Czy nie widzisz odpowiedzi, Harry? Dlaczego nie zapytasz samego Möbiusa? Tylko ty potrafisz to zrobić?

Harry nagle ożywił się, wrócił do Gormleya.

— No dobrze — powiedział — przynajmniej mam jakiś punkt zaczepienia. Co jeszcze wyniknęło z tej gry skojarzeniowej z Kyle'em?

— Kiedy odpowiedział „czasoprzestrzeń”, spróbowałem z nekroskopem — kontynuował Gormley — natychmiast odparł: „nekromanta”.

— Wygląda na to, że również dobrze przewidział twoją jak i moją przyszłość — stwierdził Harry.

— Chyba tak — odparł Gormley — ale wtedy powiedział coś jeszcze, co zastanawia mnie do tej pory. Załóżmy, że wszystko do tej pory jest ze sobą jakoś powią-

zane, ale co do diabła robi w tym zestawieniu „wampir”, co?

Ciarki przebiegły Harry’emu po plecach.

— Keenan, zostawmy to na razie, wróć jak najszybciej. Teraz muszę załatwić dwie sprawy. Muszę zadzwonić do żony, znaleźć bibliotekę, trzeba coś zbadać. Muszę też pojechać na spotkanie z Möbiusem, zamówię lot do Niemiec. Poza tym jestem głodny i... chcę wszystko przemyśleć. Sam.

— Rozumiem, Harry. Będę czekał i wtedy zaczniemy na nowo. Zatrósz się teraz o swoje potrzeby, muszą być z pewnością większe niż moje. Ruszaj synu, opiekuj się żywymi, umarli mają mnóstwo czasu.

— Jeszcze... — dodał Harry — jest ktoś inny, z kim chcę porozmawiać... ale to na razie tajemnica.

Gormley nagle zmartwił się.

— Nie rób nic pośpiesznie, Harry. To znaczy...

— Powiedziałeś, że mam działać w pojedynkę, swoimi metodami — przypomniał Keogh.

— Racja, synu. Miejmy nadzieję, że wszystko ci się uda.

Harry nie widział innej możliwości.

Tego samego wieczoru, w ambasadzie radzieckiej w Londynie, Dragosani i Batu skończyli pakowanie, czekali na poranny samolot. Borys jeszcze nie zaczął pisać raportu, to miejsce zupełnie się do tego nie nadawało.

Zajmowali sąsiednie pokoje połączone rozsuwanymi drzwiami, z tylko jednym telefonem w apartamencie Batu. Nekromanta wyciągnął się na łóżku, zapadł się w swoich dziwnych, ciemnych myślach. Telefon zadzwonił w pokoju Batu. Za chwilę mały, przysadzisty Mongoł zapukał do drzwi.

— Do ciebie — jego głos dochodził zza poplamionej, wyblakłej dębowej boazerii. — Centrala, ktoś z zewnątrz.

Dragosani powstał, wszedł do drugiego pokoju. Mongoł siedział na łóżku i szczyrzył zęby.

— Towarzyszu, macie przyjaciół w Londynie? Ktoś widocznie was zna.

Borys rzucił mu groźne spojrzenie, pochwycił za słuchawkę.

— Centrala? Tu Dragosani. O co chodzi?

— Rozmowa z zewnątrz, towarzyszu — odpowiedział zimny, matowy głos.

— Wątpię. To pomyłka. Nikogo tu nie znam.

— Mówi, że będziecie z nim rozmawiać — odpowiedziała telefonistka. — Nazywa się Harry Keogh.

— Keogh? — Dragosani spojrział na Batu, uniósł brwi. — A tak. Tak, znam go, połączcie mnie.

— Dobrze, pamiętajcie, towarzyszu — rozmowa jest kontrolowana. — W słuchawce odezwał się sygnał, a potem...

— Dragosani, to ty? — to był młody, ale bardzo twardy głos. Nie pasował do bladej, wychudzonej twarzy, jaką Borys pamiętał z wyprawy na brzeg skutej lodem rzeki w Szkocji.

— Tu Dragosani. Czego chcesz, Keogh?

— Chcę ciebie, nekromanto — odparł zimny, nieugięty głos. — Dopadnę ciebie.

Wargi Dragosaniego uniosły się, w cichym uśmiechu, ukazując zęby ostre jak igły.

— Nie wiem kim jesteś — syknął — ale niewątpliwie jesteś szaleńcem. Albo odłożysz słuchawkę, albo wytłumaczysz...

— Niczego nie będę tłumaczył, „towarzyszu” — powiedział bardziej twardo Keogh. — Wiem co zrobiłeś z Keenanem Gormleyem. Był moim przyjacielem. Oko za oko, ząb za ząb. To moja zasada, jak już pewnie zdążyłeś zauważyć. Jesteś martwy.

— Tak? — zaśmiał się Dragosani — już nie żyję, tak? A ty także obcujesz ze zmarłymi, prawda, Harry?

— To, co widziałeś na rzece, to drobiazg, towarzyszu — powiedział lodowatym tonem Keogh. — Nie wiesz wszystkiego, nawet Gormley nie wiedział.

— Błef, Harry! Widziałem, co potrafisz i kpię sobie z tego. Śmierć jest moim przyjacielem, powie mi wszystko.

— Dobrze, porozmawiasz sobie z nią sam na sam. Już wkrótce. Więc wiesz, co potrafię, czy tak? Teraz wiedz: następnym razem będę to robił z tobą.

— To wyzwanie, Harry? — Dragosani zniżył głos, zabrzmiała w nim groźba.

— Wyzwanie — powiedział Harry. — Zwycięzca bierze wszystko.

Krew Wołocha zawrzała w Dragosanim, ożywił się.

— Gdzie? Jestem poza twoim zasięgiem, jutro będzie nas dzielić pół świata.

— Wiem, że uciekasz — powiedział Harry pogardliwie. — Odnajdę cię wkrótce. Ciebie, Batu i Borowica.

— Może się spotkamy Harry, ale gdzie, jak? — syknął Borys.

— Dowiesz się, jak przyjdzie pora. Wiedz teraz jedno: to będzie dla ciebie straszne, bardziej potworne niż śmierć Gormleya.

Chłód głosu Keogha nagle zmroził żyły Dragosaniego, z trudem otrząsnął się, zebrał w sobie.

— Dobrze. Kiedykolwiek i gdziekolwiek. Czekam na ciebie.

— Zwycięzca bierze wszystko — powtórzył głos na linii.

Połączenie zostało przerwane. Jeszcze przez długą chwilę Dragosani patrzył

w słuchawkę w swej dłoni, zanim rzucił ją na widełki aparatu.

— Wygram z pewnością — powiedział chrapliwie. — Zabiorę ci wszystko, Harry Keogh!

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Dragosani wrócił na Zamek Bronnicy popołudniem następnego dnia. Borowic był nieobecny. Nekromanta otrzymał informację, że Natasza Borowic umarła dwa dni wcześniej. Grigorij opłakiwał ją w swojej wili, czuwał przy zwłokach już dzień czy dwa. Nie było go dla nikogo. Mimo to Dragosani zadzwonił.

— Borys? — głos starego generała był miękki i pusty. — Więc wróciłeś.

— Tak mi przykro — powiedział nekromanta zgodnie ze zwyczajem, którego nie rozumiał. — Myślałem, że zechcesz wiedzieć. Wypełniłem misję. Więcej — Szukszin nie żyje. Gormley też, wiem wszystko.

— Dobrze — odezwał się słabo Borowic — nie mówmy teraz o śmierci, Borys. Nie teraz. Wrócę w przyszłym tygodniu. Potem... to potrwa zanim dojdę do siebie. Kochałem tę kłótniwą, starą dziwkę. Miała guza, powiedzieli, w głowie. Nagle zaczął rosnąć. Miała lekką śmierć — na szczęście. Brakuje mi jej, nie wiedziała, co z nią jest.

— Przykro mi — powtórzył Dragosani
Borowic ożywił się na chwilę.

— Weź wolne — powiedział — przygotuj raport, w ciągu tygodnia czy dziesięciu dni. Dobry raport!

Dragosani ścisnął mocniej słuchawkę.

— Przyda mi się wolne — powiedział — odwiedzę starego przyjaciela. Mogę wziąć ze sobą Maksa Batu?

— Tak, tak, tylko zostaw mnie już w spokoju. Do widzenia, Borys.

Nekromanta nie lubił Batu, ale miał dla niego zadanie. Swoją drogą, Mongoł był znośnym towarzyszem podróży; mówił mało, trzymał się własnych myśli, miał skromne potrzeby. Przepadał za śliwowicą, ale to nie stanowiło problemu. Ten mały Azjata mógł pić, dopóki wódka nie wylewała mu się uszami i ciągle był trzeźwy.

Był środek rosyjskiej zimy, ogromne zaspasniegu, pojechali więc pociągiem. Po

długiej podróży dotarli w ciągu półtora dnia do miejscowości Gałacz. Tam Dragosani wynajął samochód z łańcuchami na oponach. Odzyskał niezależność, którą tak uwielbiał. W końcu, wieczorem drugiego dnia wyprawy, gdy już wynajęli pokoje w małej wiosce niedaleko Waleni, Nekromanta znużył się milczeniem Batu.

— Maks, nie dziwisz się, co tu robimy? Nie interesuje cię, dlaczego tu jesteś? — zapytał.

— Nie, raczej nie — odpowiedział Mongoł. — Przypuszczam, że dowiem się, kiedy mi powiesz. Może towarzysz generał wyszuka dla mnie więcej zadań w dalekich stronach.

Borys pomyślał: „Nie, Maks, nie dostaniesz już żadnych zadań — chyba, że ode mnie”. A głośno powiedział:

— Może — powiedział głośno.

Ledwo zdążyli zjeść, zapadła noc. Wtedy po raz pierwszy Dragosani zasugerował chęć poważnej rozmowy.

— Mamy dziś ładną noc Maks. Gwiazdy świecą żadnej chmury na niebie. To dobrze, pojedziemy na przejażdżkę, muszę z tobą porozmawiać.

W drodze na krzyżowe wzgórze zatrzymali się przy polu. Owce tłoczyły się w miejscu, w którym wyłożono świeże siano. Leżała cienka warstwa śniegu, ale temperatura była znośna. Dragosani zatrzymał samochód.

— Mój przyjaciel będzie spragniony — wyjaśnił. — Nie przepada za śliwownicą. Myślę, że byłoby nie w porządku nie zabrać czegoś do picia i dla niego.

Wyszli z pojazdu, Borys wkroczył na pole, rozpędzając owce.

— Tam Maks — wskazał na jedno ze zwierząt, które odłączyło się od stada i znalazło się najbliżej Mongoła. — Nie zabijaj. Ogłusz, jeśli potrafisz.

Maks pochylił się, twarz wykrzywiła się, gdy wzrok spoczął na upatrzonej ofierze. Dragosani odwrócił się, kiedy młode jagnię zabeczało przeraźliwie i padło bezwładnie.

Wspólnymi siłami zanieśli jagnię do bagażnika, odjechali.

— Wasz przyjaciel musi mieć dziwny apetyt, towarzyszu — odezwał się po chwili Batu.

— I ma, zgadłeś Maks. — Dragosani opowiedział Mongołowi całą historię.

Batu zamyślił się na kilka minut.

— Towarzyszu Dragosani. Wiem, że jesteście dziwnym człowiekiem, obaj jesteście dziwnymi ludźmi, ale teraz prawie uważam, że jesteście obłąkami.

Nekromanta zawył jak pies, opanował śmiech.

— To znaczy, że ty nie wierzysz w wampiry, Maks?

— Wierzę, wierzę — odpowiedział — skoro tak mówicie. Nie uważam was za szaleńca, dlatego, że wierzycie, ale dlatego, że chcecie wydostać tego stworza na po-

wierzchnię.

— Zobaczymy, co będzie — odrzekł Borys bardziej trzeźwo. — I jeszcze jedno, Maks: cokolwiek usłyszysz czy zobaczysz — nieważne, co się stanie, nie możesz przeszkadzać. Nie chcę, aby mój przyjaciel wiedział o twojej obecności. Przy najmniej tym razem — rozumiesz, co mówię? Nie mieszaj się, masz być cicho, zapomnij, że w ogóle istniejesz.

— Jak chcesz — zgodził się Mongoł — ale on przecież czyta w twoich myślach. Może już wie, że jestem z tobą.

— Nie — odparował Dragosani. — Czuję, gdy się zbliża do mnie. Wiem jak go nie dopuścić. I tak będzie bardzo słaby, nie będzie w stanie walczyć ze mną, nawet na słowa. Nie, Tibor Ferenczy nie ma pojęcia, że przyjechałem, ucieszy się, gdy przemówię do niego; nawet nie pomyśli o zdradzie.

— Skoro tak mówisz — zgodził się Batu.

— Słuchaj — rzucił Borys — powiedziałaś, że jestem obłąkany. Wręcz przeciwnie, Maks. Wiedz, że ten wampir zna sekrety nieumarłych — chcę mu je wydrzeć. Tak czy inaczej muszę je poznać! Szczególnie teraz, gdy nadchodzi moment spotkania z Keoghem. Dotychczas Tibor mnie denerwował, tym razem będzie inaczej. Skoro muszę go odkopać, by wydostać sekrety... niech tak się stanie!

— A wiesz jak go wykopać?

— Nie, jeszcze nie. On mi powie Maks, jestem pewny...

Przybyli na miejsce. Dragosani zaparkował samochód na poboczu, pod osłoną zwisających gałęzi drzew. W zimnym świetle gwiazd posuwali się mozolnie w górę przerośniętej przecinki, wymieniając się ciężarem bezwładnej owcy.

Gdy już zbliżali się do tajemnego miejsca, Borys wziął zwierzę na ramię.

— Maks, ty zostaniesz tutaj. — szepnął — Możesz podejść bliżej, obserwować, ale pamiętaj — nie mieszaj się!

Mongoł przytaknął, podszedł jeszcze kilka kroków, przykucnął i owinał się płaszczem. Dragosani, samotnie, pomiędzy drzewami, podszedł do grobu Potwora.

Zatrzymał się na krawędzi kręgu, dalej niż podczas ostatniej wizyty.

— I jak, Stary Smoku? — powiedział ściszym głosem, drżące, na poły zabite jagnię upadło na twardy grunt pod jego stopami. — Jak leci, Tiborze Ferenczy, ty, który uczyniłeś mnie wampirem. — Mówił tak cicho, że Maks Batu nie mógł słyszeć. Zawsze wolał mówić, niż prowadzić w myśli rozmowę z wampirem.

— Ach — pojawił się syk w jego głowie, westchnienie przebudzenia z najgłębszego snu. — A to ty, Dragosani. Domyśliłeś się, co?

— To nie była trudna zagadka, Tibor. Kwestia miesięcy. Zmieniłem się. Nie jestem już całkiem człowiekiem.

— Nie oszalałeś, Dragosani? Nie złościsz się? Wydaje mi się, że przychodzisz w pokorze — dlaczego?

— Dziwisz się. Wiesz dobrze dlaczego, Stary Smoku. Chcę się tego pozbyć!

— Nie (wyobraził sobie jak bestia zaprzecza ruchem głowy) — niestety, to zupełnie niemożliwe. Ty i ja to jedno, Dragosani. Czyż nie nazywałem cię moim synem na samym początku? To przecież pasuje — mój prawdziwy syn rośnie w tobie. — Zaśmiał się w myślach Dragosaniego.

Nekromanta nie mógł sobie pozwolić na gniew. Nie teraz.

— Syn? — naciskał — to co wpuściłeś we mnie? Syn? Znowu kłamstwo, Stary Diable. Kto mi mówił, że wasz gatunek nie ma płci?

— Nigdy nie słuchasz uważnie, Borys — westchnął Tibor. — Ty, jako jego żywiciel określiłeś płć. Gdy urośnie stanie się w pełni częścią ciebie, a ty upodobnisz się do niego. W końcu, będziecie jednym stworzeniem, jedną istotą.

— A co z mózgiem?

— Twój mózg pozostanie — subtelnie zmieniony. Twój mózg i twoje ciało pozostanie, tyle tylko, że trochę się zmienisz. Twój apetyt... zaostrzy się, twoje pragnienia odmieniają się. Posłuchaj, gdy byłeś człowiekiem twoje żądze, pasje, gniew, były ograniczone ludzką siłą, ludzkimi możliwościami. Ale jako jeden z wampirów... Czemu miałyby służyć taka wielka moc wampira w tobie? Miałyby sterować workiem mięsa i kruchych kości?

Tego oczekiwał Dragosani w odpowiedzi. Przed podjęciem ostatecznej, może nieodwołalnej decyzji, spróbował po raz ostatni zagrozić.

— Więc odejdę i oddam się w ręce lekarzy. Różnią się od lekarzy z twoich czasów, Tibor. Powiem, że wampir rośnie we mnie, wykryją obce ciało, wytną. Mają narzędzia, o jakich ci się nie śniło. Otworzą, dostaną, przestudiują, odkryją prawdę. Będą chcieli wiedzieć, jak i dlaczego. A ja im opowiem o wampirach. Będą się śmiać, uznają za szaleńca, ale nie znajdą innego wytłumaczenia. Przeprowadzę ich tutaj, pokażę tajemne miejsce. I to będzie koniec! Koniec ciebie, koniec twojego „syna”, koniec legendy. Kimkolwiek są wampiry — ludzie zniszczą ich wszystkich...

— Dobrze powiedziane, Borysie — odrzekł ironicznie Tibor — brawo!

Dragosani poczekał chwilę.

— To wszystko, co masz do powiedzenia.

— Tak, nie rozmawiam z głupcami.

— Wytłumacz się.

Głos w jaźni Dragosaniego stał się niezmiernie zimny i zły. Potwór starał się zapanować nad sobą, ale i tak mówił przerażającym tonem.

— Jesteś pustym, egoistycznym, głupim człowieczkiem, Borysie Dragosani. Za-

wsze tylko: „powiedz mi to”, „powiedz mi tamto”, „wyjaśnij”. Byłem potęgą na ziemi na wieki przed twoim poczęciem, a ty nawet nie urodziłbyś się bez mojego udziału! Teraz spoczywam tu i pozwalam się wykorzystywać. Ale to się skończy. Dobrze, wytłumaczę ci, skoro żądasz — ostatni raz. Potem... będziemy inaczej rozmawiać i dobijemy targu. Męczy mnie przebywanie tutaj w bezwładzie, Dragosani. Wiesz dobrze, że masz siłę, żeby mnie stąd wyciągnąć. To jedyny powód mojej ustępliwości wobec ciebie! Ale i ona się kończy. Najpierw zajmijmy się twoim położeniem.

Mówisz, że oddasz się w ręce lekarzy. Owszem, myślę, że można już odkryć w tobie wampira, istnieje — fizycznie, namacalnie. Prawdziwy organizm żyjący z tobą w symbiozie. Sam nauczyłeś mnie tego słowa. Chcesz go wyciąć? Wypędzić? Może twoi lekarze są dobrzy, ale czy potrafią wyciąć wampira z poszczególnych zwojów mózgu, z rdzenia kręgosłupa? Z brzucha? Z serca? Czy mogą wyrwać go z krwi? Nawet gdybyś był na tyle głupi zezwalając im na pierwszy ruch, wampir pierwszy zabiłby ciebie. Poraziłby twój kręgosłup, wstrzyknął jad do mózgu. Z pewnością zrozumiałeś już istotę naszej spoistości. Myślisz, że sztuka przeżycia to tylko ludzka cecha? Sztuka przeżycia! Nawet nie wiesz, co znaczą te słowa!

Dragosani milczał.

— Złożyliśmy obietnice, ty i ja — ciągnął Diabeł. — Ja dotrzymałem przyrzeczenia. A ty? Czy to nie pora zapłaty, Borys?

— Przyrzeczenia? — nekromanta był zaskoczony. — Żartujesz sobie, jakie przyrzeczenie?

— Zapomniałeś? Chciałeś poznać sekrety wampirów. Proszę bardzo — są twoje. Stałeś się jednym z nas. Wampir rośnie w tobie, z nim przyjdzie wiedza, nauczysz się wszystkiego.

— Co? — Dragosani był przerażony — Złożenie we mnie jaja wampira — to była obietnica? Co za pieprzona obietnica! Chciałem wiedzy, chcę jej teraz, Tibor. Nie chcę gnąć jak owoc drażony przez pasożyta, robaka!

— Pogardzasz moim jajem? Każdy z wampirów może rozmnożyć się tylko raz, przekazać jedno życie — ja dałem tobie moje...

— Nie graj urażonego ojca, Tiborze Ferency — szalał Dragosani — nawet nie staraj się udawać, że zraniłem twoją dumę. Chcę pozbyć się tego bękarta. Mówisz, że troszczysz się o swoje nasienie. Przecież wiem, jak wy wampiry nienawidzicie się nawzajem. Bardziej niż nienawidzą was ludzie.

Potwór zdał sobie sprawę, że Borys przejrzał jego intencje.

— Dobre argumenty, dobra dyskusja — powiedział chłodno.

— Pieprzę dyskusję. Chcę się tego pozbyć — wrzasnął nekromanta. — Powiedz jak... a ja uwolnię ciebie.

— Nie możesz tego zrobić. Twoi lekarze też. Tylko ja mogę usunąć mojego syna z ciebie.

— Więc zrób to!

— Co? Niemożliwe! Uwolnij mnie... a uczynię to. Teraz Dragosani miał czas na rozważenie propozycji wampira, przynajmniej na udanie zastanowienia.

— Dobrze, jak mam to zrobić?

Tibor ożywił się.

— Po pierwsze: czy robisz to z własnej woli?

— Wiesz, że nie — odrzekł Borys z pogardą. — Chcę się pozbyć tego robaka.

— Ale czy z własnej woli? — naciskał Tibor.

— Cholera, tak!

— Dobrze. Tu w ziemi są łańcuchy. Związali mnie, ale kajdany poluźniły się, gdy ciało przegniło. Rozumiesz, Dragosani, są chemiczne substancje, których wampiry nie mogą znieść. Srebro i żelazo we właściwych proporcjach paralizują nas. Większość żelaza pokryła się rdzą, ale pozostała w ziemi. Podobnie srebro. Na początek — wyciągnij srebrne łańcuchy.

— Nie mam narzędzi. Chcesz, bym grzebał w brudzie moimi rękoma? Jak głęboko?

— Wcale nie głęboko. Płytko. Przez wieki wypychałem srebrne łańcuchy ku powierzchni. Miałem nadzieję, że ktoś je znajdzie i zabierze jako skarb. Czy srebro dalej jest w cenie?

— Jak nigdy przedtem.

— Więc weź je z moim błogosławieństwem. Podejdź i kop.

— Ale... ale z drugiej strony nie wszystko zostało ustalone — jak długo to potrwa? Cały proces? Co jeszcze będę musiał zrobić? — zapytał Borys.

— Zaczniemy dzisiaj, skończymy jutro.

— To znaczy, że nie można wyciągnąć cię z ziemi natychmiast? — Dragosani starał się nie okazywać uczucia ulgi.

— Nie można, jestem za słaby. Czuję, że masz dla mnie dar. To dobrze. Nabiorę trochę sił z twojej daniny... a kiedy wyciągniesz łańcuchy...

— Dobrze — uciął nekromanta. — Gdzie mam kopać?

— Podejdź bliżej, mój synu. Podejdź do samego środka. Tutaj! Tutaj! Teraz możesz kopać...

Ciarki przeszły po plecach nekromanty. Przykucnął i zaczął rozdrapywać palcami warstwę zbutwiałych liści. Zimny pot wstąpił na jego czoło — nie od wysiłku. Pamiętał, co wydarzyło się, gdy był tu ostatnim razem. Wampir poczuł napięcie w jego mózgu i zaśmiał się ponuro.

— Co, boisz się mnie, Dragosani? A tak się przechwalałeś. Taka odważna mło-

da krew, a tu stary Tibor Ferency, biedny, nieumarły stwór w ziemi. Wstydz się, mój synu!

Borys zerwał wierzchnią warstwę gleby, odsunął na bok, dokopał się na pięć, sześć cali. Sięgnął głębiej do zamrożonej ziemi. Kiedy raz jeszcze zanurzył palce w dziwnie żywej ziemi, dotknął czegoś — chłodnego i gładkiego. Ruszył energiczniej i odsłonił pierwsze ogniwa solidnego łańcucha — były długie na dwa cale, grube na pół cala.

— Ile... ile tego tu jest? — wysapał.

— Wystarczająco dużo, żeby mnie tu trzymać — padła odpowiedź. — Do dziś!

Słowa Wampira, proste i spontaniczne, zawierały groźbę, która zjeżyła włosy Dragosaniemu. Głos Tibora bulgotał niczym gotująca się smoła, był pełen zła. Nekromanta, uważał siebie za potwora, ale w obliczu Starego Diabła czuł się niewinny jak niemowlę.

Złapał za srebrne ogniwa, powstał natężając się. Zdziwił się, że wyciąga łańcuchy z taką łatwością, które rozdzierały strupy gleby, warstwę zgniłych liści. Wstrząsnął korzeniami drzew, które rosły przez tyle lat na tajemnym miejscu. Trzy razy powracał, odciągając skarb na kraj kręgu, z dala od korzeni, zniszczonej płyty i rozzerwanej ziemi. Dragosani przepuszczał, że musiało być tu dobre dwieście, trzysta kilogramów kruszcu. Na zachodzie byłby bogaczem, ale w Moskwie... najmniejsza próba skorzystania z majątku skończyłaby się wyrokiem przynajmniej dziesięciu lat pracy w syberyjskich kopalniach soli. Prawo ZSRR nazwałoby ten przypadek kradzieżą, a nie znalezieniem skarbu.

Z drugiej strony, coś znaczył dla niego ten kruszec. Nie mógł się nim cieszyć jak zwykły człowiek. Wkrótce będzie się rozkoszował, kiedy wszyscy ludzie, zaczną pełzać u jego stóp, a przywódcy wszystkich państw będą składać hołd na dworze wielkiego supermocarstwa — Wołoszczyzny. Takie były myśli Borysa, gdy wyciągnął ostatnie łańcuchy. Wyprostował się i oddychał ciężko. Patrzył w ciemność, na rozwarstwoną, rozdartą ziemię.

Zaśmiał się, gdy przypomniał sobie, jak do niedawna trudno było mu dojrzeć cokolwiek w mroku, nawet kocimi oczyma. A teraz, było jasno jak w dzień! Kolejny dowód, że wampir zagnieździł się na dobre, tuczył się w jego ciele. Nekromanta wiedział, że obietnica wyrwania nasienia dana przez Tibora, nie jest warta garści gleby z jego grobu. Skoro musi żyć z tą pijawką — trudno, niech i tak będzie. Ale to on miał zamiar zostać jego panem.

Skończył pracę, srebrne łańcuch leżały dookoła.

— Masz — powiedział. — Skończone. Nic cię już nie trzyma Tiborze Ferency.

— Nieźle się spisałeś, Dragosani. Jestem zadowolony. Teraz muszę się pożywić i odpocząć. To nie takie łatwe powrócić z grobu. Proszę o twoją daninę. Wierzę, że

zostawisz mnie teraz, bym mógł się nią nacieszyć w spokoju. Jutro będę jej też potrzebował, zanim powstanę. Wtedy i tylko wtedy będziesz wolny...

Borys kopnął jagnię, zwierzę ożywiło się. Chwytał drżącą owcę pomiędzy nogi. Błyszczące ostrze przesunęło się gładko po przedniej części szyi, zniknęło w niej. Pierwszy bryzg krwi trysnął na ciemną, niepoświęconą ziemię. Nekromanta podniósł wierzgające jagnię, jak kota za fałd skóry na karku. Zakręcił i rzucił na sam środek koła. Zwierzę padło głucho, skąpane we krwi. Resztką życia uchodziła z ciała.

Dragosani odszedł, w głowie usłyszał westchnienie zadowolenia, potwornego nasycenia.

— Niewyszukane, Borys, ale zadowala — bez wątpienia. Winien ci jestem podziękowanie, mój synu, ale poczekaj do jutra. Teraz żegnaj. Jestem zmęczony i głodny. Samotność to nałóg, który muszę jak najprędzej porzucić.

Dragosani odwrócił się od kręgu, od martwego kształtu aa środka tajemnego miejsca. Kiedy już odchodził, jego oczy uchwyciły znak nowej wolności Wampira. Tak, Tibor Ferency poruszał się. Nekromanta czuł to pod stopami, czuł jak Wampir przeciąga się, słyszał zgrzyt twardych mięśni, skrzypienie starych kości Ziemia chłoneła krew.

Wtem...

Ciało jagnięcia wygięło się, zgłębiło w nasiąkniętej posoką ziemi, jakby jakieś ssanie wciągało zwierzę, jakby sama ziemia była rozwartą paszczą. Coś poruszyło się pod zarżniętą owcą... a może tylko tak się Dragosaniemu zdawało. Ruszył, oparł się o drzewo, pień trochę zasłaniał widok. Patrzył na ciało jagnięcia.

Zwierzę było duże i ciężkie. Borys zauważył, że zmniejszyło się trochę, skurczyło, zapadło. Oderwał się w myślach od Potwora — słyszał tylko rozpustne sapanie bestii. A jagnię kurczyło się, znikało...

Zwierzę zostało pożarte, ziemia dymiła mgłą, gęstniejącą dookoła. Coś oddychało w głębi — coś, co posiadało niezwykłą moc i mogło eksplodować upiorną energią.

Dragosani obrócił się i szybko dołączył do Maksa Batu. Zeszli na przecinkę, ruszyli do samochodu.

Tego samego dnia, siedemset mil od krzyżowych wzgórz Harry stał nad grobem A. F. Möbiusa. Zmarł w 1968 roku dwudziestego szóstego września. To był zły dzień dla nauki, bardzo nieszczęśliwy dzień dla topologii i astronomii.

Jeszcze przed chwilą byli tu studenci, głównie Niemcy z NRD. Studenci jak wszyscy inni. Długowłosi, w luźnych ubraniach, ale pełni szacunku. Tak powinno być, pomyślał Harry. On także czuł respekt wobec Möbiusa, obawiał się obec-

ności tak wielkiego człowieka. Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, Harry poczekał, aż zostanie sam. Potrzebował czasu, by zastanowić się jak najlepiej podejść uczonemu. To nie był zwykły człowiek, ale myśliciel, który przetarł dla nauki wiele nowych dróg.

W końcu zdecydował się na bezpośredni kontakt. Usiadł, pozwolił swoim myślom sięgnąć do umysłu martwego geniusza. Uspokoił się, jego oczy przybrały dziwny, szklisty wyraz. Było niesamowicie zimno, a mimo to pot wystąpił nad jego brwiami. Powoli zdawał sobie sprawę, że Möbius, czy to, co z niego zostało, było tutaj — istniał.

Wzory, tabele pełne liczb, odległości astronomiczne, konfiguracje geometrii Riemanna docierały do jaźni Harry'ego jak potok znaków z monitora komputerowego. Ale... czy to wszystko mogło się mieścić w jednym umyśle, umyśle, który operował tyloma myślami jednocześnie? Harry domyślił się, że Möbius nad czymś pracuje, wertuje stronice pamięci, uczy się, zbiera w całość kawałki układanki zbyt skomplikowanej dla niego, w ogóle nie do pojęcia przez umysł żywego człowieka. Wszystko poprawne, dokładne.

— Proszę pana? Przepraszam, nazywam się Harry Keogh Przebyłem długą drogę, żeby spotkać się z panem.

Widmowy potok liczb i wzorów zniknął natychmiast jak wyłączony monitor komputera.

— Co? Kto?

— Harry Keogh, proszę pana. Jestem Anglikiem.

— Anglik? Możesz być Arabem — dla mnie jesteś natrętem. O co chodzi? Nie przywykłem do odwiedzin.

— Jestem nekroskopem — wyjaśnił Harry jak tylko mógł najlepiej. — Rozmawiam z umarłymi.

— Umarłymi? Rozmawiasz z umarłymi? Myślałem o tym... Dawno temu doszedłem do wniosku, że nie żyję więc pewnie rzeczywiście potrafisz. Śmierć przychodzi do wszystkich. I ma swoje zalety. Prywatność, po pierwsze — tak przynajmniej dotąd myślałem. Mówisz, nekroskop? Czy to nowa nauka?

Harry uśmiechnął się.

— Można tak to nazwać. Tylko, że ja jeden ją uprawiam. Spirytualiści to zupełnie co innego.

— Z pewnością! To zgraja szalbierzy, No, dobrze, w czym mogę ci pomóc, Harry? Przypuszczam, że masz jakiś powód, że mi przeszkadzasz. Rozsądny powód, czy tak?

— Najbardziej rozsądny na świecie — odrzekł Harry. — Ścigam maniaka, mordercę. Wiem, kto to jest, ale nie wiem jak go oddać w ręce sprawiedliwości. Mam

tylko klucz do rozwiązania sprawy, a to ma związek z panem.

— Ścigasz mordercę. Masz taki talent, a uganiaś się za zbrodniarzami. Chłopcze, powinienes porozmawiać z Euklidesem, Arystotelesem, Pitagorasem. Nie, zapomnij o tym ostatnim. Nic się od niego nie dowiesz. Od niego i tajemniczego braterstwa Pitagorejskiego. To cud, że zdołał stworzyć swoją Theorem. No dobrze, a jaki jest twój klucz?

Harry ukazał w myślach obraz wstęgi Möbiusa.

— To właśnie — powiedział — łączy przyszłość moją i mojego uciekiniera.

Matematyk zainteresował się.

— Topologia w tym samym wymiarze? Stąd płynie wiele interesujących pytań. Mówisz o swojej prawdopodobnej przyszłości czy o właściwej przyszłości? Rozmawiałeś z Gaussem? On jest mistrzem prawdopodobieństwa i topologu. Gauss był wielki, kiedy ja byłem tylko jego zwykłym studentem, aczkolwiek błyskotliwym.

— O właściwej przyszłości — dodał Harry.

— Trzeba wstępnie założyć, że już coś wiesz o przyszłości. Jasnowidztwo to także twój talent, chłopcze?

— Nie, ale mam przyjaciół, którzy tak pewnie wychwytyją przebłyski przyszłości jak ja...

— Puste słowa — uciął Möbius. — Zollneryści. Czczą gadanina.

— ...rozmawiam z umarłymi — Harry dokończył z rozpędu. Naukowiec milczał przez chwilę.

— Może zgłupiałem... ale wierzę ci. To znaczy, wierzę, że ty wierzysz. Oszukało cię, ale nie rozumiem zupełnie jak moja wiara w ciebie może ci pomóc w poszukiwaniach.

— Też nie wiem — powiedział strapiony Harry. — Chyba, że ...wstęga Möbiusa. To jedyny punkt zaczepienia. Możesz mi wyjaśnić, kto może wiedzieć więcej na ten temat od ciebie? Przecież odkryłeś wstęgę!

— Nie, przypisali jej tylko moje nazwisko. Odkryłem? Śmieszne! Zauważyłem, to wszystko. Jak tu wyjaśnić... kiedyś nadejdzie czas, gdy to będzie najprostszą rzeczą, teraz jednak...

Keogh czekał.

— Który mamy rok?

Nagła zmiana tematu zdziwiła Harry'ego.

— Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy — odpowiedział.

— Naprawdę? Tak późno? Tak, tak! Zobaczysz sam, Harry, jestem w ziemi już od ponad stu lat. Myślisz, że leniuchowałem? Ani trochę! Liczby, mój chłopcze, ostateczna odpowiedź na zagadki wszechświata! Przestrzeń, jej krzywizna, jej wła-

sności i cechy są niewyobrażalne dla świata żywych, tak myślę. Wcale nie muszę myśleć, bo wiem. Ale wyjaśnić? Jesteś matematykiem?

— Trochę się znam?

— Astronomia?

Harry zaprzeczył głową.

— Jak pojmujesz naukę, to znaczy, jak rozumiesz fizyczny, materialny, zakrzywiony wszechświat?

Harry ponownie zaprzeczył ruchem głowy.

— Rozumiesz coś... z tego? — Potok symboli, równań, obliczeń zabłysnął na ekranie jaźni Keogha. Część rozpoznał z rozmów z J. G. Hannantem, trochę wy-czuwał intuicyjnie, ale większość wyglądała zupełnie obco.

— To wszystko jest... całkiem trudne — powiedział.

— Hmm? Ale z drugiej strony... naprawdę masz intuicję. Tak, silną intuicję. Myślę, że mógłbyś zostać moim uczniem, Harry.

— Uczniem? Matematyka? Pracowałeś nad tym całe życie i sto lat od chwili jego zakończenia. Kto tu rzuca puste słowa? Zająłoby mi to przynajmniej tyle czasu, co tobie. I kto tu jest zollnerystą?

— J. K. F. Zollner był matematykiem i astronomem, przeżył mnie. Był także spirytualistą, trochę stukniętym. Dla niego liczby były magiczne. Nazwałem ciebie zollnerystą? Przepraszam, musisz mi wybaczyć. Tak naprawdę, to nie mylił się wiele, jego topologia była błędna, to wszystko. Próbował naciągnąć niefizyczny czy duchowy świat do fizycznego. To nie przechodzi, czasoprzestrzeń jest stała, trwa-ła, niezmienna jak pi.

— Nie ma tu miejsca dla metafizyki? — zapytał Harry prawie już pewny, że źle trafił.

— Zupełnie nie ma.

— Dla telepatii?

— Bzdura!

— A teraz? Rozmawiam przecież z tobą.

Möbius był zaskoczony.

— Nekroskopia, zaczynam wierzyć.

— To punkty łącznikowe — powiedział Harry. — Podobnie jasnowidztwo, dalekowidzenie — zdolność oglądania zdarzeń na odległość tylko przy pomocy umysłu.

— W fizycznym świecie — niemożliwe. Powtórzysz błędy Zollnera.

— Ale wiem, że to możliwe — zaprzeczył Harry. — Wiem, że są ludzie, którzy to potrafią. To jest nowa nauka — wymaga intuicji.

— Kusi mnie, aby ci uwierzyć. W jakim celu miałbyś kłamać? Ludzka wiedza,

pojmowanie świata, rośnie cały czas. Ja też potrafię, ale nie jestem z fizycznego świata, już nie...

W głowie Harry'ego zawirowało.

— Potrafisz? Powiadasz, że widzisz odległe zjawiska?

— Tak, widzę — mówił Möbius — ale nie w kryształowej kuli. Nie są odległe, odległość jest względna. Idę tam, gdzie mają zdarzyć się rzeczy, które pragnę zobaczyć.

— Ale... dokąd? Jak?

— „Jak” — to trudno powiedzieć, „dokąd” — o wiele łatwiej. Nie byłem tylko matematykiem, ale także astronomem. Kiedy umarłem, została mi tylko oczywiście matematyka. Astronomia była we mnie, była częścią mnie. Wszystko przychodzi po pewnym czasie oczekiwania. Mijał czas, czułem, że gwiazdy świecą nade mną, zarówno w noc jak i w dzień. Byłem świadom ich ciężaru, masy, odległości od nich, odległości między nimi. Wkrótce wiedziałem o nich więcej niż za życia. Zdecydowałem się osobiście je zobaczyć. Gdy przyszedłeś do mnie właśnie obliczałem — wkrótce wybuchnie nowa w Andromedzie. Będę tam, zobaczę, co się dzieje. Czemu nie? Nie jestem cielesny, prawa fizycznego świata już mnie nie dotyczą.

— Dopiero co zaprzeczyłeś istnieniu metafizyki — zaprotestował Harry — a teraz mówisz, że teleportujesz się ku gwiazdom.

— Teleportacja? Nie, co fizyczne nie porusza się w ten sposób. Powtarzam ci, nie jestem istotą fizyczną. Może jest tak zwany „metafizyczny” wszechświat, ale żaden z nich fizyczny czy metafizyczny, nie styka się z drugim.

— Tak myślałeś dopóki nie spotkałeś mnie — odrzekł Harry, jego oczy rozszerzyły się w niewidomym lęku. Nagle w głowie Möbiusa zabłyśło światło, jaśniej niż jakakolwiek nowa.

— Co? Co to ma znaczyć?

— Powiadasz — Harry był nieugięty — że nie ma łączności między światem fizycznym i metafizycznym. Tak twierdzisz?

— Dokładnie!

— Ja... jestem fizycznym ciałem, a ty czysto metafizycznym... i spotkaliśmy się! Keogh poczuł zdziwienie rozmówcy.

— Zdziwiająca! Pomiąłem oczywisty fakt.

— Używałeś wstęgi do podróży ku gwiazdom, prawda? — wykorzystał przewagę.

— Wstęgi? Korzystam z jej wariantu, tak, ale...

— I ty nazwałeś mnie zollnerystą? — zapytał Harry z ironią.

Möbius nie mógł wykrztusić słowa.

— Wygląda na to... że moje twierdzenia... nie mają już zastosowania.

— Teleportujesz się — powiedział Harry — teleportujesz czysty umysł. Taki jest twój talent. Zawsze go posiadałeś, nawet za życia wiedziałeś rzeczy niewidzialne dla innych. Wstęga to doskonały przykład. Ten talent to potężna broń. Ja chcę pójść dalej. Chcę związać, chcę trwale połączyć swoje fizyczne istnienie z metafizycznym wszechświatem.

— Harry, proszę, nie tak szybko — zaprotestował Möbius — Muszę...

— Chciałeś mnie uczyć — młodzieniec był niewzruszony — przyjmuję ofertę. Ale powiesz tylko to, co absolutnie konieczne. Mój instynkt, intuicja załatwi resztę. Mój umysł to czysta tablica, w twoim ręku jest kreda. Zaczynamy, ucz mnie... Naucz mnie podróży po wstędze Möbiusa!

Znów przyszła noc. Dragosani wspinał się na krzyżowe wzgórza. Na plecach dźwigał kolejne jagnię, tym razem ogłuszone dużym kamieniem. To był ciężki dzień. Maks Batu miał ponownie szansę zademonstrowania strasznej siły Złego Oka, tym razem na Ladislau Giresci.

Na tym skończyły się zadania Maksa Batu. Dragosani wysłał Mongoła w innej ważnej sprawie. Nekromanta był sam, zupełnie sam. Zbliżył się do grobu Wampira i posłał w myślach słowa, wzrokiem penetrował mrok pod ciemnymi, martwymi drzewami.

— Tibor, śpisz? Jestem jak kazałeś. Gwiazdy świecą jasno, noc jest chłodna, księżyc wspina się na wzgórzach. Wybiła godzina, Tibor. Dla nas obu...

— Dragosaniiii?? Śpię? Chyba tak. Spałem zdrowo snem nieumarłego. Śniłem wielki sen. O podbojach, o imperium! Po raz pierwszy moje twarde łóżko było miękkie jak piersi kochanki. Moje stare kości stały się sprężyste jak chód chłopca, który idzie na spotkanie dziewczyny. Wielki sen, ale... tylko sen.

Dragosani wyczuł zmartwienie w głosie Diabła. „Co z jego planami?” — pomyślał

— Coś nie tak?

— Przeciwnie, wszystko w porządku, mój synu, tylko... obawiam się, że to może potrwać trochę dłużej niż myślałem. Twoja wczorajsza danina dała mi siłę, prawda, wyobrażam sobie, że przybyło mi ciała. Ziemia jest jednak twarda, a moje ścięgna są sztywne jak stalowe pręty.

Potwór ożywił się.

— Pamiętałeś, Dragosani? Przyniosłeś mi kolejny podarunek? Mam nadzieję, że nie za mały. Może coś podobnego do wczorajszego posiłku?

W odpowiedzi nekromanta podszedł do krawędzi kręgu, zrzucił jagnię z ramienia na ziemię, zwierzę upadło bezwładnie.

— Nie zapomniałem — powiedział. — Dalej, Stary Smoku, powiedz, o co chodzi. Dlaczego ma to potrwać dłużej niż myślałeś? — Rozczarowanie Borysa było szczere, jego plan zależał od wywołania Wampira z półśmierci właśnie w nocy.

— Nie potrafisz zrozumieć, Dragosani? — padła odpowiedź Tibora. — Wśród moich ludzi, którzy szli ze mną, kiedy byłem wojownikiem, wielu było ranionych w bitwach. Kurowali się, po miesiącach bezruchu byli zmarnowani, mieli obolałe ciała. Wyobraź sobie teraz mnie, po pięciuset latach... Zobaczymy, co będzie. Gdy tak rozmawiamy, coraz bardziej chcę powstać, może po małym pokrzepieniu...

Borys potakiwał ze zrozumieniem, wyciągnął mały, błyszczący nóż z kieszeni, schylił się ku jagnięciu.

— Zaraz! — krzyknął Wampir. — Jak powiedziałeś Dragosani: „wybiła godzina — dla obu nas”. Myślę, że powinniśmy ją uszanować.

Nekromanta zmarszczył czoło, potakiwał głową.

— Co to ma znaczyć?

— Dotychczas, mój synu — myślę, że zgodzisz się ze mną — zachowywałem się z rezerwą. Rzucałeś mi pożywienie, jakbym był świnią w chlewie. Nie skarżę się — chcę byś wiedział, Dragosani, że jadałem przy stole. Ucztowałem na dworach książąt — i znów tak będzie! Ty zasiądziesz po mojej prawej stronie. Czyż nie zasługuję w takim razie na łaskawsze traktowanie? Czy zawsze muszę pamiętać ciebie jako człowieka, który nalewał mi posiłek jak breję do koryta?

— Za późno na subtelności — Dragosani zastanawiał się, do czego zmierza Tibor. — Czego chcesz w takim razie?

Wampir zauważył zaniepokojenie nekromanty.

— Co? Nadal mi nie ufasz? Pewnie masz swoje powody. Moją siłą była chęć przeżycia, ale patrz — ułożyliśmy się. Kiedy powstanę, wyciągnę moje nasienie z twojego ciała. Nawet potem będę mógł ciebie dopaść. Pozornie wydaje się, że postępujesz nierozważnie, Dragosani, uwalniając mnie z grobu. Gdybym chciał, mógłbym cię unicestwić, ale kto prowadziłby mnie po świecie, na który niedługo wstąpię. Nauczysz mnie, a ja będę nauczać ciebie.

— Nie powiedziałeś czego chcesz.

Wampir westchnął.

— Muszę przyznać się do małej słabości. Oskarżyłem ciebie w przeszłości o próżność, a teraz wyznaję, ja też jestem próżny. Chciałbym bardziej uroczyście świętować moje odrodzenie. Przynies mi jagnię, mój synu, połóż przede mną. Ten ostatni raz, niech będzie to szczyry hołd, rytualna ofiara dla sił natury, a nie pomyje dla tuczenia świń. Chcę jeść z tacy, Dragosani, nie z koryta.

„Stary łajdaku” — pomyślał Borys, trzymając w tajemnicy słowa. „A więc mam być sługą Wampira! Niczym cygański głupek, zakuty i podążający za panem jak

pies. Mam dla ciebie nowinę, mój stary przyjacielu. Raduj się, Tiborze Ferency, bo ostatni raz człowiek przynosi tobie ofiarę.”

— Chcesz, bym złożył ci zwierzę w ofierze?

— Czy proszę o wiele?

Nekromanta wzruszył ramionami. Odłożył ostry ja brzytwa nóż, wziął owcę i zaniósł na środek kręgu. Schylił się, położył na miejscu wczorajszej rzezi.

Jeszcze przed chwilą polana była spokojna, cicha jak grób. Teraz Dragosani poczuł poruszenie, ciche skradanie się kota w kierunku myszy, zbieranie śliny na języku kameleona przed atakiem. Drżąc z przerażenia, nawet taki potwór, jakim był Dragosani, odskoczył od głowy ogłuszonego zwierzęcia. Zaszło mu w gardle, wtedy...

— Nie trzeba, mój synu — odezwał się Tibor Ferency.

Borys chciał uciec, ale w tej samej chwili zorientował się — za późno — że Diabeł nasycił się w pełni prosiakami i jagnięciem. Dragosani nie zdążył się wyprostować z przysiadu, gdy falliczna macka wyskoczyła spod ziemi, cięła jego ubranie jak nóż, wbijała się w ciało. Uciekłby, chciał się uwolnić, nawet za cenę życia, uciekłby — ale nie mógł. Haki wewnątrz ciała, macka wypełniająca nogi ciągnęła go, jak rybę wyłowioną z rzeki.

Ziemia usunęła się spod stóp nekromanty, uderzył w ciemną, kipiącą glebę. Nie miał żadnej szansy ucieczki. Ból, męka, piekielna tortura...

Topniały jelita, paliły się wnętrzności, jakby siedział na fontannie kwasu. Przez niewypowiedziany ból Dragosani słyszał tylko wycie tryumfu Tibora, drwił z prawdy, z rzeczywistej prawdy, do której nekromanta nie zdołał dotrzeć przez wszystkie lata, szydził z odpowiedzi na pytania.

— Dlaczego tak mnie nienawidzili, mój synu? Przecież byli moją rodziną. Dlaczego wampiry nienawidzą się nawzajem? Odpowiedź jest taka prosta: krew to życie, Dragosani. Tak, krew świni wystarczy, kiedy niczego lepszego nie można wypić. Także krew owiec i drobiu. O wiele lepsza jest krew ludzi — już wkrótce sam to odkryjesz. Ale ponad wszystko, prawdziwy nektar życia można ssać tylko z żył innego wampira.

Dragosani smażył się jak w piekle. Czuł jak rozdziera się wewnątrz, pasożytnicze nasienie ginęło. Koszmarna macka Tibora przyssała się i piła, piła... Była protoplazmatyczna, nie czyniła rzeczywistych spustoszeń, przybierała kształty tak, by nie naruszyć organów, penetrowała bez zniszczeń. Jej haczyki nie zadawały ran, trzymały się bez naruszenia tkanek. Ból spowodowany był ich obecnością — kontaktem z otwartymi nerwami i mięśniami. Kiedy poruszała się w gwałconym cieple, Borys czuł — jakby szalony lekarz wylał roztwór kwasu na otwarte żyły. To nie zabijało, ale mogło zabić. Nie teraz, nie tym razem.

Umęczony Dragosani nie wiedział o tym, krzyczał z bólu.

— S... Skończ... skończ z tym, cholera! Niech cię... twoje czarne serce, kłamco kłamstw! Zabij... mnie, Tibor! Teraz! Skończ z tym, pro... proszę cię!

Usiadł w ciemności pod drzwiami pomiędzy zniszczonymi płytami, rozsypującymi się szczątkami starego grobu. Zgroza zjadała jego mózg jak szczur wpuszczony do głowy, szukający na ślepo wyjścia. Ktoś uruchomił w jego brzuchu maszynkę do mięsa, rozrywał jelita. Dragosani powstał, zachwiał się i upadł ponownie. Wrzeszczał, szarpał swe ubranie, a Tibor Ferenczy posilał się.

— Dałeś mi siłę, Dragosani. Siłę i krew zwierząt, ale prawdziwym życiem jest krew bliźniaczej istoty, nawet niedojrzała krew mojego dziecka. Rzuca się teraz, słabnie, tak jak ty słabniesz z bólu. Ale zabić je? Zabić ciebie? Nieee! Nieee! Co? Pozbawić siebie tysiąca uczt w przyszłości? Razem przemierzmy świat, Dragosani. Będziesz pod moim jarzmem, dopóki cię nie wypuszczę, dopóki nie pojmiesz do końca, że przeznaczenie wszystkich wampirów jest jednakowe.

Wampir nasycił się, macka wysunęła się z ciała nekromanty i zniknęła w ziemi. Jej wyjście było gorsze niż wejście — jakby szalenciec wyciągnął rozpalony do białości miecz.

Dragosani krzyknął, wrzask odbił się echem od krzyżowych wzgórz. Nekromanta runął na ziemię. Tibor powiedział kiedyś, że zwano go „palownikiem”, teraz Borys zrozumiał dlaczego.

Usiłował powstać — na próżno. Nogi drżały jak galareta, mózg kipiał jak kwas w misie czaszki. Potoczył się po zbeszczeszczonym kręgu, próbował wstać — nie dało rady, siła woli to nie wszystko. Leżał łkając. Zbierał energię. Wampir mówił o nienawiści, miał rację. Nienawiść trzymała Dragosaniego przy świadomości. Nienawiść i tylko nienawiść. Nienawiść jego i stworzenia w środku. Obaj zostali splądrowani.

Dragosani podparł się na boku, spojrzał z obrzydzeniem na czarną ziemię, która dymiała oparami piekła. Pojawiły się pęknięcia, ziemia zabulgotała, zaczęła się rozwierać. Coś wysuwało się w górę, wtem... To coś powstało — coś niewyobrażalnego!

Wargi nekromanty rozchyliły się mimowolnie, odsłaniając zęby w grymasie obrzydzenia i przerażenia. To był Potwór. To z nim rozmawiał, spierał się, to jego przeklinał. To był Tibor Ferenczy — nieumarłe wcielenie Nietoperza, Smoka i Diabła. Dragosani miał pewnego dnia stać się taki sam!

Grube uszy wystawały lekko powyżej wydłużonej czaszki, sprawiały wrażenie rogów. Nos był skrzywiony i pomarszczony, jak u wielkiego nietoperza, osadzony tuż przy ustach. Łuskowata skóra i purpurowe oczy, jak u smoka. Był... ogromny! Ukazały się ręce, uzbrojone w przerażająco ostre szpony.

Borys zwalczył w sobie strach i zmusił się do powstania. Wampir obrócił wilczą głowę i spojrzał na nekromantę, przeszywającym, potwornym wzrokiem. Oczy rozwarły się szeroko, ich purpurowy blask padł na chwiejącego się na nogach mężczyznę.

— Widzę ciebie — powiedział Tibor donośnym głosem, pełnym zła, jak nigdy przedtem, w przesłaniach z grobu. Nie było w nim groźby, stwierdzał fakt — widział. Dojrzał Dragosaniego, patrzył z mieszanym uczuciem ulgi i niedowierzania.

Nekromanta skurczył się ze strachu i w tej samej chwili...

— Uciekaj Borys — krzyknął Maks Batu, wychodząc z ukrycia. Głowa Tibor Ferency obróciła się błyskawicznie w kierunku Mongoła. Dojrzał Batu, psie szczęki rozwarły się, ślina kapała na ziemię. Batu bez wahania spojrzał na potwora, wycelował i wypalił z kuszy odebranej Ladislau Giresci.

Pocisk z gwajakowego drewna był gruby na cał, zakończony stalą. Zanurzył się bez trudu, utknął w dyszącej piersi Wampira, unieruchomił stwora.

Tibor krzyknął, próbował wrócić do kipiącej ziemi, ale ugrzązł wśród korzeni. Darł swoje ciało, wył przeraźliwie, rzucał się na strony. Kołek tkwił w piersiach. Wampir przeklinał i pluł śluzem z, wykrzywionej grymasem złości, paszczy.

Batu podbiegł do Dragosaniego, podał mu rękę i wręczył nóż. Nekromanta pochwycił narzędzie, odtrącił Mongoła, podszedł niepewnie do wijącego się z bólu stwora, w połowie wystającego z ziemi.

— Ostatnim razem, kiedy ciebie grzebali — wysapał — popełnili jeden wielki błąd, Tiborze Ferency. — Muskuly na szyi i ramionach napięły się, gdy zamierzył się sierpem. — Zostawili ci tę przeklętą głowę!

Potwór próbował walczyć mimo białego kołka, patrzył na Dragosaniego niesamowitym wzrokiem. Bał się, ale w jego oczach był też zawód i zdziwienie. Bestia nie rozumiała, nie potrafiła przyjąć porażki.

— Poczekaj — ryknął, kiedy nekromanta podszedł bliżej. Złamany, basowy ton głosu przypominał huk lawiny. — Nie widzisz? To ja!!!

Dragosani nie czekał dłużej. Wiedział kim i czym był Potwór. Jako nekromanta znał już dobry sposób na przyjęcie jego wiedzy, jego mocy. Co za ironia losu! Tibor sam przekazał mu ten dar.

— Giń, fałszywy gadzie! — wycodził. Ostrze zabłysło w ciemności, odcięta od korpusu głowa potoczyła się.

— Głupcze, skończony głupcze!!! — ryczał Diabeł. I nagle zamilkł, zgasły purpurowe oczy. Usta otworzyły się raz jeszcze, krwawa płwocina wylała się z wewnątrz. — Głupcze! — wyrwał się ostatni szept.

Dragosani odpowiedział drugim ciosem noża, rozciął czaszkę na pół, jak wielki

przerośnięty melon. Mózg wyglądał jak papka; obok zaś znajdował się poskręcany rdzeń. Dwa mózgi! Ludzki i ten obcy — mózg wampira. Bez wahania, bez obawy, wiedząc dokładnie co robić, Dragosani zanurzył dłonie w skorupie czaszki, drżącymi palcami przebierał w smrodliwej papce i mazistych płynach. Wszystkie sekrety, sama istota wampirów była tutaj, tutaj — czekała na niego.

Oba mózgi zgniły, rozpadły się przez wieki, ale talent nekromanty wyczuł sekrety nieumarłego (teraz wreszcie zmarłego) Potwora. Dragosani, szary jak kamień, uniósł szczątki ku twarzy, lecz — za późno!

Wszystko szczęło i wyparowało na jego oczach, przeciekało strużkami pyłu przez drżące palce, zniekształcona czaszka obróciła się w proch.

Dragosani wydał okrzyk bóleści, zamachał ramionami jak wiatrak, obrócił się i zanurkował ku bezgłowemu tułowi, które sterczało z ziemi. Rozdarta szyja już parowała, zapadała się. Tułów zanikał w okamgnieniu. Nekromanta zanurzał ręce w zgniliznie, ziemia buchnęła chmurą trujących oparów. Opadł na rozplływające się ciało.

Dragosani zawył żałośnie i wyciągnął ramię z organicznego trzęsawiska, wycofał się, z dala od drżącej, dymiącej dziury. Ziemia uspokoiła się. Zatrzymał się na skraju kręgu, zwiesił głowę. Płakał długo z rozpacz i zmęczenia.

Maks Batu, wstrząśnięty do głębi, patrzył ze zdumieniem na nekromantę. Powoli podszedł bliżej. Przyklęknął obok niego i chwycił za ramię.

— Towarzyszu, Dragosani — głos miał ściszony, chrapliwy. — Już koniec?

Nekromanta przestał płakać. Nadal miał zwieszoną głowę, rozważał pytanie Batu: „Czy już koniec?”

Koniec Tibora Ferency, ale początek nowego wampira, niedojrzałego jeszcze stworzenia, które dzieliło ciało z Dragosanem. Będą się uzupełniać, uczyć jeden od drugiego, staną się jedną istotą. Pozostawało pytanie: który z nich zdobędzie przewagę?

Wampir wygra ze zwykłym człowiekiem — zawsze! Ale Dragosani był niezwykły, miał moc swojej wiedzy, swoich talentów.

— Nie, Maks — powiedział — jeszcze nie koniec. Jeszcze trochę.

— Więc co mam robić? — mały Mongoł chciał służyć pomocą. — Jak mogę cię wesprzeć? Czego potrzebujesz?

Ból i rozpacz opuściły Dragosaniego, wiele zostało do zrobienia, a czasu mało. Przybył tutaj, żeby zdobyć nowe moce do walki z Harrym Keoghem i brytyjską sekcją E. Nie wykonał planu, sekrety Tibora wyparowały, zginęły wraz z Wampirem — stracone na zawsze. Ale to jeszcze nie koniec. Czuł się teraz słaby i zdruzgotany, lecz wiedział, że nic mu nie dolega. Ból rozdarł mózg i duszę (jeśli jeszcze ją miał). Te rany zabliznią się. Nie, nie był ranny — po prostu, wyczerpany.

Wyczerpany. Potrzeby wampira ożyły w jego ciele. Dragosani wiedział, czego pragnie pasożyt. Poczul rękę Batu na swoim ramieniu, czuł jak krew pulsuje w żyłach Mongoła. Wtedy też dojrzał ostry nóż, którym podcinał gardło jagniąt. Leżał tuż przy dłoni, srebro na tle czarnej ziemi. Zamierzał to w końcu zrobić, prędzej czy później.

INTERWAŁ DRUGI

— Muszę przerwać — powiedział Alec Kyle do dziwnego gościa. Odłożył ołówek, rozmasował obolały nadgarstek. Biurko było zaśmiecone strużynami z pięciu zużytych ołówków. Kyle pisał właśnie szóstym, ból szarpał ramię od szaleńczego notowania.

Serta papierów piętrzyła się przed Kyle'em, papierów pełnych zapisków z góry do dołu, od lewej krawędzi do prawej. Pisał już od czterech czy pięciu godzin. Notatki były bardzo szczegółowe, już po godzinie pismo przypominało ledwo czytelną bazgraninę. Sam Kyle ledwo mógł odczytać treść, choć były to tylko daty i krótkie wzmianki wydarzeń.

Odpoczywał jego nadgarstek i umysł. Kyle rzucił okiem na daty i pokiwał głową. Wierzył, instynktownie wiedział, że słyszy absolutną prawdę — tylko jedna anomalia... niezaprzeczalna dwuznaczność. Kyle zmarszczył brwi, spojrzał na zjawę dryfującą po drugiej stronie biurka.

— Jest coś, czego nie rozumiem — zaśmiał się trochę histerycznie — to znaczy, wiele rzeczy tu nie rozumiem, co nie znaczy, że w nie wątpię. Trudno mi jednak uwierzyć...

— Tak? — odezwała się zjawa.

— No dobrze — ciągnął Kyle — sęk w tym, że to, co mówisz jest prawdą, podejrzewam, że resztę także. Wiesz to, czego nikt poza mną i Keenanem Gormleyem nie wiedział, ale...

— Ale?

— ...ale twoja opowieść — wybuchnął nagle Kyle — wyprzedza czas. Notuję wszystko. Właśnie powiedziałaś, co stanie się w środę, za dwa dni. Według ciebie, Tibor Ferenczy nadal istnieje, nie zginie do środy wieczór.

— Rozumiem, że to dla ciebie dziwne. Czas jest względny, Alec, tak jak przestrzeń — są ze sobą powiązane. Powiem więcej: wszystko jest względne. Istnieje Wielki Porządek Rzeczy...

Coś umknęło Kyle'owi. Przez chwilę widział tylko to, co chciał zobaczyć.

— Widzisz przyszłość? Tak dokładnie? — miał przerażoną twarz. — A ja myślałem, że mam talent! Tak zaglądać w przyszłość, to wprost nie do wiary — zatrzymał się i westchnął. Nie dość, że wszystko było wystarczająco niewiarygodne,

nowa, bardziej niesamowita myśl przemknęła przez jego głowę.

Gość dojrzał to w wyrazie jego twarzy. Uśmiechnął się zwiernie.

— Coś nie tak, Alec? — zapytał.

— Gdzie... gdzie jesteś? Gdzie ty jesteś, prawdziwy ty, materialny? Skąd mówisz? Z jakiego czasu przemawiasz?

— Czas jest względny — powiedziało widmo, nadal się uśmiechając.

— Mówisz do mnie z przyszłości, prawda? — wysapał Kyle. To mogło być jedyne wytłumaczenie, tylko tym sposobem widmo mogło wszystko wiedzieć.

— Będziesz mi przydatny — powiedziała zjawą. — Chyba masz intuicyjną zdolność rozumienia swoich wizji. Może to ten sam talent, ale zaraz... możemy kontynuować?

Kyle chwycił ołówek, ciągle się gapiąc.

— Tak, idźmy dalej. Powiedz wszystko, do końca...

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Moskwa, piątkowy wieczór. Prospekt Puszkina, mieszkanie Dragosaniego.

Ściemniało się, kiedy nekromanta wrócił do domu. Nalał sobie wódki. Pociągi wlokły się bezlitośnie podczas podróży powrotnej z Rumunii, nieobecność Maksa Batu uczyniła ją jeszcze dłuższą. Do tego rosnące poczucie pośpiechu, pędu do wielkiej konfrontacji. Czas mijał szybko, a tak wiele zostało jeszcze do zrobienia. Borys był bardzo zmęczony, a nie mógł nawet myśleć o odpoczynku. Instykt pchał go do działania, ostrzegał przed najmniejszą przerwą.

Po drugim kieliszku poczuł się trochę lepiej. Zadzwoił na Zamek Bronnicy, sprawdził czy Borowic nadal opłakuje swą żonę w Żukowce. Chciał też porozmawiać z Igorem Władikiem, ten jednak wrócił do domu. Dragosani zadzwonił i tam, zapytał czy może przyjść. Igor zgodził się natychmiast.

Władik mieszkał niedaleko. Dragosani pojechał jednak samochodem. Nie minęło dziesięć minut, a już siedział w małym pokoju, kosztując powitalny kieliszek wódki.

— I co, towarzyszu? — zapytał Władik, kiedy już przebrnęli przez powitalne konwenanse. — Czym mogę służyć? — patrzył ciekawie, prawie dociekliwie na ciemne okulary i posępne rysy gościa.

Nekromanta skinął głową, jakby coś potwierdzał.

— Widzę, że oczekiwałeś mojej wizyty.

— Tak. Myślałem, że może przyjdiesz — odpowiedział ostrożnie Władik.

Borys nie chciał przedłużać niepotrzebnie rozmowy. Postanowił, że jeśli Władik nie odpowie właściwie na zadane pytania, zabije go.

— Więc jestem — odrzekł — a teraz powiedz: co będzie?

Władik był małym brunetem, zwykle otwartym dla ludzi. Takie przynajmniej sprawiał wrażenie. Uniósł brwi, przybrał wyraz zdziwienia.

— Co będzie? — powtórzył niewinnie.

— Słuchaj, bez wygłupów — powiedział groźnie Dragosani. — Pewnie już wiesz, dlaczego przyszedłem. Za to ci płacą, za zdolność przewidywania wydarzeń. Pytam raz jeszcze: co będzie?

— Z Borowicem, tak? — Władik cofnął się.

— Na początek, tak.

Twarz Władika stała się chłodna i beznamiętna.

— Umrze — powiedział bez emocji — jutro, około południa. Atak serca, chyba, że...

— Chyba, że co?

Igor zadrżał.

— Atak serca — powtórzył.

Dragosani pokiwał głową, westchnął i odprężył się.

— Tak — powiedział — tak będzie. A co ze mną... i z tobą?

— Nie przewiduję przyszłości dla siebie — odrzekł szczerze.

— To kuszące, oczywiście, ale zbyt frustruje. Znać przyszłość i nie móc nic zrobić. Boję się... co do ciebie... to trochę osobliwe...

Borysowi to określenie nie spodobało się. Odłożył kieliszek i nachylił się.

— Osobliwe? — zapytał. To było dla niego bardzo ważne.

Władik wziął oba kieliszki i nalał wódki.

— Najpierw coś wyjaśnijmy — powiedział. — Towarzyszu, nie jestem waszym rywalem. Nie mam ambicji związanych z Wydziałem E. Żadnych. Wiem, że Borowic uczynił mnie zastępcą — tak jak i was — ale mnie to nie interesuje. Myślę, że powinniście to wiedzieć.

— To znaczy, że nie będziesz mi wchodził w drogę.

— Nikomu nie schodzę z drogi! — zaprzeczył Igor. — Nie chcę po prostu. Andropow nie spocznie dopóki nas nie wytepi, nawet jeśli mu to zabierze resztę życia. Szczerze mówiąc, cholernie chciałbym się stąd wydostać. Wiesz, że jestem architektem, Dragosani? Tak, jestem. Jestem dobry w zaglądaniu w przyszłość, ale wolę zaglądać do planów budynków.

— Dlaczego mi to mówisz? — Borys zaciekał się. — To nie ma ze mną nic wspólnego.

— Właśnie, że ma! To ma wiele wspólnego z życiem. A ja chcę żyć. Widzisz, Dragosani, wiem, że będziesz zamieszany w śmierć Borowica. Ten „atak serca”... Skoro możesz z nim walczyć i zwyciężyć, a tak się stanie, to jakie są moje szanse? Nie jestem odważny, nie jestem też głupi. Wydział E należy do ciebie.

Dragosani pochylił się bardziej do przodu, oczy były plamkami czerwieni przeblyskującymi zza czarnych szkieł okularów.

— To twój obowiązek mówić Borowicowi takie rzeczy — powiedział twardo.
— Szczególnie takie rzeczy. Nie powiedziałaś mu jeszcze? A może już wie, że będę w to zamieszany?

Władik otrząsnął się, wyprostował. Przez chwilę czuł się jak zahipnotyzowany. Nekromanta miał spojrzenie węża. Może wilka? Na pewno nieludzkie.

— Naprawdę nie wiem dlaczego powiedziałem tobie to wszystko, może nawet stary ciebie tu przysłał?

— Nie wiedziałabyś, gdyby tak było? — odparł Dragosani. — Twój talent nie przewidywałby takiej możliwości?

— Nie widzę wszystkiego — bronił się Władik.

Borys skinął głową.

— Zgadza się. Nie przysłał mnie. A teraz powiedz szczerze: czy on wie, że jutro umrze? Jeśli tak, to czy wie, że będę w to wmieszany? No, czekam.

Władik zagryzł wargi.

— Nie wie — wymamrotał.

— Dlaczego mu nie powiedziałaś?

— Z dwóch powodów. Po pierwsze; to nic by nie zmieniło, nawet gdyby wiedział. Po drugie: nienawidzę tego skurwysyna. Mam narzeczoną, chcę się ożenić, chcę tego od dziesięciu lat. Borowic mówi: „Nie.” Chce, bym miał otwarty umysł, mówi, że za dużo seksu mnie zmęczy. Pieprzony sukinsyn! Wydziela mi moją własną narzeczoną.

Dragosani rozparł się i zaśmiał głośno. Władik dojrzał jamę jego ust, długość zębów. Raz jeszcze poczuł, że rozmawia z jakimś dziwnym zwierzęciem, a nie z człowiekiem.

— Tak, wyobrażam to sobie — nekromanta starał się opanować śmiech. — To typowe dla niego. Myślę, że spokojnie możesz przygotowywać zaślubiny, kiedy tylko zechcesz.

— Zatrzymasz mnie w Wydziale? — Igor mówił dalej gorzkim tonem.

— Oczywiście — Dragosani podniósł brwi. — Jesteś zbyt cenny, żeby zostać zwykłym architektem, Igor. Masz duży talent. Wydział? — to dopiero początek. W życiu liczy się coś więcej. I ja do tego dojdę, ty możesz iść ze mną.

Władik odpowiedział pustym spojrzeniem. Dragosani nagle poczuł, że Igor coś ukrywa.

— Miałaś powiedzieć, co widzisz w mojej przyszłości — przypomniał. — Skończyliśmy z Borowicem, nieźle. Powiedziałaś, że jest coś... osobliwego?

— Tak, osobliwego — zgodził się Igor. — Ale mogę się mylić. I tak jutro się dowiesz — zadrżał nerwowo, zobaczywszy poruszenie na twarzy gościa.

— Co, co jutro? — nekromanta powoli powstał z krzesła. — Marnujesz mój

czas, gadasz głupoty, wiedząc, że coś się szykuje na jutro. Kiedy? Jutro? Gdzie?

— Jutro wieczorem na Zamku Bronnicy — powiedział Władik. — Coś wielkiego, nie wiem, co to będzie.

Borys nerwowo przemierzał pokój, szukał klucza.

— KGB? Czy to możliwe, że tak szybko znajdą ciało Borowica? Wątpię. Jeśli jednak, to dlaczego mieliby podejrzewać Wydział? Czy mnie? Przecież to będzie tylko „atak serca”. Każdemu może się przytrafić. A może ty, Igor — Władik pośpiesznie zaprzeczył głową. — Z twoją podwójną lojalnością? Czy to ktoś z Wydziału? Sabotaż? Jeśli tak, to jaki sabotaż? — potrząsnął głową w złości. — Nie, nie. Nie rozumiem. Cholera dalej, Igor, wiesz jeszcze coś więcej? Co właściwie widziałeś?

— Nie rozumiesz? — krzyknął Władik. — Człowieku, nie jestem nadludzki. Nie zawsze jestem dokładny. — Dragosani wiedział, że Władik mówi prawdę. Głos Igora zdradzał irytację, on też chciał znać odpowiedź.

— Czasami widzę przez mgłę, jak w przypadku Ustinowa. Wiedziałem, że będzie granda i ostrzegłem Borowica, ale nie mogłem za cholerę odpowiedzieć, kto będzie w to zamieszany. To samo tym razem. Jutro będzie niezła awantura, a ty będziesz w samym jej centrum. Przyjdzie z zewnątrz, to będzie... wielka awantura! Tylko tego jestem pewien.

— Nie tylko — odezwał się złowieszczo Dragosani. — Nadal nie wiem, co znaczy słowo „osobliwy”. Dlaczego tego unikasz? Jakies niebezpieczeństwo?

— Tak — odparł Władik. — Wielkie niebezpieczeństwo. Nie tylko dla ciebie, dla każdego na zamku.

— Co jest, człowieku? — Borys walnął pięścią w stół. — Mówisz, jakbyśmy wszyscy mieli zginąć.

Twarz Igora pobladła. Odwrócił się od Dragosaniego, ale ten pochylił się, ujął w palce policzki jasnowidza i przyciągnął siłą twarz z drżącymi, zaokrąglonymi ustami. Spojrzał w przestraszone oczy Igora.

— Jesteś pewien, że powiedziałeś wszystko? — cedził wolno i uważnie słowa. — Może przynajmniej wyjaśnisz, co znaczy słowo „osobliwy”? A może przypadkiem przewidziałeś na jutro moją śmierć?

Władik uwolnił twarz z uścisku, opadł na krzesło. Białe znaki od palców nekromanty zniknęły, teraz zaczerwienił się mocno. Dragosani bez wątpienia był w stanie zabić.

— Posłuchaj — powiedział. — Wyjaśnię najlepiej jak potrafię. Zrobisz z tym... co zechcesz. Kiedy patrzę na człowieka, gdy zaglądam w jego przyszłość, zwykle dostrzegam prostą, niebieską linię, tak jak kreskę na papierze, z góry do dołu. Możesz to nazwać linią życia, jeśli chcesz. Po długości tej linii mogę określić długość ludzkiego życia. Ze skrętów i odchyłeń określam przyszłe zdarzenia i ich konse-

kwencje. Linia Borowica kończy się jutro. Na końcu jest załamanie, które wskazuje na fizyczne niedomaganie, atak serca. Skąd wiem, że będziesz zamieszany? Po prostu, twoja linia przecina jego linię. Dalej już biegnie sama.

— Jak daleko? Co z jutrzejszą nocą, Igor? Moja linia się kończy?

Władik zadrżał.

— Twoja linia jest zupełnie odmienna — odpowiedział w końcu. — Prawie nie wiem jak ją rozumieć. Pół roku temu Borowic zażądał, bym przygotował przewidywania dla ciebie, tylko dla jego oczu. Próbowalem, ale to było niemożliwe. W twojej linii było tyle anomalii, że nie mogłem nic stwierdzić na pewno. Skręty, załamania, jakich dotąd nigdy nie widziałem. Z biegiem miesięcy jedna linia rozdzieliła się na dwie równoległe. Nowa nie była niebieska, ale czerwona. Tego też nigdy nie widziałem. Stara linia powoli zaczęła czerwienieć. Jesteś niczym... bliźniaki, Dragosani, nie wiem jak to wyrazić. A jutro...

— Tak?

— Jutro jedna z twoich linii kończy się. „Połowa mnie zginie” — pomyślał Dragosani.

— Która linia? — zapytał głośno — czerwona czy niebieska?

— Czerwona — powiedział Władik.

— „Wampir umrze?” — zaśmiał się w duchu, ale opanował wybuch wewnątrz. — A co z drugą linią?

Igor pokręcił przecząco głową, zdradzając brak wytłumaczenia.

— To jest najbardziej osobliwe. Nie jestem w stanie tego wytłumaczyć. Druga linia wraca do normalnego zabarwienia, zakręca tworzy koło i łączy się z drugą w miejscu, gdzie powstało rozszczepienie.

Borys usiadł i ponownie pochwycił kieliszek. To, co przekazał Władik nie było zadowalające, ale lepsze niż nic.

— Byłem surowy, Igor — powiedział — przepraszam, widzę teraz, że starałeś się z całych sił. Dziękuję. Powiedziałaś, że na zamku będzie straszna awantura, to znaczy, że przewidywałaś przyszłość i dla innych, prawda? Chcę wiedzieć, co to będzie.

Władik zagryzł wargę.

— Nie spodoba wam się odpowiedź, towarzyszu — ostrzegł.

— Powiedz mimo wszystko.

— To będzie total... siła, moc, spadnie na Zamek Bronnicy, przyniesie zniszczenie.

„Keogh! To może być tylko Keogh! Nie ma innego zagrożenia...”

Dragosani powstał, chwycił płaszcz i skierował się do drzwi.

— Muszę już iść, Igor — powiedział. — Jeszcze raz dziękuję. Wierz mi, nie za-

pomnę, co dla mnie zrobiłeś. Jeśli dojrzysz coś jeszcze, będę ci wdzięczny.

— Oczywiście — odrzekł Władik, oddychając z ulgą. Odprowadził gościa do drzwi.

— Towarzyszu, co się stało z Maksem Batu? — To było niebezpieczne pytanie, ale musiał je zadać.

Dragosani zatrzymał się za progiem, rzucił w tył szybkie spojrzenie.

— Z Maksem? I o nim wiesz? To był wypadek.

— Ach, wypadek — przytaknął Władik. — Oczywiście.

Igor został sam, dokończył wódkę, usiadł w mroku, pogrążył się w myślach. Gdzieś na mieście zegar wybijał północ. Zdecydował się złamać swą zasadę. Rzucił spojrzeniem w przyszłość, przeszedł swoją linię życia aż do jej nieuchronnego końca, który miał przyjść za trzy dni — gwałtownie i ostatecznie.

Władik automatycznie zaczął pakować swoje rzeczy, przygotował się do ucieczki. Wiedział, że gdy Borowic odejdzie, Dragosani przejmie Wydział E — to, co z niego zostanie. Grigorij Borowic był podły, ale był człowiekiem. A Dragosani...? Władik wiedział, że nigdy nie będzie mógł dla niego pracować. Może Borys umrze jutro wieczorem, a jeśli nie? Jego linia była tak obca, tak zadziwiająca. Władik widział dla siebie tylko jedną drogę: musi spróbować, przynajmniej spróbować uniknąć tego, czego nie da się uniknąć.

Tysiąc mil dalej, mroczna wieża strażnicza strzegła muru w Berlinie Wschodnim. Karabin maszynowy Kałasznikowa czekał na Igora Władika. Jasnowidz nie wiedział, że jego przyszłość i przyszłość karabinu zaczęły się do siebie zbliżać. Spotkają się dokładnie o dziesiątej trzydzieści dwie, za trzy dni.

Dragosani wrócił prosto do swojego mieszkania. Zadzwoił na zamek i połączył się z oficerem dyżurnym. Podał nazwisko: „Harry Keogh” wraz z opisem, do natychmiastowego przekazania na wszystkie przejścia graniczne ZSRR. Poinformowano, że Harry Keogh to szpieg z Zachodu, który powinien zostać bezwarunkowo aresztowany, a jeśli to się okaże za trudne — zastrzelony. KGB też miała się dowiedzieć, Dragosani nie zważał na to. Gdyby złapali Keogha żywcem, nie będą wiedzieli, co z nim począć, więc w końcu przekażą go jemu. A jeśli zabiją... tym lepiej.

Dragosani po trosze wierzył w przepowiednie Władika, ale nie całkowicie. Igor upierał się, że przeszłości nie można zmienić, Borys myślał inaczej. Tylko jeden z nich miał rację, obaj muszą poczekać do jutra. W każdym bądź razie, obiecany „kłopot” na zamku może nie mieć nic wspólnego z Harrym Keoghem.

Po wykonaniu telefonu Dragosani wypił jeszcze jeden kieliszek. To nie był jego

nawyk. W końcu padł do łóżka i spał do późnego rana...

Za dwadzieścia dwunasta rano, następnego dnia zaparkował swoją wołgę w zagajniku, poza główną drogą, pół mili od najbliższej dachy. Postawił kołnierz płaszcza i przemierzył pieszo resztę drogi do osady Żukowka. Przed południem zszedł z drogi i podążył przez lasek po głębokim śniegu. Doszedł do willi Borowica. Uśmiechnął się ponuro i szybko podbiegł brukowaną ścieżką do drzwi. Zapukał delikatnie w dębowe drewno. Czekał, wdychał zapach drewna unoszący się w cierpkim zimnym powietrzu. Topniejące sople zwisające z dachu wskazywały, że temperatura rośnie. Wkrótce śnieg stopnieje, a wraz z nim znikną ślady butów Dragosaniego — nie będzie miał z tym miejscem nic wspólnego.

Usłyszał kroki wewnątrz, drzwi uchyliły się skrzypiąc. Blady, ze zmierzwionymi włosami i zaczerwienionymi oczyma, generał wyjrzał, mrużąc powieki w szarym świetle dnia.

— Dragosani? — zdziwił się. — Powiedziałem, żeby mi nie przeszkadzać.

— Towarzyszu generale — uciął nekromanta — gdyby nie była to sprawa najpilniejszej wagi...

Borowic wyszedł, uchylił szerzej drzwi.

— Wejdz, wejdz — wymamrotał bez zwykłego dla siebie wigoru. Był tu sam przez tydzień, zgubił swoją krzepkość, jego smutek był prawdziwy. Zestarzał się, wyglądał na zmęczonego. To wszystko pasowało do planu nekromanty.

Wszedł, pozwolił poprowadzić przez krótki korytarz. Doszli do małego, pokrytego sosnową boazerią pokoju. Natasza leżała zakryta całunem. Borowic pogłaskał jej zimną twarz, odszedł od ciała z opuszczoną głową. Nie mógł ukryć łzy, która błysnęła w kąci oka.

Zaprowadził Borysa do bardziej przytulnego pokoju, stanowiącego jednocześnie salon i jadalnię. Wskazał na miejsce pod oknem. Rozpostarte okiennice szeroko wpuszczały zimowe światło. Dragosani zaakceptował miejsce skinieniem głowy, Borowic ciężko opadł na kanapę.

— Wolę postać — powiedział nekromanta. — Nie zajmę dużo czasu.

— Przelotna wizyta? — chrząknął generał bez zainteresowania. — Mogłeś poczekać, Borys. Jutro zabierają Nataszę, wracam do Moskwy, potem za Zamek Bronnicy. Cóż tak pilnego sprowadza cię do mnie? Powiedziałeś, że wyprawa do Anglii udała się całkowicie.

— W istocie — potwierdził — ale po drodze wyniknął problem.

— No?

— Towarzyszu generale — powiedział Dragosani. — Grigorij nie zadawaj na razie pytań, powiedz mi coś. Pamiętasz naszą rozmowę o przyszłości Wydziału E? Powiedziałeś, że pewnego dnia podejmiesz decyzję, kto przejmie władzę, gdy ty...

odejdiesz. Powiedziałeś też, że zdecydujesz między mną a Igorem.

Borowic ściągnął brwi, spojrzał na nekromantę z niedowierzaniem.

— Więc po to tu jesteś! — burknął. — To jest ta pilna sprawa? Myślisz, że chcę odejść. A może myślisz, że już pora, bym się odsunął? Natasza umarła, więc może pomyślę o emeryturze, co? — Wyprostował się, oczy błysnęły ogniem, który Borys nieraz już widział. Tym razem nie bał się tego spojrzenia.

— Powiedziałem, byś nie zadawał pytań — przypomniał Dragosani ponurym, dudniącym głosem. — To ja szukam odpowiedzi, Grigorij. Teraz powiedz: kogo wybrałeś na swoje miejsce? Czy już zdecydowałeś? Jeśli tak, to czy zapisałeś, uwieczniłeś to postanowienie?

Borowic był zdziwiony i oburzony.

— Jak śmiesz? — podniósł głos, oczy wyszły mu z orbit. — Jak śmiesz? Zapomniał się. Zapomniałeś, kim jestem i gdzie jesteś. Zapomniałeś albo umyślnie wykorzystujesz fakt, że ostatnio przytrafiło mi się nieszczęście. Niech cię... Dragosani. Ale odpowiem na twoje pytania. Nie zapisałem nic na papierze — nie ma potrzeby. Jeszcze długo będę szefem Wydziału E, zapewniani cię. Co więcej, nawet gdybym już napisał, wybrał następcę, to od tej chwili możesz sobie wybić z głowy, że kiedykolwiek obejmiesz to stanowisko. — Wstał, poniosła nim złość. — Teraz zabieraj stąd swoją pieprzoną dupę, wynoś się zanim...

Borys zdjął ciemne okulary. Generał spojrzał, był oszołomiony wielką zmianą, jaka zaszła na twarzy nekromanty. Prawie nie przypominał już dawnego Dragosaniego. Te oczy, te nieprawdopodobne purpurowe oczy!

— Zwalniasz mnie? — Borowic próbował odsunąć się od Dragosaniego, ale tapczan blokował drogę odwrotu. — Ty? Zwalniasz mnie?

Nekromanta rozwarł szczęki, pokazał kły ostre jak sztylety.

— Mamy dla ciebie pożegnalny prezent, generale.

— My?

— Ja i Maks Batu — odrzekł Borys. Borowic spojrzał na piekielną twarz nekromanty. Zatoczył się do tyłu, rozpostarł ramiona, uderzył o ścianę i odbił się. Półki i obrazy posypały się z hukiem. Borowic padł, uderzył o kanapę. Złapał się za serce, próbował opanować drżenie kończyn, usiłował wstać, łapał powietrze do wytężonych z wysiłku płuc. Serce waliło mocno. Nie wiedział jak, ale czuł, że Dragosani załatwił go.

Ostatnia nadzieja kołatała w jego myślach.

— Dragosani! — wyciągnął drżące, ciężkie ręce ku nekromancie. — Drago...

Borys posłał psychiczny pocisk. I jeszcze jeden. Borowic zdołał usiąść i dokończyć ostatnie słowo, zanim dobiło go kolejne złe spojrzenie.

— ...sani.

Były szef Wydziału E siedział prosto, martwy jak skała, niewątpliwie — atak serca.

— Klasycznie! — pochwalił sam siebie Dragosani. Rozejrzał się po pokoju. Drzwi narożnej szafki były uchylone, wewnątrz dojrzał starą, rozklekotaną maszynę do pisania i kartki papieru. Zaniósł maszynę na stół, włożył świeży arkusz i pracowicie wystukał:

Nie czuję się dobrze. To serce. Śmierć Nataszy rozstroiła mnie. Myślę, że idzie koniec. Dotychczas nie wyznaczyłem następcy — czynię to teraz. Jedynym człowiekiem godnym zaufania jest tow. Borys Dragosani, szczerze oddany ZSRR i Pierwszemu Sekretarzowi.

Jeśli przyjdzie na mnie koniec, chcę, żeby moje ciało znalazło się pod opieką tow. Dragosaniego. On zna moje życzenia w tym względzie...

Dragosani uśmiechnął się do zapisanej kartki papieru. Przeczytał treść jeszcze raz, złożył i opatrzył inicjałami: G.B., starając się naśladować charakter pisma Borowica. Wytarł chusteczką klawisze i zaniósł maszyną na kanapę. Usiadł obok trupa, chwycił za jeszcze ciepłe ręce i przyłożył palce do klawiszy. Borowic patrzył nieruchomymi oczyma.

— Zrobione, Grigorij — szepnął nekromanta i zaniósł maszynę na stół. — Idę, ale to jeszcze nie końcowe do widzenia. Gdy ciebie odnajdę, spotkamy się jeszcze na zamku. Na ile cenisz swoje najskrytsze myśli, generale?

Dochodziła pierwsza, kiedy Dragosani wyszedł z willi i skierował się do samochodu.

Sobota. W zamku Bronnicy było mniej ludzi niż zwykle. Straże sprawdziły Dragosaniego przy zewnętrznych murach, przekazano dalej wiadomość o jego przybyciu. W centralnym budynku już czekał oficer dyżurny. Nosił specjalny mundur, szary kombinezon z pojedynczym, żółtym paskiem na piersi. Podszedł do parkującej na wyznaczonym miejscu wołgi, zsalutował.

— Dobre wieści, towarzyszu — oświadczył, idąc z Dragosanem przez korytarz i otwierając kolejne drzwi. — Mamy ślad tego brytyjskiego agenta. Wiadomość czeka na was na górze.

Borys ujął ramię oficera jak w uścisk imadła. Oficer ostrożnie zwolnił, patrzył z ciekawością na przybyłego.

— Coś nie w porządku, towarzyszu?

— Nie, jeśli złapiemy Keogha — mruknął. — Wszystko w porządku. To nie z tobą rozmawiałem zeszłej nocy?

— Nie, towarzyszu — jestem dopiero od rana. Przeczytałem dziennik, to wszystko. Gdy przyszła wiadomość o tym Keoghu...

Dragosani przyjrzał się bliżej rozmówcy. Chudy, z opuszczonymi ramionami — typowa miernota. Przede wszystkim pracownik operacyjny, zapewnię zdolny, ale zbyt pompatyczny, zbyt zarozumiały i zadowolony z siebie jak na jego gust.

— Chodź ze mną — powiedział chłodno — opowiesz mi o Keoghu po drodze.

Nekromanta z łatwością biegł przez korytarze zamku. Wspinał się po schodach do prywatnego sektora Borowica. Oficer z trudem nadązał.

— Zwolnijcie, towarzyszu, bo mi nie starcza powietrza, żeby cokolwiek powiedzieć — wysapał.

Dragosani biegł dalej.

— O Keoghu? — rzucił przez ramię. — Gdzie on jest? Kto go złapał? Przyślą go tutaj?

— Nikt go nie „złapał”, towarzyszu — dyszał oficer. — Wiemy tylko, gdzie jest, to wszystko. Znajduje się w NRD, w Lipsku. Przeszedł przez Checkpoint Charlie jako turysta. Nie ukrywa swej tożsamości — bardzo dziwne. Jest w Lipsku od czterech czy trzech dni. Większość czasu spędza na cmentarzu. Pewnie czeka na kontakt.

— Och? — Dragosani zatrzymał się na chwilę, rzucił wzrokiem na oficera i wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Mówicie „pewnie”.

— Powiem wam, towarzyszu, nic nie jest pewne z tym draniem!

— Teraz szybko do mojego biura, wydam rozkazy — krzyknął Borys

Wpadli do przedpokoju gabinetu Borowica

— Waszego biura? — rozdziawił usta oficer.

Za biurkiem siedział sekretarz Borowica, młody mężczyzna w grubych okularach, przedwcześnie łysiejący. Był zaskoczony. Dragosani wyrzucił kciuk w kierunku otwartych drzwi.

— Wynoś się. Poczekaj na zewnątrz. Wezwę cię w razie potrzeby.

— Co? — zaskoczony mężczyzna powstał z miejsca. — Towarzyszu Dragosani, protestuję, ja...

Borys sięgnął ręką przez biurko, chwycił sekretarza za lewy policzek, przeciągnął go po blacie, rozsypując pióra i ołówki. Mężczyzna wydał cichy, skrzekliwy wrzask bólu. Dragosani obrócił nim w kierunku drzwi, wycelował kopniaka i uwolnił.

— Poskarż się generałowi, jeśli go zobaczysz — rzucił — a teraz wykonuj moje rozkazy, bo zastrzelę!

Nekromanta przeszedł przez stare biuro Borowica, oficer dyżurny podązał za nim. Dragosani opadł w fotelu za biurkiem, spojrzął na oficera.

— Dobrze, kto śledzi Keogha?
Oficer dyżurny, zbyt przestraszony, jąkał się zanim coś wykrztusił.
— Ja... ja... my... GREPO — uspokoił się w końcu. — Grenzpolizei, niemiecka policja graniczna.
— Tak, tak — wiem, co to GREPO — huknął Borys. Pokiwał głową. — Dobrze. Ci są niezli, tak mi mówiono. A teraz moje rozkazy w imieniu Borowica: ująć Keogha, jeśli możliwe — żywego. To właśnie rozkazałem wczoraj, nie lubię się powtarzać.
— Nie mają podstaw do zatrzymania, towarzyszu — wyjaśnił oficer dyżurny.
— Nie jest poszukiwany, dotychczas nie złamał prawa.
— Podstawą zatrzymania jest... morderstwo — powiedział Dragosani — Keogh zabił naszego agenta w Anglii. Musi zostać ujęty. Jeśli to okaże się niemożliwe — zabić! To także rozkazałem ostatniej nocy.
Oficer dyżurny poczuł się osobiście oskarżony, zaczął się usprawiedliwiać.
— Ale ci Niemcy, towarzyszu — ciągnął — wierzą jeszcze, że sami się rządzą, rozumiecie?
— Nie — odparł Borys — nie rozumiem. Skorzystaj z telefonu obok, połącz mnie z kwaterą główną Grenzpolizei w Berlinie. Pomówię z nimi.
Oficer stał z otwartymi ustami.
— Ruszaj — rzucił — i zawołaj tu tego dupka.
Wszedł sekretarz Borowica.
— Siadaj i słuchaj. Dopóki towarzysz generał nie wróci, ja tu rządę. Co wiesz o zamku?
— Prawie wszystko, towarzyszu. — Mężczyzna był ciągle blady i przestraszony, trzymał się za policzek. — Towarzysz generał powierzył mi wiele spraw...
— Ludzie?
— Nie rozumiem, towarzyszu Dragosani.
— Omiń to — huknął — żadnych towarzyszy. To strata czasu. Mów po prostu: Dragosani.
— Tak, Dragosani.
— Ludzie? — powtórzył nekromanta. — Ilu mamy ludzi? Tutaj! Teraz!
— Tu, na Zamku? Teraz? Bazowy personel esperów, może dwunastu ludzi ochrony.
— Możliwość mobilizacji?
— Istnieje.
— Dobrze, chcę mieć trzydziestu ludzi. Do piątej, najpóźniej. Chcę tutaj naszych najlepszych telepatów i jasnowidzów, łącznie z Igorem Władikiem. Czy to możliwe zebrać tych ludzi do piątej?

— W ponad trzy godziny? Tak, Dragosani, z pewnością — sekretarz potwierdził błyskawicznie.

— Ruszaj!

Borys został sam, usiadł na krześle, położył nogi na biurku. Myślał, co robić: „Jeśli Niemcy złapią Keogha, szczególnie, jeśli go zabiją, to należy odrzucić możliwość jego udziału w wieczornym zamieszaniu. Czy jednak na pewno? Ale przecież trudno pojąć, jak Keogh może się tutaj znaleźć. Z Lipska na Zamek Bronnicy w kilka godzin? Może lepiej skoncentrować się nad inną ewentualnością? Ale jaką? Sabotaż? Czy zimna wojna ESP przybrała gorący charakter? Może zabójstwo Keenana Gormleya przepaliło dotychczasowy bezpiecznik? Co może się zdarzyć na zamku? To miejsce to istna twierdza — nawet pięćdziesięciu Keoghów nie dałoby sobie rady z zewnętrznym murem!”

Dragosani był zły na siebie — napięcie rosło, zmusił się, żeby już nie myśleć o Harrym. Nie — zagrożenie musi przyjść z innej strony. Zaczął zastanawiać się nad systemem obronnym twierdzy.

Dotąd nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego umacniano zamek. Stary generał Borowic był żołnierzem, zanim otworzył Wydział E, był ekspertem strategii, bez wątplenia miał swoje powody, zwracając szczególną uwagę na bezpieczeństwo. Ale tutaj, pod Moskwą — czego się obawiał? Rebelii? Kłopotów z KGB? A może była to pozostałość, słabość z żołnierskich czasów?

Zamek nie był jedynym umocnionym miejscem w ZSRR. Ośrodki kosmiczne, stacje badań atomowych, laboratoria broni biologicznej i chemicznej — to były główne chronione obiekty, strzeżone jak źrenica oka.

Dragosani zawył — tak bardzo chciał mieć teraz Borowica na dole, w sali pokazowej, rozciągniętego na stalowym stole, z wywieszonymi jelitami, z wszystkimi tajemnicami na wierzchu.

— Towarzyszu Dragosani — głos oficera dyżurnego, dobiegający z sąsiedniego pokoju rozwiął myśli nekromanty. — Na linii centrala GREPO, w Berlinie — łączę.

— Dobrze — odkrzyknął — ja porozmawiam, a dla ciebie zadanie: przeszukać dokładnie zamek, szczególnie piwnice. O ile wiem, są pomieszczenia, do których nikt nie zaglądał. Przewrócić wszystko do góry nogami. Szukajcie bomb, urządzeń zapalających, wszystkiego, co może wyglądać podejrzanie. Chcę jak najwięcej ludzi, szczególnie ekspertów. Zrozumiane?

— Tak jest, towarzyszu!

— A teraz połącz mnie z tymi pieprzonymi Niemiaszkami.

Trzecia piętnaście. Na cmentarzu miejskim w Lipsku panowało arktyczne wręcz

zimno. Harry Keogh opatulony płaszczem, trzymał pusty kubek po kawie. Siedział zziębnięty u stóp grobu A. F. Möbiusa, był zdesperowany. Starał się pojąć umysłem espera, swoim „metafizycznym” talentem zakrzywione własności czasoprzestrzeni, czterowymiarowej topologii. Nie dało rady, choć intuicja mówiła, że to możliwe, można podróżować w czasie po wstędze Möbiusa. Ale przeszkodą była mechanika — nieosiągalny szczyt góry. Jego intuicyjne czy instynktowne rozumienie matematyki i nie-euklidesowej geometrii nie wystarczało. Czuł jakby przedstawiono mu równanie: $E = mc^2$ i poproszono o udowodnienie przez eksplozję jądrową, tylko przy użyciu gołych rąk. Jak zmienić bezcielesne liczby, czystą matematykę w fizyczne fakty? Nie wystarczy wiedzieć, że dom jest zbudowany z dziesięciu tysięcy cegieł. Nie buduje się liczb — potrzeba cegieł! Möbiusa posyłał swój bezcielesny umysł do najdalszych gwiazd, ale Harry był fizycznym, trójwymiarowym człowiekiem, istotą z krwi i kości. Załóżmy, że się udało, że odkrył, jak teleportować się z hipotetycznego punktu A do punktu B bez przemierzania fizycznej odległości. I co z tego? Gdzie się teleportuje? To było równie niebezpieczne, jak udowodnianie prawa grawitacji przez skok z nadbrzeżnej skały.

Umysł Harry’ego roztrząsał ten problem od kilku dni. O niczym innym nie myślał. Jadł, pił, spał — zaspokajał tylko podstawowe potrzeby, nic poza tym. Problem pozostawał nierozwiązany. Czasoprzestrzeń nie chciała się wygiąć dla niego, równania wyglądały jak niezbadane zakrętasy. Pragnął wdrzeć się fizycznie w metafizyczny świat.

— Potrzebujesz bodźca, Harry — powiedział Möbius, włamując się do myśli Keogha pewnie już pięćdziesiąty raz tego dnia. — Myślę, że tylko to ci pozostało. Potrzeba jest matką wynalazków, prawda? Już wiesz, co chcesz zrobić, myślę nawet, że masz nosa i intuicyjną zdolność, choć jeszcze nie doszedłeś do rozwiązania. Nie masz tylko powodu. Tego właśnie ci trzeba — dobrego bodźca, ukłucia, które pozwoli tobie zrobić ostateczny krok.

Harry potakiwał ze zrozumieniem.

— Pewnie masz rację — dodał. — Wiem, że to zrobię, po prostu... jeszcze nie próbowałem. To tak jak z rzucaniem palenia. Możesz, ale nie potrafisz. Rzucisz, kiedy będzie za późno, gdy będziesz umierał na raka. Ale ja nie chcę czekać tak długo! Mamy już wszystko: matematykę, teorię, świadomość, intuicję, jak ty to określasz. Brakuje tylko powodu. Powiem ci, co czuję.

Siedzę w dobrze oświetlonym pokoju. Są drzwi i okno. Wyglądam na zewnątrz. Ciemno — tak jak zawsze. To nie noc, to wiecznie trwająca ciemność. Przestrzeń między przestrzeniami. Wiem, że są inne pokoje. Problem w tym, że nie wiem dokładnie gdzie. Jeśli wyjdę, otoczy mnie ciemność, stanę się jej częścią. Mogę już nie wrócić do pokoju. To nie znaczy, że nie mogę wyjść, po prostu nie chcę my-

śleć jak tam jest. Czuję, że wyjście będzie rozszerzeniem poznania, moich zdolności, ale nie do końca. Jestem jak pisklę w skorupie — nie wydostanę się dopóki nie będę musiał.

— Z kim rozmawiasz, Harry? — zapytał głos. To nie był głos Möbiusa. Beznamiętny, chłodny, obcy ton.

— Co? — Harry spojrzał w górę zdziwiony.

Było ich dwóch. Od razu poznał, kim są. Nawet nic nie wiedząc o szpiegostwie, rozpoznaliby tych dwóch na pierwszy rzut oka. Zmrozili go bardziej niż wiatr, który na dobre rozszalał się na pustym cmentarzu, miotał liśćmi, skrawkami papieru po ścieżkach między grobami.

Jeden był wysoki, drugi niski. Obaj w ciemnoszarych płaszczach, w opuszczonych na oczy kapeluszach, w czarnych okularach. Wyglądali jak bliźniacy. Z pewnością mieli podobne charaktery, podobne ambicje. Z miejsca można było poznać, że są policjantami, agentami tajnej służby.

— Co? — powtórzył, wstając sztywno. — Rozmawiam ze sobą. Przepraszam, ale tak już jest. Taki nawyk.

— Mówienie do siebie? — powiedział wysoki i zaprzeczył ruchem głowy. — Nie sędzę. — Miał szorstki akcent, wąskie usta i złowieszczy uśmiech. — Sędzę, że rozmawiałeś z kimś innym, prawdopodobnie z innym szpiegiem, Keogh.

Harry cofnął się dwa kroki.

— Naprawdę nie rozu... — zaczął.

— Gdzie jest nadajnik, Herr Keogh? — zapytał niski. Podszedł i kopnął w ziemię, gdzie przed chwilą jeszcze siedział Harry. — Tutaj? Zakopany w ziemi? Przesiadujesz tu codziennie godzinami i gadasz do siebie? Uważasz nas za głupców?

— Posłuchajcie — tłumaczył się Harry, wycofując się — to pomyłka. Ja — szpiegiem? To nieporozumienie, jestem turystą.

— Tak? — powiedział wysoki. — Turystą? W środku zimy? Jaki turysta siedzi na cmentarzu dzień w dzień i rozmawia ze sobą. Stać cię na więcej, Herr Keogh. A nas na jeszcze więcej, według naszych danych jesteś agentem brytyjskiego wywiadu, a także mordercą. Pójdziesz z nami.

— Nie idź z nimi, Harry! — to głos Keenana Gormleya przyszedł z nikąd nieproszony do umysłu młodzieńca — Uciekaj, człowieku! Uciekaj!

— Ale jak? — szepnął.

— O, Harry, mój synu! — krzyknęła matka. — Proszę uważaj!

Niższy wyciągnął kajdanki.

— Ostrzegam pana, Herr Keogh, przed próbą oporu. Jesteśmy z kontrwywiadu, z Grenzpolizei i...

— Uderz, go Harry! — ponaglił Graham „Sierżant” Lane. — Wiesz, jak poradzić

sobie z tymi facetami, załatwiasz ich, zanim oni załatwią ciebie. Uważaj, są uzbrojeni!

Niższy podszedł o trzy kroki, trzymając przed sobą wyciągnięte kajdanki. Harry przybrał obronną pozycję. Wysoki również podszedł.

— Co to ma znaczyć? — ryknął. — Stawiasz opór. Wiedz, Keogh, że mamy rozkaz wziąć ciebie żywego, bądź martwego!

Już chciał zapiąć kajdanki na nadgarstkach Harry'ego, gdy ten w ostatniej chwili odrzucił je, wykonał półobrót i uderzył Niemca piętą wyprostowanej nogi. Cios trafił w klatkę piersiową, złamał żebra. Szpicel krzyknął z bólu i padł na ziemię.

— Nie wygrasz, Harry! — naciskał Gormley. — Nie tak!

— On ma rację — dodał James Gordon Hannant. — To twoja ostatnia szansa, Harry. Musisz z niej skorzystać. Nawet jeśli zatrzymasz tych dwóch, i tak przyjdą inni. Nie tędy droga. Musisz użyć swojego talentu. Jest większy niż podejrzewasz. Nie nauczyłem cię wiele matematyki, pokazałem tylko jak wykorzystać to, co w tobie siedzi. Twój potencjał jest niezmierny. Człowieku, znasz wzory o jakich mi się nawet nie śniło. Sam mi to powiedziałeś, synu, pamiętasz?

Zawiłe równania natychmiast pojawiły się na ekranie umysłu. Metafizyczna jaźń sięgnęła fizycznego świata, żadna nagiąć go do swoich potrzeb. Słyszał w oddali jęk szafu bólu powalonego szpicla, kątem oka dojrzał, jak wyższy sięga do płaszczka po rewolwer z krótką lufą. Otwarte, ponad obrazem rzeczywistości, drzwi do czasoprzestrzeni Möbiusa były już w jego zasięgu, ich ciemne progi zapraszały do środka.

— Jest! — krzyknął Möbius — którekolwiek z nich!

— Nie wiem dokąd prowadzą! — wykrzyknął Harry.

— Powodzenia! — powiedzieli Lane, Gormley i Hannant jednocześnie.

Rewolwer wyższego szpicla wypluł ogień i ołów. Harry obrócił się, poczuł na szyi gorący podmuch, kula przebiła kołnierz płaszczka. Zakręcił się, skoczył i kopnął wysokiego. Uderzeniem zmiażdżył twarz Niemca. Szpicel padł, broń poleciała na bok. Przeklinał, pluł krwią i zębami. Podpełzł do rewolweru, chwycił w obie ręce, wstał, kiwając się na nogach.

Harry kątem oka wytropił drzwi na wstędze Möbiusa. Blisko, wystarczyło sięgnąć ręką. Wysoki mamrotał niezrozumiale, wycelował broń. Harry odkopnął rewolwer, chwycił Niemca za ramię, wytrącił z równowagi i rzucił... przez otwarte drzwi. Szpicel... zniknął. Znikąd dobiegło echo słabego wrzasku. Krzyk potępionego, jęk zagubionej duszy, zatraconej na zawsze w nieskończonej ciemności.

Keogh słuchał i zadrżał, ale tylko na chwilę. Jęk zanikał, usłyszał komendy, chrzęst biegnących po żwirze butów. To nadciągali następni Niemcy, przeskakiwali groby, otaczali go. Keogh już wiedział, że to ostatnia chwila, by skorzystać

z drzwi. Zraniony mężczyzna trzymał rewolwer w drżących dłoniach. Miał wystraszone oczy ... nie był pewien, czy warto nacisnąć spust i strzelić.

Harry nie dał mu czasu na zastanowienie. Znów odkopnął broń, zatrzymał się jeszcze na ułamek sekundy, na ekranie jaźni przewijały się fantastyczne wzory. Niemcy byli coraz bliżej. Pierwszy pocisk wyrwał kawałek marmuru z nagrobka.

Nad grobem Möbiusa pojawiły się drzwi. „Teraz” — pomyślał Harry i rzucił się w bezdenną otchłań.

Miotający się na zimnej ziemi, niemiecki szpicel patrzył, jak Keogh znika w kamieniu.

Podbiegli inni, dyszeli ciężko, zatrzymali się... Trzymali broń gotową do otwarcia ognia. Rozglądali się podejrzliwie dookoła. Jeden z nich wskazał drżącym palcem na nagrobek Möbiusa. Zaszokowany do granic, nie był w stanie nic powiedzieć.

Wiał przejmujący wiatr...

Czwarta czterdzieści pięć. Dragosani już wiedział: Keogh żył, nie został pojmany, zdołał uciec. Raporty były dość zawiłe, niejasne, trudno było cokolwiek zrozumieć. Zginął jeden niemiecki agent, drugi poważnie raniony. Niemcy robili dużo szumu wokół sprawy, żądali wyjaśnień, chcieli wiedzieć z kim walczyli.

Czas naglił, nie było wątpliwości, że to Harry Keogh zjawi się dziś wieczorem. Pozostawało pytanie, w jaki sposób to zrobi. Dragosani był pewien tylko jednej rzeczy, że tu przybędzie. On sam przeciwko armii Zamku Bronnicy. Zadanie niemożliwe — ale nekromanta wiedział, że istnieją rzeczy uznane za niewykonalne.

System obrony twierdzy działał sprawnie. Dragosani zebrał wszystkich swoich ludzi i dodatkowo sześć osób. Wzmocnił stanowiska karabinów maszynowych na zewnętrznych murach, podobnie baterie w przybudówkach i na samym zamku. Esperzy „pracowali” na dole w laboratoriach, w otoczeniu aparatury najbardziej odpowiadającej ich zdolnościom i talentom. Dragosani zamienił biura Borowica w sztab operacyjny.

Zamek dokładnie przeszukano. Oderwano podłogi, wiekowe stropy, odsłonięto fundamenty prawie do gołej ziemi. Trzy tuziny ludzi mogą narobić wiele szkód, szczególnie, jeśli oznajmi się, że od tego może zależeć ich życie.

Fakt, że całe to zamieszanie powstało z powodu jednego człowieka, doprowadził Dragosaniego do szału. To wszystko znaczyło, że Keogh posiada niesłychaną niszczycielską siłę. Cóż to mogło być? Borys wiedział, że Keogh był nekroskopem, widział, jak ożywił zmarłego w rzece i skorzystał z jego pomocy. Ale to była jego matka! To było w Szkocji, tysiące mil stąd. Zastanawiał się, kto mógł tutaj stoczyć bitwę w imieniu Harry’ego Keogha?

Dragosani był przerażony. W każdej chwili mógł opuścić to miejsce (awantura została przewidziana tylko na Zamek Bronnicy), ale jednak nie było to w jego interesie. Byłby tchórzem, a przepowiednie Władika o śmierci Wampira mogłyby się nie spełnić. Borys pragnął szczerze pozbyć się współtowarzysza swego ciała. To była jego ambicja, sam umysł podświadomie dążył do tego celu.

Ludzie wysłani do mieszkania Władika znaleźli list do narzeczonej wyjaśniający nieobecność. Władik miał wkrótce zadzwonić do niej z Zachodu. Dragosani z ponurą satysfakcją przekazał opis zdrajcy do wszystkich punktów granicznych. Nie dał mu żadnej szansy, rozkaz brzmiał: „Zastrzelić na miejscu w imieniu bezpieczeństwa ZSRR”

„Władik... czy tutaj pożyłby dłużej?” — zastanawiał się Dragosani. „Czy przestraszył się mnie, czy uciekał przed czymś zupełnie innym...”

Coś nadciągało... z najbliższej przyszłości.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Stało się tak, jak Harry przewidywał, za drzwiami Möbiusa odkrył pierwotną ciemność, ciemność, która istniała przed początkiem wszechświata.

Nieobecność światła, ale i nieobecność wszechrzeczy. Był jak w czarnej dziurze, tyle, że „czarna dziura” posiada ogromną grawitację — to miejsce nie miało jej wcale. W pewnym sensie była to metafizyczna płaszczyzna istnienia, ale nic tutaj nie istniało. Było to miejsce, w którym Bóg nie wypowiedział jeszcze cudownych słów stworzenia: „Niech się stanie światło”.

Był nigdzie — był wszędzie, w środku i na skraju. Stąd można było dotrzeć w każde miejsce i zejść donikąd, zgubić się na zawsze. Na zawsze, bo w tym bezczasowym otoczeniu nic się nie zmieniało, nic nie starzało — oprócz siły woli. Harry Keogh był tutaj obcym ciałem, niechcianym pyłkiem w samym sercu kontinuum Möbiusa — musiał zostać odrzucony. Czuł napierające, niematerialne siły próbujące go usunąć, wypchnąć do fizycznej rzeczywistości.

Mógł wyczarować drzwi, miliony milionów drzwi prowadzących do wszelkich miejsc i wszystkich chwil w czasie. Wiedział, że większość z nich przynosi śmierć. Nie mógł, jak Möbius wyłonić się w obcej galaktyce, daleko w kosmosie. Nie był ciałem jaźni, był zwykłą materią. Nie zamierzał zamarznąć, usmażyć się, stopić czy wybuchnąć.

Skok w grób Möbiusa mógł zanieść go dalej o metr albo o rok świetlny, minutę albo wieczność od terażniejszości. Poczuł pierwsze, próbne pchnięcie siły innej, niż odrzucające parcie ponadczasowego wymiaru. Nawet nie pchnięcie, raczej delikatne ciśnienie, które wydawało się być przewodnikiem w ciemności. Czuł już to kiedyś wcześniej, kiedy szukał matki pod lodem, gdy dopłynął do miejsca jej spoczynku pod zwisającym brzegiem. Ta siła nie mogła być zagrożeniem.

Harry oddał się mocy, dryfował, poczuł jak ciśnienie wzmagą się. Podążał za nim jak niewidomy postępuje za przyjacielskim głosem. A może jak ćma w kierunku świecy? Nie — intuicja mówiła, że cokolwiek to było, nie stanowiło niebez-

pieczeństwa. Siła narastała, pchała Keogha w strumieniu czasoprzestrzeni. Jakby widząc światło w tunelu, Harry czuł bliski koniec podróży.

— Dobrze — odezwał się odległy głos w głowie Harry'ego — bardzo dobrze, chodź do mnie, Harry, chodź do mnie. — To był kobiecy głos, zimny jak lód. Głos przejmujący jak wiatr na cmentarzu w Lipsku, stary jak świat.

— Kim jesteś? — zapytał Harry.

— Przyjacielem — padła odpowiedź.

Keogh skierował się w kierunku głosu, chciał dryfować właśnie w tę stronę. I już przed nim stały drzwi Möbiusa. Sięgnął, zatrzymał się.

— Skąd mam wiedzieć, że jesteś przyjacielem? Dlaczego mam ci ufać?

— Kiedyś zadałam to samo pytanie — odpowiedział głos, teraz zupełnie blisko. — Nie mogłam wiedzieć, ale ufałam.

Harry otworzył drzwi, przestąpił je. Rzucił się przez nie na oślep jak za pierwszym razem, znalazł się w zawieszaniu, tuż nad ziemią, po chwili upadł. Chwycił się ziemi, przytulił się. Głos w jego głowie zaśmiał się szczerze.

— I co? — powiedział — Widzisz? Jestem przyjacielem.

Harry czuł zawrót głowy, powoli wyciągnął palce z suchej ziemi. Uniósł się, rozejrzał dookoła. Światło i mnogość kolorów oszołomiły go. Światło i ciepło — to było pierwsze wrażenie, które do niego dotarło. Gleba gotowała się pod jego ciałem, słońce paliło szyję i ręce.

Powoli, wciąż czując zawroty głowy, usiadł. Stopniowo przyzwyczajał się do siły grawitacji, obraz przed oczyma przestał wirować.

Nie zapędził się daleko, od razu rozpoznał, że znajduje się gdzieś w okolicach Morza Śródziemnego. Gleba była żółtobrazowa, przemieszana z piaskiem. Słoneczne ciepło w styczniu — to mogło się zdarzyć tylko blisko równika. Znajdował się teraz bliżej równoleżnika zero niż Lipska.

W oddali przebijały się ku niebu górskie szczyty, bliżej — ruiny, walące się białe mury, stoki gruzu, a nad głową... Dwa odrzutowce, jak srebrne strzały na czystym błękicie nieba, zostawiały ciągi pary, spiesząc ku linii horyzontu. Stłumiony grzmot silników przetoczył się nad głową Harry'ego.

Oddychał łatwiej, jeszcze raz spojrzął na ruiny. „Bliski Wschód?” — zastanawiał się. „Być może. Pewnie starożytna osada, która padła ofiarą czasu i natury”.

— Endor — powiedział głos w głowie — taka była nazwa tego miejsca, gdy tętniło życiem. To był mój dom.

— Endor? — zapytał Harry. — Biblijny Endor? Miejsce, w którym Saul przed swoją śmiercią poszedł na stoki Gilboa? Miejsce, gdzie szukał Wiedźmy?

— Tak mnie właśnie nazywali — zaśmiała się sucho Wiedźma z Endor. — To było dawno temu. Są wiedźmy i wiedźmy. Ja byłam potężna, ale teraz potężniej-

szy wstępuje na świat. W moim długim śnie usłyszałam o wielkim czarowniku. Zmarli nazywają go swoim przyjacielem. Wśród żywych są tacy, którzy obawiają się jego mocy. Tak, zapragnęłam z nim porozmawiać, z tym, który jest legendą wśród grobowych zastępów. Wezwałam i przyszedł do mnie. Jego imię brzmi: Harry Keogh!

Harry patrzył na ziemię pod sobą, zaparł się na rękach.

— Ty jesteś... tutaj? — zapytał.

— Jestem prochem świata — odpowiedział głos — moje popioły są tutaj.

— Dwa tysiące lat to szmat czasu. — Harry przytaknął. — Dlaczego mi pomogłaś?

— Chciałbyś, żeby wszyscy zmarli potępili cię na wieki? Dlaczego pomogłam? Ponieważ mnie poprosili — wszyscy! Twoja sława jest wielka, Harry. „Uchowaj go” — błagali — „jest przez nas ukochany.”

— Moja matka?

— Nie tylko — odpowiedziała wiedźma. — To niewątpliwie twój główny rzecznik, ale zmarłych jest wielu. Wstawiła się za tobą i tysiące innych również.

— Nie znam innych. Znam tuzin, może dwa. — Harry zdziwił się.

Wiedźma śmiała się długo i chrapliwie.

— Ale oni cię znają. Nie mogę znieważać moich braci i sióstr!

— Pomożesz mi? — zapytał Keogh.

— Tak.

— Wiesz, co mam zrobić?

— Inni mi powiedzieli.

— Więc pomóż mi, jeśli potrafisz. Szczerze mówiąc, nie chciałbym okazać się niewdzięczny, ale nie rozumiem, jak możesz mi pomóc.

— Jak? Dwa tysiące lat temu opanowałam część tych mocy, które ty posiadasz. Król Saul prosił mnie o pomoc, Harry. Błagał, żebym przepowiedziała mu przyszłość.

— Możesz zdradzić, co mnie czeka?

— Twoją przyszłość? — przez chwilę panowała cisza. — Zaglądałam do twojej przyszłości, Harry, ale nie pytaj...

— Aż tak źle?

— Zło — mówiła wiedźma — trzeba naprawić. Gdybym zdradziła przyszłość, nie pomogłoby ci to w wykonaniu zadania. Może, podobnie jak Saul, padłbyś osłabiony na ziemię.

— Przegram...? — serce Harry'ego zabiło mocniej.

— Część ciebie przepadnie.

Harry potrząsnął głową.

— To mi się nie podoba. Możesz powiedzieć coś więcej?

— Nic więcej nie powiem.

— Więc, może pomożesz mi z kontinuum Möbiusa. Nie wiem, jak się w tym odnaleźć. Nie wiem, co bym zrobił, gdybyś mnie nie wyprowadziła.

— Nie znam się na tym — odpowiedziała zaskoczona. — Wezwałam ciebie, a ty usłyszałeś. Niech prowadzą cię umarli, którzy darzą cię miłością.

— Czy to możliwe? To przynajmniej coś. Mogę spróbować. Jak inaczej możesz mi pomóc?

— Gdy przyszedł do mnie Saul — odrzekła Wiedźma — wezwałam Samuela. Są teraz tacy, którzy chcą z tobą rozmawiać. Będę medium ich przekazów.

— Przecież sam potrafię rozmawiać z umarłymi.

— Ale nie z tymi trzema — odpowiedziała — bo ich nie znasz.

— Dobrze, pomówię z nimi.

— Harry — szepnął nowy głos, zdradzający minione okrucieństwo właściciela.

— Widziałem cię tylko raz i ty mnie też. Nazywam się Maks Batu.

Harry westchnął, splunął z obrzydzeniem na piasek.

— Maks Batu? Nie jesteś moim przyjacielem! — zawołał. — Zabiłeś Keenana Gormleya. — Zastanowił się przez chwilę. — Ale ty? Nie żyjesz? Nie rozumiem.

— Zabił mnie Dragosani. Zrobił to, żeby skraść mój talent przy pomocy nekromancji. Podciął mi gardło, wypatroszył i zostawił moje ciało zbeszczeszczone. Teraz on ma Złe Oko. Nie muszę być twoim przyjacielem, Harry, ale nie jestem też przyjacielem tego szaleńca. Chcę, żebyś go zabił, dlatego mówię z tobą. To moja zemsta!

Głos Maksa Batu oddalił się.

— Byłem Tiborem Ferency — zagrzemiał głos Diabła, pełen żalości. — Mogłem żyć wiecznie, byłem wampirem, ale Dragosani zniszczył mnie. Byłem nieumarły, a teraz nie żyję.

Wampir! To stworzenie pojawiło się nagle w grze słownych skojarzeń Kyle'a i Gormleya.

— Nie potępiam Dragosaniego za zabicie wampira — powiedział Harry.

— Nie chcę, byś go potępił — głos stał się szorstki. — Chcę, byś go zabił! Chcę, żeby ten oszukańczy, nekromancki pies zdechł. Ma umrzeć. Umrzeć! Umrzeć! Wiem, że zginie, wiem, że to ty go zabijesz — ale tylko z moją pomocą. Jednak najpierw musisz... porozumieć się ze mną.

— Nie — ostrzegła Wiedźma — sam Szatan nie prześcignie Wampira w kłamstwie i oszustwie.

— Żadnych układów — pochwycił Harry.

— Ale to taka mała rzecz — zaprotestował Tibor, głos stał się proszącym o li-

tość jękiem.

— Jak mała?

— Obiecuj mi, że co pewien czas, niech nawet trwa to długo, znajdziesz chwilę, żebym porozmawiać ze mną. Nikt nie jest tak samotny, jak ja.

— Dobrze, obiecuję.

Wampir odetchnął z ulgą.

— Dobrze! Teraz wiem, dlaczego zmarli kochają ciebie. Wiedz jedno, Harry: Dragosani ma w sobie wampira. To stworzenie jest jeszcze niedojrzałe, ale rośnie szybko i jeszcze szybciej się uczy. Wiesz jak zabić wampira?

— Drewnianym kołkiem?

— Tym go tylko unieruchomisz. Potem musisz odciąć mu głowę.

— Zapamiętam — Harry nerwowo oblizywał wargi.

— Zapamiętaj też swoją obietnicę — przypomniał Tibor i jego głos odpłynął. Przez chwilę trwała cisza. Harry myślał o straszliwej naturze stworzenia, z którym miał się zmierzyć. Ale wtem, z głębokiej ciszy, wyłonił się nowy głos.

— Harry, nie znasz mnie, ale Keenan Gormley pewnie opowiedział tobie o mnie, co nieco. Byłem Grigorijem Borowicem. Dragosani zabił mnie Złym Okiem Maksa Batu.

— Więc i ty szukasz zemsty — odezwał się Harry. — Czy ten Dragosani nie ma przyjaciół? Chociaż jednego?

— Miał mnie. A ja miałem wobec niego wielkie plany. Ale ten drań miał swoje, nie byłem w nich uwzględniony. Zabił mnie dla wiedzy o Wydziale E. Chce kontrolować to, co ja tak pieczołowicie stworzyłem. Ale to jeszcze nie wszystko. Sądzę, że on chce... zagarnąć... wszystko! Jeśli będzie żył, może w końcu...

— W końcu?

Głos Borowica zadrżał.

— Widzisz, on jeszcze mnie nie dopadł. Moje ciało leży w daczce w Żukowce, prędzej czy później zostanie dostarczone w jego łapska. Postąpi ze mną, jak z Maksem Batu. Nie chcę tego, Harry. Nie chcę, żeby to bydlę grzebało w moich trzewiach w poszukiwaniu sekretów.

Harry przeraził się, ale nie czuł żalu.

— Rozumiem twoją motywację — odrzekł — ale gdyby nie on, ja bym ciebie zabił. Musiałbym. Za moją matkę, za Keenana, za każdego, kogo skrzywdziłeś, kogo miałeś skrzywdzić.

— Wiem, wiem — powiedział bez wrogości Borowic. — Byłem kiedyś żołnierzem, jestem wierny zasadom, Harry. Cenię honor. Chcę tobie przede wszystkim pomóc.

— No cóż, przyjmuję twoje argumenty — zgodził się Harry — jak możesz mi

pomóc?

— Najpierw opowiem ci wszystko, co wiem o Zamku Bronnicy, o jego strukturze, otoczeniu, o ludziach, którzy tam pracują — o esperach. I powiem ci coś jeszcze: twój talent może to wykorzystać z powodzeniem. Powiedziałem, że kiedyś byłem żołnierzem. Tak, znałem się wtedy na sztuce wojennej. Studiowałem historię wszystkich konfliktów zbrojnych od początków ludzkości. Prześledziłem dokładnie wszystkie bitwy. Pytasz jak mogę ci pomóc? Posłuchaj, opowiem ci...

Harry słuchał i powoli jego oczy otwierały się coraz bardziej, uśmiech pojawił się na twarzy. Dotychczas był zdesperowany, ale teraz ciężar spadł mu z serca — miał szansę! Borowic skończył przekazywanie swych rad.

— Byliśmy wrogami — powiedział Harry — mimo, że nie spotkaliśmy się. Dziękuję za rady. Ale wiesz, że wraz z Dragosanim, zniszczę i twoją organizację.

— Na pewno nie bardziej, niż on to uczynił — ryknął stary generał. — Muszę odejść, muszę kogoś odnaleźć...

Harry rozejrzał się dookoła, zobaczył, że słońce zniżyło się na niebie. Tumany pyłu szalały na szczytach dalekich wzgórz. Po niebie kołowały latawce, kończył się dzień, cienie stawały się coraz dłuższe. Przez dobrą chwilę siedział jeszcze na piasku, z głową między dłońmi.

— Wszyscy chcą mi pomóc.

— Bo przynosisz im nadzieję — odpowiedziała Wiedźma z Endor. — Przez wieki, od początku czasu, umarli leżeli w swych grobach. Teraz, szukają się nawzajem, rozmawiają ze sobą — tak jak ich nauczyłeś. Znaleźli swojego mistrza. Poproś ich, Harry, będą ci służyć...

Keogh powstał, rozejrzał się dookoła. Poczuł przez skórę chłód wieczornego powietrza.

— Nie widzę powodu, żeby zostawać tu dłużej — powiedział. — Nie wiem, pani, jak ci dziękować.

— Otrzymałam już podziękę od zastępów zmarłych.

Harry pokiwał głową.

— Tak, chcę jeszcze porozmawiać z kilkoma z nich.

— Ruszaj więc — odpowiedziała. — Przyszłość wzywa ciebie i wszystkich ludzi.

Harry nie powiedział już nic, wywołał drzwi Möbiusa, wybrał jedno z nich — ruszył.

Najpierw odwiedził matkę — znalazł ją bez trudu. Potem ruszył do „Sierżanta” Grahama Lane’a z Harden, gdzie na krótko zawitał też u Jamesa Gordona Hananta. Przerzucił się do Garden of Repose w Kensington, gdzie rozrzucano prochy

Keenana Gormleya. Na koniec przybył do dachy Borowica w Żukowce. W każdym z miejsc spędził około piętnastu minut — oprócz ostatniego. Rozmawiać z umarlakami w ich grobach to jedno, a patrzeć na trupa, który siedzi i patrzy szklistymi, ropiejącymi oczyma — to zupełnie inna sprawa.

Za każdym razem, kiedy przestępował drzwi, cieszył się, że robi to z wielką łatwością, że zgłębił zawiłości kontinuum Möbiusa. Zostało jeszcze jedno miejsce, które musiał odwiedzić. Przedtem zaopatrzył się w dwulufową strzelbę myśliwską Borowica, napełnił kieszenie nabojami z szuflady.

Była szósta trzydzieści czasu wschodnioeuropejskiego. Ruszył z Żukowki na Zamek Bronnicy. W drodze poczuł, że nie podróżuje sam — ktoś jeszcze przebywał w kontinuum Möbiusa.

— Kto tam?! — krzyknął w myślach, w bezgranicznej ciemności.

— Jeszcze jeden umarlak — padła odpowiedź, głos był szorstki i obcy. — Za życia patrzyłem w przyszłość, ale dopiero śmierć sprawiła, że ostatecznie poznałem rozmiar mojego talentu. To dziwne, ale w swojej „teraźniejszości” nadal żyję — umrę wkrótce.

— Nie rozumiem — odpowiedział Harry.

— Nie spodziewałem się, że pojdziesz od razu. Właśnie wyjaśniam: nazywam się Wiktor Władik, pracowałem dla Borowica. Popełniłem błąd, przewidując własną przyszłość, własną śmierć, która nastąpi za dwa dni od „teraz”. Stanie się to na rozkaz Dragosaniego, po śmierci poznam swój potencjał. To, co robiłem za życia, usprawnię po śmierci. Gdybym tylko zechciał, mógłbym patrzeć w przeszłość do początków czasów na sam jego koniec. Czas jednak nie ma końca, jest częścią kontinuum Möbiusa, nieskończonym zwojem przestrzeni. Zaraz to pokażę.

Wskazał Harry’emu drzwi z przeszłości i przyszłości. Keogh stanął w progu i spojrzął w czas miniony i w czas, który nadejdzie. Nie rozumiał tego, co widział. Za drzwiami przyszłości dochodził zgiełk miliona linii niebieskiego światła. Jedna z nich wybiegała z Harry’ego. Jego przyszłość. To samo było za drzwiami przeszłości, niebieskie światło niknęło w oddali — jego przeszłość. Podobnie rozrzucone tysiące innych linii, których jasność życia była oślepiająca.

— Ale żadne światło nie bije od ciebie — powiedział do Igora Władika. — Dlaczego?

— Moje światło wygasło. Jestem jak Möbius, czystą jaźnią. Przestrzeń nie ma przed nim tajemnic, czas nie ukrywa nic przede mną.

Harry zastanowił się.

— Chcę ujrzeć raz jeszcze moją nić życia. — I stanął ponownie na progu przyszłości. Zajrzał w błękitną jasność i ujrzął, że jego linia iskrzy się niczym neonowa wstęga. Widział wyraźnie jak zakrzywia się i zanika. Wtedy dojrzał, że niebieskie

światło wcale nie wypływa z jego ciała — wpływa! On sam pochłaniał linię, gdy zbliżał się jej koniec. Koniec linii jak meteor nacierał z przyszłości!

Szybko, w strachu przed nieznanym, zszedł z progu i pogrążył się w ciemności.

— Umrę? — zapytał — czy to właśnie chciałeś mi pokazać?

— Tak — odrzekł, podróżujący w przyszłości Igor Władik — i nie.

Harry nie zrozumiał.

— Niedługo przechodzę drzwi Möbiusa, do Zamku Bronnicy — powiedział — jeśli mam zginąć, to chcę o tym wiedzieć. Wiedźma z Endor przepowiedziała, że część mnie przepadnie. Teraz zobaczyłem kraniec mojej linii życia — krzyknął nerwowo — zdaje się, że nadchodzi mój koniec!

— Gdybyś mógł skorzystać z drzwi do przyszłości, przeszedłbyś poza kraniec swej linii — do jej początku!

— Początku? — Harry był wyraźnie zbity z tropu — to znaczy, że będę żył raz jeszcze.

— Istnieje druga nić, także twoja, Keogh żyje już teraz. Tylko nie ma jaźni. — Władik wyjaśnił wszystko do końca. Przewidywał przyszłość dla Harry'ego, tak jak kiedyś dla Dragosaniego. Tam, gdzie Harry miał przyszłość, Dragosani mieli tylko przeszłość. Keogh wiedział już wszystko.

— Winien ci jestem podziękowanie.

— Nic mi nie jesteś winien — odparł Igor.

— Przyszedłeś przecież w samą porę — naciskał Harry i dopiero teraz uświadomił sobie znaczenie tych słów.

— Czas jest względny — zaśmiał się Władik — to, co będzie, już było.

— Mimo wszystko, dziękuję — zawołał Harry i prześlizgnął się przez drzwi Möbiusa na Zamek Bronnicy.

Szósta trzydzieści jeden wieczorem. Telefon zadzwonił przeraźliwie, Dragosani poderwał się z miejsca.

Na zewnątrz było już ciemno, śnieg spadający z czarnego nieba pomniejszał widoczność. Reflektory na zewnętrznych murach i wieżach zamku przeszukiwały okolicę między murami już od zapadnięcia zmroku. Teraz snopy światła zamieniły się w strugi szarości — skuteczność oświetlenia była znikoma.

Nekromanta denerwował się, że widoczność jest tak ograniczona. System obrony posiadał jeszcze czułe elektroniczne detektory, nawet pole minowe, reagujące na kroki ludzkie.

Żadne z zabezpieczeń nie dawało Dragosaniemu poczucia bezpieczeństwa. I to nie był telefon z warowni na umocnionym murze, bo wszyscy ludzie na pozycjach

obronnych byli zaopatrzeni w krótkofalówki. Musiał dzwonić ktoś z zewnątrz albo z innego departamentu na zamku.

Borys zerwał słuchawkę z widełek.

— Tak, co jest?

— Tu Feliks Krakowicz — odpowiedział drżący głos. — Jestem u siebie w laboratorium. Mam... mam coś.

Dragosani znał tego człowieka, był jasnowidzem, podrzędnym prognostykiem, jego talent zupełnie nie mógł się równać z możliwościami Igora Władika, ale nie można było go lekceważyć, szczególnie tej nocy.

— Coś? — nozdrza nekromanty rozszerzyły się podejrzliwie. Feliks Krakowicz położył tajemniczy nacisk na to słowo.

— Mów po ludzku — co u licha?

— Nie wiem, towarzyszu. Coś... nadchodzi, coś strasznego. Już tutaj jest! Wewnątrz!

— Co „tutaj”? — Dragosani zachrypiał do telefonu. — Gdzie „tutaj”?

— W śniegu. Biełow też to czuje.

Biełow był telepatą, szczególnie dokładnym na małe odległości. Borowic często używał go na przyjęciach w ambasadach do wyciągania informacji z głów gości.

— Biełow jest tam z tobą? Daj mi go!

Telepata miał astmatyczny głos, zawsze dyszał, mówił niezmiernie krótkimi zdaniami — teraz stały się jeszcze krótsze.

— On ma rację, towarzyszu. Jakaś moc. Na zewnątrz. Potężna moc.

„Keogh! To musi być on!” pomyślał nerwowo.

— Jedna? — Wargi Dragosaniego odsłoniły rząd białych, ostrych jak sztylety zębów, purpurowe oczy nabrały blasku. Nie wiedział, jak Keogh mógł się tutaj dostać, ale jeśli był sam, to nie miał żadnych szans.

Na drugim końcu linii Biełow łapał powietrze, szukał słów.

— Dalej — ponaglił Borys.

— Nie... nie jestem pewien. Myślałem, że tylko jedna moc, ale teraz...

— Dalej — krzyknął nekromanta. — Ja chyba pracuję z kretynami! Co to jest, Biełow? Co tam jest?

Biełow sapał do telefonu.

— On... wzywa. Jest rodzajem telepaty, wysyła wezwanie...

— Do ciebie? — Dragosani rozdrażniony węszył podejrzliwość, sam wyczuł odpowiedź w powietrzu.

— Nie, nie do mnie. Wzywa... innych. O, Boże... oni mu odpowiadają.

— Kto odpowiada? — ryknął. — Co się z tobą dzieje, Biełow? Zdrajcy? Tutaj, na zamku?

Usłyszał stukot po drugiej stronie, lament i jakiś głuchy odgłos.

— Biełow zasłabł, towarzyszu Dragosani.

— Co? — Borys nie wierzył własnym uszom — Biełow osłabł? Co, do diabła?

Światła na centralce mikrofalówek, którą Dragosani przejął od oficera dyżurnego zaczęły gwałtownie migotać. Ludzie na stanowiskach obronnych próbowali się skontaktować. Za drzwiami, sekretarz Borowica, Julij Galeński siedział cały w nerwach za biurkiem, drżał słuchając szalejącego Dragosaniego.

— Galeński, jesteś głuchy? Chodź tutaj. Potrzebuję pomocy.

W tej samej chwili do pokoju wpadł oficer dyżurny, przy boku trzymał karabin. Galeński właśnie wstawał.

— Zostań tutaj, ja wchodzę — oficer huknął.

Nie pukając wbiegł, wyprężył się szybko, dyszał ciężko. Dojrzał Dragosaniego pochylonego za tablicą migoczących świateł. Borys zdjął okulary, zaczął rozbijać aparaturę, wyglądał bardziej na oszalałą bestię niż na człowieka.

Oficer rzucił broń na krzesło i patrzył zdziwiony na twarz nekromanty, w jego purpurowe oczy.

— Przestań się gapić — rzucił Dragosani. Sięgnął ręką i chwycił oficera za ramię, przyciągnął bez wysiłku ku sobie. — Wiesz, jak obsługiwać te cholerne graty?

— Tak, towarzyszu — przełknął ślinę oficer. — Chcą się z wami połączyć.

— Przecież widzę, idioto! Porozmawiaj z nimi. Dowiesz się, czego chcą.

Oficer usadowił się na krańcu metalowego krzesła przed tablicą. Wziął słuchawkę, wdusił przełącznik.

— Tu Zero. Potwierdzić odbiór, over.

Kolejno przychodziły odpowiedzi.

— Tu Jedyńka, wszystko w porządku, over.

— Dwójka, w porządku, over.

— Trójka...

I tak zgłaszało się piętnaście posterunków. Głosy były metaliczne, trochę niewyraźne, ale przebijał z nich strach, można było wyczuć ledwo opanowywaną panikę.

— Zero do Jedyńki, podajcie sytuację, over — powiedział oficer dyżurny.

— Tu Jedyńka. Coś jest w śniegu — przyszła natychmiast odpowiedź. — Zbliżają się do mnie. Proszę o pozwolenie otwarcia ognia, over.

— Zero do Jedyńki. Poczekajcie, over — rzucił oficer i spojrzał na Dragosaniego. Czerwone oczy były szeroko rozwarte, wyglądały jak krople krwi zamarznęte na ludzkiej twarzy.

— Nie — warknął Borys. — Najpierw chcę wiedzieć z kim mamy do czynienia.

Niech wstrzyma ogień i przekazuje wieści na bieżąco.

Poblądły oficer skinął głową i przekazał rozkaz.

— Zero do Jedyнки — głos wojskowego przybrał histeryczny ton. — Nadawajcie!

— Otaczają półkolem, za chwilę wejdą na miny. Idą... strasznie wolno. Jest! Jeden wpadł na minę, rozwaliło go na kawałki, ale inni idą dalej. Są drobnej budowy, w łachmanach, idą cicho. Niektórzy mają... miecze?

— Zero do Jedyнки. Nazwij ich wreszcie! Czy to nie ludzie?

Jedyńska zapomniała o poprawnej procedurze kontaktu.

— Ludzie? — głos był zupełnie histeryczny. — Może to ludzie, może kiedyś to byli ludzie. Chyba zwariowałem! To nie do wiary. Zero... jestem tu sam, a ich... jest mnóstwo! Żądam pozwolenia na otwarcie ognia. Proszę! Muszę się bronić...

Piana zaczęła zbierać się w kąciakach ust nekromanty, patrzył na plan ścienny, sprawdzając pozycję Jedyнки. Zewnętrzna wartownia znajdowała się tuż powyżej centrum dowodzenia, pięćdziesiąt metrów od samego zamku, momentami przez kuloodporne okna można było ujrzeć jej przysadzisty kontur. Ale żadnego znaku nieznanymi najeźdźców. Dragosani wyjrzał przez okno i tej samej chwili wybuch pomarańczowego ognia oświetlił przybudówki, nastąpiła eksplozja kolejnej miny.

Oficer czekał na rozkazy.

— Powiedz... niech ich opisze.

Zanim oficer wykonał polecenie, przyszło kolejne wezwanie.

— Zero? Tu Jedenastka. Pieprzyć Jedyńkę. Te dranie są wszędzie. Jeśli zaraz nie otworzymy ognia, rozgniotą nas. Chcecie wiedzieć kim są? Mówię: to trupy!

Tego Borys najbardziej się obawiał. To był z pewnością Keogh! Wzywał do siebie zmarłych.

— Niech strzelają — wyrzucił słowa wraz z pianą. — Niech ich wyrzną do nogi.

Oficer przekazał polecenie. Głuche eksplozje rozbrzmiewały wokół zamku. Wdarł się w nie zgrzytliwy terkot karabinów maszynowych — to obrońcy wartowni zaczęli ślepo strzelać do armii umarłych, która nieubłaganie posuwała się do przodu w głębokim śniegu.

Borowic nie kłamał — rzeczywiście świetnie znał historię wojen, szczególnie swego kraju. W 1579 roku Moskwa została splądrowana przez Tatarów Krymskich, w samym mieście doszło do wielkiej kłótni o łupy. Samozwańczy chan podważył władzę zwierzchników — on i jego ludzie w sile trzystu jeźdźców zostali pozbawieni udziału, zdegradowani i wyrzuceni z miasta. Poniżeni, wygnani, ruszyli na południe. Była ciężka ulewa, utknęli w leśnych trzęsawiskach, rzeki wylały z brzegów. Wtedy to rosyjski oddział, liczący pięciuset ludzi, śpieszący na odsiecz

miastu natknął się na Tatarów. Wyciął ich w pień. Bagna i błota pochłoneły ciała. Nikt ich nigdy już więcej nie widział — do dziś...

Harry nie musiał długo nakłaniać Tatarów do walki. W rzeczy samej, czekali na niego gotowi na jeden znak uwolnić się z ziemi, gdzie leżeli od czterystu lat. Kość przy kości, skóra przy skórze — powstałi. Część z nich dzierżyła jeszcze starą broń. Na rozkaz Harry'ego ruszyli na Zamek Bronnicy.

Keogh szedł z wstęgi Möbiusa poza okalającymi murami, obrońcy strzegli terenu na zewnątrz, nie zauważyli intruza, zajęci walką z martwą armią. Karabiny były zwrócone w jej kierunku, a noc i śnieg dawały doskonałą osłonę.

Na przeszkodzie stały jeszcze elektroniczne systemy ostrzegawcze i pole minowe, wokół wewnętrznego kręgu zamaskowanych wartowni.

Żadna z tych przeszkód nie mogła zatrzymać Keogha. Cóż to za bariera, jeżeli mógł przenosić się w nicość i wracać co chwilę do dowolnego pomieszczenia na zamku. Harry najpierw chciał zobaczyć, jak atakują wspierające go, martwe siły. Pragnął, żeby wszyscy obrońcy zajęli się walką o swoje życie, a nie o życie Borysa Dragosaniego.

Przez chwilę zrobiło mu się niedobrze, podmuch wybuchu rzucił w niego mieszaninę skóry i kości. Jedyńka i żołnierz obsługujący karabin maszynowy wyglądali przez wizjery, strzelali seriami w atakujących Tatarów. Część armii Harry'ego, prawie połowa trzeciej setki wyłoniła się właśnie w tym miejscu. Miny łatwo zbierały niesprawiedliwe żniwo. Bunkier z terkoczącym karabinem pomnażał straty.

Harry zdecydował się wykluczyć tę wartownię z gry, załadował strzelbę Borowica.

— Zabierz mnie ze sobą — poprosił Tatar, który osłaniał go tarczą. — Wdzierałem się do niezdobytych twierdz, a to tylko zwykły zameczek. — Jego czaszka była naruszona przez odłamek miny.

— Nie — powiedział Harry. — Tam nie ma zbyt wiele miejsca. Muszę się sam dostać — użycz mi swojej tarczy.

— Weź — odrzekł Tatar, uwalniając ciężką osłonę z uścisku białych kości. — Myślę, że będzie ci dobrze służyć.

Gdzieś na prawo od niego wybuchła mina, oświetliła spadający śnieg, ziemia zadrżała. W blasku eksplozji Harry dojrzał szkielety, zbliżające się coraz bardziej w stronę bunkra. Karabinowe kule z trzaskiem przebijały zbroje, rozrywały szczątki Tatarów. Tarcza była ciężka, pokryta rdzą, rozpadała się. Nie mogła dać ochrony przed bezpośrednim strzałem.

— Teraz! — ponaglił wojownik, próbował wstać na kościstych stopach, nagle, bez głowy opadł do przodu. — Pomścij mnie!

Harry zmrużył oczy od blasku śniegu, wymierzył myślą w plujący ogniem bun-

kier, przedarł się przez drzwi Möbiusa prosto do wnętrza wartowni.

Tu nie było czasu na myślenie, ani miejsca na zbyteczne ruchy. Z zewnątrz, wyglądający jak stodoła, bunkier był w istocie gniazdem zbitych stalowych płyt i bloków betonu. Szare światło przebijało przez otwór strzelniczy. Żołnierze w szoku strzelali szaleńczo, gorączkowo, prawie na oślep.

Harry wyłonił się tuż za nimi, upuścił żelazną tarczę na betonową podłogę, uniósł naładowaną strzelbę.

Rosjanie usłyszeli brzęk metalu, obrócili się na swych stalowych krzesłach, zobaczyli bladego mężczyznę. Jego oczy były jasnymi punktami nad dyszącymi nozdrzami i ponurą linią zaciśniętych ust.

— Kto...? — wysapał strażnik, wyglądał jak przestraszony śmieszny robot ze słuchawkami na uszach, w oczach pojawiło się przerażenie. Sięgnął do kabury, drugi powstał przeklinając.

Harry nie miał dla nich litości, albo on albo oni. Nacisnął oba spusty. Z wrzaskiem wpadli w ramiona śmierci. Zapach świeżej krwi zmieszał się ze smrodem potu. Było duszno. Oczy

Harry'ego zaczęły łzawić, zabłyśły szaleńczo. Załadował strzelbę, znalazł następne drzwi Möbiusa.

To samo uczynił z kolejnymi bunkrami. Sześć razy. Wszystko w niecałe dwie minuty.

W ostatnim, gdy było już po wszystkim, odezwała się zagubiona jaźń zabitego obrońcy.

— Dla ciebie to już się skończyło — zawołał Harry — ale ten, który do tego doprowadził jeszcze żyje. Obiecuję, że dziś wieczorem będziesz już u siebie, ja także. A teraz powiedz: gdzie jest Dragosani?

— W biurze Borowica, na wieży. Zmienił je w centrum dowodzenia. Nie jest sam... — odezwał się głos.

— Wiem — powiedział Harty, patrząc w dymiącą, zmasakrowaną nie do poznania twarz Rosjanina. — Dziękuję.

Została jeszcze jedna rzecz do wykonania, Harry potrzebował pomocy.

Zluzował zaciski trzymające karabin maszynowy na obrotowej podstawie. Chwycił broń i rzucił mocno o twardą podłogę, uniósł ponownie, cisnął raz jeszcze. Drewniana kolba rozszczępiła się, Harry wyłamał wystrzępiony kołek o ostrym końcu.

Poszukał naboju, został tylko jeden. Zacisnął zęby i załadował ostatni nabój do strzelby. Otworzył drzwi bunkra i wyszedł na zasypany śniegiem dziedziniec.

Zamek płonął matowym światłem tłumionym przez noc. Reflektory szukały celu. Większość armii Keogha — to, co z niej jeszcze zostało — zbliżała się do sa-

mego zamku, z którego dochodziło nieustanne staccato karabinów maszynowych. Ocalali obrońcy usiłowali zabić martwych wojowników, co było nie lada sztuką.

Harry rozejrzał się dookoła, dojrzał grupę maruderów sunących mozolnie ku obłożonemu budynkowi. Niesamowite postacie — wychudzone straszdyła ludzkie. Nie lękał się śmierci, zatrzymał dwóch Tatarów, wręczył jednemu twardy drewniany kołek.

— Dla Dragosaniego — powiedział.

Drugi Tatar niósł wielki, zakrzywiony, pokryty rdzą miecz — niszczycielsko służył w swoim czasie. Teraz miał zostać sprawiedliwie użyty raz jeszcze.

— To także na Dragosaniego, dla wampira, który w nim siedzi — krzyknął, wskazując na miecz.

Otworzył kolejne drzwi Möbiusa i przeprowadził towarzyszy.

Zamek pozostawiony dwieście trzydzieści lat temu na starym polu bitewnym, mało kto wiedział, że w istocie był mauzoleum tuzina najstraszliwszych tatarskich wojowników.

Dragosani rozkazał, by uniesiono masywne, kamienne płyty w piwnicach, gdy poszukiwano znaków sabotażu, tak więc na pierwsze zawołanie Keogha nic nie mogło zatrzymać ponownie ożywionych Tatarów. Przebili się ze swoich wiekowych grobów i na rozkaz Harry'ego zaczęli grasować na korytarzach twierdzy, w laboratoriach, warsztatach. Gdziekolwiek napotkali esperów czy żołnierzy — „wykluczali” ich z bitwy.

Zostały jeszcze umocnione stanowiska karabinów maszynowych, które uniemożliwiały obsłudze ucieczkę, zamykały odwrót. Można było do nich wejść tylko od strony zamku, nie miały zewnętrznych drzwi. Głos jednego z żołnierzy uwięzionego w umocnionym stanowisku opowiedział całą prawdę w krwawych szczegółach. Dragosani słysząc to, szalał i rzucał się w swoim centrum dowodzenia.

— Towarzyszu, to czyste szaleństwo — jęczał głos w głośniku, blokując łączność z pozostałymi stanowiskami. — To... trupy! Jak można zabić umarłych? Podchodzą, wycinam ich w pień, rozwalam na kawałki, a potem „kawałki” podchodzą. Chmara szczątków wije się, kopie, wbija w mur twierdzy. Korpusy, nogi, ręce, nagie kości. Zaraz wtoczą się do bunkrów. Co robić?

Dragosani miotał się jak zwierzę, wygrażał pięścią, szalał.

— Wiem, że tu jesteś. Przyjdź, przyjdź tu i skończymy z tym wszystkim — krzyczał w szale.

— Są już wewnątrz zamku — zaszlochał głos. — Jesteśmy w pułapce. Mój strzelec oszalał, bredzi i strzela na ślepo, zamknąłem stalowe drzwi, ale coś się dobija, chce wejść do środka. Wiem, co to jest. Widziałem, potrząsnąłem rękę luźno ubra-

ną w skórę, złamała się w nadgarstku, a teraz... O. Boże ta ręka chwyta się moich nóg, wspina się. Widzisz? Widzisz? Znowu! Znowu! — głos zamarł, a potem salwa histerycznego śmiechu przetoczyła się w słuchawce.

Julij Galeński krzyczał z przerażenia w swoim gabinecie.

— Schody! Idą po schodach! — miał piskliwy, dziewczęcy głos, nigdy nie walczył, był tylko urzędnikiem. Kto zresztą miał doświadczenie w takiej sytuacji?

Oficer dyżurny stał przy oknie, drżał na całym ciele, był blady. Pochwycił pistolet maszynowy i ruszył, mijając kulącego się Galeńskiego. Zabrał granaty leżące na biurku Dragosaniego. Do uszu Borysa doszło przekleństwo z ust oficera, gwałtowna eksplozja, rzuconych w dół schodów, granatów. I ostatni przekaz z nieznanego stanowiska obrony:

— Nie, nie! Mój strzelec zastrzelił się — doszedł ostatni przekaz z jakiegoś stanowiska obrony. — Oni przedzierają się przez stanowiska strzelnicze. Ręce, głowy. Chyba też się zabiję, ja już dłużej... Ale oni... „trwają”! Przedzierają się przez wybuchy. Nie! Zatrzymaj ich!

Słysząc było jeszcze oddalony wybuch granatu, wrzaski, jeden wielki krzyk... i cisza.

W głośniku coś zasyczało. Nagle na Zamku Bronnicy zrobiło się bardzo cicho — ten spokój nie mógł długo trwać. Oficer wycofał się do pokoju Galeńskiego. Dym i spalenizna pięły się kłęбами w górę. Harry i jego tatarscy przyjaciele wyłonili się z kontinuum Möbiusa. Pojawili się, jakby ktoś ich wyczarował.

Oficer usłyszał skomlenie Galeńskiego, jęk przerażenia. Osmalony młodzieniec stał w otoczeniu złowieszczych mumii: resztek czarnej skóry i błyszczących białych kości. Sam widok wystarczył, żeby oszaleć, stracić panowanie nad sobą.

Usta oficera zacisnęły się ze strachu, był zdesperowany. Wykrztusił coś niezrozumiałego, sięgnął po pistolet maszynowy...

Ledwo to zrobił, broń spadła na podłogę, twarz jego zmieniła się w bezkształtną masę — Harry wypalił ostatni pocisk ze strzelby.

Galeński dyszał i kulił się za biurkiem, Harry wszedł do byłej świątyni Borowica. Dragosani właśnie zrzucił ze stołu aparaturę, obrócił się, zauważył przeciwnika. Jego wielkie szczęki rozwarły się z wściekłości. Syknął jak wąż, zabłyśły czerwone oczy na chwilę spotkały się ich spojrzenia.

Obaj znacznie się zmienili. Dragosani przeszedł wewnętrzną metamorfozę. Harry rozpoznał go, ale w każdej innej sytuacji byłoby to trudne. A Harry? Drobna część jego dawnej osobowości pozostała, odziedziczył wiele nowych talentów. Obaj byli niesamowitymi istotami, zdawali sobie z tego sprawę. Patrzyli na siebie lodowatym wzrokiem.

Dragosani dojrzał strzelbę w rękach Harry'ego, nie wiedział, że jest bezużytecz-

na. Syknął z nienawiści, oczekiwał w każdej chwili strzału, rzucił się za wielkie, dębowe biurko, chcąc dopaść pistoletu maszynowego. Harry chwycił strzelbę za lufę i zadał cios w głowę. Dragosani zatoczył się, pistolet głucho upadł na podłogę. Borys dopiero teraz zorientował się, że strzelba Harry'ego nie jest naładowana, dojrzał jego dziki wzrok, szukający broni. Nekromanta miał przewagę — nie potrzebował pistoletu, żeby dokończyć dzieła.

Wrzaski z sąsiedniego pokoju nagle ucichły. Harry wycofał się w kierunku uchylonych drzwi. Dragosani nie zamierzał go tak wypuścić. Skoczył do przodu, chwycił go za ramię i trzymał mocno.

Harry zahipnotyzowany potwornym obrazem twarzy Dragosaniego nie mógł odwrócić wzroku, łapczywie chwycił powietrze, czuł jak straszliwa siła tego stworzenia miażdży jego wnętrze.

— Dyszysz! — ryknął Borys. — Dyszysz jak pies, Keogh, umierasz jak pies — i zaśmiał się.

Trzymając swoją ofiarę, nekromanta pochylił się, rozwarł szczęki. Z olbrzymich kłów ciekła lepka ślina. Coś, co z pewnością nie było językiem, mignęło w rozdzielonej paszczy. Nos Dragosaniego był spłaszczony, prążkowany jak skręcony pysk nietoperza. Jedno oko bulgotało purpurą, drugie stało się wąską szparką. Harry patrzył w piekło i nie mógł oderwać wzroku.

Wiedząc, że wygrał, Dragosani rozluźnił uścisk i... dokładnie w tym momencie drzwi za Keoghem otworzyły się z łoskotem. Harry uwolnił się ze szponów nekromanty. Drzwi zasłoniły go, padł na podłogę. Ktoś inny wszedł do pokoju i przyjął na siebie całą siłę wzroku Dragosaniego. Nekromanta zobaczył, kto wchodzi, ale było za późno. W ułamku sekundy przypomniał sobie ostrzeżenie Maksa Batu: „Nie wolno przeklinać umarłych, oni nie umierają dwa razy”.

Spojrzenie Złego Oka wróciło na twarz nekromanty. Poczul jakby gigantyczna pięść powaliła go i rzuciła w kąt pokoju. Kości gruchnęły głośno, gdy uderzył o biurko. Zatrzymał się na ścianie, padł na podłogę. Zbierał się powoli, wrzeszczał przeraźliwie. Złamane nogi drgały w paroksyzmach bólu na podłodze, drżały jak galareta. Dragosani wyrzucił przed siebie ramiona.

Na ślepo, bo zabójczy pocisk spojrzenia wrócił do źródła: jego oczu!

Harry wyszedł zza chroniących go drzwi, zobaczył powalonego nekromantę, odetchnął z ulgą. Oczy Dragosaniego jakby wybuchły od wewnątrz i pozostawiły puste kraterki na twarzy, purpurowe strugi ściekały po białych policzkach. Harry wiedział, że jest już po wszystkim, żołądek podszedł mu do gardła, odwrócił wzrok od nekromanty.

— Dokończcie dzieła. — wyszeptał do towarzyszy. Tatarzy, zgrzytając kośćmi zbliżyli się do porażonego potwora.

Dragosani był oślepiiony, podobnie i wampir w jego ciele, który widział oczami nekromanty. Było to jeszcze niedojrzałe stworzenie, ale miało wystarczająco rozwinięte zmysły, żeby wyczuć nadchodzący koniec.

Dragosani przestał krzyczeć, zakaszłał, złapał się za gardło. Piana i krew wypłynęły z niesamowicie szeroko rozwartych szczęk, rzucał szaleńczo głową. Całe ciało drżało w konwulsjach. Ból większy od bólu wypalanych oczu i łamanych kości narastał...

Dragosani umierał.

Szyja pogrubiała się, szarą twarz oblała purpura i błękit: Wampir wycofał się z mózgu, uciekał z wewnętrznych organów, odrywał się od nerwów. Przybrał kształt pijawki, przebijając się w górę, do gardła, wypłynął ustami Dragosaniego z krwią i śluzem. Nekromanta wypuł stworzenie na piersi, wielka pijawka zwinęła się, płaska głowa zakołysała się jak u kobry. Purpura krwi byłego żywiciela ściekała na podłogę.

I wtedy kościste dłonie Tantara zadały śmierć. Kołek przebił pulsujące ciało Wampira i zwłoki Dragosaniego. Pojedynczy cios miecza, ze świstem dokończył dzieła! Odciął monstrualną głowę od wijącego się ciała.

Dragosani leżał bezwładnie w agonii. Ale jego ręka dosięgła jeszcze pistoletu maszynowego. Rozogniony umysł rozpoznał głos Harry'ego. Nekromanta wiedział, że umiera, ale zła i mściwa natura zwyciężyła po raz ostatni. Odchodził, ale nie chciał umierać samotnie. Kurczowo uchwycony pistolet wypuł na ślepo serię, popłynął ciągły strumień kul, dopóki nie wyczerpał się magazynek. Chwilę potem miecz Tantara rozplątał potworną czaszkę.

Ból. Piekielny ból. I śmierć — dla obu rywali.

Harry, trafiony serią, znalazł drzwi Möbiusa i rzucił się w nie rozpaczliwie. Nie uważnie zapomniał o swoim ciele — została tylko jaźń. Wszedł w kontinuum Möbiusa, pociągnął za sobą umysł nekromanty. Ból opuścił ich obu.

— Gdzie jestem? — zawołał Dragosani.

— Tam, gdzie chciałem — odpowiedział Harry.

Znalazł drzwi do przeszłości, otworzył. Z umysłu Dragosaniego trysnęła struga czerwonego światła — ślad przeszłości wampira.

Harry rzucił Dragosaniego przez drzwi. Nekromanta wpadł, purpurowa nić pochwyciła go, ciągnęła ku sobie...do siebie. Nie mógł jej porzucić, choć tak bardzo chciał.

Harry patrzył jak purpurowa nić porywa go. Rozejrzał się i znalazł drzwi do przyszłości. Gdzie tam, dalej, płynęła jego naderwana nić życia, brała nowy początek — musiał ją tylko odnaleźć.

Rzucił się w błękitną nieskończoność jutra...

INTERWAŁ OSTATNI

Alec Kyle rzucił okiem na zegarek. Czwarta piętnaście. Już od piętnastu minut był spóźniony na ważne spotkanie Rady Rządowej. Czas, chociaż względny, uciekał, Kyle był wyczerpany, papiery naprzeciw utworzyły gruby plik. Bolało całe ciało, szczególnie prawa ręka, czuł jak nadgarstek luźno pracuje w stawach.

— Przegapiłem zebranie — powiedział, z trudem rozpoznając własny głos. Słowa z trudem wydobyły się na zewnątrz. Zaśmiał się i odkaszlnął. — Straciłem też chyba trochę kilogramów. Nie ruszyłem się z krzesła od siódmej rano. To mój największy wysiłek od wielu lat.

Widmo przytaknęło.

— Wiem. Przepraszam, wystawiłem cię na solidną próbę — twoje ciało i umysł. Myślisz, że nie było warto?

— Warto! — Kyle zaśmiał się raz jeszcze, tym razem swobodniej. — Radziecki wydział E jest zniszczony.

— Będzie — poprawiła zjawą — ...za tydzień.

— A ty pytasz, czy było warto. O tak! — dobry humor opuścił Kyle'a. — Opuściłem jednak zebranie, to było ważne.

— Chyba nie — odpowiedziała zjawą — a swoją drogą, to nie opuściłeś. Można powiedzieć: tak i nie.

— Nie rozumiem? — Kyle uniósł brwi.

— Czas... — zaczęło widmo.

— ...jest względny — dokończył szeptem Kyle.

Zjawą uśmiechnęła się.

— Na wstędze Möbiusa są drzwi do każdego czasu. Jestem tu, jestem tam. Dzieło Gormleya, twoje i moje przetrwało. Otrzymasz pomoc, nikt nie będzie ciebie poganiał.

Kyle zacisnął usta, zakręciło mu się w głowie, czuł się wyczerpany, opadł prawie z sił.

— Podejrzewam, że chcesz odejść — powiedział — a muszę cię jeszcze o coś zapytać. Wiem, kim jesteś... nie możesz być nikim innym.

— Tak?

— Gdzie teraz jesteś? Gdzie jest twoje „teraz”? Gdzie? Czy rozmawiasz ze mną,

z kontinuum Möbiusa czy... — pytał Kyle.

— Zapytaj lepiej kim jestem. — Widmo uśmiechnęło się cierpliwie. — Jestem nadal Harry'm Keoghiem.

Kyle poczuł zawrót w głowie. To przecież było w notatkach, a nie domyślił się wcześniej. Teraz wszystko łączyło się w całość.

— Ale Brenda, to znaczy, twoja żona miała umrzeć, przepowiedziano jej śmierć. Jak można zmienić czy uniknąć swojej przyszłości? Sam wiesz, że to niemożliwe.

Harry uśmiechnął się leciutko.

— Ona umrze. Już wkrótce, ale zmarli nie przyjmą jej.

— Umarli nie... — Kyle stracił głowę.

— Śmierć to miejsce poza ciałem. Zmarli mają swoje życie. Niektórzy o tym wiedzieli, większość nie. Teraz wszyscy wiedzą? To nie zmienia niczego w świecie żywych, ale znaczy wiele dla umarłych. Teraz zdają sobie sprawę, jak cenne jest życie. Wiedzą, bo je stracili. Gdy umrze Brenda, moje życie także będzie zagrożone — oni nie mogą na to pozwolić. Są mi wdzięczni, rozumiesz?

— Nie przyjmą jej? Mówisz, że wrócą jej życie?

— W rzeczy samej. Są wśród nich tacy, którzy mają talenty, o których nikomu się nie śniło, Alec. Miliardy talentów. Jeśli czegoś pragną, uczynią to. — Zjawa uśmiechnęła się delikatnie. — Chyba już pora...?

— Poczekaj — Kyle poderwał się z miejsca. — Poczekaj, proszę, jeszcze jedno... Harry uniósł mgliste brwi.

— Myślałem, że wyjaśniłem wszystko. Nawet jeśli nie, to i tak sam do tego dojdiesz.

Kyle kiwnął błyskawicznie głową.

— Tak, z pewnością. Tylko jedno pytanie: Dlaczego? Dlaczego wróciłeś do mnie i opowiedziałeś...

— Proste — odpowiedział Harry — mój syn będzie mną. Będzie miał własną osobowość, własne życie. Nie wiem, ile prawdziwego mnie znajdzie się w nim. Może przyjdzie taki czas, kiedy on — my — będziemy potrzebowali przypomnienia. Jedno jest pewne: to będzie bardzo utalentowany chłopak.

Kyle nareszcie zrozumiał.

— Chcesz, żebym... żeby sekcja... zaopiekowała się nim, tak?

— Właśnie — powiedział Keogh i zaczął zanikać, błękitna poświata zaczęła drżeć jakby złożona z miliona cienkich neonowych nitek. — Zaopiekujesz się nim... a on będzie w stanie potem zaopiekować się tobą. Wszystkim. Podołasz?

Kyle wytoczył się zza biurka, wyciągnął ręce ku zanikającej zjawie.

— Tak, uczynię jak powiedziałeś.

— To wszystko, o co proszę. Zaopiekuj się też jego matką.

Błękit przeistoczył się w mgłę, pojedynczą linię niebieskiego światła, zjawą skurczyła się do rozmiarów małego punkcika, niebieskiej isierki — zniknęła. Kyle wiedział, że Harry Keogh ruszył ku swoim narodziom.

— Jesteśmy z tobą, Harry — krzyknął chrapliwie, gorące łzy spływały mu po policzkach, nie wiedział, dlaczego płacze. — Jesteśmy z tobą... Harry?

EPILOG

Dragosani wpadł we własną przeszłość wędrując po linii życia Wampira. Podróż była krótka, ale przstraszyła go, oszołomiła. Zorientował się, że znów ma ciało — więcej niż ciało. Czuł, otaczającą go obcą jaźń — był częścią kogoś innego. Ten ktoś był ślepy... i pogrzebany!

Nieznany żywiciel walczył o wydostanie się z płytkiego grobu, z ciemności wieków, z gorzkiego więzienia ziemi.

Dragosani dusił się, krztusił, znów był na skraju zapaści. Poznał ból i nie pragnął go więcej. Przyłączył się swoją wolą do wysiłków żywiciela. Ziemia pękała powyżej. Dragosani powstał wraz z żywicielem.

Była noc, w górze, poprzez zwisające gałęzie drzew, gwiazdy świeciły na zimnym niebie.

Ktoś stał opodal, w ciemnościach, patrzył na postać Dragosaniego. Wzrok żywiciela nabrał ostrości.

— Wi... widzę... ciebie! — ryknął Potwór. Potężny jęk grozy przetoczył się po krzyżowych wzgórzach.

I wtedy pojawiła się druga postać — przysadzisty człowieczek, o przenikliwym spojrzeniu. Po chwili rozległ się świst gwajakowego kołka. Pocisk trafił w korpus żywiciela — utknął. Wtedy Dragosani przyłączył swój głos do wycia współmieszkańca ciała, próbował schować się pod ziemią. Nie było ucieczki, wiedział, że nie było ucieczki! Nie mógł w to uwierzyć.

— Poczekaj — wrzasnął głosem żywiciela, gdy wyższa postać zbliżała się, dzierżąc w dłoni błyszczący, ostry przedmiot.

— Nie widzisz? To ja!

Drugi Dragosani nie wiedział, nie mógł zrozumieć, nie chciał czekać. Nóż mignął stalowym błyskiem, uderzył celnie.

— Głupcze! Skończony głupcze! — ryczała głowa Ferency Dragosaniego, tocząc się po ziemi. Wiedział, że to tylko jedna z wielu agonii, wielu śmierci na nie-

kończącej się pętli jego istnienia. To już się wydarzyło... dzieje się teraz... wydarzy się raz jeszcze... raz jeszcze... raz jeszcze...

— Głupcze — plujące krwią, drżące usta wyszeptały ostatnie słowo. Tym razem mówił tylko do siebie...

SPIS TREŚCI

PROLOG	3
ROZDZIAŁ PIERWSZY	10
ROZDZIAŁ DRUGI	33
ROZDZIAŁ TRZECI	46
ROZDZIAŁ CZWARTY	62
ROZDZIAŁ PIĄTY	71
ROZDZIAŁ SZÓSTY	86
INTERWAŁ PIERWSZY	102
ROZDZIAŁ SIÓDMY	104
ROZDZIAŁ ÓSMY	115
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	129
ROZDZIAŁ JEDENASTY	142
ROZDZIAŁ DWUNASTY	159
ROZDZIAŁ TRZYNASTY	174
ROZDZIAŁ CZTERNASTY	192
INTERWAŁ DRUGI	211
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY	213
ROZDZIAŁ SZESNASTY	230
INTERWAŁ OSTATNI	247
EPILOG	250